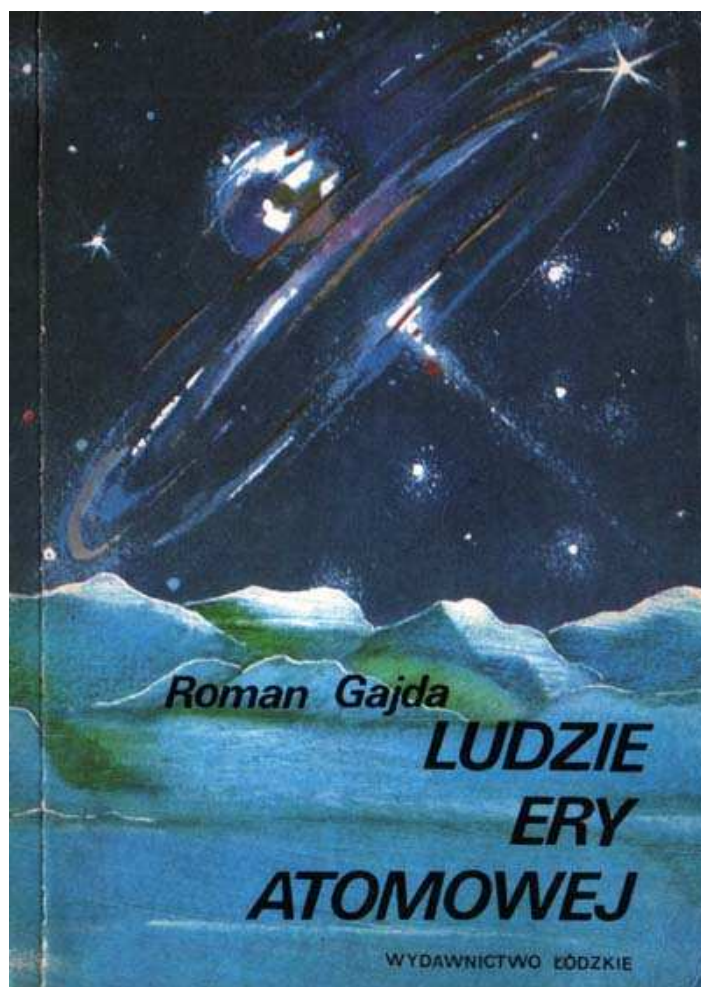


**ROMAN GAJDA**

# **LUDZIE ERY ATOMOWEJ**

POWIEŚĆ FANTASTYCZNO-NAUKOWA



WYDAWNICTWO ŁÓDZKIE • ŁÓDŹ 1986

## Rozdział I

— A jednak tu musi być człowiek! — twierdził z uporem Raymond Duval, członek międzynarodowej wyprawy do Antarktydy. Mówiąc to, trzymał nieruchomo przez kilka sekund maleńki, okrągły przedmiot wielkości kieszonkowej busoli.

— O, widzi pan, Mr Croyton, jak wskazówka radametra kręci się wokoło cyfry czterdzieści pięć, wskazując na bliską obecność większego ciała organicznego, dokładniej — ciała ludzkiego, gdyż wiadomo, że liczba ta odpowiada magnetycznej pojemności ludzkiego organizmu.

— *All right!* To może być człowiek nakryty grubą warstwą lodu. Biegnę po randolux... — Mr Croyton zбочył kilka kroków w prawo i brnąc po kolana w sypkim, opalizującym śniegu, zsunął się zwinnie po łagodnym zboczu lodowca. Za chwilę wrócił z dużym przyrządem, przypominającym do złudzenia kamerę fotograficzną.

— *Well*, zaraz przewiercimy promieniami XP3 tę zagadkę lodowca podbiegunowego.

Zręcznym ruchem rozstawił trójnóg aparatu i ułożywszy dłonie na krawędziach tak, aby pełgające po śniegu promienie słoneczne nie zakłócały pola widzenia, patrzył w głąb białej powłoki przez tajemniczą lunetę.

— Widzi pan coś, Mr Croyton? — zagadnął z odcieniem emocji w głosie Francuz Duval.

— *Yes*, widzę... na głębokości ośmiu metrów i trzydziestu centymetrów pod grubą pokrywą lodu widać ciemną, podłużną plamę. Plama ta ma wyraźnie ludzki kształt... A niech mnie protony rozniosą, jeśli się mylę! Duval, to jest człowiek! Naprawdę człowiek!... Widocznie zaginiony tutaj podczas jakiejś wyprawy naukowej, może sto, a może dwieście lat temu...

— Trzeba zawiadomić o tym przewodnika ekspedycji, Huntersa — zaopiniował z powagą Duval.

— *Well*, już daję sygnał. No... no... i któż by to pomyślał, że znajdziemy tutaj, wśród lodów, zaginiony wiek dwudziesty. Bo nie wątpię, iż ten oto człowiek — tu wskazał ręką na lodowiec — był członkiem jakiejś wyprawy do Antarktydy w ubiegłym stuleciu. — Podniósł do góry laskę, zakończoną okrągłą, metalową tarczą, manipulując chwilę, aż zapaliło się u góry niewielkie, rubinowe światełko i zawołał donośnie:

— Halo! Czy to Mr Hunters? Na zboczu lodowca pod pokrywą lodu odkryliśmy człowieka. Stop. Co mamy czynić dalej?

— Czekać. Jesteśmy za piętnaście minut — dał się słyszeć stłumiony głos. Rubinowe światełko zgasło i Mr Croyton przerzucił z fantazją przez ramię aparat. Był w przezroczystym jak ze szkła, kulistym hełmie na głowie, którego dolna część łączyła się w sposób niewidoczny, jakby stanowiąc jednolitą całość, ze zbyt obszernym, luźno opadającym kostiumem o matowym, srebrzystym odcieniu. Hełm taki, prócz tego, że osłaniał twarz i głowę przed mrozem i lodowatym wichrem, był zaopatrzony w „elektryczne uszy”, chwytające z muzykalną wrażliwością każdy najśłabszy dźwięk oraz posiadał miniaturowy mikrofon, umożliwiający swobodne porozumiewanie się. Croyton szedł wolno obok Duwala, pochłonięty bez reszty myślami o tajemniczym człowieku w lodzie. Obaj byli członkami ekspedycji, wydelegowanej przez Rząd Światowej Federacji w Norbant, w celu zmiany klimatu na terenie magnetycznego pola Bieguna Południowego, aby założyć tu następnie wielką stację doświadczalną do badań nad magnetyzmem ziemskim.

— Wie pan, Mr Croyton — przerwał milczenie Duval — ta historia zaczyna być interesująca. Lubię takie przygody z duchami przeszłości. Kto wie? Może uda się go ożywić?

Mr Croyton zrobił nagle pół obrotu i stanął naprzeciw Duwala, dotykając prawie jego hełmu.

— Kogo? — wykrztusił, z trudem hamując tok własnych myśli.

— No, tego tam, pod lodem...

— O... żartuje pan, Duval. Na pewno tkanki rozpadły się, a pozostała tylko skamieniała masa. Zamarznięta mumia...

— To się zobaczy — mruknął Duval jakby z pewnym niezadowoleniem. — Niech pan nie zapomina, Mr Croyton, że temperatura lodowca utrzymuje się tu stale znacznie poniżej zera. Mróz doskonale chroni tkanki przed rozkładem. Czytałeś zapewne o mamutach, odkopanych kiedyś na Syberii?

— Owszem, były tak świeże, że psy jadły ich mięso. Ale to co innego.

— Jak to co innego? Czy nie uważasz, że mróz potrafili zatrzymać bieg czasu w zasięgu swego działania, jak to czyni z rwącym potokiem górskim? Po prostu, ten człowiek śpi... — Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Anglik przerwał mu, wyciągając przed siebie rękę:

— Patrz pan, już idą...

Rzeczywiście, w odległości może dwustu metrów ukazało się kilku mężczyzn, wszyscy w długich, białych butach i lekkich hełmach na głowie. Posuwali się ostrożnie i wolno po nierównym terenie, z widocznymi tu i ówdzie głębokimi szczelinami. Gdy znaleźli się w pobliżu lodowca, najwyższy z nich, o podłużnej twarzy i głęboko osadzonych oczach, w których uśmiech mieszał się z zaciekawieniem, odezwał się wesoło, z odcieniem żartobliwej ironii:

— Więc odkryliście, panowie, człowieka pod warstwą lodu? To ciekawe. Pokażcie mi go, proszę...

— O, tu, w tym lodowcu — wskazał uprzejmym gestem Croyton. — Niech pan spojrzy, Mr Hunters, przez randolux... — I ustawił przed nim przyrząd. Hunters pochylił się nad aparatem, rozsuniwszy przedtem górną część hełmu na wysokości oczu, aby uzyskać lepszą ostrość widzenia, i złożywszy nad czołem dłoń, ukryte w rękawicach, stanowiących naturalne przedłużenie rękawów, wpatrywał się z nie ukrywaniem napięciem w głąb lodowego masywu.

— Hm... rzeczywiście... bez wątpienia człowiek. Widać wyraźnie sylwetkę... — Rozejrzał się po obecnych, a potem raz jeszcze utkwiał wzrok w aparat, aby się ostatecznie upewnić, że to nie jest złudzenie, i nie przerywając obserwacji, powiedział głośno i dobitnie:

— Panowie, trzeba stopić lodowiec. Musimy sprawdzić, kim jest tragicznie uwięziony. Może ma przy sobie jakie dokumenty?

Nagła decyzja kierownika ekspedycji nie zaskoczyła nikogo. Mr Hunters śmiał się głośno swoim bezpośrednim, naturalnym śmiechem człowieka, umiejącego pogodzić zadowolenie z rzeczy już osiągniętych z dziecięcą wiarą w powodzenie rzeczy przyszłych. Duval i Croyton byli oddanymi przyjaciółmi Huntersa i wiedzieli, co należy robić w tej chwili. Szybko oddalili się w kierunku ledwo widniejącego na horyzoncie, połyskującego kopulastym dachem budynku, nad którym powiewała wysoko kolorowa flaga, osadzona na cienkim maszcie. Powrócili na pneumatycznych saniach, wioząc z tyłu jakąś maszynę, zakończoną długą, błyszczącą rurą, wywiniętą na końcu w kształcie tuby.

— Oto i miotacz protonów — powiedział Croyton, odsapnąwszy z ulgą.

— Doskonale, moi panowie — zaaprobował Hunters z wyraźnym zadowoleniem. — A teraz proszę nastawić pirogrom w sam środek lodowca tak, aby strumienie protonów rozłupały go na kilka części, nie uszkodziwszy uwięzionego w lodzie człowieka.

— Czy sądzi pan, Mr Hunters, że uda się go ożywić?

— Hm... Kto wie? — powiedział z pewnym wahaniem. — A może... Wszak doktor Zibellus z Instytutu Ożywiania Zmarłych robi prawdziwe cuda.

— A więc nie traćmy czasu! — wykrzyknął Duval zamykając dyskusję i zaczął mani-

pulować przy maszynie, przypominającej swoim wyglądem ciężki karabin maszynowy, używany do zabijania ludzi na początku XX wieku. Rozległ się suchy trzask, jak kłaśnięcie w dłonie, i z lodowca trysnęła szerokim strumieniem woda, a po chwili uniosły się kłęby pary. Duval za pomocą ukrytego mechanizmu poruszał wolno końcem wymierzonej rury, jakby kreślił magiczne znaki na lodowej ścianie. Raz po raz rozlegał się stukot spadających po pochyłości brył lodu, które pękały z hukiem, prażone niewidzialnym strumieniem protonów. W pewnym momencie woda chlusnęła pod same nogi Francuza. Duval cofnął się mimo woli. Mr Hunters, stojący o kilka kroków dalej, nie szczędził mu swoich rad.

— Monsieur Duval! Przejdź pan na drugą stronę! Inaczej popłynie pan z wodą!... Trzeba będzie lodowiec poszatковать — dodał żartobliwie.

Ale ruchliwy Francuz nie dosłyszał już ostatnich słów przewodnika wyprawy, zajęty przesuwaniami pirogromu po oślizłym od wody lodzie, gdyż gruba warstwa śniegu stopiła się w okamgnieniu od pary buchającej naokoło. Nagle rozległy się potężne detonacje i wielkie kawały lodu obsunęły się z głuchym łoskotem, roztrzaskując się na mniejsze bryły. Hunters patrzył uradowanym wzrokiem na topniejący w oczach lodowiec.

— Mr Croyton, proszę obserwować przez randolux, abyśmy nie uszkodzili bloku, w którym spoczywa człowiek — powiedział, ściskając go za ramię. — Trzeba zawiadomić centralę w Norbant o naszym odkryciu. Niech sprawdzą w kronikach, z jakiej ekspedycji polarnej może pochodzić ów zagubiony w śnieżnej pustyni...

— *All right!* Zaraz pojedę nadać radiotelewizogram — mruknął z zadowoleniem Croyton, po czym wskoczył do sań i w niespełna dziesięć minut był już w bazie ekspedycji „M”, gdzie mieściła się radiotelewizyjna aparatura nadawczo-odbiorcza. Wszedł do kabiny i zaczął wywoływać stację:

— Halo! Czy to centrala w Norbant? Tu ekspedycja „M” na Antarktydzie. Wszyscy czujemy się doskonale. Mamy niespodziankę. Odkryliśmy człowieka w bloku lodowym. Za pomocą pirogromu topimy lodowiec. Za pół godziny będziemy go mieli na powierzchni. Czekamy na wasze instrukcje.

Usiadł przy telewizorze i czekał na odpowiedź. Po kilku minutach ujrzał na ekranie roześmianą twarz jasnowłosej kobiety i usłyszał wysoki, lecz miły dla ucha ton jej głosu:

— Halo!... Tu Instytut Ożywiania Zmarłych. Prosimy dostarczyć człowieka w bloku lodu najbliższym torpedostratusem. Czekamy.

Anglik pojechał z wiadomością do towarzyszy, pogwizdując z zadowoleniem. Był już blisko nich, gdy potężny grzmot wstrząsnął podbiegunową ciszą i rozpląnął się bez echa wśród martwej bieli.

Duval nie próżnuje — pomyślał z zadowoleniem Croyton. Wysiadł z sań, brnąc po kolana w śniegu. Gdy doszedł do miejsca, gdzie stali przyjaciele, z lodowca nie było już śladu. Nad wyrwą, podobną do olbrzymiej, kryształowej kadzi, stał Hunters i towarzysze, wszyscy pochyleni, z wyrazem zachwytu na skupionych twarzach. Croyton zerknął w dół, gdzie pod przejrzystą powłoką lodu ujrzał człowieka, skulonego nieco, z wyciągniętymi przed siebie rękami, jakby chciał wyjść na powierzchnię. Złudzenie było tak silne, że Duval wydał okrzyk zachwytu:

— Ależ on wygląda jak żywy!

— Niezwykłe... — wyszeptał w radosnym podnieceniu Hunters.

— Mamy polecenie przywieźć go do Norbant w bloku lodowym — wyjaśnił stereotypowo Croyton.

— A zatem, monsieur Duval, kończ pan dzieło. Myślę, że doktor Zibellus bardzo się ucieszy. Ho, ho!... Takiego pacjenta nie miał chyba jeszcze w swoim instytucie. Tylko ostrożnie, moi panowie. Kto wie, jaką tajemnicę kryje ta bryła lodu?

Duval przyciągnął pirogrom na sam brzeg oślizłej tafli i zabrał się do wytopienia z masywu lodu takiej wielkości bloku, w którym by zamrożony tajemniczy podróżnik mieścił się

nie naruszony, a zwycięski strumień protonów nie dotknął ciała, oszczędzonego przez czas.

W dwanaście godzin później potężny torpedostratus, przysłany z Norbant, wylądował wśród białej pustyni i zabrał na swój pokład niezwykle ładunek.

## Rozdział II

Asystent Barecki z Instytutu Elektrobiologii Stosowanej otrzymał zlecenie przywiezienia do Norbant odnalezionego na Antarktydzie człowieka w bloku lodu. Wiadomość o tym niezwykłym odkryciu powtórzyły wszystkie stacje radiotelewizyjne Globu. W starych kronikach odszukano, że zagadkowym więźniem lodów jest nie kto inny, tylko inżynier Jerzy Relski, Polak, biorący udział w wyprawie polarnej na Biegun Południowy w drugiej połowie XX wieku. Szukano wówczas na tych terenach rud uranowych. Niestety, większość członków tej ekspedycji zaginęła w nie wyjaśnionych okolicznościach. Ci, co powrócili, byli na wpół obłąkani. Tyle powiedziały stare księgi. Jedyną myślą Bareckiego było, czy uda się przywrócić do życia inżyniera Relskiego metodą profesora Zibellusa, genialnego uczonego w nowej dziedzinie wiedzy, którą nazwano elektrobiologią stosowaną. Śmiałe i udane próby przywrócenia do życia pacjentów, u których skonstatowano nawet poważne obrażenia, zjednały mu sławę wszechświatową. Jak już pobieżnie stwierdzono za pomocą promieni XP, u Relskiego nie uległy zniszczeniu podstawowe organy. Niska temperatura doskonale zakonserwowała jego organizm przed rozkładem. Jeśli eksperyment się uda — myślał — wtedy ten człowiek będzie arcyciekawym zjawiskiem w naszym nowym świecie...

Młody asystent uśmiechnął się na tę myśl. Eksperymentu przywrócenia do życia miał dokonać doktor Zibellus, dyrektor Międzynarodowego Instytutu Ożywiania Zmarłych w Norbant, wynalazca metody „Z” (tak zwanej od nazwiska genialnego lekarza).

„Problem inżyniera Relskiego” — jak później nazwano całą tę sprawę — miał być rozwiązany po upływie siedmiu dni. Pacjenta umieszczono tymczasem w największej sali Instytutu, na oddziale rewitologicznym, zwanym popularnie „Światłem Życia”. Tam poddano go zabiegom wstępnym, polegającym na regeneracji obumarłych komórek. Następnie miał otrzymać nową krew, spreparowaną specjalnie dla pacjentów, których stan biologicznej śmierci trwał bardzo długo. Krew ta, prócz innych, specyficznych właściwości zawierała hormony odmładzające.

Przybyło już do Norbant kilkuset delegatów ze wszystkich Instytutów Elektrobiologii i Medycyny Doświadczalnej z najodleglejszych zakątków Globu. Również Najwyższa Rada Geniuszy, mająca swoją stałą siedzibę w Pałacu Wiedzy w Norbant, zapowiedziała się in corpore. Panowało powszechne podniecenie, które wzrastało z każdą godziną, dzielącą od terminu rozpoczęcia eksperymentu. Oczy świata zwrócone były na doktora Zibellusa, człowieka, który zwyciężył śmierć.

— Inżynierze!... inżynierze!... Jakże się panu spało?

Relski przetarł oczy. Czyżby śnił? Ale przecież wyraźnie słyszał głos. Wibrujący, melodyjny głos kobiety.

— Inżynierze... jakże się pan czuje?...

Tak, nie mylił się. W seledynowym półmroku dostrzegł tę, której głos drgał jeszcze w niebieskawym półcieniu jakimś pieszczotliwym, ciepłym brzmieniem. Było w nim tyle szczerego zatroskania, ile nie tajonej radości.

— Jak to ładnie, że pan się już przebudził — powiedziała z beztróskim uśmiechem,

pochylając się nad nim. Ujęła delikatnie jego dłoń, spoczywającą swobodnie na puszystej kołdrze.

Relski uczył przyjemne ciepło, które szło od jej palców. W sercu miał błogość, jaką odczuwać może tylko człowiek, gdy go niespodziewanie po długim pobycie w ciemnym i zimnym lochu wyniosą na otwartą przestrzeń, pod jasny błękit nieba. Przymknął oczy, aby błoga rozkosz trwała jak najdłużej. Lecz niepokojący, metaliczny tembr nie pozwalał mu zapaść w słodką ułudę półsnu i półjawy.

— Inżynierze!... Świat czeka na pańskie słowa. Nasz wspaniały świat Nowej Ery pragnie usłyszeć jego głos... Głos człowieka dwudziestego wieku, któremu nauka naszej ery przywróciła życie biologiczne...

Mówiła to z takim rozbajającym uśmiechem, że Relski mimo woli otworzył oczy i zaczął uważnie rozglądać się wokoło. Leżał wygodnie na czymś, co mogło uchodzić za tapczan. Pod głową miał miękką poduszkę. Pokój był niewielki, bez okien. Nie było widać ścian, ale draperie, obficie marszczone, spoza których sączyło się dyskretne, seledynowe światło, wypełniając łagodnym półcieniem to dziwne wnętrze.

— Gdzie ja jestem?

— No, nareszcie sfinks przemówił — powiedziała patetycznie. — Zaraz zakomunikuję o tym doktorowi Zibellusowi, który przewodniczy w tej chwili na kongresie biochemików w Rio de Janeiro...

Podeszła do ściany i uchyliwszy ciężką zasłonę wyciągnęła drugą ręką z ukrytej wnęki stolicek na kółkach, na którym ustawiona była skrzynka z ekranem.

— Halo! Czy to centrala w Norbant? — zapytała po francusku.

— Tak, tu centrala...

— Proszę o połączenie radiotelewizyjne z Instytutem Biochemii Stosowanej w Rio de Janeiro...

W następnej sekundzie ukazała się na ekranie postać męska w białej todze o niebieskich, przenikliwych oczach.

— Inżynierze... — intonował dalej ten sam głos — połączyliśmy się z centralą w Rio de Janeiro. Patrzy na pana doktor Zibellus. Czy nie zechciałby pan powiedzieć, jak się czuje w tej chwili?

Relskiego zaczęło to wszystko trochę bawić, trochę intrygować.

— Zapewniam panią, że czuję się doskonale. Ale co to wszystko znaczy?

Powiedział to jednym tchem i odruchowo usiadł na wygodnym posłaniu.

— Wspaniale. Wyłączam radiotelewizor...

Szybkim ruchem przekręciła kontakt aparatu i odstawiła na dawne miejsce.

— Dziękuję panu. Ujrzał pan na ekranie wielkiego Zibellusa, człowieka, któremu zawdzięcza pan życie po długim śnie w lodowcu Antarktydy. Obecnie głos pana oraz sylwetka jego postaci zostały przekazane wszystkim centralom radiotelewizyjnym na Globie, jak również, dzięki transmisjom radarowym, na Marsa i Wenus, gdzie posiadamy stacje obserwacyjne.

Relski wpatrywał się w nią nic nie rozumiejącymi oczyma. Ona zaś mówiła dalej:

— Pan sobie nie wyobraża, ile się o panu mówi w obecnej chwili. Jest pan najpopularniejszą osobistością naszego świata...

— Ale ja z tego nic nie rozumiem. To wszystko wydaje mi się jakimś dziwnym snem...

— Piękny sen wart jest co najmniej tyle, ile piękna rzeczywistość. Ale mogę pana zapewnić, że to, co pan przeżywa w tej chwili, nie jest senną złudą, lecz najprawdziwszą jawą.

To rzekłszy, lekko uszczypnęła go w rękę. Relski mimo woli cofnął dłoń.

— Kto pani jest? — zapytał nieśmiało.

— Nazywam się Irena Tarska. Jestem, jakby tu powiedzieć, pańską pielęgniarką, no i... damą do towarzystwa. — Zaśmiała się głośno, srebrzyście. — Ale muszę panu wyjaśnić rzecz

zasadniczą: Otóż po udanym eksperymencie przywrócenia panu życia przez słynnego rewitologa, genialnego Zibellusa, polecono go mej opiece. Pozostanie pan tutaj, w Norbant, aż do uzyskania całkowitej równowagi fizjologicznej i umysłowej...

— Hm... to wszystko jest bardzo ciekawe, ale skąd ja się tutaj wziąłem?

— Zaraz, zaraz, drogi panie. Wszystko pan zrozumie, tylko trochę cierpliwości.

Roześmiała się swobodnie, ukazując białą linię zębów. Spojrzała mu troskliwie w oczy i lekko musnęła dłonią jego czoło. Relski uśmiechnął się także i próbował zebrać myśli. Majaczyły mu się jakieś bezkresne, śnieżne równiny, a słońce tuż, tuż zawieszony nisko nad białą linią horyzontu rzucało oślepiający blask. Ujrzał siebie, idącego przy saniach, zaprzężonych w osiem rasowych psów. Co się stało z towarzyszami wyprawy? Dlaczego znalazł się tutaj, w jakimś obcym, niezrozumiałym dlań świecie?

— Myśli pan zapewne o losie owej nieszczęsnej wyprawy polarnej do Antarktydy? — rzuciła mu pytanie.

— Skąd pani wie o tej ekspedycji?

Chciał usiąść, ale poczuł ostry ból w ścięgnach nóg i bezzwłocznie opadł na poduszkę.

— Oj, ostrożnie, inżynierze. Kuracja rewitologiczna jeszcze nie skończona. Proszę zachować spokój i panowanie nad odruchami.

Pomogła mu ułożyć się wygodniej.

— A wie pan, jak to było z tą wyprawą na Antarktydę? No... proszę sobie przypomnieć...

Relski przymknął oczy, starając się przywołać odległe wspomnienia, lecz na próżno. Irena, chcąc przerwać kłopotliwe milczenie, powiedziała:

— Inżynierze... jeszcze nie wróciła panu pamięć o rzeczach dawno minionych. Opowiem więc, co głoszą stare kroniki. Wiek, w którym pan miał zaszczyt się urodzić i żyć, był wiekiem krwi, ale nie chwały. Pełen dynamiki, kontrastów, sprzeczności i tragicznych powikłań, skręcał się i wił w bólach. A imię jego — Chaos...

Relski patrzył z zaciekawieniem w jej duże, ciemne oczy. Mezzosopranowy tembr jej głosu działał nań kojąco. Irena zaś mówiła dalej:

— Biała gorączka ogarnęła umysły ówczesnych ludzi, kiedy udało się zbudować pierwszy stos atomowy, a potem pierwszą bombę. Zaczęto wydzierać sobie złoża uranu, a nawet próbowano szukać go w okolicach Bieguna Południowego. Prym wiodły tutaj takie ówczesne potęgi jak Ameryka, Związek Radziecki, Anglia, a nawet Australia, Kanada i Argentyna, prowadząc prace eksploracyjne w pobliżu Wysp Falklandzkich, morza Rossa oraz na Południowych Orkneyach. Państwa słowiańskie, zaniepokojone imperialną polityką niektórych mocarstw, nie mogły pozostać w tyle i na własną rękę czyniły przygotowania do obrony. Uran miał być tym cudownym eliksirem, który uratuje świat od zagłady. Nic dziwnego, że pan znalazł się na jednej z takich wypraw polarnych w poszukiwaniu remedium na chorobę wazkiej epoki — nienawiść. Ale cóż... Wasza ekspedycja nie miała szczęścia. Padliście ofiarą kaktlizmu i tak oto w powłoce lodowej przetrwał pan, nie ruszony zębem czasu, do naszej ery. Ery Atomowej...

Jerzy przesunął ręką po czole, jakby chciał sobie coś przypomnieć, lecz na próżno. Nie pamiętał już nic.

— ... Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ciało pańskie podczas upadku nie zostało zmiążdżone, uległo tylko natychmiastowemu zmrożeniu i dzięki temu przetrwało.

— Co pani mówi? Ależ to absurd! — wyrwało mu się bezwiednie.

— Wcale nie absurd, drogi panie. Proszę tylko posłuchać...

Podeszła do aparatu radiotelewizyjnego, stojącego przy ścianie. Po chwili dał się słyszeć głos:

— Halo!... Tu Centrala Pierwszej Strefy Klimatycznej w Polsce. Nadajemy komunikat specjalny. Uwaga! Nasz rodak, inżynier Relski, zaginiony przed stu przeszło laty w lodach

Antarktydy, został odnaleziony i przywrócony do życia przez genialnego Zibellusa. Pacjent czuje się doskonale pod troskliwą opieką asystentki Instytutu Medycyny Doświadczalnej, Ireny Tarskiej, i wkrótce powróci do kraju...

— No i co? Teraz wierzy pan już, że jest gościem z ubiegłego stulecia?

— Tak... nie mogę nie wierzyć, skoro pani to potwierdza.

— To dobrze. Cieszę się, że ma pan do mnie zaufanie. A zaufanie to początek przyjaźni — dodała z przekonaniem.

Jej oczy, pełne tajemniczej głębi, zabłyśły w uśmiechu spod długich rzęs. Promieniowało z nich ciepło, szukając naturalnego ujścia.

— To dobrze, że pan mi ufa — powtórzyła raz jeszcze. — Za kilka dni opuścimy Norbant, stolicę świata. Czekają pana jeszcze jeden zabieg odmładzająco-tonizujący, potem jeszcze jedna zmiana krwi...

— Dlaczego jeszcze jedna?

— Aby pan nabrał sił do nowego życia, które czeka na niego w naszym świecie. Wy, ludzie dwudziestego wieku, mieliście zatrutą krew. Dlatego rodziła się u was nienawiść, a z nienawiści — wojny i zagłada.

— To prawda, nie mamy się czym chwalić.

— Przepraszam... nie chciałam pana dotknąć może zbyt surowym sądem, gdyż i wiek dwudziesty ma swoje blaski i wzloty. A najważniejsze, że z niego narodził się w wielkim bólu i męce nasz wiek nowy. Wiek wolności bez kłamstwa i pokoju, bez atomowych bomb.

— Trudno uwierzyć, aby jeden wiek dał tak szalony przeskok — zauważył Relski.

— A właśnie że tak. Po prostu inny Eon. Pół wieku naszej ery dało ludzkości więcej niż tysiąc lat cywilizowanego barbarzyństwa. Po tragicznych doświadczeniach pańskiej epoki nastąpił tak głęboki wstrząs w umysłach pozostałej ludzkości, że zmienił diametralnie sposób myślenia i rozumowania. Ten nagły i nieoczekiwany zwrot w mentalności ówczesnych ludzi uratował świat od całkowitej zagłady...

Przerwała na chwilę, aby podać Jerzemu pożywienie, składające się z kubka silnie musującego płynu i owoców, przypominających czarne winogrona wielkości brzoskwini. Relski delektował się ich wybornym smakiem. Irena uśmiechała się, wyraźnie uradowana jego apetytem. Po krótkiej pauzie nawiązała do przerwanej rozmowy:

— Jak już panu wspomniałam, jestem tutaj w charakterze jakby pielęgniarki i... damy do towarzystwa. Tę ostatnią rolę pojmuję w ten sposób, że będę się starała jak najprędzej zorientować pana w całokształcie tak obcego dlań ustroju społecznego i stosunków panujących obecnie na świecie. Teraz jest pan jeszcze rekonwalescentem. Za kilka dni pojedziemy do kraju, by załatwić konieczne formalności, związane z przyznaniem mu obywatelstwa, gdyż zostanie pan wciągnięty do rejestru osobowego w Polsce, ponieważ tam się pan urodził...

— Istotnie! Urodziłem się w Polsce...

— No, więc... Nie znaczy to jednak, aby pan musiał zamieszkać tam na stałe. Ludzie Atomowej Ery mogą się osiedlać, gdzie im się żywnie podoba. Nawet na Marsie...

— Żartuje pani.

— Wcale nie. Zresztą na naszym Globie stworzyliśmy takie warunki, że można wszędzie urządzić sobie życie wygodnie i przyjemnie...

— A zatem kiedy wyjeżdżamy?

— Za pięć dni. A teraz proszę się położyć i spać. Do widzenia, panie Relski.

— Do widzenia pani...

Zniknęła za kotarą. Jerzy westchnął, ułożywszy się wygodnie.

Wspaniała kobieta — skonstatował. — Wspaniała i dobra...



## Rozdział III

Jak to przyrzekła Irena Tarska, piątego dnia od owej pamiętnej rozmowy z Relskim nadszedł radiogram z Instytutu Medycznego w Warszawie, zawiadamiający o wysłaniu specjalnego samolotu, zwanego torpedostratusem, celem przewiezienia inżyniera i jego uroczej opiekunki do kraju.

Jerzy czuł się już zupełnie dobrze, lepiej — jak nowo narodzony, i niecierpliwił się, dlaczego nie ma jeszcze Ireny. Była już godzina dziewiąta rano, gdy zjawiała się, pełna radosnego podniecenia.

— No, nareszcie! Za godzinę będzie torpedostratus — wyrzuciła jednym tchem.

Spoglądał z niekłamaną rozkoszą na jej zaróżowione policzki. Była w nich świeżość i ciepło porannego słońca.

— Czy nie żal panu opuszczać Norbant? — zapytała, siadając w głębokim fotelu. I nie czekając na odpowiedź, dodała z odcieniem melancholii: — Bo ja, ile razy stąd wyjeżdżam, to tak jakbym traciła kogoś z bliskich...

— Norbant jest piękne i można pokochać to miasto nieustającej wiosny od jednego spojrzenia. Od tego dnia, gdy z polecenia doktora Zibellusa przeprowadziłem się do sanatorium „Uśmiech Kasjopei”, nie schodzę z tarasu. W głowie nie może mi się pomieścić, jak to jest możliwe, aby jedne drzewa pokrywały się kwieciami, gdy inne, tuż obok, kuszą w tym samym czasie mięszem dojrzałego owocu. To jest prawdziwy cud, fenomen...

— To nie żaden cud, a tylko regulacja wzrostu i owocowania metodami naukowymi... zasługa naszych pomologów.

— Mimo to coś mnie stąd wypędza. Pożera mnie ciekawość, jak wygląda obecnie mój rodzinny kraj.

— Nie pozna go pan z pewnością — powiedziała arbitralnie, spoglądając na swój zegarek. — Ho! ho! mamy tylko pół godziny do odlotu. Proszę się przygotować do drogi. Podróż z Norbant do Warszawy trwa około dwudziestu minut.

— O Warszawo! Jakże się cieszę, że znów cię zobaczę! — zawołał w uniesieniu. Irena odpowiedziała mu szczerym wybuchem śmiechu. Śmiała się żywiołowo, serdecznie. Gdy umilkła, zapytał z odcieniem wyrzutu:

— Dlaczego pani się śmieje?

Spoważniała. Potem przyjrzała mu się uważnie, jakby widziała go po raz pierwszy. Wreszcie odrzekła:

— Nie mogę pojąć, jak można było kochać te miasta-grobowce, w których połowa mieszkańców umierała na gruźlicę lub raka. Ta druga połowa kończyła przedwcześnie swój żywot na neurastenię i paraliż serca... Ponure domy, sterczące ku niebu czernią dachów albo zapadłe w ziemię, ciemne i brudne, zimne i nieprzytulne, często pozbawione słońca, zieleni i kwiatów.

— Bierze pani zbyt krańcowo...

— Być może. Ale nie powiedziałam jeszcze wszystkiego. Choćby tego, ile potu ludzkiego, ile udręki kosztowało wzniesienie takiego bloku mieszkalnego, w którym człowiek był potem więźniem.

— Przyznam się, że nie odczuwałem tego...

— Bo pan nie zaznał prawdziwej wolności! Skąd mogliście ją poznać, wy, ludzie dwudziestego wieku, wychowani w religii nienawiści i fanatyzmu, gdzie kłamstwo było cnotą, a zbrodnia prawem. Prawdziwa wolność to jak owoc soczysty, który dojrzewa w słońcu wielkiej kultury i cywilizacji.

— W naszej epoce za wolność płaciło się krwią...

— U nas wolność ma inną cenę. Inna też jest jej treść. I jedna jest dla wszystkich ludzi. A wartość jej nie leży w słowach, lecz w czynach. Wszyscy bez wyjątku są obywatelami świata i nikt o tym nie deklamuje, gdyż wolność — to jak powietrze: Gdziekolwiek się znajdziesz, musisz nim oddychać. Jeśli go brak, człowiek się dusi i zamiera. Jeśli odebrać człowiekowi wolność, też się dusi, staje się otepiały jak zwierzę, a w oczach jego rodzi się błysk nienawiści.

— Pięknie to pani powiedziała...

— Tak jak odczuwam. To jest naturalne i proste. U nas nikt się nad tym nie zastanawia. Po prostu... powietrze.

Spojrzała znów na radiozegarek.

— Chodźmy już...

Przez jasny hall wyszli na taras, udrapowany zielenią. Stamtąd aleją pośród kwiatów i kopulastych tuj ruszyli w stronę widocznego już z daleka, położonego na niewielkim wzgórzu rozległego pawilonu, przypominającego olbrzymi okręt. Gdy byli dość blisko budynku, ujrzeli na płaskim dachu spacerujących mężczyzn w białych fezach. Niektórzy obnażeni do pasa, inni w płaszczach z cienkiej tkaniny, narzuconych luźno na ramiona. Były także kobiety w powiewnych sukniach. Żywe, roześmiane, ze świeżą opalenizną na twarzy.

Gdy wstąpili na stopnie, prowadzące na ocieniony taras, kilkanaście rąk pozdrowiło ich przyjaznym gestem.

— Te wszystkie młode kobiety i ci mężczyźni, tam na górze, to pacjenci doktora Zibellusa. Albo ożywieni, albo też poddani regeneracji biologicznej. Są teraz młodzi i pełni życia...

Znaleźli się w obszernym, okrągłym westybulu. Na samym środku, w rozchylonej jak kielich białej podstawie, zapewne z marmuru, stał olbrzymi, egzotyczny kwiat, strzelając swoją płomienistą barwą ponad zwisające, długie liście. Szła stamtąd przenikliwa, upajająca woń.

— Co to za kwiat? — zapytał przyciszonym głosem.

— To Alferagus, sztucznie wyhodowany szczep.

Jerzy chciał jeszcze o coś zapytać, ale w tej samej chwili z przeciwległej strony cicho rozsunęły się drzwi i oczom przybyłych ukazała się wysoka postać mężczyzny lat około 45. Miał szerokie, płaskie czoło, szczupłą, zwężającą się ostro twarz i duże, jasne oczy. W spojrzeniu jego było coś, co budziło szacunek i onieśmielenie, a jednocześnie chwyciło za serce.

— A oto doktor Zibellus... — powiedziała Irena z pewnym zażenowaniem w głosie, skłoniwszy głowę z wyrazem powagi, i podeszła bliżej, aby się przywitać.

Wielki uczony pocałował ją w czoło, a zwracając się do Relskiego, zapytał, ściskając mu dłoń:

— No, jakże się ma nasz kochany pacjent?

— Doskonale, doktorze. Jestem panu wdzięczny za przywrócenie mi życia. Doprawdy, nie wiem, jak mam dziękować... — Czuł, że nie znajduje odpowiednich słów, aby wyrazić godnie swoją wdzięczność. Ale doktor Zibellus pokazał w uśmiechu swoje piękne, zdrowe zęby i powiedział dobrodusznie, z odcieniem przekonywającej szczerości w głosie:

— To nie mnie, przyjacielu, zawdzięcza pan nowe życie, a geniuszowi naszej epoki, wielkim odkrywcom tajemnic elektrobiologii. Wszak i za pańskich czasów ożywiano zmarłych..

— Pamiętam, znany lekarz sowiecki, profesor Negowski...

— O, tak... Uczni Związku Radzieckiego położyli kamień węgielny pod tę nową dziedzinę wiedzy medycznej, która w naszej Erze Atomowej osiągnęła prawdziwy triumf.

Pani Irena, która nie zabierała głosu w dyskusji, oddaliła się tanecznym krokiem, by obejrzeć piękne, orchidee, ustawione na szerokim parapecie rotundy. Były to ulubione kwiaty doktora Zibellusa.

W hallu stały wygodne klubowe fotele.. Doktor Zibellus zaprosił uprzejmym gestem

Jerzego, by spoczął. Gdy usiedli, zaczął nieśmiało, założywszy nogę na nogę:

— Właściwie winienem panu małe wyjaśnienie, drogi pacjencie. Otóż od chwili udanego zabiegu rewitologicznego, który przywrócił panu życie, trapi mnie i prześladowuje pewna myśl...

— Jakaż to myśl, doktorze?

— Po prostu obawa, jakiś lęk... To może wydać się panu dziwne, a nawet śmieszne. Obawiam się mianowicie, czy będzie pan czuł się szczęśliwy w tym naszym, tak nowym dla niego świecie. Przecież jest pan człowiekiem z innej epoki.

Jerzego wzruszyła tkliwość, zawarta w słowach wielkiego lekarza. Nie znał jeszcze tego nowego świata, na progu którego stanął tu, w Norbant. To, co już widział i co opowiedziała mu Irena, było więcej niż zachęcające.

— Myślę, że potrafię przyswoić sobie nowe formy życia Ery Atomowej.

— I ja tak sądzę, inżynierze. Gdy człowiek przechodzi do wyższej kultury i cywilizacji, to afirmacja tej nowej, lepszej rzeczywistości nie powinna być trudna. Wszak najłatwiej przyzwyczaić się do komfortu, zaś o wiele trudniej pogodzić się z utratą tegoż. A przekona się pan, drogi przyjacielu, że życie w naszej epoce to więcej niż komfort...

— I ja tak myślę, doktorze. To, co widziałem w Norbant, mogę nazwać bajką.

— Norbant jest wykładnikiem, jakby probierzem naszej kultury i naszych możliwości. Ale zobaczy pan rzeczy nie mniej ciekawe i godne uwagi w swojej ojczyźnie, w Polsce.

— Chciałbym już tam być. Gdy wspomnę swoje rodzinne strony, ogarnia mnie dziwny niepokój...

— Rozumiem pana nostalgię. Każdy z nas coś ukochał, do czegoś tęskni. To nadaje życiu treść i powab...

Pani Irena wypłynęła z głębi rotundy i przywołując na twarzy dystygowany, pastelowy uśmiech, zwróciła się do doktora Zibellusa:

— Doktorze, oto moja zdobycz — powiedziała, unosząc w górę błękitnozłoty storczyk. — Proszę podziwiać subtelną tonację jego barw i cudną woń.

Śmignęła kwiatem kolejno przed oczyma obydwu panów, a potem wpięła go sobie do włosów i uśmiechnęła się trochę kokieteryjnie.

Doktor Zibellus dziękował jej za opiekę nad pacjentem, co do pewnego stopnia zażenowało Relskiego. Chciał go jeszcze o coś zapytać, ośmielony ujmującą prostotą i niezwykłą życzliwością, jaka biła z każdego słowa człowieka, który wydarł bogom tajemnicę życia, ale Irena zabrała znowu głos:

— Doktorze, przykro mi, że musimy już pana pożegnać. Torpedostratus czeka na nas. Co mam powiedzieć doktorowi Raminowi?

— Proszę mu uścisnąć serdecznie dłoń. I zapraszam państwa do Norbant na najbliższą sesję lekarzy-rewitologów. Szczęśliwej drogi! Do widzenia!

— Do widzenia!

Jerzy, żegnając się z doktorem Zibellusem, był pod nieodpartym urokiem jego szlachetnej sylwetki. Wyszli pośpiesznie na zalaną słońcem szeroką aleję.

Idąc między szpalerem kwitnących drzew akacjowych w stronę stacji lotniczej, Jerzy snuł refleksje wokół osoby tego niezwykłego człowieka. Odurzająca, przenikliwa woń akacji podniecała jego wyobraźnię. To dziwne, myślał, idąc w milczeniu obok Ireny, że wielcy ludzie, tacy jak doktor Zibellus, mają w sobie tyle prostoty i dziecinnej szczerości obok wielkiej i szlachetnej dumy, która nie odpycha, a przyciąga jakąś utajoną siłą. Była to duma człowieka świadomego swojej wielkości, stojącego na szczycie człowieczeństwa. Relski czuł, że takiemu jak on mógłby powierzyć największe tajemnice i znalazłby zrozumienie i ulgę. Fascynujący człowiek — przyznał nie bez wzruszenia.

— O czym pan myśli, panie Jerzy? — zagadnęła go, patrząc mu w oczy.

— O doktorze Zibellusie...

— Domyślałam się. Jak to człowiek łatwo zdobywa sobie ludzkie serca. Czy pan wie, iż kiedyś pewna kobieta tak się w nim zakochała, że widząc beznadziejność swojej sytuacji, popełniła samobójstwo?

— I cóż na to doktor Zibellus?

— Przywrócił ją do życia i wyleczył z miłości.

Jerzy uśmiechnął się z niedowierzaniem. Wstąpili na ruchomy chodnik i usiedli swobodnie na ławce. Za kilka minut znaleźli się na rozległym placu, gdzie wśród z rzadka rosnących drzew wznosiła się potężna budowla o kształcie wieży, tylko niezbyt wysoka.

— A oto stratodrom — poinformowała go Irena. — Wjeżdżamy windą na płaski dach.

Gdy znaleźli się na górze, Relski nie mógł wyjść z podziwu, ujrawszy wiele kołyszących się lekko w powietrzu maszyn o krótkich skrzydłach i szerokich tylnych sterach. Poniżej sterów widoczne były dysze. Podeszli do jednego z nich, na którym widniał duży napis: Pierwsza Strefa Klimatyczna, wielka litera „P” oraz numer 1705.

— Oto nasz torpedostratus, inżynierze. Za półgodziny będziemy w Warszawie — powiedziała wesoło.

Gdy podeszli bliżej, z wnętrza aerostatu spłynęła ze świstem mała winda-wagonik i zatrzymała się tuż przy ziemi. Drzwiczki otworzyły się automatycznie i znaleźli się w miniaturowym wnętrzu, w którym mogło się pomieścić zaledwie kilka osób. Wygodne oparcia oraz zwisające nad głowami uchwyty z miękkiej gumy pozwalały utrzymać się w dowolnej pozycji podczas jazdy do góry.

Zupełnie jak w luksusowej windzie — pomyślał Jerzy, gdy Irena nacisnęła guzik i drzwiczki szczelnie domknęły się, a wagonik poderwał się szybko, zmuszając pasażerów do lekkiego przysiadu. Zatrzymał się dopiero w jasno oświetlonej, wygodnej kabinie torpedostratusa. Zadzźwięczał dzwonek, potem krótka seria wybuchów, znowu gwałtowny wstrząs i aerostatek z szybkością strzały wzbił się pionowo w górę. Po kilku sekundach Norbant zniknęło im z oczu i tylko jakiś zabłąkany promień słoneczny kładł się kolorowym refleksem na przeciwległej ścianie.

— Jesteśmy w stratosferze — wyjaśniła urocza towarzyszka.

Relski poczuł dreszcz emocji na całym ciele. Czuł, że blednie. Zauważyła to pani Irena i podała mu orzeźwiająca pastylkę.

— Niech pan to zgryzie, proszę.

Wziął posłusznie i uczynił, jak mu kazała. Zaraz poczuł się rażniej. Ustąpił przykry zawrót głowy. Próbował się uśmiechnąć.

— No co, dobrze już panu?

— O... tak, tylko trochę duszno...

— Niech pan oddycha ozonem. Proszę, oto rurka. Proszę wziąć do ust ustnik.

Uczynił, jak mu radziła. Ożywczy prąd powietrza przywrócił mu dobre samopoczucie i jasność myśli.

— Lecimy na wysokości stu kilometrów nad ziemią — mówiła z czarującym uśmiechem Irena. — Wie pan, całą obsługę torpedostratusa stanowi jeden pilot-operator. Gdy zechce, może włączyć teleautomat i uciąć sobie drzemkę. Myślę, że nie odmówi sobie tej przyjemności...

Jerzy spojrział z niedowierzaniem w stronę swojej towarzyszki podróży.

— Teraz rozumiem, dlaczego doktor Zibellus powiedział, że życie w Erze Atomowej to komfort...

— Cha! cha! cha! To pan nazywa komfortem, panie Jerzy? — Zaśmiała się figlarnie. Wstała i podeszła do małej gablotki w ścianie, gdzie za grubą, kulistą szybą widać było pomarańcze, powiększone przez wypukłe szkło.

Odchyliła wieczko i wyjęła dwie złote kule. Jedną z nich podała Jerzemu.

— Proszę, niech pan skosztuje. To nasze, z Polski. Czy czuje pan ich świeżość? Są

jeszcze pełne słońca, bo zerwane zaledwie przed godziną.

— Kpi pani sobie ze mnie...

— Wcale nie. Ujrzy pan niedługo całe plantacje pomarańczy w Pierwszej Strefie Klimatycznej.

— Nic nie rozumiem...

— A to jest właśnie komfort, o którym wspomniał panu doktor Zibellus. Nie zaś jazda w ciasnym i dusznym pudle, zwanym torpedostratusem, skąd widać tylko czarne niebo i gwiazdy, zagubione gdzieś we wszechświecie...

— Ależ to niezwykły widok, pani Ireno! — wykrzyknął z entuzjazmem, spoglądając zachwyconym wzrokiem przez otwór luminatora.

— Phi... — skrzywiła się — mnie to już nie bawi. Co innego, gdy byłam małą dziewczynką. Wtedy marzyłam, ażeby zamieszkać na takiej samotnej gwiazdzie-planecie i wieść żywot pustelniczy, szukać samej pożywienia i ubierać się w skóry drapieżnych zwierząt. Czy nie nudzi to pana?

— Nie. Ciekawi mnie tylko, czy nie ma wypadków z tymi torpedostratusami? Na przykład zderzenie w powietrzu...

— Wykluczone. Urządzenia radarowe są tak doskonałe, że automatycznie włączają się w stery kierunkowe, gdy zjawi się niespodziewana przeszkoda na linii lotu.

— Wspaniały wynalazek... Oznacza to, że życie ludzkie ma u was wysoką cenę. Czy tak?

— W istocie. U nas niełatwo umrzeć — potwierdziła z nie ukrywanym zadowoleniem. Słowa jej zostały zagłuszone przez dźwięki radiotelewizora.

— Halo!... halo!... Pasażerowie torpedostratusa „P” numer 1705. Przygotować się do lądowania. Uwaga! Jeszcze tylko pięć minut do wysiadania...

— To dyżurny centrali warszawskiego węzła komunikacji europejskiej — usłyszał wyjaśnienie. Irena zapinała pośpiesznie neseser.

— Za chwilę wsiadamy...

Relski, nie mając żadnego bagażu, powstawszy z miejsca, zapinał powoli podróżny płaszcz. Nastąpił lekki wstrząs i aerostatek zatrzymał się w powietrzu. W drzwiach kabiny ukazał się pilot operator i uprzejmym gestem wskazał na miniaturowy wagonik-windę. Za chwilę byli już na płaskim dachu obszernego budynku w kształcie podkowy. O kilka kroków dalej, obok połyskującej w słońcu metalowej poręczy, którą tu i ówdzie oplatały liście winogrodu, stało trzech mężczyzn w białych spodniach i popielatych marynarkach. Pani Irena po krótkiej ceremonii powitania przedstawiła ich Relskiemu.

— Pan dyrektor Ramin. A to panowie asystenci: Czacki i Bredowski.

Nazywany dyrektorem zbliżył się i uściśnął mu obie ręce. Był to wysoki, szczupły brunet o smagłej twarzy. Potem, nie wypuszczając dłoni Jerzego, odwrócił głowę w stronę, gdzie stało dwóch podobnie ubranych młodych ludzi. Relski nie zauważył ich, jak opuszczał torpedostratus, gdyż z tamtej strony padał słoneczny blask. Przed nimi, na wysokim, zwiniętym w spiralę postumencie stał okrągły ekran radiotelewizyjny. Był nieco większy jak ten, który znajdował się w jego pokoju w Norbant. Panowie ci skłonili się uprzejmie i postąpili krok naprzód, wlokąc za sobą radioekran. Spikerzy z centrali radiotelewizyjnej — pomyślał. Gdy radioreporterzy dali znak skinieniem głowy, dyrektor Ramin, nie przestając się uśmiechać kąciakiem cienkich warg, rozpoczął przemówienie, zwracając się do Relskiego:

— Witam cię, rodaku i bracie nasz! Wróciłeś do nas z Kraju Wiecznego Milczenia. Geniusz naszej epoki w osobie najszlachetniejszego z ludzi Atomowej Ery dał ci nowe życie. Bądź pozdrowiony na ziemi ojców swoich. I bądź szczęśliwy wśród nas — zakończył mocnym akordem lirycznym.

Irena, stojąc pośrodku, między asystentami Czackim i Bredowskim, nie spuszczała z Relskiego oczu. Jerzy rozejrzał się wokoło, szukając oczami tłumów, które w podobnych oko-

licznościach stanowią nieodłączną dekorację wszystkiego, co kryje w sobie posmak niezwykłości lub zwykłej sensacji. Ale nikogo nie było w pobliżu. Jerzy doznał miłego rozczarowania. — Gdyby to się stało za moich czasów — pomyślał — wyglądałoby to całkiem inaczej.

Dyrektor Ramin ujął go kordialnie pod rękę. Relski był wyraźnie wzruszony. Za nim, w odległości kilku kroków, szła Irena, mając po bokach asystentów. Zabawiali ją wesołą rozmową. Szli wzdłuż olbrzymiej podkowy, stanowiącej prawe skrzydło wielkiego gmachu. Gdy zbliżyli się do końca budynku, oczom ich ukazały się łagodnie opadające schody, które w kilku kondygnacjach i załamaniach wychodziły na niewielki park, poprzecinany licznymi alejami, biegnącymi promienisto w różnych kierunkach. Idąc jedną z nich, znaleźli się na szerokiej ulicy między ogrodami. Z morza zieleni wystrzelały jasnymi plamami małe, jednopiętrowe domki. Gdzieś tam widoczne były wielopiętrowe, podłużne gmachy o horyzontalnych dachach. Łagodne łuki, obwieszane tu i ówdzie zielenią, lśniły śnieżną białością, spotęgowaną przez działanie promieni słonecznych.

— A więc to jest Warszawa? — zapytał w pewnej chwili Jerzy.

Dyrektor Ramin odpowiedział wymijająco:

— I tak. i nie. Geograficznie biorąc, w tym miejscu była dawna Warszawa. Obecnie nie zostało z niej śladu. Jest to dzielnica „W” Pierwszej Strefy Klimatycznej. Tu mieszczą się centralne władze i instytucje naukowe oraz domy mieszkalne.

— A ten park przed nami?

— To fragment dzielnicy „W”, w niczym nie przypominający dawnego, wielkiego miasta, tętniącego przyspieszonym, nerwowym rytmem. Tamte miasta zniknęły w Europie zupełnie. Pewne ślady dawnej architektury można jeszcze znaleźć w południowej i wschodniej Azji, w Indiach i Południowej Ameryce. Grube, potężne mury okazały się niepraktyczne i niecelowe. Za drogie i niezdrowe, niehigieniczne, pozbawione słońca.

Mijali licznych przechodniów i oddychali świeżym, wonnym powietrzem. Dyrektor Ramin odpowiadał na ukłony, nie przestając mówić:

— O... widzi pan te jasne budynki, odcinające się ostrą białością na tle bujnej zieleni? Zbudowane są ze specjalnej masy, lekkiej jak korek, a wytrzymałszej od stali. Tak samo małe domki mieszkalne, widoczne wśród ogrodów. Są tak lekkie, że można je bez trudu przenosić w dowolne miejsce za pomocą transportowców powietrznych.

— To musi być bardzo przyjemnie podróżować we własnym domu — wtrącił żartobliwie Jerzy.

— Nie tyle przyjemnie, ile wygodnie. Domki są niewielkie i mocnej konstrukcji. Taka napowietrzna podróż nic im nie zaszkodzi.

— Wspaniale... A gdzie mieszczą się fabryki, zakłady przemysłowe, magazyny i biura?

— W miastach podziemnych...

— Jak to? Pod ziemią?

— Do tysiąca metrów w głąb. Prawdziwe pałace, a nie fabryki. Zresztą zobaczy pan sam.

Skręcili w aleję, gdzie rosły małe palmy o długich, wąskich liściach, zwisających jak tatarskie miecze. Jerzy chciał o coś zapytać, lecz uwagę jego odwrócił donośny, metaliczny głos, wychodzący gdzieś zza drzew.

— Halo! halo! tu Centralna Stacja Klimatyczna w Polsce. Uwaga!...

Dyrektor Ramin zatrzymał gestem Relskiego. Pani Irena i towarzyszący jej asystenci przystanąli także.

— Podajemy państwu komunikat hydrometeorologiczny na dzień jutrzejszy. Strefa pierwsza: Temperatura o godzinie ósmej rano piętnaście stopni Celsjusza. Do godziny szesnastej pogoda słoneczna, potem pochmurno i deszcz do godziny osiemnastej. Słabe wiatry lokalne. Od godziny osiemnastej pogoda słoneczna. Temperatura w dzień od czternastu do osiemnastu stopni Celsjusza. Od godziny osiemnastej do dwudziestej deszcz. Potem chłodno. Strefa dru-

ga: Temperatura o godzinie ósmej rano dwanaście stopni Celsjusza. Około godziny dziesiątej nadciągną od wschodu chmury burzowe i deszczowe, które zostaną rozładowane. Nieznaczne opady. Od godziny czternastej pogoda. Temperatura powietrza czternaście stopni Celsjusza. Strefa trzecia...

Relski spojrział pytająco na dyrektora Ramina.

— Zapewne dziwi pana ten komunikat Centralnej Stacji Klimatycznej? — powiedziała Irena.

— Hm... wiele się zmieniło od tego czasu, gdy słynny PIHM wygłaszał swoje prorocze wizje meteorologiczne. Wtedy człowiek był igraszką w ręku nie zbadanych bliżej sił natury, złośliwych i kapryśnych. A dzisiaj?

— Dzisiaj? — podjął dyrektor Ramin, składając ukłon w stronę stojącej obok Ireny. — Dzisiaj my kierujemy zjawiskami natury. Ujarmiliśmy te siły względne, nie dające się dotąd określić i ująć w karby, w jakieś ścisłe ramy niezmiennych przyczyn i skutków. Czy pan wie, że zmieniliśmy klimat w Europie? A na obszarze Polski mamy, jak pan to przed chwilą słyszał w komunikacie hydrometeorologicznym, aż cztery strefy klimatyczne...

— A w każdej z nich inny panuje klimat — uzupełniła Irena, śmiejąc się z konsternacji Jerzego.

— Jak to jest możliwe? — zapytał Relski.

Asystent Czacki, który przysłuchiwał się dotąd biernie całej rozmowie, zabrał głos:

— Pozwolą państwo — zaczął — zaraz to panu wyjaśnię. — I zwracając się do Jerzego, mówił: — Temperatura powietrza oraz zawartość pary w atmosferze, normalnie biorąc, zależna jest w pierwszym rzędzie od stopnia jonizacji powietrza, od nasilenia promieniowania słonecznego, potem od ruchów górnych warstw powietrza i w stopniu nieznacznym od tak zwanego promieniowania magnetycznego. Te zasadnicze czynniki regulują temperaturę i ilość oraz rodzaj opadów. Biorąc to wszystko pod uwagę, zastosowaliśmy prostą zasadę: obniżamy lub podwyższamy w miarę potrzeby temperaturę powietrza przez sieć stacji klimatycznych danego obszaru. Takie urządzenia są bardzo proste, a to dzięki temu, że mamy tanią energię...

— Czy korzystacie z ciepła zawartego we wnętrzu ziemi?

— Jak dotąd nie. Na razie mamy dość energii otrzymywanej bezpośrednio ze Słońca oraz z elektrowni atomowych. Proszę sobie wyobrazić, że energią słoneczną oświetlamy i częściowo także ogrzewamy miasta podziemne.

— Jak to się odbywa?

— Chodźmy pokazać panu Jerzemu stację reflektorów słonecznych — zaproponował w odpowiedzi Ramin.

Wszystkim ta myśl przypadła do gustu i całe towarzystwo udało się na najbliższy przystanek ruchomych chodników. Stąd, usiadłszy wygodnie na miękkich ławkach, pojechali wzdłuż alei palmowej, potem skręcili w następną, gdzie kwitły kasztany, aż znaleźli się na rozległej płaszczynie, pokrytej gęstą trawą, krótko strzyżoną. Pierwsza wysiadła Irena, za nią asystenci, potem dyrektor Ramin i Relski. Jak okiem spojrzeć, opalizowały w słońcu olbrzymie szkła reflektorów o średnicy około pięćdziesięciu metrów, jak zapewniał asystent Czacki.

— Każdy taki reflektor — mówił — jest jakby samodzielną elektrownią. Ogniskowa reflektora ustawiona jest zawsze pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do padających na nią promieni słonecznych, a ruchome dźwignie, wmontowane w te oto wieżyce, podtrzymujące cały ciężar szkła, regulują automatycznie kąt nachylenia. Cały zaś ten gigantyczny mechanizm spoczywa na ruchomej podstawie o średnicy sześćdziesięciu metrów, która obraca się za biegiem słońca przez cały dzień. Również kulisty, metalowy zbiornik, wypełniony powietrzem, spoczywa na ruchomej platformie. Powietrze w zbiorniku, rozgrzane przez skupione promienie słoneczne, porusza turbinę, a ta z kolei generator elektryczny. Gorące powietrze, wychodzące z turbin, kierowane jest do stacji ciepłych wiatrów, dla regulacji temperatury na

powierzchni ziemi.

— A gdzie są generatory?

— Głęboko pod ziemią. Tam również mieści się elektrownia słoneczna, która zasila światłem podziemne miasta — informował asystent Czacki. — I tę potężną elektrownię o sile miliona wolt obsługuje zaledwie kilku ludzi — podkreślił z wyraźną satysfakcją. — Urządzenia automatyczne zastąpiły człowieka. Stacja ośrodka „W” składa się z trzech tysięcy osmiuset dwudziestu agregatów i tylu soczewek reflektorów słonecznych. I ta potężna energia nic nie kosztuje — dodał, śmiejąc się.

— W tym właśnie tkwi mądrość naszej epoki. Odbieramy naturze to, co przed nami dotąd zazdrośnie ukrywała — dorzucił dyrektor Ramin.

— Bo energia jest niewyczerpana. Przechodzi tylko z jednych układów materii w drugie, nic prawie nie tracąc na tej wędrówce — zauważył sentencjonalnie milczący dotąd Bredowski.

— Uf!... jak tu nieznośnie gorąco — narzekała Irena, ocierając chusteczką spoczone czoło.

Jerzy, mimo rosnącego żaru z powodu bliskości zbiorników, z niesłabnącym zainteresowaniem patrzył na niezwykle zjawisko, jak Słońce zaprzęgnięto do pracy dla człowieka. Jaskrawa plama światła, padająca na metalową kulę zbiornika, była jakby małym słońcem, które oslepiało swoim blaskiem. Ponieważ żar stawał się coraz bardziej dokuczliwy, postanowiono opuścić czym prędzej teren elektrowni słonecznej. W drodze powrotnej asystent Czacki zrobił tajemniczą minę i oznajmił, że ma jeszcze jedną niespodziankę, jeśli chodzi o eksploatację słońca.

— Proszę, niech pan powie, bo umrę z ciekawości — nalegała Irena, mrużąc figlarnie oczy.

— Otóż dowiedziałem się, że obecnie rozważa się w Centralnym Instytucie Eksploatacji Energii Słonecznej projekt budowy reflektora-giganta o średnicy soczewki około trzech kilometrów.

— Ależ to niepodobieństwo... — zaproponował energicznie Relski. — jak umocować na ruchomych dźwigniach taki potworny ciężar?

— Otóż to właśnie. Trzeba by zbudować wieże, wysokie co najmniej na 1 500 metrów, a to nie jest sprawą łatwą nawet dla naszych konstruktorów. Projektuje się połączenie wież w kształcie łuku, zaś cała ta konstrukcja zostanie wzmocniona za pomocą lin z najlepszej stali.

— Bravo! — podchwyciła Irena, klasnąwszy w dłonie.

— Sądzę, że taki „podgrzewacz klimatyczny” wystarczyłby chyba jeden na całą strefę? — zauważył dyrektor Ramin.

— Z pewnością — potwierdził asystent Czacki.

Zeszli teraz w niewielką aleję. Rosły tutaj wysokie, liściaste drzewa o szeroko rozgałęzionych koronach, tworząc wspaniałą pergolę, podobną do sklepienia gotyckiego kościoła. Panował tu przyjemny chłód, stanowiący jaskrawy kontrast z morderczym żarem obok stacji reflektorów. Do uszu Jerzego dobiegł jednostajny dźwięk, przypominający daleki szum wodospadu.

— Cóż to takiego? — zapytał, wskazując na dziwne przedmioty, podobne do wielkich grzybów.

— To regulatory temperatury. Nazywano je, od nazwiska wynalazcy, Stożkami Sarotta — objaśnił asystent Czacki.

— Działają automatycznie — uzupełnił Bredowski. — Są połączone z samopiszzącymi termometrami, które sygnalizują temperaturę. Gdy jest zimno, łączą się ze Stacją Ciepłych Wiatrów i ogrzewają powietrze, zaś w czasie upałów...

— Dają błogosławiony chłód — zapewniła Irena.

— A prócz tego nawadniają glebę w regularnych odstępach czasu — dodał dyrektor



Ramin.

— Wspaniałe urządzenie — zaopiniował Jerzy z entuzjazmem. — Tylko musi być bardzo kosztowne.

— Wcale nie. Jest to jeden z wielu podstawowych elementów naszego życia, naszej wygody i zadowolenia — asystent Czacki akcentował każde słowo. — W pańskiej epoce istniały urządzenia służące temu samemu celowi, lecz w skali o wiele mniejszej, a były bardzo kosztowne. Mam tu na myśli różne cieplarnie w ogrodach i parkach. Rosły tam palmy i inne drzewa egzotyczne oraz kwiaty. Tylko my zrobiliśmy to samo w skali bez porównania większej. Cała Polska środkowa i zachodnia ma obecnie klimat zbliżony do klimatu śródziemnomorskiego, na przykład wyspy Capri. I zapewniam pana, że kosztuje to znacznie mniej energii, niż w wieku dwudziestym zużywano jej do opalania mieszkań zimą, gdyż przez zwykłe, nieekonomiczne spalanie wyzwalaliście zaledwie jeden procent energii zawartej w węglu. A Stożki Sarotta są tak skonstruowane, że zbierają i gromadzą jak akumulatory zbędną ilość energii cieplnej w okresie letnich upałów, którą wyzwalają w miesiącach zimowych. To się nazywa oszczędna gospodarka opałem, co?

— Również aby zapobiec ucieczce ciepła w zimie na skutek promieniowania, stosujemy parasole ze sztucznych chmur, szczególnie w czasie wiosennych i zimowych nocy.

— Rzeczywiście, to bardzo ciekawe...

— A widzi pan — potwierdził Ramin. — Jeszcze jedną rzecz należy wyjaśnić: aby utrzymać określoną temperaturę w granicach danej strefy klimatycznej, stosuje się „hamulec wiatrów”...

— Jak to wygląda?

— Na granicy strefy, szczególnie od tej strony, gdzie jest rejon zimniejszy, ustawione są w pasie o kilometrowej szerokości olbrzymie wyrzutnie powietrza systemem wirowym, które na kształt powietrznych trąb dochodzi aż do stratosfery. Wyrzucane pod ciśnieniem stu tysięcy atmosfer, tworzy zaporę dla zimnych prądów powietrza nie do przebycia. Nawet najsilniejszy wichur jej nie przebije. W zasadzie więc dodajemy tylko tyle energii w miesiącach zimowych, ile wynosi różnica w wypromieniowaniu tejże energii między miesiącami ciepłymi i zimnymi.

— A jakie są następne strefy klimatyczne? — pytał ze wzrastającą ciekawością Relski. Asystent Czacki czuł się dobrze w roli mentora i wpadł w oratorski zapał, nie zważając, że reszta towarzystwa miała już znudzone miny.

— Strefa druga — objaśniał niezmordowanie — to Polska północna z wybrzeżem morskim. Tam utrzymuje się temperaturę prawie naturalną w miesiącach letnich, korygując ją tylko nieznacznie i regulując opady. Ostrość zimy natomiast łagodzi się bardziej energicznie, stosując na wielką skalę Stożki Sarotta. Strefa trzecia to ziemie zachodnie. Panuje tam klimat nieco chłodniejszy od klimatu pierwszej strefy, a identyczny jak w drugiej strefie państwa niemieckiego. Wreszcie czwarta i ostatnia strefa, leżąca na obszarze Polski południowej, oparta o Tatry, jest strefą klimatu naturalnego. Regulowane są jedynie opady. Często w górach przyspiesza się opady śnieżne, by stworzyć warunki dla narciarzy, gdyż białe szaleństwa są i w naszym świecie miłą zabawą.

Relski słuchał z niedowierzaniem i podziwem. W dwudziestym wieku nie śniło się nawet nikomu, by zmienić klimat w naszym kraju. Kto by z takim projektem wystąpił, zostałby uznany za szaleńca, a w najlepszym razie takie pomysły uważano by za beznadziejną utopię. A oto dziś spełniły się sny snów, marzenia marzeń...

— Siadajmy na tej oto ławce — zaproponowała pani Irena, pociągając za sobą Czackiego.

— Wcale niezły pomysł — zauważył dyrektor Ramin, zajmując miejsce obok asystenta Bredowskiego. Jerzy usiadł obok dyrektora i zamyslił się, gdy ten niespodziewanie zapytał go:

— Ciekawi pana zapewne, inżynierze, jak jest gdzie indziej, poza naszym krajem, co?

— Właśnie, chciałbym o to zapytać pana.

— Świetnie. Ale muszę jeszcze dodać, że widział pan zaledwie część tego, co zwykle się nazywa u nas kulturą Ery Atomowej. Te wspaniałe palmy, widoczne na horyzoncie, przeszczepione na naszą ziemię z prototypów afrykańskich. Tropikalne gatunki drzew liściastych, skrzyżowane z naszymi bukami, dębami, topolami, niektóre o liściach wielkości człowieka, ta bujna roślinność pełzająca i wspinająca się po konarach do słońca, nie stanowi jeszcze o kulturze. Ani wspaniałe plantacje pomarańczowych krzewów i cytryn, które widzi pan tam, przy tej alei, i tu obok, w ogrodach, ani doskonałe winogrona wielkości moreli, co oplatają każdą wolną przestrzeń w pobliżu naszych domów, jak dawniej chwasty. Nie z tego jesteśmy dumni, że opanowaliśmy siły natury, czyniąc je niewolnikami człowieka, ale z tego przede wszystkim, że dobra, które wytwarzamy, służą wszystkim ludziom w jednakowym stopniu, bez wyjątku...

— Czy tak jest wszędzie, czy tylko u nas, w Polsce?

— Wszędzie. A przede wszystkim w Europie, która znowu wróciła do swej dawnej roli, stając się kolebką cywilizacji świata, jak ongiś legendarny kraj Atlantydy. Wasz wiek dwudziesty zwątpił w Europę i w geniusz białego człowieka. Mielście słuszne ku temu powody: krwawe wojny i brak zaufania jednych narodów do drugich. Aż oto ta zgrzybiała staruszka-Europa, dla której kopaliście grób przez cały wiek dwudziesty, pokazała wam figę...

Dyrektor Ramin uśmiechnął się dyskretnie, zezując w stronę Ireny. Potem zaczął mówić poważnie, tonem naukowca:

— W historii kultur są okresy nie dające się wytłumaczyć, gdyż nikt nie jest w stanie objąć skojarzenia wszystkich czynników dziejowych. Można jedynie snuć pewne domysły, oparte na podstawach związku przyczynowego. Tak też było ze starą Europą. Z chwilą gdy zdawało się wszystkim, że dorobek pięćdziesięciu wieków zginie bezpowrotnie jak kultura mitycznych Atlantów, a Europa stanie się pustynią, świecącą oczodolami martwych jezior, powstałych od wybuchów bomb atomowych, nagle nastąpił zwrot...

— Gdy ziarno pszenicy znalezione w grobowcu Tutankhamona zakiełkowało po trzech tysiącach lat, rzucone w świeżą, pachnącą ziemię, nie dziwiono się temu zbyt, uważając widocznie za rzecz naturalną, że co raz żyło, musi żyć i odrodzić się znowu. Ale w odrodzenie kultury europejskiej zwątpiono. Dopiero idea nowego ładu społecznego, idea humanistycznego socjalizmu zapaliła pochodnię prawdziwego postępu w Europie i Azji, wyzwalając świat cały, do nowego, lepszego życia. Od Morza Śródziemnego aż po Murmańsk, od Atlantyku aż po Ural — to jedna wielka wyspa ludzi szczęśliwych. Kultury czy geniuszu ludzkiego nie można zabić ani unicestwić żadną siłą. W pewnych tylko okresach, na skutek nie sprzyjających okoliczności, popada jakby w letarg, w stan biernego odrętwienia, aby niespodziewanie zbudzić się, jak obumarły wulkan otwiera nagle swój krater i wyrzuca ognistą lawę.

— A jak z resztą świata?

— Rasa żółta nie zagraża nikomu. W Chinach czy w Indiach nie umierają ludzie z głodu. Panuje zgodna, harmonijna współpraca wszystkich ludów należących do Federacji Państw Wschodnio-Azjatyckich jak i Federacji Południowo-Azjatyckiej. Jedyne Zjednoczone Państwa obydwu Ameryk opóźniły się nieco w przyjęciu nowego porządku społecznego i nie dorównały Europie, ponieważ zbyt późno zdecydowały się zerwać z przestarzałym systemem gospodarki kapitalistycznej.

Pani Irena i asystent powstali, aby się pożegnać. Jerzy miał zostać w gościnie u dyrektora Ramina. Żał mu było rozstać się z Ireną, ale obiecała, że jutro znowu się zobaczą. Gdy odeszli, dyrektor Ramin opowiadał dalej:

— Otóż gdy Europa była już politycznie Federacją Zjednoczonych Narodów, uczony norweski, Oskar Garborg, idąc po linii badań atomowych, pierwszy opracował metodę produkcji kilkunastu pierwiastków z wody morskiej, jako surowca podstawowego. Produkcja była

w zasadzie prosta i tania. Wyprodukowanie tą metodą tony złota nie kosztowało drożej niż tony aluminium. To było rewelacją. Najwyższa Rada Ekonomiczna Europy postanowiła utrzymać w tajemnicy sposoby produkcji, by najpierw spłacić swoje zobowiązania wobec USA za dostarczone towary. W ciągu kilku miesięcy spłacono wszystkie długi bręczącą monetą, a ponadto poczyniliśmy olbrzymie zamówienie na dalsze dostawy różnych fabrykatów. Początkowo nie zamierzano wcale sprowadzać tych wytworów do Europy, ponieważ wyprodukowanie ich na miejscu metodą Garborga kosztowałoby zaledwie pięć procent tej energii, jaką musieli zużyć Amerykanie do tego samego celu. Chcieli jedynie w ten sposób zmusić ich do zmiany ustroju, który był już anachronizmem, wrogiem prawdziwego postępu. Jankesi, chciwi na złoto i łatwy zysk, nie domyślając się podstępu, zamówienia przyjęli. Ale wkrótce potem tajemnica się wydała i nastąpił krach ekonomiczny, jakiego Ameryka nigdy nie przeżywała. I tak rozpadł się system pobity jego własną bronią. Wiele było z tego śmiechu, a jeszcze więcej pożytku...

— Spełniły się więc marzenia alchemików średniowiecza.

— Przyszło to, co nadejść musiało nieuchronnie. Złoto pewnego dnia straciło swoją cenę, przestało być miernikiem wartości ludzkiej pracy, stając się pospolitym, choć szlachetnym metalem. Alchemicy naszej ery, jak Marek Fantom i inni, mieli więcej szczęścia od tamtych, szukających kamienia filozoficznego, ponieważ zbudowali mikroskop ultra-antyprotonowy, przez który atomy stały się widoczne jak na dłoni.

Relski z niedowierzaniem spojrzął na dyrektora Ramina.

— Nie wierzy pan? — zapytał z wybaczącym uśmiechem.

Jerzy zaprzeczył ruchem głowy.

— Rozumiem, że to pana zaskoczyło. A chociaż mentalność ludzi dwudziestego wieku nie pozbawiona była na ogół odkrywczego lotu, nie było ducha jedności w działaniu zbiorowym, nie było wiary w postęp społeczny, w szczęśliwą przyszłość ludzkości...

Przechylił do tyłu głowę i patrzył w milczeniu na szafirowe refleksy nieba poprzez gęstwinę listowia. Potem spojrzął na radiozegarek i powiedział z nagłym ożywieniem:

— Chodźmy, panie Relski. Jest pan moim gościem i zapraszam pana na obiad...

— Dziękuję. Nie jestem głodny. W Norbant zjadłem obfite śniadanie.

— Ale z Norbant do Pierwszej Strefy Klimatycznej jest tysiąc pięćset osiemdziesiąt kilometrów.

— Które przebyłem w niespełna trzydzieści minut i zdążyłem zjeść jedną pomarańczę w czasie tej emocjonującej podróży torpedostratusem. Staram się pogodzić z duchem waszej epoki, dyrektorze, choć na tym odcinku — powiedział wesoło, powstawszy z miejsca.

Dyrektor Ramin wstał także i wyraził mu swoje uznanie, uderzywszy go poufale dłonią po ramieniu.

— To bardzo dobrze, drogi przyjacielu. Pomarańcze zabijają bakcyle Pesymizmu i poprawiają wybitnie humor. Ja zjadam dziennie cały kilogram tego soczystego owocu i dlatego tyle słońca mam w duszy.

Uśmiechnęli się do siebie, jakby się znali od lat.

— Pójdziemy w stronę Pałacu Kwiatów — zaproponował Ramin, wskazując ręką kierunek drogi.

Poszli aleją na prawo i znaleźli się między rzędami wysokich, przyciętych w ostre piramidy, gęstych tuj. Stamtąd, w dalekiej perspektywie, ujrzeni połyskującą w słońcu kopułę jakiegoś budynku, który odcinał się wyraziście na granatowym tle zachodniego nieba.

— Tam w dali to Pałac Kwiatów. Mieści się w nim Instytut Botaniki Stosowanej. Są tam laboratoria, gdzie wytwarza się nowe gatunki wszelkich roślin, w pierwszym rzędzie owoców i kwiatów ozdobnych.

Po kilku minutach dotarli do końca alei z przyciętymi stożkami tuj, przeszli między krzewami dojrzałych pomarańczy i stanęli na szerokiej płaszczyźnie, gdzie jak okiem sięgnąć,

widać było tylko kwiaty i kwiaty... Jerzego uderzyła w nozdrza fala zapachów tak odurzająca, że mimo woli przystanął i aż oniemiał z zachwytu. Dyrektor Ramin spoglądał na niego z wyraźnym ukontentowaniem. Orgia zapachów i barw podziałała jak ucieleśniona poezja wszystkich czasów. Nozdrza drżały mu radośnie, a w oczach wirowała tęcza. W przejściach między wspaniałymi klombami i szachownicami przechadzały się strojnie ubrane kobiety, panowie w białych kapeluszach i dzieci, biegnące wokół wodotrysków. Po dłuższej chwili

Jerzy zapytał:

— Więc te kwiaty nie pochodzą z naturalnego rozwoju?

— Owszem. Są między nimi powstałe z najrozmaitszych skrzyżowań, ale są i takie, które powstały wyłącznie w fantazji twórców, w ich wyobraźni. Dopiero laboratoria genetyki stosowanej nadały im barwę i realny kształt.

Jerzy zastanawiał się, czy może być coś piękniejszego na świecie od kwiatów. Przypominał sobie, jak kiedyś, za czasów swojej pierwszej młodości, kochał piękną dziewczynę, której na imię było Ellen. Kupował jej tulipany lub czerwone róże. Ellen dotykała swymi małymi ustami misternych płatków i całowała je z wielką czułością jak płomienne usta kochanka. Jerzy zazdrościł wówczas kwiatom każdego dotknięcia jej świeżych, rozchylnych miłośnie warg. Teraz sam całowałby te kwiaty o cudnej woni, gdyby nie było nikogo w parku. A one śmiały się do niego falującą gamą swoich barw, których nie potrafiłby nazwać. Niektóre, na kulistych klombach, były olbrzymie. Do potężnych kielichów wielkości ludzkiej głowy zaglądały małe dziewczynki o jasnych włosach, łącząc w tym spojrzeniu, nie pozbawionym zresztą pewnej dozy kokieterii, swawolną, beztroską radość dziecka z ciekawością życia dorastającej kobiety. Dyrektor Ramin, nie chcąc pomniejszać intensywności wrażenia, jakie odniósł Jerzy w parku kwiatowym, szedł w milczeniu obok. Nie wiadomo kiedy znaleźli się w pobliżu Instytutu Medycyny Stosowanej. Wówczas dyrektor Ramin, który mieszkał tuż obok w małej, parterowej willi, ukrytej w gąszczu drzew i krzewów ogrodowych, zaprosił Jerzego na obiad. Na przyjacielskiej pogawędce czas szybko mijał. Dyrektor Ramin okazał się przemyślnym, niezwykle wnikliwym gospodarzem, co czyniło go tym ciekawszym, że wachlarz jego zainteresowań był imponujący.

Nazajutrz, z samego rana, zjawiła się w willi dyrektora pani Irena i po spożyciu w trójkę śniadania, udała się z Jerzym do Głównego Biura Osobowego, aby go wciągnąć na listę obywateli Ery Atomowej. Biuro oraz archiwum, gdzie mieściły się dane personalne wszystkich obywateli, zamieszkujących stale w Pierwszej Strefie Klimatycznej, znajdowało się w mieście podziemnym.

Przy jednej z bocznych alei, która przebiegała w pobliżu Instytutu, stał niepokąźnych rozmiarów domek, podobny kształtem do dużego, okrągłego kiosku, jakie widywał w dużych miastach. Tylko zamiast ostro ściętego dachu, na wąskiej podstawie, objętej herkulesową dłonią, spoczywała dużych rozmiarów kula, wyobrażająca Ziemię, z zarysem lądów i mórz. Zeszli kilka stopni w dół po kręconych schodach. Wewnątrz, na ścianie, była świetlna tablica, wskazująca różne poziomy wnętrza ziemi z uwzględnieniem nawarstwień geologicznych i równoczesnym podaniem odległości w metrach. Irena nacisnęła guzik obok owej tablicy w ścianie. Rozległ się cichy gwizd i za chwilę ukazała się w otworze winda, iluminowana kolorowym światłem. Otworzyła drzwi i weszli do środka, po czym drzwi bezszelestnie zamknęły się. Jechali może pięć minut. Wysiedli w jasno oświetlonym hallu. Było tu widno jak w dzień, choć nigdzie nie było widać elektrycznych lamp. Relski odniósł w pierwszej chwili wrażenie, że znajdują się w obszernym wnętrzu wielkiego budynku na powierzchni ziemi, a nie na głębokości tysiąca metrów pod powierzchnią. Usiedli w miękkich fotelach na ruchomej taśmie chodnika podziemnej ulicy. Jerzego zdziwił wielki ruch, panujący w mieście-fabryce. Mijali mnóstwo ludzi, którzy tak jak oni podróżowali wygodnie na ruchomych taśmach lub szli pieszo wzdłuż ulic. Intrygowało go, dlaczego nie widać nigdzie lamp. Wreszcie zapytał o to swą towarzyszkę.

— Światło? — zdziwiła się. — To powietrze, naładowane falami elektromagnetycznymi, świeci. Kolor światła może być dowolny, w granicach widma, przez zmianę długości fali. Prócz tego mamy światło fluoryzujące, dostarczane z elektrowni słonecznych. Te ostatnie instalacje są także wewnątrz przejrzystych ścian budynków. O... widzi pan? Nawet kolumny, podtrzymujące sklepienie, jarzą się tym łagodnym, przyjemnym blaskiem...

— Dziwi mnie, dlaczego nie mieszkanie w tych podziemnych pałacach o ścianach z alabastrem i kryształu, pełnych jasności i tęczy blasków?

— Hm... po prostu dlatego, że człowiek naszej ery nie znosi zamkniętej przestrzeni i czułby się w niej więźniem. A poza tym byłoby ciasno. Ziemia jest po to, by rodziła kwiaty i drzewa na pożytek i radość wszystkich ludzi. Wasze miasta to zaprzeczenie swobody, piękna, a uosobienie chaosu, bezładu i brzydoty. One skracają wam życie, wystawiając wasze nerwy i serca na tortury. Dlatego też nasze fabryki, nasze biura, a nawet niektóre instytuty naukowo-doświadczalne zepchnęliśmy do wnętrza ziemi, by nigdy już nie stały się naszą klęską

Ruchomy chodnik zatrzymał się między dwoma rzędami kolumn. Wysiedli. Przeszli wolno długim krużgankiem pod arkadami i przystanęli przed szerokimi drzwiami. Przez naciśnięcie maleńkiej dźwigni, ukrytej we wnętrzu ściany, oświetlonej strzałką, drzwi rozsunęły się bezgłośnie, ukazując obszerny pokój, otoczony ścianami oszklonych szaf. Z boku, przy małym, okrągłym stoliku, siedziała złotowłosa, młoda kobieta.

— To moja przyjaciółka, Marietta, urodzona w retorcie elektrobiokhemików — powiedziała szeptem Irena. Ale Marietta była już przy nich.

— Ave, Marietta...

— Witaj, Ireno! Tak dawno nie widzieliśmy się...

Ujęły się za ręce i trwały przez chwilę w radosnym uniesieniu.

— Pozwolisz — zwróciła się Irena do przyjaciółki — że przedstawię ci naszego gościa, inżyniera Jerzego Relskiego...

— Ach, to pan. Bardzo mi miło...

Spojrzała na niego z ciekawością i pewnym zafrasowaniem. Podała mu swoją małą, filigranową dłoń o strzelistych, długich palcach. W zetknięciu z szorstkością jego męskiej dłoni ręka Marietty posiadała pieszczotliwą miękkość i delikatność płatka róży. Gdy złożył na niej pocałunek, zadrżała. Stała się bardziej różowa, płomienista. Oto dłoń godna pędzla Bouchera — pomyślał. I to ma być kobieta, urodzona w retorcie uczonych. Nie, to niemożliwe. Irena kpi sobie ze mnie. Spojrzał na nią, jakby szukając wytłumaczenia tej zagadki. Ale Irena uśmiechnęła się do niego życzliwie, jak zawsze. Ona zawsze się uśmiecha. Tym uśmiechem, jak retuszem, przysłania wszystkie zawiłości życia, czyniąc je prostszym i bardziej zrozumiałym.

— Muszę się przyznać — powiedziała Marietta, przewyciężywszy początkowe oniesmielenie — że poznałam pana od razu, mając w pamięci wczorajszy reportaż radiotelewizyjny, gdy wylądował pan z Ireną na dachu Biura Komunikacji Europejskiej. A poza tym mam taśmę magnetowizyjną, na której utrwalono moment ożywienia pana w Norbant przez doktora Zibellusa...

— To naprawdę frapujące, co pani mówi. Nie wiedziałem, że wzbudziłem swoją osobą tak wielkie zainteresowanie w świecie Atomowej Ery.

— O... bez wątpienia. A kobiety bywają ciekawe niezależnie od epoki, w której żyją...

Spojrzał na nią z wyraźną sympatią. Wydała mu się interesująca i oryginalna. Ciemne, gęste brwi zakreślały szerokie łuki nad oczami, nadając twarzy wyraz zdziwienia i naiwności. Natomiast Irena, w porównaniu z Mariettą, reprezentowała naturę śmiałą i władczą. Chcąc przerwać sentymentalny nastrój, wyrzuciła jednym tchem:

— Marietto, moja droga, przyjechaliśmy do ciebie załatwić sprawę urzędową. Oto obecny tu dżentelmen, pan Jerzy Relski, chce zostać obywatelem naszej ery. Bądź łaskawa załatwić te formalności. Ja za dwie godziny jadę na kongres rewitologów do Melbourne. Wracam

pojutrze.

Wyszła, pozostawiając zapach mocnych perfum. Gdy drzwi zasunęły się za nią bezgłośnie, Marietta wskazała Jerzemu miejsce przy stoliku. Potem podeszła do jednej z szaf i wyjęła stamtąd niewielkie, czworokątne pudełko.

— To tekstofan — wyjaśniła, stawiając przed nim aparat. — Ten przyrząd zapisze i utrwali pańskie dane personalne, wykona zdjęcie na taśmie magnetowizyjnej i przekaże wszystko drogą radiotelewizyjną do Archiwum Głównego Biura Osobowego. A więc zaczynamy...

Po tych słowach przekręciła kontakt i w aparacie, tuż nad ekranem, zapaliło się zielone światelko.

— Imię i nazwisko pana?

— Jerzy Relski...

— Data i miejsce urodzenia?

— 10 marca 1928. Pabianice.

— Zawód?

— Inżynier-elektryk...

— Dziękuję panu... — Rzuciła mu przelotny uśmiech.

— Należy pan do grupy U N. Pański numer kolejny P 85 383 777 U N. Z tym samym numerem otrzyma pan telefonowizor...

— Cóż to takiego?

Marietta, zamiast odpowiedzi, przyniosła za chwilę mały przedmiot, przypominający złożony fotoaparat, na którym z boku widoczny był ten sam numer z wypukłej, białej masy.

— Jest to radiowy telefon z wizjerem. Może pan w każdej chwili łączyć się z kim zechce, za pośrednictwem Centralnej Stacji Radiotelewizyjnej, znając numer żądanej osoby. Jest wygodny, bo można go mieć zawsze przy sobie. Mieści się w kieszeni marynarki lub damskiej torebce — powiedziała, wręczając mu aparat.

Relski niezdecydowanym ruchem odebrał go z rąk Marietty. Miał ochotę zapytać się, jak działa ten radiowy telefon, ale nie śmiał.

— A teraz proszę mi powiedzieć, gdzie pan chce zamieszkać — zadała kolejne pytanie, siadając znowu przy stoliku.

— Wolałbym tu, w Warszawie...

— To znaczy w Pierwszej Strefie Klimatycznej, dzielnica „W”. Zaraz pokażę panu plan.

Wyjęła z szuflady stolika kolorową, mapę plastyczną.

— To dzielnica „W”, proszę...

Oczom Relskiego ukazał się rozległy teren, poprzecinany wąskimi, jasnymi taśmami. Nietrudno było zauważyć miniaturowe drzewa i sylwety domów. Pośrodku, falistą linią, oznaczona była rzeka. To Wisła — pomyślał. Marietta, wodząc końcem zaróżowionego palca po mapie, wyjaśniała:

— Może pan sobie wybrać na miejsce zamieszkania tereny ogrodów nadwiślańskich. O... na przykład tu.... — wskazała palcem jakiś punkt.

Jerzemu było wszystko jedno.

— Dobrze, proszę pani, może być tutaj.

Spojrzała na niego z uwagą i nakreśliła rylcem znak na mapie. Potem podeszła do szafki radiotelefonowizora i nacisnąwszy guzik, zapytała:

— Czy to sekcja techniczna dzielnicy „W”?

Na ekranie ukazała się twarz młodego mężczyzny.

— Tak jest. Tu podokręg R 23.

— To dobrze. Proszę notować... Jerzy Relski, numer P 85 383 777 U N. Ustawić domek z wyposażeniem normalnym w punkcie 135 „W”, tuż przy Alei Pomarańczowej. Przysłać przewodnika...

— Przyjęto... — dał się słyszeć głos w aparacie.

— A więc, panie Relski... — powiedziała, odwracając się do Jerzego — jest pan już obywatelem naszego kraju, człowiekiem naszej ery. Wolno panu zamieszkać w dowolnym punkcie Globu, jeśli pan tego pragnie. U nas niepotrzebne są paszporty ani wizy. Wystarczy zameldować się w Głównym Urzędzie Osobowym danego kraju.

Za niecałe pół godziny zjawi się tutaj człowiek, który zawiezie pana do jego domu. Znajdzie pan tam wszystko, a jeśli czegoś będzie brak, proszę się zwrócić do mnie. Oto mój numer... — podała mu małą, różową wizytówkę z przezroczystej, cienkiej masy. W środku widoczny był numer: 37 647 155 U S. Z prawej strony wyciśnięta była jej miniaturowa podobizna, a pod nią imię... — A teraz pokażę panu, jak korzystać z telefonowizora kieszonkowego. O... widzi pan?

Wzięła do ręki aparat i otworzyła za naciśnięciem sprężynki. Miał ukryty wewnątrz małe ekranik i muszlę mikrofonową. Słuchawkami były dwie kulki z brązowej masy wielkości laskowych orzechów, które kładło się w uszy. Połączone elastycznym cieniutkim przewodem, pozwalały korzystać z aparatu nawet wówczas, gdy był zamknięty. Telefonowizor służył również jako doskonały odbiornik radiotelewizyjny o zasięgu światowym, przy użyciu wzmacniacza Stacji Centralnej. Jerzy zaraz się o tym przekonał, gdy Marietta połączyła go ze stacją radiotelewizyjną Pierwszej Strefy Klimatycznej. Usłyszał koncert skrzypcowy, a na miniaturowym ekranie ujrzał wykonawcę, mistrza Pantello.

— A co będzie, jeśli w czasie audycji ktoś do mnie zadzwoni?

— Stacja wyłączy pana automatycznie...

— Świetnie... A jeśli nie zechcę przyjąć rozmowy?

— Wówczas łączy się pan powtórnie ze stacją lub wyłącza aparat. A ponieważ kolejny numer każdego obywatela oznacza jednocześnie długość fali jego aparatu w odpowiednich jednostkach, przeto nietrudno jest odnaleźć kogoś, gdziekolwiek się znajduje. Również tym samym numerem oznaczony jest każdy przedmiot, należący do niego, a nawet domek, w którym mieszka.

Zjawił się młody przewodnik. Mógł mieć najwyżej osiemnaście lat. Miał na imię Stef. Na pytanie Relskiego, jak się nazywa, uśmiechnął się i wyraźnie zakłopotany nic nie odpowiedział. Wówczas Marietta wyjaśniła, że Stef jest człowiekiem U S, a ludzie tej grupy nie mają nazwisk, tylko imiona, które przybierają sobie, gdy dorosną.

— Stef zawiezie pana do nowego mieszkania. Od dziś będzie pan już mieszkał we własnym domu — oznajmiła mu w sposób nie budzący wątpliwości.

— Więc już przydzielono mi nowe mieszkanie? — zdziwił się.

— Nie tylko przydzielono, ale ustawiono dla pana domek w punkcie 135 „W” przy Alei Pomarańczowej. Będzie pan miał do dyspozycji trzy pokoiki z łazienką. Ustawienie takiego domku nie trwa dłużej niż dwie godziny. Są budowane seryjnie i czekają na swych lokatorów, zaopatrzone we wszelkie przedmioty domowego użytku. Gdy obywatel naszej ery kończy lat osiemnaście, to bez względu na to, czy jest człowiekiem urodzonym naturalnie, czy też powstał w retorcie elektrobiochemików, ma prawo do własnego domku i skrawka ziemi. Zbudowane z wodo- i ognioodpornej lekkiej masy, posiadają ruchome ściany, okna z nietłukącego szkła i są łatwo przenośne z powodu swoich niewielkich rozmiarów i lekkości. Specjalny transportowiec powietrzny przewozi zestawiony już domek z terenu budowy na miejsce przeznaczenia...

— To brzmi bardzo pożądanie, ale ja przecież nie mam pieniędzy na opłacanie tak poważnych kosztów.

Marietta przybrała zaambarasowaną minę. Mogło to oznaczać, że uwaga Jerzego nie mieściła się w spisie spraw, z którymi miała zwykle do czynienia. Po chwili wahania odparła:

— To nie należy do mnie. Kwestie finansowe załatwia Centralne Biuro Ekonomiczne.

W telefonowizorze Relskiego zaterkotał przytłumiony sygnał. Otworzył aparat i pośpie-

sznie włożył do uszu małe kuleczki.

— Czy to pan Jerzy Relski? — usłyszał.

— Tak...

— Tu stacja techniczna dzielnicy „W”, podokręg R 23. Zawiadamiamy pana, że polecenie Głównego Biura Osobowego zostało wykonane. Prosimy objąć w posiadanie domek. Życzymy wiele szczęścia na nowym mieszkaniu.

— Dziękuję — zdążył wycedzić i głos umilkł.

Relski, żegnając Mariettę, zdziwił się niezmiernie, gdy go pocałowała w czoło. Znacznie później dowiedział się, że ludzie Atomowej Ery mają inny *savoir-vivre* i zwyczaje towarzyskie XX wieku nie obowiązują. W chwilę później pędził ruchomym chodnikiem wśród gwarnych ulic podziemnego miasta. Obok niego siedział przewodnik Stef i uśmiechał się z życzliwością. Po kilku minutach winda wyrzuciła ich na Słoneczną Aleję parku. Stef chciał zająć miejsce w ławce na ruchomym chodniku, który w tej chwili zatrzymał się obok nich, ale Jerzy wstrzymał go ruchem ręki.

— Jest taka piękna pogoda, przejdźmy się trochę...

Młody przewodnik nie oponował. Zauważył tylko, że do punktu 135 „W” trzeba iść dobre dwadzieścia minut. Poszli we wskazanym przez niego kierunku. Kwitły tu magnolie, wypełniając powietrze delikatną wonią. Białe-czerwone kielichy kwiatów zakrywały niemal całkowicie drobne i rzadkie liście drzew.

— Przejdziemy obok Stacji Wiatrów i znajdziemy się nad Wisłą. Stamtąd do Alei Pomarańczowej bardzo blisko — objaśnił człowiek U S.

Relski spoglądał na niego z ukosa i nie mógł uwierzyć, że ta na wskroś ludzka istota nie miała nigdy matki. Wprawdzie Irena wspominała mu mimochodem, gdy zjeżdżali do podziemnego miasta, że ludzie ci, urodzeni w retortach, posiadają niezwykłą pobudliwość i subtelność, a szczególnie kobiety. Były jednak bezpłodne, co jedni uważali za przypadkowe dobrodziejstwo, inni natomiast szukali przyczyny takiego stanu rzeczy w błędzie, który niewątpliwie tkwi u podstaw nowej nauki, zwanej elektrobiochemią stosowaną.

Gdy znaleźli się przy Alei Pomarańczowej, Stef wskazał ręką na mały domek w pobliżu.

— Oto pańskie mieszkanie.

Relski nie dowierzał oczom. A więc to jego dom. Był podobny do tych, jakie widział wczoraj, spacerując z dyrektorem Raminem. Przed domkiem, między drzewkami pomarańczy stał człowiek w białym kombinezonie i tegoż koloru czapce. Spoglądał przyjaźnie na przybyłych, trzymając w lewej ręce nożyce do obcinania gałęzi.

— To ogrodnik sekcji „W” — otrzymał informację.

Przywitali się z nim i stanęli przed wejściowymi drzwiami. Na frontowej, gładkiej ścianie budynku był numer P 85 383 777 U N.

— Mój numer — zauważył Jerzy.

Przed drzwiami, w zagłębieniu futryny, była świecąca tabliczka z jego nazwiskiem. Weszli do niewielkiego przedpokoju, a stamtąd do małego pokoiku. Stef wszedł pierwszy, Jerzy za nim. Drzwi rozsuwały się i zamykały za naciśnięciem guziczka. Bawiła go trochę ta nowość i komfort, jaki uderzał w każdym szczególe, dając oszczędność ludzkiego wysiłku i wygodę. W pokoju, który był jednocześnie salonikiem i gabinetem, mieściła się biblioteczka. Młody przewodnik wyjaśniał mu, jakie zastosowanie ma każdy przedmiot. A więc biblioteka. Była to nieduża, oszklona szafa, podobna do tych, jakie widział w biurze Marietty, ale o wiele mniejsza.

— Cóż to za biblioteka, skoro nie widzę książek? — pytał zaintrygowany.

— O... przecież są. Niech pan tylko otworzy szufladę.

Jerzy wysunął dolną gablotkę i oczom jego ukazała się płyta z całą kolumną cyfr, a obok tytuły. To katalog... Książki ułożone są według kolejnych numerów i tytułów w górnych



segregatorach szafy. Relski wzruszył ramionami. Stef wyciągnął następną szufladę i w numerowanych przegródkach ukazały się małe, ciemne rolki z błyszczącej masy.

— Oto są książki. Z nich dowie się pan wszystkiego o naszym świecie.

Jerzy wziął do ręki jedną z nich i oglądał z zainteresowaniem.

— A jak się czyta te książki? — rzucił nieśmiałe pytanie.

— Zwyczajnie. Wkłada pan żądany numer rolki do radioteleleksu i słucha pan...

Powiedziawszy to, wyciągnął pierwszą z brzegu i podszedł do aparatu radiotelewizyjnego, spoczywającego w karbach uchwytów, wystających ze ściany. Uchylił w jednym końcu wieczko i wsunął przez niewielki otwór tajemniczą rolkę. Przesunięciem gałki uruchomił aparat i w tej samej chwili dał się słyszeć skandujący, męski głos:

— Konstytucja Sfederowanych Państw Europy, paragraf pierwszy... Wszyscy wolni obywatele Zjednoczonej Europy są równi wobec prawa...

Głos lektora dźwięczał rytmicznie i spokojnie, niemal dostojnie. We wnętrzu, tworzącej ekran, ukazała się postać starszego pana z pionowymi bruzdami na szerokim czole.

— To pierwszy prezydent Zjednoczonej Europy, doktor Solenin. I tak pan się dowie wszystkiego, co będzie pana interesować. To jest biblioteka uniwersalna i zawiera około dwóch tysięcy „tomów” ze wszystkich dziedzin nauki, polityki i życia społecznego naszej epoki. Biblioteka główna znajduje się w Instytucie Kultury w mieście podziemnym. Przypuszczam, że ten domowy „księgozbiór” na razie panu wystarczy, nieprawdaż?

— O... z pewnością.

— A teraz jeszcze parę słów o konstrukcji domu i jego zaletach. Niech pan posłucha...

— zastanawiał się chwilę, a potem powiedział:

— Przypuśćmy, że znudziło się panu mieszkać w Pierwszej Strefie Klimatycznej...

Jerzy zaprzeczył ruchem głowy.

— Ale, powiedzmy, chce pan zamieszkać nad morzem, co wówczas?

Relski spojrzał na niego z ciekawością. Podobał mu się ten jasnooki chłopiec. Był trochę nieśmiały, ale zdradzał dużą inteligencję.

— Więc... przeprowadzam się...

— Oczywiście... Zgłasza pan przeprowadzkę do sekcji technicznej dzielnicy „W”, podając swój nowy adres. O umówionej godzinie nadlatuje transportowiec powietrzny, posiadający specjalną instalację uchwytową, i po dokładnym zamknięciu i zabezpieczeniu ścian przed rozsuwaniem, przewozi pana wraz z domkiem na nowy adres. Jedynym mankamentem takiej przeprowadzki jest to, że w czasie przewozu nie będzie pan mógł korzystać z łazienki.

— To chyba już najmniejszy kłopot. Przecież taka przeprowadzka nie trwa zbyt długo?

— To zależy. Może trwać kilka godzin — powiedział śmiejąc się Stef. Po chwili zaś mówił dalej: — Jak pan zapewne zdążył zauważyć, niewielki ten budynek ma zaokrąglone kontury, a jeśli spojrzymy na niego z góry, ukaże nam kształt zdeformowanego koła. Jest to wygodne z tego względu, że punkt ciężkości całego domku zwisa czasem na metalowej kolumnie, na którą domek jest „nasadzony” jak na pał. Powiedziałem „czasem” — poprawił się młody przewodnik — gdyż nie wisi stale na podparciu, ale spoczywa całą swoją masą na płytach fundamentowych, umocowanych w ziemi, a domy i podstawy fundamentowe są znormalizowane.

— Więc po cóż ta kolumna w środku?

— Jest jakby trzonem i jednocześnie kotwicą domu, który na skutek swej lekkości ulegałby łatwo niepożądanym wstrząsom — wyjaśnił Stef.

— A gdzie mieszczą się wodociągi i kanalizacja?

— Łazienka połączona jest za pomocą elastycznych rur z dopływem ciepłej wody oraz gorącego i zimnego powietrza. To ostatnie, zawierające ozon, służy do obniżania temperatury w upalne dni.

— Aha!...

— Proszę pamiętać: w razie jakichkolwiek trudności należy połączyć się z sekcją techniczną dzielnicy „W”. Numer telefonowizoru znajdzie pan w spisie. Życzę miłego spoczynku!

— Dziękuję...

## Rozdział IV

Obudził go blask słońca, padający mu prosto w oczy. Wstał i zasunął storę. Był rześki i wypoczęty. W pasiastej, jedwabnej pidżamie obchodził swój mały domek, by zapoznać się szczegółowo ze wszystkim, co zawierał, gdyż przewodnik Stef udzielił mu tylko ogólnikowych informacji, natomiast mnóstwo szczegółów pozostawało dla niego w dalszym ciągu zagadką.

Pokoiki były nieduże i przypominały komfortowe kajuty na transatlantykach. Tylko nieco dłuższe i wyższe. A poza tym, posiadały duże okna, zajmujące niemal połowę ściany. Na jednej z nich wisiał w rozłożeniu dokładny plan domku z plastycznym uzupełnieniem umeblowania, oświetlony od wewnątrz. W przejrzystym schemacie był widoczny cały skomplikowany mechanizm działania poszczególnych urządzeń. Ale skomplikowany na pozór. W praktyce wszystko było proste i zrozumiałe. I tak za jednym naciśnięciem guzika rozplątywała się wzdłuż ściany pokoju ciężka zasłona, zwinięta jak spadochron i prawie niewidoczna przed rozłożeniem. Izolowała ona całkowicie wnętrze pokoiku nie tylko od światła słonecznego, ale tłumiła wszelkie dźwięki, pochodzące z zewnątrz. Jednocześnie z tą chwilą zostało włączone światło wewnętrzne, fluoryzujące, świecąc jak łagodny neon. Każdy pokój stanowił zamkniętą w sobie całość. Wszystkie przedmioty, znajdujące się wewnątrz, były niestłuchanie celowe i proste w użyciu.

W maleńkiej sypialni znajdowało się łóżko, które w jednej sekundzie zamieniało się w miękki fotel, a wewnątrz pudła zawierało urządzenie do chemicznego prania bielizny, skąd po piętnastu minutach wychodziła czysta i pachnąca. Wystarczyło zamknąć szczelnie i przesunąć dźwignię przełącznika. W tymże samym pokoju, na wmontowanym w ścianę specjalnym postumencie, z gładkiej, przeświecającej masy, stała duża, podłużna szafka, lśniąca jasną taflą plastyku. Był to radioteleriks — doskonały aparat radiotelewizyjny nadawczo-odbiorczy. Ekran posiadał nieco wklęsły, ale znacznych rozmiarów, umieszczony pośrodku w zagłębieniu płyty frontowej.

Radioteleriks był zawsze czynny, w dzień i w nocy, jak zegar. Odbierał jednocześnie radiotelewizyjne programy kilkunastu centralnych stacji Globu, jak również stacji lokalnej. Wszystkie te optyczno-słuchowe audycje były utrwalane na taśmie magnetowizyjnej i tym samym można je było powtórzyć w dowolnym czasie, wybierając to, co było interesujące.

Ten uniwersalny odbiornik magazynował gotowe, nagrane już rolki cieniutkiej taśmy w kamerze reprodukcyjnej, numerowane i oznaczone godziną i minutą nadania oraz nazwą stacji nadania. Niezależnie od tego, radioteleriks notował w ten sam sposób rozmowy telefoniczne i wszelkie zlecenia, jakie tą drogą nadchodziły do właściciela aparatu. Służył także do nadawania, wzmacniając zasięg telefonowizora kieszonkowego, gdyż posiadał tę samą długość fali.

Osobny dział stanowiła korespondencja prywatna i urzędowa, która w epoce Atomowej Ery docierała do adresata również za pomocą radioteleriksu, gdyż w tym czasie nie istniał już zwyczaj pisania listów na papierze i przesyłania ich za pośrednictwem poczty. Był to już zbyt powolny, anachroniczny i uciążliwy sposób przekazywania wiadomości. Taśmy magnetowi-

zyjne z tą radiokorespondencją magazynowane były w specjalnej kamerze i każdy posiadacz aparatu mógł je w dogodnej chwili „reprodukować”, słysząc głos i widząc sylwetkę nadawcy, i to w naturalnych barwach.

Nie było to już żadną niespodzianką dla Relskiego. W Norbant widział na ekranach aparatów radiotelewizyjnych kolorowe obrazy. Ale prawdziwą rewelację stanowiło urządzenie projekcyjne radioteleriksu, wbudowane tuż nad ekranem. Za pomocą soczewki tam umieszczonej powiększono obraz telewizyjny, rzucając go na duży ekran panoramiczny, o wymiarach jeden i pół metra, wmontowany w ścianie. Obraz barwny i plastyczny, dający złudzenie naturalnego widzenia rzeczy. W ten sam sposób, posługując się tymże samym ekranem, czytało się „książki”. Czasopisma i gazety nie wychodziły już drukiem, a nadawane były w ramach programów radiotelewizyjnych.

— Nikt z obywateli Atomowej Ery nie wzięłyby do ręki waszej gazety — powiedziała mu kiedyś Irena. — Zachowały się niektóre wasze dzienniki i czasopisma w naszych muzeach. Gdy patrzę na rozbiegane szpalty ich kolumn, pełne błędów i zniekształceń, ogarnia mnie oburzenie i gniew. I ten krzykliwy, impertynencko-ironiczny ton, stosowany w polemikach.

Przez kilka następnych dni prawie nie wychodził z domu, podziwiając, pełen zdumienia, coraz to nowe, coraz ciekawsze wynalazki i urządzenia. I tak: nikt nie mógł wejść do domku nie zauważony. Już z odległości kilkunastu metrów elektryczne oko sygnalizowało dźwięcznym akordem zbliżanie się człowieka. Na specjalnej płycie, wiszącej na ścianie w każdym pokoju, ukazywała się sylwetka przybysza. Wówczas dopiero właściciel mieszkania wyzwalał mechanizm, otwierający drzwi wejściowe.

Przeglądając utrwalone na taśmie aktualności Centralnej Stacji za ostatni tydzień, Relski zwrócił uwagę na okazałych rozmiarów rolkę, noszącą numer 2 882, a zaopatrzoną w mikroskopijny napis: „Ożywienie inżyniera Relskiego”. Spoglądał z zapartym tchem na grubym zwitek taśmy, ważąc ją na dłoni. Wszak zawierał tajemnicę jego nowego życia...

Drżącą ręką wsunął rolkę do kamery reprodukcyjnej i przełączył dźwignię na projektor. Zaintrygowany jej treścią do najwyższego stopnia, pragnął ujrzeć obraz, powiększony, na ekranie zewnętrznym. I trójwymiarowym. Zapuścił storę, by światło nie mąciło jasności obrazu.

Z soczewki radioteleriksu trysnęła barwna smuga i rozpląnęła się w łagodnych konturach na przeciwległej ścianie. Jerzy ujrzał obszerną, widną salę oraz kilka rzędów wznoszących się amfiteatralnie krzesel. W samym środku, na okrągłym podium, jak na arenie cyrkowej, stał długi stół, nakryty śnieżnobiałą materią. Leżał na nim człowiek zupełnie nagi, a tuż obok uwijało się kilka postaci, żywo gestykulując. Krzesła, dotąd puste, zaczęły się zapełniać. Na twarzach przybyłych malował się wyraz skupienia i niezwyklej powagi. Nagle poruszenie ogólne: na podium ukazał się wysoki mężczyzna w białym płaszczu lekarskim. Miał duże, jasne oczy...

— Doktor Zibellus... — wyrwało mu się bezwiednie.

Bezpośredniość widzenia była tak niezwykła i pełna plastycznej głębi, że Relski patrzył jak zahipnotyzowany.

Obok doktora Zibellusa, trzymając w prawej ręce jakiś połyskujący przedmiot, stała Irena. Zapytywała go o coś wzrokiem. Doktor Zibellus odwrócił się do leżącego i dotykając dłonią jego ciała od nóg aż do czoła, powiedział dość głośno:

— Już dostaje temperaturę...

Wśród oblegających podium nastąpiło ożywienie. Szeptano coś między sobą, czego nie mógł usłyszeć. Doktor Zibellus stanął teraz na wprost głowy leżącego i coś mówił do Ireny. Jerzy wpatrywał się uparcie w postać, leżącą bez ruchu. Nagie ciało ginęło prawie w białej, puszystej materii. Obraz był w ruchu, ukazując coraz to z innej strony leżącego nieruchomo człowieka. W tej chwili zaczął się przybliżać i Relski ujrzał zupełnie wyraźnie głowę. Bujny zarost pokrywał prawie całą twarz. Nie było widać śladu życia w zastygłym obliczu, w któ-

rym prawie bez trudu poznał... siebie. Tak. Głęboka blizna poniżej lewego oka, widoczna poprzez rzadki w tym miejscu zarost, nie zostawiała wątpliwości. To samo czoło, szerokie i wypukłe, naznaczone zygzakami zmarszczek. Brrr... Cała ta postać, nieruchoma, z pokracznie zgiętymi nogami, budząca raczej wstręt niż zainteresowanie, to był on, Relski...

Zamknął na chwilę oczy, aby się przekonać, że to nie halucynacja. Gdy je otworzył, obraz oddalił się nieco, lecz za to widział dokładnie prawie całe wnętrze rotundowej sali i siedzących wokół podium. Jak się domyślał, byli to uczeni z całego Globu, których przywiodła tu niezwykłość eksperymentu genialnego rewitologa. Setki oczu śledziło każdy jego ruch, każde drgnienie mięśni na jego twarzy, spokojnej, uśmiechniętej...

W pewnej odległości od podium stały ekrany radiotelewizyjne do transmisji przebiegu operacji. Jerzy poczuł gorące wypieki wstydu na twarzy i jakby żal do wielkiego Zibellusa, że oto odsłonił przed światem nagość jego ciała, jego odrażającą brzydotę... Ale ciekawość nie pozwoliła mu na dłuższe refleksje.

Nad pacjentem ustawiono coś w rodzaju baldachimu ze zwisającą, różową materią, która częściowo zasłaniała postać leżącego. Po chwili usłyszał głos doktora Zibellusa i słowa, wypowiedziane w języku francuskim:

— Dajcie promienie X P 1 równomiernie na całe ciało!

Błękitne światło załało podium. Delikatna, różowa tkanina stała się przezroczysta, a ciało leżące w jego łagodnym blasku przybrało kolor jasnego brązu. Doktor Zibellus i towarzyszący mu asystenci obserwowali przez aparaty kontrolne działanie tych promieni. Potem odstawiono aparat i zdjęto zasłony.

— Dźwignie pneumatyczne... — dał się słyszeć znowu cichy, ale stanowczy głos doktora Zibellusa.

Podpłynęły długie, lśniące cylindry na kółkach. Z górnej części wystrzelały spirale z cienkich rurek. Na końcu spirali zwisała szyjka w kształcie grzyba, przypominająca rozpylacz wody w łazience. Widział, jak Irena wzięła do ręki jeden z nich i przystawiła do piersi leżącego. Spirala drugiego cylindra zakończona była podwójną szyjką i asystujący lekarze przystawili obydwie zakończenia do jego nóg, powyżej kolan.

— Puścić powietrze!... usłyszał znany mu dobrze głos. W następnej chwili ujrzał, jak pierścienie rurek wyprężyły się i nagie ciało zawisło w powietrzu, ukazując pustą, sfałdowaną biel tkaniny. Doktor Zibellus obserwował z napięciem przebieg tej czynności. Rozbłysło światło i w migotliwym jego refleksie każdy szczegół rysował się wyraziście, jakby w powiększeniu. Widział dokładnie, jak doktor Zibellus oglądał z uwagą, badając za pomocą nieznanych instrumentów wiszące w powietrzu ciało niezwykłego pacjenta. Marszczył chwilami czoło, przystawał w miejscu i trwał tak w bezruchu przez wiele sekund, milczący jak posąg. Wówczas siedzący wokół uczeni wyciągali szyje w kierunku podium i w pełnym napięciu oczekiwaniu kierowali wzrok na tego, który miał im dać odpowiedź na niepokojące pytanie: zwycięży życie czy śmierć?

W pewnej chwili doktor Zibellus zwrócił się do stojącej przy nim Ireny z rozpogodzoną twarzą:

— Wszystko dobrze... Trzeba ożywić tkanki i wpompować świeżą krew...

Po tych słowach nastąpiło odprężenie i jakby radosny nastrój zapanował wśród asystentów. Przez salę przeszedł szmer urywanych słów. Puszczono w ruch nowy, tajemniczy aparat, który wyrzucał z reflektora smugę fioletowego światła. Fala tego światła obmywała, jak przysnig, ciało martwego jeszcze pacjenta, który zmieniał się z minuty na minutę, przybierając bladoróżowy odcień. Ręce, opuszczone bezwładnie, jeden z asystentów ułożył mu na piersiach, skrzyżowawszy dłonie. Nogi poniżej kolan straciły już swoją pokraczną sztywność i zwisały teraz luźno, wachlując lekko przy dotknięciu. Doktor Zibellus stał z boku, przypatrując się spokojnie pracy swoich asystentów. Relski domyślał się, że musieli to być młodzi lekarze, którzy pod kierunkiem genialnego mistrza uczyli się wielkiej sztuki ożywiania zmar-

łych. Kiedyś, w taki sam sposób — myślał — uczyli się adepci sztuki lekarskiej nie mniej trudnych i ryzykownych w owych czasach operacji wycinania wyrostka robaczkowego...

Na dany znak przez mistrza ułożyli operowanego z powrotem na drugim stole. Odstawili niepotrzebne już aparaty i przystawili nowe z mnóstwem węży, wężyków i szklanych rurek. Irena uniosła nieznacznie głowę leżącego znad białego mięszu podgłowa, a jeden z asystentów podsunął szklany hełm i głowa znalazła się w jego wnętrzu. Wprawne ręce kobiece przyłączały błyszczące końcówki rurek do różnych części głowy, zupełnie jak w gabinecie kosmetyki lekarskiej minionej epoki. Taka sama sieć rurek opłótła piersi, ramiona, tułów aż do łydek. Całe podium obstawione było przeróżnymi aparatami.

Doktor Zibellus sprawdzał osobiście każdy styk, każde połączenie skomplikowanej aparatury z ciałem pacjenta. Zbliżali się do punktu kulminacyjnego wielkiego eksperymentu. Relski czuł rosnące napięcie na twarzach tych ludzi. I jego poniosła fala niezwykłego uniesienia, choć patrzył już na rzeczy dawno przebrzmiałe, będąc sam finałem tego, co działo się w owym czasie tam, w Norbant...

— Krew już zmieniona, temperatura ciała dobra — usłyszał głos Ireny. Stała smukła, wyprostowana i pełna powagi przed Zibellusem. Mistrz postąpił krok naprzód, ujął jej rękę i mówił coś przyciszonym głosem tuż nad jej uchem. Przytaknęła, uśmiechnąwszy się kącikiem małych warg. Odłączono instalacje szklanych rurek, przez które żywa krew płynęła do martwego ciała. Doktor Zibellus spoglądał sugestywnym wzrokiem na leżącego, a następnie wydał polecenie:

— Włączyć promienie życia!...

Cztery młode ręce uniosły lekko tułów pacjenta, podkładając pod jego plecy coś w rodzaju długiej, sztywnej poduszki. Ręce, nogi, głowę i piersi połączono zwojami węży i spiralami sznurów. Aparat w kształcie olbrzymiego serca, cały z przezroczystej masy, stanął na podwyższeniu. Dał się słyszeć przeciągły syk. Relski widział zupełnie wyraźnie, jak potężne serce-maszyna zmieniało stopniowo swoją barwę, przechodząc od fioletu na odcień jasnoniebieski. Jeden z asystentów nachylił się nad pacjentem i przyłożył ucho do jego piersi.

Na mechanicznym sercu, w górnej jego części, poruszała się płomienista strzałka jak wskazówka zegara. Na szklanej tarczy widać było cyfry. W samym środku było 0, a obok, na prawo i lewo, liczby od 1 do 10. Nad nimi, z lewej strony, znak minus, na prawo — plus. W tej chwili wskazówka, lekko wachlując, zatrzymała się na liczbie 5 z lewej strony zera.

Ten dziwny aparat przykuł całą jego uwagę. Promienie życia — powtarzał w myśli słowa doktora Zibellusa. Więc ten oto aparat, przypominający swoim wyglądem serce człowieka, wydaje z siebie cudowne promienie życia...

Płomienista wskazówka na tarczy szklanego serca zaczęła przesuwając się wolno, kreska po kresce, w kierunku zera. Na twarzy doktora Zibellusa ukazał się ledwo dostrzegalny uśmiech.

— Pacjent zbliża się do granicy życia — powiedział prawie szeptem.

A tymczasem wskazówka stanęła na zerze i ani drgnęła. Młody asystent, który nie odrywał ucha od klatki piersiowej pacjenta, zaczął się niecierpliwić. Doktor Zibellus zajął jego miejsce i długo nasłuchiwał. Potem wstał i zbliżył się do Ireny. Porozumieli się wzrokiem. Skinęła mu głową. Odwróciła się i nieoczekiwanie rozpięła długi kitel. Zsunęła go z ramion i zdecydowanym, szybkim ruchem osłoniła tors, wyciągając przed siebie lewą rękę. Jeden z asystentów nałożył jej na głowę przezroczysty hełm, który swoją dolną, matową częścią zasłonił obnażone piersi.

— Połączyć z sercem pacjenta — rozkazał cichym, nieco drżącym głosem doktor Zibellus. Asystenci posłusznie spełnili polecenie. Biegnące od hełmu rurki i wężyki połączono z ciągle jeszcze nieruchomym ciałem operowanego. Salę zaległa cisza, choć temperatura napięcia sięgała zenitu. Jerzy przeżywał to wszystko, jakby był jednym z tych, siedzących tam, obok podium.

Doktor Zibellus utkwiał nieruchomy wzrok na szklanej tarczy z czerwonymi znakami: plus i minus. Irena próbowała się uśmiechać w dziwnym hełmie na głowie.

Nagle wskazówka drgnęła...

Przez moment stała w miejscu, falując, a potem wolniutko, ledwie dostrzegalnie, zaczęła posuwać się w stronę, gdzie nad tarczą widoczny był z daleka znak plus. W następnej sekundzie potężny skurcz targnął nagim ciałem leżącego. Asystent, wyczekujący dotąd bezskutecznie na najmniejszy odruch życia pacjenta, zerwał się z okrzykiem:

— Evoe! Profesorze, ten człowiek żyje!...

Doktor Zibellus zbliżył się wolno i wzięwszy rękę leżącego, trzymał ją przez chwilę w swojej dłoni. Potem dotknął czoła, a uchyliwszy powieki, spojrzał mu w oczy.

— Żyje!... — powtórzył spokojnie, nie odrywając wzroku.

Obecni na sali powstali, aby oddać hołd genialnemu lekarzowi, zwycięzcy śmierci...

Pacjent oddychał wolno, rytmicznie. Płomienna wskazówka na szklanej tarczy posuwała się coraz dalej i dalej. Na tym obraz się urywał. Zabłysło białe światło w soczewce projektora.

Relski przetarł oczy. Czyżby śnił? Przecież widział przywrócenie do życia samego siebie. Ogarnęło go wielkie wzruszenie, połączone z uczuciem spontanicznej wdzięczności dla tej, co nie zawahała się oddać swej krwi, aby przyśpieszyć jego ożywienie. Dlaczego to uczyniła? Jerzy czuł, że nie jest to tylko zwykła wdzięczność, ale połączona z uwielbieniem i tęsknotą do tej, która okazała mu tyle dobroci serca. Jemu, rozbitkowi z Antarktydy, zagubionemu w czasie...

## Rozdział V

Przez następne dwa tygodnie inżynier Jerzy Relski zajęty był studiowaniem ustroju Ery Atomowej. Wielkie usługi oddała mu przy tym podręczna biblioteka, składająca się z około dwóch tysięcy rolek taśmy magnetowizyjnej. Przekonał się w sposób praktyczny, że przy pomocy tych „książek” można się doskonale uczyć, gdyż najtrudniejsze, najbardziej zawiłe problemy po zilustrowaniu ich za pomocą ekranu plastycznego stawały się jasne i zrozumiałe nawet dla laika.

Resztę wolnego czasu poświęcał na zapoznanie się ze szczegółami technicznymi różnych urządzeń, konstrukcją ciekawych aparatów oraz historią wielu wynalazków nowej ery.

Zapoznał się także dokładnie z mapą terenów Pierwszej Strefy Klimatycznej, tak na powierzchni ziemi, jak i z rozplanowaniem miast-fabryk podziemnych. Studiował nową mapę Europy Zjednoczonej, która geograficznie uległa pewnym przeobrażeniom. Wielkie miasta, metropolie dawnego typu, zniknęły bez śladu, a miejsce ich zajęły wspaniałe parki, piękne ogrody i korsa. Koleje żelazne i autostrady, duma XX wieku, stały się anachronizmem. Wszelka komunikacja odbywała się wyłącznie w powietrzu. Jedyne ruchome chodniki na ulicach zostały, zastępując dawne tramwaje.

Relski coraz pewniej, coraz śmieiej oddychał powietrzem nowej epoki. Zżywał się z nią i wrastał w nią jak drzewo, zwiedzając kraj za pomocą nie znanych mu dotąd, wspaniałych środków komunikacji. Oglądał z góry panoramę znanych .kiedyś okolic. Obecnie tereny te zmieniły się nie do poznania.

Gdy wracał z takiej wycieczki krajoznawczej, rozsiadał się wygodnie w fotelu, wybierał z biblioteki jakąś „książkę”, włączał do kamery radioteleryksu, słuchał i patrzył.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Jerzy skonstatował, że w społeczeństwie Atomowej

Ery nie było między ludźmi różnic stanowych czy klasowych. Walka klasowa, będąca motorem niezliczonych, krwawych rewolucji przez całe tysiąclecia, zatraciła swój pierwotny sens, gdyż ogień tej walki wypalił się. Zabrakło wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Społeczność ówczesna była bezklasowa w świetle terminologii dawnych socjologów. Jedyne na tle różnic intelektualnych i zawodowych tworzyły się grupy społeczne. Grupy — nie zamknięte klany i koterie.

Modne były także różnego rodzaju kluby, w których spotykali się ludzie o pokrewnych zamiłowaniach i zainteresowaniach. Były to kluby naukowców o określonej specjalności, artystów, literatów, malarzy oraz różnych ekscentryków, szukających ujścia dla swej bujnej fantazji, dążąc według własnych upodobań do osiągnięcia pełni życia.

Były także liczne kluby sportowe, a nawet klub astropilotów-amatorów, miłośników podróży międzyplanetarnych itp. Brak różnic klasowych w społeczeństwach Atomowej Ery nie oznaczał, że problem socjalno-ekonomiczny przestał w ogóle istnieć. Przybrał on tylko zupełnie inne formy na tle ogólnoświatowej gospodarki energią oraz sprawiedliwej dystrybucji źródeł surowców, koniecznych do wytwarzania tej energii.

Co się tyczy socjalnej strony tego zagadnienia, to regulowano także wysokość stopy życiowej obywateli, która była jednakowa dla wszystkich społeczeństw Globu. Na przykład sprawa pieniądza została rozwiązana dość oryginalnie. Złoto, jako miernik wartości, straciło na znaczeniu, gdyż jego produkcja nie była obecnie droższa od produkcji żelaza czy aluminium.

System monetarny, oparty na parytecie złota, jako wartości podstawowej, runął bezpowrotnie. Skończyło się krwawe panowanie największego z tyranów świata — złotego cielca. Należało więc ustalić jakiś nowy miernik wartości, taki, który byłby zawsze aktualny i żywy, nie podlegający deprecjacji czy dezaktualizacji. Tym idealnym probierzem wartości był — energon. Energon — to jednostka energii, jaka przypada na jednego obywatela w ciągu godziny. Obliczono ją w ten sposób, że całą ilość energii, wyprodukowaną w kraju w ciągu roku, podzielono przez liczbę ludności i potem przez ilość godzin roboczych. Czysty wynik matematyczny, wykluczający pomyłkę. Według tej skali obliczono, ile jednostek energii kosztuje wyprodukowanie każdego przedmiotu, od igły do torpedostratusa. Ponieważ warunki techniczne, a więc i warunki produkcji są obecnie w całej Europie prawie że jednakowe, energon uzyskał stałą wartość, przynajmniej na pewien czas.

Pieniądz obiegowy nie istniał w dawnej postaci. Każdy obywatel otrzymywał noty kredytowe z Głównego Biura Ekonomicznego, które wymieniał na sztony, gdy potrzebował na drobne wydatki. Życie każdego obywatela regulowane było z góry na pewien okres czasu, według planu. Każdy ustalał na przeciąg jednego roku z grubsza swoje potrzeby, układając pewien budżet. Tak jak to czyniły dawniej państwa. Składał na piśmie do Wydziału Ekonomicznego swojego okręgu drobiazgowy wykaz rzeczy, które chciałby mieć na własność, na przykład ilość ubrań, bielizny, jakieś specjalne aparaty, urządzenia, podróże, jakie chciałby odbyć itp. Do tego dochodziły wydatki na utrzymanie, opłaty stałe za korzystanie z urządzeń radiotelewizyjnych, energię elektryczną, dzierżawę domku i ogrodu oraz tak zwany „fundusz niespodzianek”, wynoszący od dwudziestu do trzydziestu procent całego budżetu, a przeznaczony na nieprzewidziane wydatki. Wydział Ekonomiczny przeliczał wszystko na energony i ustalał ich ilość. Dodawał od siebie pewien procent na fundusz społeczny, utrzymanie stref klimatycznych (w każdej strefie klimatycznej był inny współczynnik kosztów) i ustalał indywidualnie, ile ów obywatel winien dać godzin swej pracy, aby zrównoważyć przewidziany przez siebie preliminarz wraz z wszystkimi świadczeniami społecznymi. Dopuszczalne były również pewne zmiany w terminach późniejszych, a nawet u schyłku roku budżetowego, jeśli zaistniały nowe, nieprzewidziane potrzeby lub chęć rezygnacji z pewnych rzeczy, a które nie mogły pomieścić się w ramach „funduszu niespodzianek”.

W tym ustroju nie było biedaków ani bogaczy, gdyż nie było wyzysku. Nikt nie groma-

dził dóbr materialnych, przekraczających własne potrzeby, ponieważ miałby tylko z tym kłopot. Nie mógł liczyć na sprzedaż owych zbędnych dla niego przedmiotów, bo każdy obywatel, układając swój budżet domowy na rok z góry, otrzymywał wszystko z Głównego Biura Ekonomicznego swojej strefy klimatycznej, dając w zamian odpowiednią ilość energonów w postaci swej pracy. Jeśli z czegoś rezygnował, to Biuro Ekonomiczne odpisywało z jego konta taką ilość energonów, jaka potrzebna była do wyprodukowania tego przedmiotu, a tym samym pracował mniejszą ilość godzin.

Wysokość tak zwanej „stopy życiowej” regulowana była również indywidualnie przez jednostkę. A że pęd do swobodnego korzystania z wszelkich osiągnięć i zdobyczy kulturalnych i cywilizacyjnych jest u człowieka sprawą niezaprzeczoną, więc i wśród społeczeństw Atomowej Ery nie było takich, co nie chcieliby iść z prądem czasu w poszukiwaniu pełni życia.

Dyktując sobie samym warunki materialne, jedni pracowali mniej, inni więcej, zgodnie z ustalonym przez siebie budżetem. Wybitni uczeni, specjaliści, wynalazcy korzystali z wszelkich udogodnień, aparatów i urządzeń, jakie ówczesna epoka miała do dyspozycji, a które znajdowały się pod kontrolą społeczną. Tak samo komunikacja międzyplanetarna była kontrolowana przez Centralny Instytut Eksploatacji Planet, mający swoją siedzibę w Norbant.

Czas pracy był minimalny. Wahał się w granicach od 20—48 godzin na miesiąc. Było to możliwe dzięki temu, że człowiek opanował tajemnice natury i wyzwał olbrzymie ilości energii w sposób dotąd nie znany.

Teraz Relski rozumiał, gdzie leżało źródło tak zwanej „walki klas” i co stanowiło istotę tej walki, która nurtowała społeczeństwa dawnych epok. Ostatecznym celem tej walki było stworzenie takich warunków bytowania, by każdy człowiek czuł się naprawdę wolny, nie cierpiał głodu i zimna, a jednocześnie mógł korzystać w pełni z wszelkich zdobyczy cywilizacyjnych i kulturalnych swojej epoki. Na drodze do znalezienia złotego środka stała zawsze zbyt niska, niedostateczna technika produkcji wszelkich dóbr materialnych.

Dopiero teraz, w epoce Atomowej Ery, ideał ten został w pełni zrealizowany, gdy człowiek osiągnął tak nieograniczone możliwości produkcji, że kosztem niewielkiego wysiłku mógł zaspokoić kilkakrotnie wyższe potrzeby. Jednocześnie zaś pojął szerzej i głębiej sens bytu, szukając radości życia nie w bezmyślnym, chaotycznym gromadzeniu bogactw w takiej czy innej postaci, jak to czynili jego przodkowie od jaskiniowca aż po wiek XX, lecz w jego treści najistotniejszej: w obcowaniu z naturą, w sztuce, kształtowaniu własnej osobowości oraz w intensywności życia, wolnego od chorób i cierpień.

Spotęgowanie życia we wszelkich jego przejawach, ogarnięcie jego pełni — to hasło naczelne ludzi Ery Atomowej.

## Rozdział VI

Nim upłynął miesiąc od przyjazdu inżyniera Relskiego do kraju, czuł się on już dobrze i pewnie w warunkach nowego życia. Odbył w tym czasie kilka podróży torpedostratusem wzdłuż i wszerz wszystkich czterech stref klimatycznych. Kosztowało to zaledwie kilkaset energonów. Raz odbył taką podróż we własnym domku w towarzystwie Ireny i dyrektora Ramina. Wyglądało to bardzo oryginalnie i Jerzy nie mógł opanować swego zachwytu. Obecnie, gdy cała komunikacja odbywała się w powietrzu, zrobiło się ciasno. Przystworza jakby skurczyły się. A że nie było wypadków, zawdzięczać to należało automatycznym sterom radarowym, wykluczającym awarię. Okrążyli Pierwszą Strefę Klimatyczną na wysokości



dwóch tysięcy metrów.

W czasie tej niezwyklej podróży uświadomił sobie, że... kocha Irenę. Rozmawiali o sprawach bardzo ogólnych. Dyrektor Ramin opowiadał z wielkim ożywieniem o wpływie klimatu na kształtowanie się światopoglądu, siły woli i charakteru człowieka współczesnego i o ciągle jeszcze nie skończonym procesie biopsychicznym ludzi U N. Lecz dla Jerzego ta rozmowa była jedynie zręczną odskocznią, grą słów, przeplatana akordami jej srebrzystych uśmiechów, które miały dla niego urok niezwykłości. Potrzeba coraz częstszego obcowania z Ireną rosła na sile, stając się motywem przewodnim jego życia. Dzień, w którym jej nie widział, wydłużał się w nieskończoność. Dławił go swoją pustką niepokojącą i beznadziejnością oczekiwania. Na co? Pożądał jej... Namiętność zrywała się w nim chwilami jak burza i jak burza ulatywała w błysku jej roześmianych, przenikliwych spojrzeń, w których słodycz, pogarda i duma graniczyły z sobą w sposób nie dający się wyrazić zwykłą retoryką słów.

Niekiedy próbował połączyć się z nią za pomocą radioteleriksu, by choć na ekranie telewizyjnym ujrzeć jej sylwetkę, ale najczęściej aparat sygnalizował jej nieobecność w domu. Prowadzi jakieś tajemnicze życie — myślał niepocieszony. Radioteleriks — cudowny aparat, oko i ucho świata w służbie człowieka Atomowej Ery — nie na wiele mógł się przydać w jego miłosnej udręce. Relski starał się zapomnieć i godzinami wysłuchiwał programów światowych stacji radiotelewizyjnych.

Radioteleriks, obok programu stacji Globu, utrwał także na taśmie magnetowizyjnej komunikaty radiowe z Księżycą, Marsa i Wenus, nadawane codziennie o godzinie 24-tej średniego czasu ziemskiego. Gdyby doba miała 48 godzin, nie potrafiłby wysłuchać dziesiątej części bogatego programu głównych stacji. Do tego dochodziły jeszcze sprawy towarzyskie, notowane pod numerem jego ewidencji, na prywatnej długości fali. Pobieżne przeglądnięcie tego prywatnego „kącika” zabierało wiele czasu, gdyż osoba jego budziła w dalszym ciągu zainteresowanie, szczególnie wśród kobiet. Niektóre proponowały mu nawiązanie bezpośredniego kontaktu. Radioteleriks utrwał nawet podobizny tych osób. Jeśli dodamy do tego zarządzenia władz, które również tą drogą docierały do obywatela, gdyż korespondencja była już anachronizmem, jak również czasopisma i książki, zdamy sobie sprawę z ogromu tego wszystkiego, z czym każdy członek społeczeństwa Atomowej Ery musiał się codziennie zetrząść. Należało w błyskawicznym tempie reprodukować w kamerze radioteleriksu ten bogaty materiał, wybierając to, co konieczne i interesujące.

Zresztą zwyczajnie towarzyskie zmieniły się tak radykalnie, że początkowo Relski nie mógł do tego nowego *savoir-vivre'u* przywyknąć. Nie było już między ludźmi rażącego swoją śmiesznością dystansu, w którym hipokryzja i nieufność prześcigały się nawzajem. Jerzy z prawdziwą satysfakcją konstatawał, że nawet ludzie U S, urodzeni w laboratoriach instytutów elektrobiologii stosowanej, korzystali z tych samych praw, co i obywatele U N, urodzeni naturalnie.

Dziwne wydawało mu się początkowo, gdy spotykał na spacerze w parku, obok Pałacu Kwiatów, nieznanymi mężczyzn i kobiety, którzy pozdrawiali go miłe i bez żadnych wstępów nawiązywali z nim rozmowę. Uściskiem ręki żegnali go, prosząc, by zapamiętał ich numer i raczył zatelefonować.

W taki czy inny sposób poznał wiele osobistości ze świata nauki i sztuki czy też piastujących eksponowane stanowiska. Nie znał tylko bliżej kobiety współczesnej. Prócz Ireny, w której się kochał, i Marietty, jej przyjaciółki, nie znał żadnej. Obie wydały mu się dziwne i tajemnicze. Gdyby nie ta miłość, którą tłumił w sobie, nie mając odwagi jej wyznać, czułby się nawet szczęśliwy. Wymarzone warunki klimatyczne według wyboru, życie wolne od chorób i cierpień fizycznych, nie znające, co to troska i lęk o jutro, o zachowanie zdrowia i młodości, o wiele, wiele dłuższe, niż dawniej wynosił przeciętny wiek ludzkiego życia, czy to nie cudowne? Relski przypominał sobie, że za jego czasów były już udane próby ożywiania zmarłych, polegające na wznowieniu czynności serca przez wpompowanie pod ciśnieniem świeżej krwi

z domieszką wody utlenionej, adrenaliny i glukozy.

Obecnie śmierć jest lekceważona przez mieszkańców Globu. Zachowują się tak, jakby nie istniała wcale, choć przecież i dziś jeszcze ludzie umierają. Dyrektor Ramin opowiadał mu niedawno, że zdarzają się tacy, którzy nie chcą się poddać regeneracji i umierają na uwiad starczy. Bywają także samobójcy, ale są to wypadki sporadyczne. Zdarza się to zwłaszcza wśród ludzi U S. Myśląc o tym, przypomniał sobie Mariettę i jej ogromne, głęboko osadzone oczy, pełne jakiejś melancholii czy apatii.

Otrzymał urzędowe zawiadomienie, aby nazajutrz rano zgłosił się w Głównym Biurze Osobowym w sprawie przydziału pracy. Wiadomość ta szczerze go uradowała. Praca obowiązywała wszystkich obywateli bez wyjątku. Jerzy ciekawy był, jaki rodzaj pracy przypadnie mu w udziale.

Następnego dnia z rana zjechał automatyczną windą do podziemnego miasta i ruchomym chodnikiem dostał się do tej samej sali, w której znalazł się po raz pierwszy w towarzystwie Ireny. Marietta przyjęła go życzliwie i coś, jakby błysk uśmiechu przemknął po jej prawie dziecinnej twarzy. Spojrzał na nią uważnie. Powietrze mieniło się różowym, ciepłym blaskiem. W kręgu dziwnego światła, które nie dawało cienia, wydała mu się piękniejsza niż wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

— Panie Relski... — przerwała milczenie, siadając za biurkiem — proszę się udać do Centralnego Biura Zatrudnienia celem przydziału pracy...

Uśmiechnęła się z pewną dozą kokieterii.

— Cieszę się, że nie zapomniano o mnie — powiedział żartobliwie.

Podchwyciła jego wesoły nastrój, obrzucając go ciepłym spojrzeniem spod długich rzęs.

— Pojedzie pan windą w dół; na dwunaste piętro, hali numer 517, a następnie do sali numer A 41 dostanie się pan ruchomym chodnikiem. Tam spotka pan dyrektora Pilnara, który załatwi sprawę ostatecznie.

Umilkła, wciskając Jerzemu do ręki biały kartonik, na którym widniał jego numer i obecny adres oraz data zameldowania przy Alei Pomarańczowej w Pierwszej Strefie Klimatycznej. Pożegnała go uściskiem ręki. Gdy znalazł się w windzie, myślał znowu o Irenie. Towarzyszyła mu aż do sali 41. Jak to dobrze, że będę pracował — cieszył się w duchu. — Nie będę tyle myślał o niej.

Drzwi otworzyły się i w głębi jasnego pokoju ujrzał w seledynowym świetle postać siedzącego mężczyzny o smągłej twarzy i wnikliwym spojrzeniu. Powstał znad ogromnego stołu i wyciągając do Jerzego rękę, powiedział z wyrazem niekłamanego zadowolenia:

— Jestem dyrektorem Pilnar... Witam pana, inżynierze... Witam...

— Dzień dobry panu!... Przybyłem zgodnie z wezwaniem...

— Z zaproszeniem, miły panie. Wszak jest pan naszym gościem. — Popatrzył mu życzliwie w twarz i dodał z uczuciem ulgi: — Zgodnie z opinią Najwyższej Rady Kwalifikacyjnej jest pan wolny od przymusu pracy z racji swego niezwyklego pochodzenia...

— Jak to? Nie chcecie, abym pracował? — zdziwił się Relski.

— Ależ nie... Chcieliśmy tylko zaproponować panu wybór, wolny wybór...

— Panie dyrektorze, ja chcę pracować. Jakże to, wróciliście mi życie, otoczyliście mnie wszelkim dobrem, w jakie obfituje wasza wspaniała cywilizacja, owoce waszej pracy, waszych zabiegów i wysiłków, a ja miałbym pasożytować, nie dając nic w zamian?...

Urwał, a dyrektor Pilnar rozłożył bezradnie ręce.

— Ależ, drogi inżynierze. Posiadamy tak wielkie obfitości wszelakich dóbr oraz nieograniczone możliwości ich wytwarzania, że osoba pańska nie zaważyłaby na ogólnej szali wydatków Pierwszej Strefy Klimatycznej nawet tyle, ile przysłowiowa kropla w morzu...

— Ja chcę pracować, bo nie potrafiłbym żyć w przeświadczeniu, że nie jestem nikomu potrzebny.

— A więc dobrze, kochany panie Relski, skoro pan tak pragnie pracować... — wycią-

gnął pojednawczo rękę i uściśnął mu dłoń. — A zatem... Co chciałby pan robić?

— Studiowałem niskie napięcia i poświęciłem się badaniom magnetyzmu ziemskiego. W tym celu pojechałem na Antarktydę z wyprawą naukową...

— A to się doskonale składa — wtrącił wesoło Pilnar. — Nadzwyczajnie. Wie pan co? Obecnie na Antarktydzie bawi ekipa uczonych europejskich, która bada teren w celu zbudowania tam potężnej stacji doświadczalnej do badań zjawisk magnetycznych Ziemi i naszego systemu planetarnego. Oczywiście będzie pan mógł zapoznać się z najnowszymi osiągnięciami w tej dziedzinie, opanować posiadany materiał i szukać nowych rozwiązań na tym polu, nowych odkryć.

— Więc pojedę do Bieguna Południowego? Jakże się cieszę!

— Hola, drogi panie! Nie tak prędko. Obecnie czynione są przygotowania celem zmiany klimatu na stałym lądzie Antarktydy. Chodzi o to, aby stopić góry lodowe i wieczne śniegi, a gdy woda spłynie do oceanu, założyć strefę klimatyczną, zbudować stację radiotelewizyjną, uruchomić stałą komunikację stratosferyczną z lądem centralnym, obsiać nagą ziemię, by pokryła się bujną zielenią...

Relski spochmurniał, słuchając wywodów dyrektora Pilnara. W pewnej chwili zauważył nie bez ironii:

— Ależ to praca na kilka pokoleń.

— Na kilka pokoleń? Cha! cha! Drogi panie, pan myśli jeszcze kategoriami dwudziestego wieku. U nas to wygląda inaczej... — I z tajemniczym uśmiechem na dobroduszej twarzy zbliżył się do Jerzego, a położywszy mu ręce na ramionach, utkwiał swoje bystre źrenice w jego oczach.

— To wszystko, co panu powiedziałem — oświadczył z nowym akcentem — nie potrwa dłużej niż sześć miesięcy...

— W jaki sposób?

— Zwyczajnie. Dysponujemy potężną energią, która mogłaby osuszyć Morze Śródziemne w ciągu kilkunastu dni. Skoro potrafiliśmy zmienić klimat w Europie, by zamienić ją w kwitnący ogród, nie zaprzeczy pan chyba, że nie potrafimy stopić lodowca Antarktydy.

— Wierzę, panie dyrektorze, ale...

— To dobrze, że pan uwierzył — powiedział z wyraźnym zadowoleniem dyrektor Pilnar, opuszczając dłonie z ramion Jerzego. — To dobrze... Bo widzi pan — mówił bez przerwy, nie dając Jerzemu przyjść do słowa — wiara naszej epoki to wiara w ludzki czyn, w ostateczne zwycięstwo człowieka. Ta wiara stworzyła rzeczywistość naszej epoki. Inaczej pomarlibyśmy w marazmie i zwątpieniu, bo przyroda nie jest łatwa dla tych, którzy unikają z nią walki.

— Tak, to prawda — wyrwało mu się bezwiednie.

— Widzi pan. A proszę wziąć jeszcze pod uwagę niepokojący fakt, że słońce obecnie, na skutek pewnych zaburzeń magnetycznych, dostarcza mniej energii, niż to miało miejsce za pańskich czasów, przez co przeciętna temperatura na Ziemi obniżyła się o kilka stopni i gdyby nie ciepło, otrzymywane drogą przemiany pierwiastków, musielibyśmy wyemigrować z północnych terenów Europy, gdyż zima trwałaby tam zbyt długo.

— Nie wiedziałem o tym...

— Dlatego też Najwyższa Rada Geniuszy zaleciła intensywne badanie istoty magnetyzmu, aby dojść do konkretnych, realnych wyników.

— Chętnie wyjadę na Antarktydę, by wziąć udział w badaniach...

— O nie, na to jeszcze czas. Musi pan się do tej pracy przygotować w Krajowym Instytucie Nauk Specjalnych. Pracuje tam sztab naszych uczonych z profesorem Marskim na czele. Właśnie do niego chcę pana skierować. Przedtem jeszcze uda się pan do Instytutu Medycyny Doświadczalnej, na klinikę doktora Ramina.

— Znam doktora Ramina osobiście...

— Tym lepiej. A oto skierowanie.

Relski pożegnał dyrektora Pilnara, aby udać się prosto do Instytutu Medycyny Doświadczalnej, który mieścił się w pobliżu Pałacu Kwiatów. Doktora Ramina zastał w sali operacyjnej, na klinice ortopedycznej, dokąd zaprowadziła go jasnowłosa pielęgniarka.

Po chwili wróciła, objaśniając:

— Pan doktor ma jeszcze kilka operacji. Prosił, aby zechciał pan poczekać tu obok, w sali recepcyjnej.

Oddaliła się pośpiesznie, ukazując w uśmiechu drobne, białe zęby. Jerzy rozejrzał się wokoło. W sali panowała wielka jasność, gdyż światło słoneczne spływało tutaj obficie przez szklany dach. Nie miało jednak ostrych refleksów, ale sączyło się łagodnie i dyskretnie. Obok, za przejrzystą ścianą, ujrzał doktora Ramina, z maseczką na ustach, pochylonego nad jakimś pacjentem, który leżał na stole operacyjnym. Dojrzał Jerzego przez szklaną ścianę i skinął przyjaźnie głową w jego stronę. Relski zbliżył się i zajrzał przez grubą, kryształową taflę w głąb niewielkiej sali.

Ruchliwe postacie pielęgniarek i lekarzy oscyływały śnieżną bielą długich, obwisłych kitłów, suto marszczonych z tyłu ramion. Doktor Ramin stał w odległości kilku kroków od ściany, wpatrując się przez otwór maski w twarz leżącego nieruchomo człowieka. Był to mężczyzna w średnim wieku, z amputowaną nogą powyżej kolana. Jeden z asystujących lekarzy z pomocą młodej pielęgniarki kładł obok, na podłożu z waty czy ligniny okrwawioną kończynę ze zmiądzonym kolaniem i częścią stopy. Na miejsce amputowanej podłożono inną, nie uszkodzoną.

Proteza z gumy — pomyślał Jerzy. Lecz to, co za chwilę zobaczył, wprawiło go w zdumienie. Doktor Ramin i asystujący mu chirurg przystawili podaną kończynę do nogi pacjenta i nachyliwszy się nad nim, za pomocą precyzyjnych instrumentów dokonywali operacji ich złączenia. Dwie urocze pielęgniarki z półuśmiechem na skupionej twarzy odbierały przyrządy z rąk lekarzy i podawały zręcznie, niemal błyskawicznie, inne, leżące obok, zanurzwszy je przedtem w niebieskawym płomieniu lampy. Więc to nie proteza... Jerzy oderwał wzrok od grubej szyby i usiadł obok, nie mogąc zrozumieć sensu tego, co widział. Za parę minut zjawił się doktor Ramin.

— Witam pana, inżynierze.

— Dzień dobry, doktorze. Czy nie przeszkadzam?

— Przeciwnie. Jest mi pan potrzebny.

Jerzy spojrzał nań pytająco.

— Ja... panu?

— Tak. Zaraz to panu wyjaśnię. A tymczasem proszę się rozejrzeć po naszej klinice.

Był wesół i ujmujący jak zwykle. Jasna, sportowa marynarka i białe spodnie czyniły go jeszcze młodszym. Ujął Relskiego pod ramię i poprowadził wzdłuż obszernego hallu:

— To oddział chirurgii urazowej.

— Domyślam się. Widziałem przed chwilą, jak dokonywał pan operacji, doktorze...

— A tak. To jeden z najprostszych zabiegów chirurgii ortopedycznej.

— Takie „przyklejanie nogi?”

— Oczywiście. Sądził pan, że to jakaś noga z plastyku lub innego tworzywa sztucznego, co?

— Tak z początku myślałem...

Doktor Ramin zaśmiał się znowu. W śmiechu tym nie było cienia zarozumiałstwa, ale brzmiała w nim nuta przyjaznej szczerości.

— Czy przypuszcza pan, inżynierze, że ludzie Atomowej Ery chcieliby nosić te martwe kosztury?

— Lepsze to niż obnażanie kalectwa. A poza tym daje pewną ulgę: ułatwia poruszanie...

— Bez wątplenia. Ale naszą epokę stać na coś więcej niż zamierchły prymityw. Mamy

hodowle sztucznych tkanek i całych organów ludzkich...

Jerzy przystanął ze zdumienia.

— Widzi pan — mówił doktor Ramin — w pańskiej epoce robiono protezy z drzewa, kauczuku, lekkich metali czy masy. U nas ta sprawa wygląda nieco inaczej. My stosujemy protezy z żywego ciała, wyprodukowanego sztucznie w naszych laboratoriach elektrobiochemii stosowanej. Łączy się tkankę kostną, zszywa arterie, zakończenia nerwów czuciowych, mięśnie i skórę i noga zrasta się po tygodniu tak, że nawet pacjent nie może odróżnić, która jest własna, a która spreparowana.

— Żartuje pan, doktorze...

— Bynajmniej. Przecież pan widział przed chwilą taki zabieg.

— To prawda. Lecz trudno mi uwierzyć. To nadzwyczajne...

— Przecież skoro potrafiliśmy stworzyć żywego człowieka, z sercem i mózgiem myślącym, to cóż znaczy tak marny eksperyment jak wymiana kończyny?

Przystanęli. Relski położył przyjacielskim gestem rękę na ramieniu doktora. Ten uśmiechnął się wyczekująco.

— Proszę mi wyjaśnić doktorze, w jaki sposób doszliście do tak niezwykle, ponad ludzką miarę osiągnięć?

— Siadajmy — powiedział doktor Ramin, uczyniwszy wymowny gest ręką w kierunku ściany, gdzie przy okrągłym, niskim stoliku stały wygodne krzesła.

— Widzi pan, nie stało się to tak od razu — zaczął po chwili. — W nauce nie ma cudów, są tylko rewelacyjne odkrycia nowych praw, rządzących życiem i materią, których nie potrafiliśmy dotąd dostrzec. Tak jak przez długie wieki nie zauważyliśmy w naturze elektryczności, choć objawiała nam się często w świetle błyskawic i salwach grzmotu... Postęp, kultura powstaje mrówczą pracą nieustrudzonych badaczy. Zanim błysk piorunu przemieniono w światło żarówki elektrycznej, upłynęło tysiące lat. A przecież dopiero od żarówki elektrycznej zaczyna się cywilizacja...

— I od maszyny parowej...

— W istocie. Szukanie zbawczej nici Ariadny, która by doprowadziła w końcu człowieka do odkrycia największej prawdy — tajemnicy jego istnienia. Po co przyszedł i dokąd dąży.

— Dokąd? — powtórzył jak echo Relski.

— Ale odbiegamy od tematu — zauważył nie bez zdziwienia doktor Ramin. — Wszak miałem panu powiedzieć, jak wytworzono w naszych laboratoriach pierwszego sztucznego człowieka.

— Oczywiście... To zagadnienie jest dla mnie frapujące.

— A zatem... Widzi pan, drogi przyjacielu, że nie było to ani łatwe, ani proste. Stało się to możliwe dzięki temu, że Edison zapalił pierwszą lampę elektryczną. W złocistym kręgu jej światła pracowali inni i stworzyli radio, telewizję, zbadali tajemnicę jądra atomowego, docierając do praźródeł materii i energii. Czy nie uważa pan, że motorem wszelkiego postępu jest ludzka ciekawość?

— Dawniej twierdzono, że potrzeba jest matką wynalazków...

— Twierdzenie tylko pozornie słuszne. Dopiero zaspokojona ciekawość stwarza potrzebę, rodzi się nowa ciekawość i tak dalej. Pierwotny człowiek nie odczuwał potrzeby używania prądu elektrycznego. Ale ciekawy był, jak powstaje piorun i z czego się składa. Wielu badaczy straciło życie przy badaniu tego zjawiska, nie odstraszyło to innych, bo gnała ich ciekawość. Kolumb ciekawy był, czy dopłynie do Indii, płynąc nie jak dotychczas na wschód, ale w kierunku zachodnim, i odkrył Amerykę. Albo weźmy samolot. Człowiek nie odczuwał potrzeby latania. Odwrotnie. Odczuwał lęk, patrząc z góry na ziemię...

— A jednak zaczął latać...

— Oczywiście — mówił doktor Ramin, wpadając w oratorski zapał — zaczął latać,

choć ta zabawa kosztowała go z początku drogo. Ciekawość nie dawała mu spokoju. Pierwszy Ikar...

— Rozumiem, doktorze — przerwał Relski. — Teraz rozumiem wszystko. Wiem, dlaczego człowiek budował teleskopy i patrzył w gwiazdy, dlaczego wdzierał się w atmosferę lub w stalowej kuli zapuszczał się w głębiny oceanów... — wyrecytował to jednym tchem, jak uczeń dobrze przygotowaną lekcję.

Twarz doktora Ramina jaśniała triumfującym uśmiechem.

— A dlaczego rozbił atom, też pan wie?

— Wiem, doktorze. Chciał osiąść tajemnicę budowy wszechświata i tajemnicę życia.

— Doskonale. Celująco! Gdybym był pańskim profesorem fizyki, postawiłbym mu piątkę...

Szczery wybuch śmiechu przerwał dyskusję. Ale doktor Ramin nie wypadł ze swej roli. Po chwili mówił dalej:

— Człowiek zapragnął dowiedzieć się, z czego zbudowany jest świat. I dalejże badać atom. Pierwiastek przestał być nierozzerwalnym elementem materii, a tajemnica jego konstrukcji została ujawniona. Nauczył się przemieniać jedne pierwiastki w drugie. Potem materię przemienił w energię, a energię w materię. Wreszcie chciał się dowiedzieć, jak powstaje życie. Stworzył więc nową naukę, którą nazwał elektrobiochemią...

— Słyszałem o tej nauce wiele, ale nie znam jej istoty.

— Pojętny z pana uczeń, inżynierze, więc coś niecoś panu opowiem. Zaczęło się od wirusów. Z pewnością wie pan, że wirus to taka najmniejsza drobina żyjąca, mniejsza od bakterii, a większa od atomu...

— Coś na pograniczu materii i życia.

— O, właśnie. Żyje i rozmnaża się, czerpiąc pożywienie ze środowiska, w którym się znajduje, czego zwykły atom nie potrafi, choćby stanowił cząstkę tego samego pierwiastka co wirus.

— Dlaczego?

— Bo wirus składa się z wielu atomów, powiązanych z sobą w sposób specyficzny, wyjątkowy. Dlatego żyje, a tego nie można było osiągnąć za pomocą zwykłych reakcji chemicznych. Nasi biochemicy podpatrzyli budowę białka wirusów przez mikroskop ultraantyptonowy, przez który widać atomy, i zrekonstruowali je, tworząc sztuczne wirusy. Tak otrzymane wirusy żyły i rozmnażały się jak powstałe drogą naturalnego rozwoju.

— Ale w czym tkwi tajemnica życia? Jak ją odkryto, doktorze? — rzucił niecierpliwe pytanie Jerzy.

— O właśnie... Dotarliśmy do sedna rzeczy. Oglądając atomy żywych wirusów zauważono, że występuje między nimi jakaś nowa, nieznaną siłą. Były to napięcia elektryczne, międzycząsteczkowe, nie ujawniające się przy wiązaniach atomów za pomocą zwykłych reakcji chemicznych. Zmierzono te napięcia, obliczono ich wartość i matematycznie ustalono, w jakich warunkach powstaje białko, które żyje...

— Więc życie jest prostym wynikiem matematycznym, który można wyrazić w cyfrach i znakach?!

— Nie. Elektrobiochemicznym. Matematyka jest jednym z elementów współdziałających. I tak powstały instytuty elektrobiochemii stosowanej, drogi panie Jerzy.

— Ośmielam się zauważyć, doktorze, że od wirusa do człowieka, to daleka, powiedziałbym, astronomiczna droga.

— Bez wątpienia. Ale wiedza ludzka, gdy raz dojrzy światło nowej, wielkiej prawdy, nie spocznie, póki nie zgłębi źródła tej prawdy, tak jak śledząc promienie światła, dotrzemy do słońca...

— No i dalej?

— Dalej już poszło łatwiej. Skonstruowano metodą elektrobiochemii pierwsze ziarno

fasoli, a rzucone w ziemię, wypuściło świeże, zielone pędy. Odtąd, rok za krokiem, doszliśmy do odtworzenia sztucznych tkanek i organów, niczym nie różniących się od tkanek i organów, z jakich składa się ciało ludzkie czy zwierzęce. W końcu udało się zrekonstruować syntetycznie jajo kobiece i męską plazmę, a złączywszy je, uzyskaliśmy zapłodnienie i embrion...

— I tak bez matki?

— Bez matki. Embrion, mając zapewnione takie same warunki biologiczne jak w łonie matki, rozwijał się prawidłowo.

— Fantastyczne... — wykrztusił Jerzy — nieprawdopodobne...

— A mimo wszystko prawdziwe — zawtórował śmiechem doktor Ramin, szczerze ubawiony wybuchem -jego niewiary. Po czym, wytrzymując dłuższą pauzę, dodał bez pośpiechu: — Nie dziwię się pańskiej negacji. Wszak żyjemy w epoce, w której żywi wskrzeszają umarłych, a zmarli zabijają żywych. Zmarli od promieni radioaktywnych — dodał wyjaśniając: — ofiary ostatniej wojny.

— Słusznie, doktorze. Lecz mnie interesują obecnie sprawy żywych, urodzonych w instytutach elektrobiologii stosowanej. Ścisłej: jak wyglądali ci pierwsi ludzie, urodzeni bez matki-rodzicielki?

— Ludzie urodzeni w ten sposób nie różnili się pozornie od tych wszystkich, którzy rodzili się normalnie. Lecz dojrzewali zbyt wcześnie i żyli bardzo krótko.

— I cóż na to elektrobiolodzy?

— Początkowo byli upojeni sukcesem. Cały świat mówił tylko o tym...

Jerzy z nie słabnącym zainteresowaniem patrzył w rozpłomienioną entuzjazmem twarz doktora Ramina. Lecz w następnej chwili zgasł płomień w jego oczach, gdy powiedział z odcieniem melancholii:

— Triumf trwał jednak krótko. Okazało się, że radość była przedwczesna. Człowiek, jaki powstał w ten sposób, nie był zdolny do życia. W ciągu niespełna siedmiu lat był już dojrzałym, zaś umysł jego był jakby w letargu. Nie umiał myśleć, nie posiadał wyobraźni i obce mu były stany uczuciowe. Nie potrafił kochać ani nienawidzić. Był obojętny na wszystko, co się wkoło niego działo. Pozwalał się zabijać bez protestu nie mając instynktu samozachowawczego. Wśród naszych elektrobiologów powstała konsternacja. Wielu z nich straciło nadzieję osiągnięcia pozytywnych wyników, inni popadli w głęboką depresję...

— A jednak geniusz w końcu zwyciężył. Komu mamy do zawdzięczenia ten sukces?

— O, właśnie. Pozostał nieliczny zastęp uczonych, którzy nie zawąpili w powodzenie sprawy. Między nimi był młody lekarz o niezwyklej inteligencji i intuicji odkrywczej, genialny Zibellus...

— Doktor Zibellus? — Relskiemu zatkało oddech.

— Tak. Z Instytutu Wiedzy w Norbant, członek Najwyższej Rady Geniuszy...

— Teraz rozumiem, dlaczego eksperyment stworzenia sztucznego życia i człowieka U S udał się tak wspaniale...

— Niewątpliwie, doktor Zibellus dokonał niezwykłego odkrycia. Sreparował ludzką krew, wynalazł promienie X P, posiadające moc ożywiania martwych komórek i tkanek. Zaczął ożywiać ludzi umarłych.

— Ależ to jest nadludzkie. Wydarł tajemnicę Stwórcy...

— Niezupełnie. Dotarł jednak do tych regionów wiedzy, do których nikt z ludzi dotychczas nie doszedł. Dla niego śmierć przestała być nieubłaganym, okrutnym tyranem, lecz stała się potulna i ustępliwa, gdy chciał wyrwać z jej szponów ludzkie istnienie.

— Zibellus odebrał tajemnicę Bogu i poderwał tym samym Jego autorytet.

— Tak. W wyobraźni ludzi dwudziestego wieku Bóg to istota będąca ponad światem i ponad prawem, która dała początek wszystkiemu i może nieść bezkarnie zagładę, nie pytając nikogo o zgodę. Tu nie ma apelacji, a tylko rezygnacja.

— A jaką religię wyznaje człowiek Atomowej Ery?

— Religię walki i czynu. Szukamy nowych prawd i nowych praw, rządzących światem i życiem. Bóg przestał być dla nas tyranem, a stał się sprzymierzeńcem w tej walce o prawdę życia. W nas samych szukamy jego oblicza, a władzę nad światem przejmujemy we własne ręce.

— Zbyt światoburcze to zamysły.

— Lecz nas nie przyprawiają już o zawrót głowy. My wiemy, że taki, a nie inny los przeznaczony jest człowiekowi. Jest to ta radosna świadomość, że nie jest się tworem przypadku czy pomyłki natury, czymś, co nie ma celu ani określonego miejsca we wszechświecie. Przeciwnie, odszukując sens i cel bytowania, stajemy się współgospodarzami i współtwórcami tego wszystkiego, co nosi dumną nazwę: ludzkość i wszechświat... — doktor Ramin zakończył akcentem nieukrywanej dumy.

— Pięknie to pan powiedział, doktorze.

— Tak jak to czuję. A teraz chodźmy dalej — zaproponował Jerzemu — zobaczy pan rzeczy jeszcze ciekawsze... — Ukazując Relskiemu wejście do następnej sali operacyjnej, przeszli przez jasny hali.

Oddział chirurgii wewnętrznej... Tak samo tutaj, jak i w klinice ortopedycznej mieściło się kilka separetek o szklanych ścianach, przez które widać było białe sylwetki lekarzy i asystentek.

— O, niech pan spojrzy, inżynierze, tutaj, na prawo, a zobaczy pan coś ciekawego. To mój przyjaciel, doktor Larowski. Operuje serce.

Jerzy spojrział w tę stronę. Na stole operacyjnym leżał pacjent z otwartą klatką piersiową, ponad którą unosiły się i opadały z niezwykłą precyzją i lekkością, jakby nie dotykając ciała, gibkie palce chirurga. Po chwili lekarz wyjął coś z wnętrza otwartej klatki i trzymał przez moment na otwartej dłoni. To coś ruszało się, było żywe.

— Ależ to serce...

— Tak jest. To serce — potwierdził doktor Ramin. — Zapewne skutek atrofii mięśnia nie może normalnie pracować, zagrażając życiu pacjenta. Doktor Larowski wymieni mu jego stare, sfatygowane serce na nowe, otrzymane sztucznie.

— Robicie prawdziwe cuda, doktorze.

— No... niezupełnie, drogi przyjacielu. W tym jest pewna przesada. Wszak podobne cuda robiliście i wy, ludzie dwudziestego wieku. Wskrzeszaliście zmarłych.

— Tak, ale to było co innego, coś specyficznego. Teraz zaś...

— Teraz, prócz mózgu i rdzenia kręgowego, możemy wymienić wszystko, nawet całe jelita z żołądkiem, nerkami, wątrobą i śledzioną włącznie. I płuca. Ale chodźmy już.

Doktor Ramin przyśpieszył kroku. Boczny przejściem dostali się na taras, a stamtąd do zacisznego gabinetu naczelnego lekarza i dyrektora w jednej osobie. Gabinet ów mieścił się w lewym skrzydle olbrzymiego pawilonu. Panował w nim półmrok, gdyż światło słoneczne nie dochodziło tu z tej prostej przyczyny, że nie było okien. Był to dosyć obszerny pokój o wąskich ścianach i suficie, zakończonym ostrym łukiem gotyckim. Gdzieś z boku sączyło się niebieskawe światło, nadając ten sam odcień gładkim, lśniącym ścianom.

Doktor Ramin wskazał Relskiemu fotel.

— Niech pan siada, inżynierze. Zaraz przygotuję kabinę.

Zniknął obok za rozsuwanymi drzwiami w jednej ze ścian gabinetu, za chwilę drzwi rozsunęły się znowu i doktor Ramin uprzejmym gestem zaprosił Jerzego do słabo oświetlonego, niewielkiego wnętrza, prosząc, by się rozebrał. Gdy to uczynił, mdławo światło zgasło zupełnie, a zabłysła i sykiem fioletowa lampa tuż za jego plecami, wmontowana we wnękę matowej tafli ściany. Niemal w tej samej sekundzie ujrzał własną postać, odbitą na wprost fioletowej smugi. Jeszcze przez chwilę oczy jego walczyły z mrokiem, nie mogąc dostrzec szczegółów rysującego się naprzeciw barwnego obrazu. Trwało to zaledwie kilka sekund. Obraz stawał się coraz pełniejszy i bogatszy w szczegóły.



Jerzy oniemiał z wrażenia. Na srebrzystej tafli ściany ujrzał ciało człowieka, które stało się niemal przezroczyste, ukazując swoje wnętrze z przedziwną dokładnością. Widoczny był każdy najmniejszy organ, naczynie krwionośne, a szczególnie serce, wykonujące rytmiczne ruchy. Nawet krew, płynąca w żyłach, znaczyła swój świeży ślad za każdym impulsem serca, jak w modelu ze szkła. Kościec pozostał matowy, choć doskonale rysujący się w szczegółach, odcinając się swoją białością na tle innych organów ruchomymi pasmami żeber.

Relski z zachwytem przyglądał się skomplikowanej pracy tej żywej maszyny, którą nazwano „homo sapiens”. Doktor Ramin, którego twarz dopiero zauważył, stał obok drzwi i patrząc z uwagą na anatomiczny portret swego pacjenta, skrętnie coś notował. Co chwilę zmieniał okulary i wpatrywał się przez nie pilnie. Potem zmierzył ciśnienie krwi specjalnym aparatem, nałożywszy pasek z miękkiej gumy na lewe przedramię.

W pewnym momencie uczył nacisk z tyłu głowy, co spowodowało wstrzymanie pracy serca. Jerzemu pociemniało w oczach i czuł, że się dusi. Ale trwało to bardzo krótko, może ułamek sekundy. Badanie systemu nerwowego zakończyło wizytę u naczelnego lekarza.

— Wszystko w porządku — powiedział przy pożegnaniu doktor Ramin, uśmiechając się dobrodusznie — jedynie krew...

Jerzy zdziwił się.

— Czuję się doskonale, doktorze. Fizycznie czuję się znakomicie — poprawił się.

Lekarz spojrział mu badawczo w oczy.

— Krew pańska wykazuje za małą aktywność w absorbowaniu hormonu A F, co objawia się w szybkim znużeniu, no i w większej podatności organizmu na ujemne działanie promieni kosmicznych, a co za tym idzie, powoduje szybszą starość...

Jerzy z zainteresowaniem słuchał wywodów wielkiego chirurga.

Doktor Ramin, widząc zatroskanie na jego twarzy, szybko uzupełnił:

— Ale proszę być dobrej myśli, jest na to rada. Zaaplikuję panu domieszkę świeżej krwi, którą obecnie przygotowuje Instytut Chemii Fizjologicznej, i wszystko będzie dobrze.

— Dziękuję, doktorze...

— A zatem, życzę pomyślnej pracy. Proszę zgłosić się do mnie za dwa tygodnie.

Relski uściskał z wdzięcznością rękę doktora Ramina.

Jeszcze tego samego dnia Relski zgłosił się do dyrektora Krajowego Instytutu Nauk Specjalnych, gdzie został wpisany na listę słuchaczy wydziału do badań magnetyzmu ziemskiego i międzyplanetarnego. Dyrektorem Instytutu był profesor Marski, starszy, wytworny pan o nieco szpakowatych włosach. Był to chyba najstarszy z wyglądu człowiek, jakiego dotąd spotkał w kraju Atomowej Ery.

Dlaczego się nie regeneruje? — pomyślał mimo woli. Musiał jednak przyznać, że jego wygląd zewnętrzny, choć przekroczył już z pewnością osiemdziesiątkę, nie pasował go na starca, uginającego się pod brzemieniem lat. Przeciwnie. Twarz jeszcze młoda, pełna zapału i ognia w oczach, wyjątkowa żywiołowość, przejawiająca się w każdym ruchu i geście, znamionowały człowieka o niespożytej sile, nie tej dynamicznej i nieokielznanej, ale objawiającej się niezwykłym umiarem i ujmującą wytwornością w ruchach.

Dyrektor Marski od pierwszego wejrzenia zdobył sympatię Jerzego.

Gdy mu się przedstawił, zapytał go nie bez zdziwienia:

— Czy chciałby pan poświęcić się studiom nad badaniem istoty magnetyzmu kosmicznego?

— Najchętniej. W tym właśnie celu przyszedłem do pana profesora. Tylko czy studia dadzą się pogodzić z moją pracą, gdyż nie chciałbym być ciężarem.

— Ależ, drogi panie... U nas czas, poświęcony studiom, liczy się jako czas pracy. Na naszym wydziale mamy tygodniowo dwanaście godzin wykładów, jest to akurat tyle czasu, ile mniej więcej przewiduje się w ramach obowiązku pracy obywatela naszej ery...

— Jakże to, profesorze? Więc czas studiów liczy się jako czas pracy?

— Nie inaczej. Studiuje się po to, by pracować z większym pożytkiem dla społeczności. Proszę nie mieć skrupułów. Studia pańskie nie potrważą dłużej niż trzy miesiące. Wszak o ile mi wiadomo, posiada pan dyplom inżyniera?

— Tak jest. Ale nauka i wiedza poczyniły tak olbrzymi postęp od tych czasów, że czuję się obecnie prawie analfabeta i nietatwo mi będzie zorientować się w bieżącym stadium badań w tej dziedzinie.

Na dostojnej twarzy dyrektora Marskiego zaigrał ledwo dostrzegalny uśmiech.

— O, proszę być o to spokojnym. Postaram się ułatwić to panu w jakiś sposób...

Jerzy skłonił się z szacunkiem.

— Zobacz pan... Nie upłynie pół roku, a wylądujemy na Antarktydzie, która już będzie wtedy wolna od lodów, a zamiast nich bujna roślinność pokryje nagą ziemię. Kto wie, może po raz pierwszy po tylu milionach lat zakwitnie znowu życie na tej lodowej pustyni...

Mówił płynnie, z finezją, stylizując zdania. Słuchając jego głosu, Jerzy odniósł wrażenie, że dźwięki, wypowiedane w ten sposób, zawierają w sobie, poza ładunkiem logicznej treści, jeszcze jakąś inną, emocjonalną wartość, wyższą i subtelniejszą od tamtej. Może właśnie dlatego słowa profesora Marskiego posiadały sugestywną moc przekonywania słuchacza.

— Czy wolno wiedzieć, profesorze — zapytał trochę onieśmielony — w jakim kierunku idą obecnie badania nad magnetyzmem i jaki cel praktyczny patronuje tym wysiłkom?

— Bardzo słuszne pytanie — usłyszał jasnodźwięczny głos Marskiego, akcentujący w sposób przyjemny słowo „bardzo”. — Zanim jednak odpowiem na nie bezpośrednio, pozwolę sobie na małą dygresję. Otóż intensywne badania nad magnetyzmem ziemskim wznowione zostały mniej więcej przed trzydziestoma laty przez fizyka norweskiego, Swertsona. Chodziło o zbadanie istoty grawitacji w świetle najnowszych zdobyczy wiedzy. Prace powyższe zostały skoordynowane i pod patronatem Najwyższej Rady Geniuszy prowadzone były przez najwybitniejszych naukowców w tej dziedzinie w Instytucie Fizyki Doświadczalnej w Solangen, w północnej Skandynawii. Cel praktyczny, jaki przyświecał tym badaniom, był następujący: uniezależnić się od przyciągania Ziemi, by móc bezpiecznie poruszać się w powietrzu. Cel ten zamierzano osiągnąć przez zastosowanie neutralizatorów magnetycznych, które by anulowały przyciąganie Ziemi...

Lecz gdy tylko profesor wspomniał o neutralizatorach magnetycznych, Jerzego coś poderwało i niemal wykrzyknął:

— Profesorze!... Przecież to Wells pierwszy o tym pomyślał w swojej noweli fantastycznej...

— Oczywiście. Ale w tamtych czasach nie umiano sobie jeszcze z tym radzić, gdyż siła ciężenia nie była naukowo zbadana i jak przysłowiowa kula u nogi hamowała rozwój techniki lotów. Dopiero genialny Einstein pchnął sprawę naprzód, szukając istotnego związku pomiędzy grawitacją a elektromagnetyzmem.

— Ależ tak. Przypominam sobie jego teorie o elektrogravitacji i wytworzeniu sztucznego pola kompensującego.

— A widzi pan. I miały już miejsce praktyczne próby, prowadzone w wielkiej tajemnicy, jak głoszą stare dokumenty — ironiczny grymas wykrzywił na moment dolną szczękę profesora Marskiego.

— To nie było winą uczonych, że w naszej epoce musieli pracować pod kloszem, jak doświadczalne mrówki — zareplikował Jerzy energicznie.

— Rozumie się. Czy pamięta pan, inżynierze, te różne niesamowite legendy o latających talerzach?

— Pamiętam — potwierdził, zaintrygowany pytaniem profesora — choć uważałem to za bzdury...

— A to właśnie były pierwsze próby zbudowania pojazdów stratosferycznych, oboję-

tnych na siły przyciągania. Zupełnie tak, jak to sobie wyobrażał Wells, zaopatrując swój wyimaginowany aerostatek w materiał izolujący go od siły ciężenia. Ale Wells był tylko pisarzem o fascynującej swoją śmiałością wyobraźni i niezwykle wyczułonej intuicji, i nie były mu znane osiągnięcia najdociękliwszego umysłu waszej epoki, Alberta Einsteina...

— Istotnie — potwierdził z ogniem entuzjazmu w oczach Relski — gdyby Wells urodził się o pół wieku później, jego pasjonujące wizje byłyby na pewno dużo ciekawsze, a nade wszystko bardziej realistyczne, gdyż autor mógłby wówczas czerpać swój surowiec twórczy z naukowych doświadczeń naszej epoki...

— Nie objętych tajemnicą politycznej racji stanu... proszę uzupełnić — wtrącił z odcieniem sarkazmu profesor Marski.

— Nie należy wątpić, że tak by było — Jerzy zgodził się bez zastrzeżeń, po czym dodał pośpiesznie:

— Ale Wells, jako pisarz, zrobił najlepiej, jak umiał, co do niego należało, to znaczy ukazał problemy, które prędzej czy później musiały być rozwiązane przez ludzi nauki, takich jak Einstein czy Marek Fantom.

— Tak... Teraz rozumiem, że pomysł zbudowania pojazdów kosmicznych, nie podlegających siłom grawitacji, nie dawał wprost spokoju konstruktorom aerostatów, aż zaczęli robić próby z tymi latającymi talerzami, stosując odpowiedniego kształtu i wielkości kondensatory, naładowane elektrycznością wysokiego napięcia, wytwarzające pola sił elektrycznych, izolujące przed grawitacją...

— Właśnie. I czym zakończyły się próby, profesorze?

— Wynikiem, który przeszedł najśmielsze oczekiwania — nie bez satysfakcji wyrecytował swoim trochę śpiewnym, ale jakże miłym dla ucha barytonem. — Nasze torpedostratusy — uzupełnił — nie poddają się już prawom przyciągania ziemskiego. Obecnie myśl naszych konstruktorów idzie w tym kierunku, aby energię elektrogravitacyjną wykorzystać do pracy — niech odpycha od Ziemi nasze torpedostratusy z tą samą siłą, z jaką dotąd je przyciągała, a to przez zwykłą zmianę biegunów pola elektrogravitacyjnego. Czy to nie wspaniałe?

— I bardzo dowcipne — zgodził się Jerzy — bo przecież te same siły spełniać mogą podwójną rolę, zgodnie z prawami fizyki: raz przyciągają, a drugi raz odpychają. Tak jak zwykły magnes.

— I dzięki temu loty na planety przestały być problemem niezwykle trudnym i skomplikowanym. Bo jak dotąd, najwięcej energii pochłaniało pokonanie oporu powietrza i nieustępliwej siły ciężkości. Obecnie zaś w komunikacji kosmicznej nie korzysta się prawie wcale ze stacji przestrzennych poza atmosferą ziemską, które krążą dookoła Ziemi po własnych orbitach na podobieństwo sztucznych księżyców, gdyż szybkość nieco mniej niż osiem kilometrów na sekundę, która taki ruch warunkuje, osiąga się bez żadnego trudu po przebiciu górnej granicy atmosfery. A potem, jak pan wie, loty odbywają się siłą bezwładności, czyli osiągniętą szczytową szybkością bez dalszego użycia energii, ponieważ w kosmosie nie ma tarcia...

Relski z niesłabnącym zainteresowaniem słuchał wywodów profesora Marskiego. W jego oświetleniu wszystko wydawało się teraz zadziwiająco proste, jak mechanizmy przy dziecinnych zabawkach.

— Lecz wracajmy do spraw naszej planety — usłyszał jego głos — czy wiadomo panu, że energia słoneczna w niewytłumaczony sposób traci na swej sile? Nie wiemy jeszcze dokładnie, jakie są tego przyczyny, znamy tylko skutki. Wyraża się to mniejszą intensywnością promieniowania, a w konsekwencji obniżeniem średniej temperatury na Ziemi o całe dziesięć stopni Celsjusza w przeciągu ostatniego tysiąclecia. Sprawdzono również dokładnie, że planeta nasza zwalnia swój ruch obrotowy, przez co doba wydłuża się o coraz większy ułamek sekundy...

— Ułamek sekundy, to przecież bardzo niewiele — ośmielił się zauważyć.

— Tak by się zdawało. Jednak w ogólnej mechanice kosmicznej jest to bardzo wiele i nasi kosmolodzy zaniepokoiли się tym poważnie. Coś psuje się w rozkładzie jazdy planet naszego systemu słonecznego...

Profesor Marski rozłożył bezradnie ręce i spojrzał na inżyniera Relskiego. Jakiś nieokreślony uśmiech błąkał się na obliczu uczonego: uśmiech rezygnacji czy radości? Ale Marski nie lubił długich pauz i już pogodniejszym głosem kontynuował swoje rozważania kosmologiczne:

— Nie wiemy, jakie jeszcze niespodzianki gotuje nam Słońce. Może za lat sto czy dwieście temperatura na naszym Globie obniży się jeszcze o pięć lub dziesięć stopni, a wówczas?...

— Przecież macie potężne ilości energii, które mogą wyrównać ten niedobór?

— Bezsprzecznie. Ale czy nie sądzi pan, inżynierze, że może nastąpić jakiś kataklizm, którego nie można przewidzieć, na przykład trzęsienie ziemi, wylew oceanu i temu podobne, i zniszczyć w jednej chwili nasze wspaniałe miasta podziemne, nasze gigantyczne centrale energii i cudowne maszyny? I co wtedy?

Nie czekając na odpowiedź, mówił dalej z tą samą powagą w głosie, ale jaśniejszymi błyskami w oczach:

— Niełatwo byłoby odbudować to wszystko, co stworzone zostało wysiłkiem kilku pokoleń, w ciągu stu lat rozkwitu naszej cywilizacji. Ci, co uniknęliby zagłady wprost, zginęliby od mrozu i głodu.

— Rzeczywiście. Nie pomyślałem o tym...

— Otóż to. Ale nasi geniusze myślą i o tym. Było wiele projektów. Jeden z nich proponował przeniesienie się do stref tropikalnych, lecz wnioszek ten nie został zaaprobowany przez Najwyższą Radę. Wtedy wystąpił z ciekawą propozycją profesor Tonardi, ten, co zbudował sztuczne słońce o średnicy dwunastu metrów i zawiesił je za pomocą fal elektromagnetycznych nad Pałacem Wiedzy w Norbant, gdzie ostatnio odbył się kongres pod przewodnictwem doktora Zibellusa. Wynalazek profesora Tonardiego wywarł potężne wrażenie na uczestnikach kongresu, ale faktycznie nie mógł rozwiązać problemu ogrzewania Ziemi. Wówczas jeden z Kolegium Genialnych, młody astronom Parren, wysunął śmiałą koncepcję, tak śmiałą, że uczestnicy kongresu przyjęli ją niemal drwinami.

— Cóż to za koncepcja, profesorze?

— Ponieważ Słońce wypromieniowuje coraz mniej energii w przestrzeń, trzeba zmniejszyć odległość Ziemi od Słońca...

— Jakże to jest możliwe?

— Zwyczajnie. Trzeba przesunąć orbitę Ziemi o kilka sekund światła w stronę Słońca.

— Przecież to absurd!

— To samo powiedzieli uczeni w Norbant. Jednakże astronom Parren nie zrezygnował ze swej koncepcji przybliżenia Ziemi do Słońca. Opracował teoretycznie plan realizacji tego szalonego przedsięwzięcia o rozmiarach kosmicznych. Obliczył dokładnie siły wzajemnego przyciągania się planet i ich księżyców w naszym systemie słonecznym, siłę przyciągania Słońca i te wszystkie czynniki, które składają się na utrzymanie równowagi ciał niebieskich oraz ich wzajemnej od siebie zależności.

Przewidział także wszelkie następstwa, jakie mogą wyniknąć z chwilą naruszenia tej idealnej równowagi i harmonii ruchów. Jego koncepcja była bardzo optymistyczna i poparta głęboką i wszechstronną znajomością problemu. Również wyliczenia były dokładne i wytrzymały wszelkie zarzuty, jakie postawili przeciwnicy tego projektu.

W końcu przyznano słuszność teoretycznym wywodom astronoma Parrena, ale uznano cały projekt za śmiałą hipotezę, gdyż Najwyższa Rada nie widziała sposobu realizacji tego przedsięwzięcia. Wszystko się zgadza, szanowny kolego — oświadczone w końcowej fazie dyskusji — ale jak przesunąć Ziemię na projektowaną orbitę, oddaloną o blisko milion kilo-

metrów? Na to pytanie genialny Parren nie potrafił odpowiedzieć.

— A więc projekt upadł?

— Wcale nie. Rozpętał istną orgię pomysłów wśród elektrofizyków całego świata i już na następnym kongresie Najwyższej Rady Geniuszy, który odbył się w rok później, tym razem w Paryżu, projekt Parrena uzyskał poparcie w tym sensie, że Komitet Wykonawców przy Najwyższej Radzie Geniuszy zalecił dokładne przestudiowanie całego planu. Zalecono zbudowanie drugiej wielkiej stacji do badań magnetyzmu ziemskiego na Antarktydzie, gdyż na Biegunie Północnym już taka istniała.

Parren wyliczył, że jeżeli Ziemię przesuniemy w kierunku Słońca o milion kilometrów, licząc od peryhelium, wówczas średnia temperatura na naszym Globie podniesie się mniej więcej o dwanaście stopni Celsjusza, a doba będzie miała nie dwadzieścia cztery, lecz dwadzieścia trzy godziny i czterdzieści osiem minut, gdyż na jeden obrót dookoła swej osi zużyje o dwanaście minut mniej, ponieważ będzie obracała się szybciej z powodu bliższej odległości od Słońca. Również orbita Ziemi skróci się znacznie, krótszy więc będzie rok o całe trzy dni i jedną godzinę, choć pozornie wszystko pozostanie po staremu.

— Ależ, profesorze! To brzmi jak w bajce. Ciekawy jestem, jaka siła przesunie Ziemię w tak fantastyczną odległość i co się stanie z pozostałymi planetami?

— Otóż genialny Parren przewidział wszystko i obliczył, że pozostałe planety podążą również nieznacznie w kierunku Słońca, jeśli zastosujemy system powolnych ruchów oraz zwiększymy w odpowiedniej proporcji napięcia magnetyczne na Ziemi.

— Czy to nie zbyt śmiały eksperyment, profesorze? A jak wyliczenia zawiodą i Ziemia nie zatrzyma się, co wtedy?

— Wtedy spadniemy na Słońce, stając się częścią jego energii. — A widząc zakłopotanie w oczach Jerzego, dodał kompromisowo: — Niech pan będzie spokojny o los naszej planety. To wszystko jeszcze teoria. Nie posiadamy dotąd takiej siły, która by ruszyła Ziemię z posad. Na razie są to tylko projekty, teoretyczne wyliczenia. Przyszłość jej spoczywa w pewnych i mocnych rękach. Być może, w najbliższej przyszłości znajdziemy sposób, aby zrealizować ten „szalony” projekt, gdyż wyliczenia naszych uczonych są niezawodne i pewne. Tak pewne i niezawodne, jak automaty radarowe, wykluczające zderzenie maszyn latających w powietrzu. Widzi pan, że jesteśmy bezwzględni w walce o zdobycie władzy we wszechświecie. Kiedyś, w zamierzonych czasach, nazwano by to walką z Bogiem. Dziś nazywa się to... zdobywaniem Boga. Zdobywamy Boga na szanach walki kosmicznej i przejmujemy władzę z Jego rąk...

## Rozdział VII

Po powrocie do domu Jerzy nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarła na nim rozmowa z profesorem Marskim. Szaleńcy — myślał — szaleńcy, powariowali, Ziemię chcą przesunąć do Słońca! Przecież to niemożliwe, niemożliwe! — powtarzał. I po raz pierwszy zwątpił w genialność tych ludzi, których uważał dotychczas za półbogów.

A doktor Zibellus — przemknęło mu przez myśl. — Czy nie jest to fenomenalne, nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe? Tak, widocznie mój umysł jest jeszcze zbyt ograniczony i ciasny. Nie potrafi pojąć rzeczy wielkich, na miarę kosmiczną. Nie ma tej lotności i odwagi spojrzenia z bliska w świat zjawisk nowych, a niezwykłych. Jestem jak automat, jak nakręcona kukła, zdolna tylko wykonać pewne określone i z góry przewidziane ruchy. Nie potrafię obracać się w tym nowym świecie, w świecie rzeczy niemożliwych a wielkich,

nieprawdopodobnych a wspaniałych, w którym inni czują się dobrze i beztrusko. Musiałbym urodzić się i żyć wśród tych ludzi .lub powstać z martwych atomów w ich laboratoriach elektrobiochemii stosowanej, albo być uczniem choćby takiego doktora Ramina!

Relski potarł czoło. Potem nalał sobie pełną szklankę orzeźwiającego nektaru. Było to jakieś silnie musujące wino, przywracające myślom jasność i optymizm. Dokuczliwe, smutne refleksje uleciały gdzieś, a ich miejsce zajęło niejasne jeszcze przecucie szczęścia, które przerodziło się w przyjemne zadowolenie, przechodzące w żywiołową radość, szukającą ujścia. Zaczął nucić półgłosem jakąś wesołą melodię. Potem włączył radioteleriks i słuchał muzyki syntetycznej. Rozłożył się wygodnie na kanapie i nie wiedząc kiedy, zasnął snem szczęśliwego dziecka.

Nazajutrz rano, zadowolony z siebie i wypoczęty, udał się do Instytutu Nauk Specjalnych. Aleja prowadziła przez park kwiatowy, falujący o tej porze gamą subtelnych zapachów. Patrząc na rozmigotane czerwienią, złotem i szmaragdem, nie dające się ogarnąć wzrokiem kwietne przestrzenie, poprzecinane stalowymi wstęgami chodników, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że to wszystko porusza się i płynie gdzieś w dal, jak barwna rzeka, pełna różnokolorowej wody...

Mając wiele wolnego czasu, odbywał dalekie spacer, aby lepiej poznać najbliższą okolicę Pierwszej Strefy Klimatycznej. Pozostały czas spędzał w Instytucie, czemu dziwił się z początku profesor Marski, gdyż według regulaminu nie musiał aż tyle czasu poświęcać na zajęcia praktyczne. Relski, okazując niezwykle zainteresowanie dla nowych problemów, które miały być rozwiązane w instytucie profesora Marskiego, zdobył wkrótce zaufanie, a nawet sympatię kierownika tej naukowej placówki. Z cierpliwością pedagoga i wyrozumiałością uczonego wtajemniczał Jerzego w labirynt nowych dla niego pojęć i terminów, demonstrując przy tym skomplikowane aparaty pomiarowe oraz nowy system obliczania napięć prądów magnetycznych, powstających w przestrzeni jak i wewnątrz ciał materialnych, a nawet w organizmach istot żyjących.

Praca ta pochłonięła go niemal bez reszty. Zdawało mu się nawet, że z jego uczucia do Ireny jakby zniknęło napięcie; stało się mniej dokuczliwe i nieznośne. Błogosławiona praca — myślał. Od czasu do czasu spotykał Irenę w alejach parkowych, a raz natknął się na nią twarzą w twarz w poczekalni doktora Ramina. Uśmiechnęła się do niego zalotnie, ale nie zatrzymała się. Zbiegła szybko po kamiennych, białych schodach kliniki i znikła w ciemnej alei.

Każde takie przypadkowe spotkanie to nowa fala niepokoju i udreki, zakłócająca bieg jego myśli w sposób dotkliwy, z wyraźnymi symptomami fizycznego cierpienia.

Już wiele razy postanawiał sobie rozmówić się z nią, ale zawsze zabrakło mu odwagi. Dziś wieczorem zdecydował połączyć się z nią za pomocą telefonowizora, by wyznać jej całą prawdę. — Niech się dzieje, co chce — myślał — dłużej już nie wytrzymam. — Toteż po powrocie do domu pierwsze kroki skierował w stronę stojącego na szklanej płycie stolika radioteleriksu. Sprawdził tytuły komunikatów Centralnej Stacji, przepuszczając błyskawicznie taśmę magnetowizyjną, by dowiedzieć się, co ważnego zaszło tego dnia na Globie. Jeden z nich mówił o wzmagającej się ostatnio fali samobójstw wśród ludzi U S, szczególnie zaś wśród kobiet.

Zbiorowe samobójstwa ludzi U S — to niepokojąca zagadka. Czyżby zachorowali na spleen? Jerzy współczuł tym dziwnym twórcom. Niby podobni do innych ludzi, urodzonych naturalnie, a jednak tak różni od nich, tak dalecy wewnętrzną treścią od tych, którzy uważali się być panami świata...

Teraz, w obliczu nie zaspokojonej miłości do Ireny, wydali mu się jacyś bliscy i bardziej nieszczęśliwi, choć trudno byłoby mu zdefiniować, na czym polegało to cierpienie, które rzuciło ich w otchłań samobójczej śmierci... Ale po tych refleksjach rychło wracał do siebie. — Gdyby Irena kochała mnie, byłbym szczęśliwy... — tak sądził, w podświadomości szukając prywatnej „poczty” w specjalnej przegródce radioteleriksu. Przesłuchując taśmę z tego

działu, usłyszał w pewnej chwili głos Ireny: „Chciałabym się dziś z panem zobaczyć. Irena”.

Ciepła fala radości spłynęła mu do serca. Włączył taśmę po raz drugi, by się upewnić, że to nie halucynacja. Znow usłyszał jej głos, odtworzony do złudzenia z taśmy magnetowizyjnej i ujrzał jej sylwetkę. Natychmiast nakręcił numer jej fali. Zjawiała się na ekranie teleriksu, utkana z mgiełek, w refleksie różowego światła, padającego z kamery.

— Dobry wieczór pani.

— Dobry wieczór, panie Jerzy.

Uśmiechnęła się przymilnie, zachęcająco. Jerzy, nie odrywając wzroku od małego ekranu, zaczął z pewnym wahaniem:

— Odebrałem pani telefonowizogram. Cieszę się ogromnie.

— Tak. Będę dziś w Klubie Tańca. Miasto podziemne Numer Dwudziesty Siódmy, czwarta kondygnacja, czternaste piętro, hali numer czterysta osiemnasty. Czy zna pan rozkład naszych miast podziemnych?

— Owszem... zdażyłem się już zapoznać.

— To doskonale. Będę tam na pana oczekiwała wieczorem. Do widzenia.

Zwiewna postać rozplynęła się we wnęce radioteleriksu. Wyłączyła się. Jerzy przesunął kontakt i nastawił muzykę taneczną. Tango... Wybiegł myślą do chwili, która miała przyjść. Delektował się nią. Wieczorem w Klubie Tańca... Był niezmiernie rad, że właśnie tam Irena wyznaczyła spotkanie.

O godzinie ósmej wieczorem zjechał do podziemnego miasta. Szyb wjazdowy znajdował się o dobry kilometr od Alei Pomarańczowej, przy której mieszkał. Ponieważ droga prowadziła przez park, poszedł pieszo. Kwitły tutaj amarylisy o imponujących, czerwonych jak wino kielichach. Był w doskonałym nastroju. Czuł wyraźny przyptyw energii i spacer ten sprawiał mu prawdziwe zadowolenie. Musiał mieć na twarzy wyraz wielkiego szczęścia, gdyż przechodnie, których mijał, darzyli go życzliwym uśmiechem. Jerzemu zdawało się, że ma osiemnaście lat...

Minał park i znalazł się na szerokiej ulicy, pod potężnymi konarami drzew o olbrzymich, wachlarzowatych liściach. Skręcił w następną, gdzie pięły się pod niebo strzeliste cedry, a dalej gigantyczne, ostropienne tuje. Wyszedł na niewielką, ukwieconą łąkę o bujnej trawie, spośród której tu i ówdzie wyrastały baniaste krzewy o ciemnych, oliwkowych łodygach. Przed nim, w niewielkiej odległości, opalizowała, falując prawie niewidocznym rytmem, woda niewielkiego jeziora. Soczysta, pełna ekspresji czerwień chylącego się ku zachodowi słońca rozlewała się wszechwładnie na puszystej bieli chmur, ułożonych warstwami jedna za drugą, jak skiby świeżo zoranej ziemi. Ryby pluskały w połyskliwej wodzie, żłobiąc czerwone bruzdy w zatopionych chmurach, migotliwe, rozedrgane...

W dalekiej panoramie palmy kapały w błękitnie powiewne wachlarze swych koron. W ich skąpym cieniu przeświecały gdzieś białe domki i wille o płaskich, horyzontalnych dachach. Relski stał wpatrzony w daleką perspektywę przestrzeni. Przestrzeń miała zawsze dla niego nieprzeparty urok i uchwytny, niemal zmysłowy czar. Ta przestrzeń w nowym świecie nie była chaotycznym kłębowiskiem punktów i plam, lecz wypełniona jakby akordami nowej, nieznannej muzyki. Muzyki wizualnej... Nie było w niej martwych interwałów, surowych, bez wyrazu. Wszystko tam grało... Wody, ujęte w określone, symetryczne kształty, lasy i gaje, łąki i sady, a nawet drzewa pojedyncze nie były rzucone bezładnie i przypadkowo, ale wiązały się jak nuty na tej olbrzymiej, śpiewnej kanwie w jeden potężny chór.

Oto jest życie wolnego człowieka w wolnej, nie skrepowanej niczym przestrzeni.

Jak nędznie, jak beznadziejnie smutnie wyglądały wielkie miasta i miasteczka w zamierzchłej erze XX wieku. Ciemne, ponure masywy bliźniaczych domów, ustawionych w szeregi lub rozrzuconych bezładnie, przytłaczały człowieka do ziemi, zabierając mu powietrze i słońce. Czuł się małym wśród zimnych, nieprzytulnych murów, ginął i roztapiał się, nie znajdując nic prócz złudnego cienia przed spiekotą słońca w upalne dni. Nierzadko umierał na

gruźlicę lub zabijała go tęsknota do przestrzeni, rażąc jego nerwy i serce niewidzialnym grotem.

Relski przypomniał sobie, jak Irena nazwała raz te dawne miasta cierniami ziemi. Nie ma już ich; zapadły się bezpowrotnie. Ziemia pochłonęła ich brzydotę i mękę tych, co je budowali.

Szedł wolno, w zamyśleniu, wąską aleją nad jeziorkiem w stronę, gdzie widoczne były kwadratowe wieżyczki, miejsca zjazdu do podziemi. Jakże inne były te miasta, położone głęboko w łonie ziemi, tonące w blaskach sztucznego słońca i pełne ciepłych, jasnych wnętrz.

Zbiegł pośpiesznie ze schodów i zatrzymał się przed niewielką wnęką w masywie ściany. Stało tam już kilka osób, czekając, aż winda wróci z dołu. Za chwilę wszyscy znaleźli się w jej obszernym, wygodnym wnętrzu o kształcie wielkiego słoja. Rubinowe i zielone światła zapalały się i gasły, znacząc ilość przebytych pięter.

Zatrzymał windę na czternastym piętrze w hallu 418. Była to dzielnica, gdzie mieściły się teatry, muzea, wspaniałe biblioteki minionych epok i inne dokumenty przeszłości. Dalej sale koncertowe, klubowe, dansingowe, cocktail-bary itp.

Ruch o tej porze był niezwykły. Bezszelestnie sunęły ruchome chodniki-windy w różnych kierunkach, unosząc z ożywieniem rozmawiające, roześmiane grupki młodych, eleganckich kobiet i mężczyzn. Chodniki-taśmy zatrzymywały się w krótkich odstępach czasu. Niektórzy wysiadali, inni wsiadali. Relski zajął wygodne miejsce na najbliższym, sunącym w perspektywę rozmigotanych różnokolorowym światłem ulic. Dreszcz wewnętrznej emocji szarpał nim na wspomnienie spotkania z Ireną. Czy przyjdzie?

Ilekczo był w podziemnym mieście, tyle razy ogarniało go zdumienie nad wspaniałością nowoczesnej techniki urbanistycznej. I ta emanacja światła, gra barw i nasilenia. Sunąc na ruchomej jezdni zdawało mu się, że jedne fale odpływają, a przyływają inne... Chwilami robiło się ciemniej, jakby przejeżdżali przez tunel. Ale trwało to przez krótki moment. Widział wówczas, jak sylwetki siedzących przed nim kobiety i mężczyźni zbliżały się do siebie szybko i za chwilę słychać było szept namiętnych warg. Lecz oto fala seledynowego światła zgasła żar ich ust, rozlewając wspaniałą, słoneczną jasność. Westchnienie krótkotrwałej, nie tajonej rozkoszy wyrwało się z piersi kobiety. A potem usłyszał jej słowa:

— Nie uwierzysz, Fred, jak ja kocham to nasze miasto podziemne. Miasto numer dwadzieścia siedem. Może więcej aniżeli słoneczne równiny, gaje palmowe i przestrzenie międzyplanetarne. Nie wiem sama, dlaczego jest mi tu tak dobrze i przytulnie...

— A ja wiem dlaczego — odpowiedział jej męski, śmiały głos.

— No?...

— Bo tutaj, w łonie ziemi, czas traci swoją moc. Jest jakby za burtą płynącego okrętu życia. Chcesz, jest dzień, a chcesz — jest noc. I nie starzejemy się, będąc tutaj. Promienie kosmiczne nie docierają do podziemnych miast, nie bombardują atomów naszego ciała, aby zabijać naszą młodość. A ty przecież jesteś kobietą, Nino...

— Fred... jakiś ty niedomyślny... Chodźmy tańczyć.

— Chodźmy.

Płynący chodnik zatrzymał się przed obszernym tarasem, nad którym mieścił się, utkany z świetlnej mgły, niebieski napis „Klub Tańca”.

Więc to chyba tu — pomyślał Relski.

Wysiadł i podążył w kierunku wejścia, skąd dobiegały rytmiczne tony jazzu. Już w obszernym foyer widoczne było duże ożywienie; czuło się nastrój podniecenia muzyką i winem. Oczy kobiet miały ciepły blask, widoczny znak pulsujących namiętności, subtelny i wiele obiecujący.

Wmieszał się w ten różnobarwny, rozkołysany tłum kobiet i mężczyzn. Szedł jakby nie dostrzegany przez nikogo. Zatoczył szeroki łuk, wymijając zręcznie przesuwane się wzdłuż i w szerz rozbawione pary. Kilkakrotnie dotknął niechcący sukni przechodzących kobiet,



odgadując w lot zapach ich perfum: irys, lawenda, tuberoza, bez... Rozchylił zwisającą w szerokich fałdach, ciężką, aksamitną kotarę, oddzielającą foyer od sali dansingowej i znalazł się po drugiej stronie, tuż obok połyskującego gładkim lustrem parkietu. Kilka par tańczyło w powolnym rytmie. W przyćmionym łagodnie świetle sylwetki ich odbijały się w lustrzanej tafli posadzki fantastycznym cieniem.

Jerzy zajął stolik tuż obok tańczących i szukał wzrokiem Ireny. Nie dojrzał jej wszakże. Widocznie jeszcze nie przyszła — pomyślał. — A może w ogóle nie przyjdzie? Może to był tylko żart?

Aby odpędzić trapiącą go myśl, zaczął oglądać z zainteresowaniem stolik, przy którym usiadł. Nie miał nóg, ale przedstawiał rodzaj ośmiokątnej szafki z lśniącej, gładkiej masy. Okrągła płyta, dająca wygodne oparcie rąk, tworzyła w samym środku niszę, gdzie zamieszczone były nazwy trunków i potraw. Przez niewielki otwór z boku wsunął szton, na którym wyryty był jego numer, i nacisnąwszy guzik pod magicznym słowem „Coctail-Marion” czekał, aż ukryty wewnątrz automat wysunie butelkę na szklaną płytę.

Stało się to w następnej sekundzie. Nie brakowało kieliszka, przywiązanego do szyjki, który napelniony rubinowym płynem, wychylił raz i drugi. Zrobiło mu się różnie i poczuł przyjemne ciepło. Zaczął rozglądać się ciekawie wokoło.

Było to obszerne wnętrze w kształcie rotundy, skąd prowadziły w różnych kierunkach zamaskowane drzwi do bocznych saloników. Przy stolikach siedziały pary, samotni mężczyźni lub kobiety. Niektóre z nich miały maleńkie, kolorowe maseczki, zakrywające zaledwie oczy i nos. Czyżby to był bal maskowy? Wypił jeszcze jeden coctail. Błogie, rozkoszne ciepło przenikało go na wskroś. Rozglądając się w poszukiwaniu Ireny, spotykał ciekawe oczy kobiet, skierowane w jego stronę.

Muzyka zagrała znowu. Coraz więcej par krążyło w tanecznym rytmie. Nastrój stawał się bardziej intymny, prowokujący. Melodia chwilami cichła zupełnie. Słychać było tylko dudnienie rytmu, wybijanego przez niewidzialny werbel. Światło przybierało w tej chwili kolor ognistoczerwony i przygasało niemal zupełnie. A potem znowu melodia żywa, potoczysta, i jasna fala błękitnego światła zalewała tańczących, ukazując niedyskretnie pod pajęczyną zwiewnych sukien tancerek zmysłowe, intrygujące piękno kobiecego ciała. Relski poczuł falę gorącej krwi na policzkach. Żyję jak anachoreta — pomyślał. — Cóż ze mnie za osioł...

W tej chwili zbliżyła się do stolika młoda kobieta. Zanim ją ujrzał, usłyszał ciepły tembr jej głosu:

— Czy mogę z panem zatańczyć?

Skąd zna ten głos? Miała na twarzy maseczkę. Powstał i skłoniwszy się, podał jej ramię. Potem bez słowa objął jej kibić, onieśmielony trochę, niepewny, i dał się unieść tanecznej fali. Melodia, przypominająca tango, tkliwą rzewnością wypełniała jego serce. Dreszcz rozkoszy przechodził od ciała partnerki i przenikał go na wskroś. Zauważył, że tańczyła świetnie. Mimo woli poddawał się jej ruchom, harmonijnym, lekkim. Nie wiedział, jak nawiązać rozmowę. Światło przygasało w momentach, jak muzyka z forte przechodziła w ledwo słyszalne pianissimo. Relskiego bawiło to niezmiernie.

— Wie pani, podoba mi się ta gra światła, tak doskonale zestrojona z muzyką, jakby światło stanowiło jeden z elementów melodii.

— Bo też tak jest w istocie. Światło to myśl, muzyka — to słowa. W naszej epoce dotarliśmy do genezy zjawisk.

Powiedziała to bez namysłu, jednym tchem, jak mówi się o rzeczach najprostszych, nie podlegających dyskusji. Zaśmiała się tajemniczo, wyzywająco... Relski drgnął. Do licha! Skąd zna ten głos? Naraz strzeliła mu do głowy myśl szybsza od błyskawicy: Irena... Objął ją silniej i przycisnął do siebie, nie tracąc tanecznego rytmu.

— O... nie tak gwałtownie — broniła się, lekko odpychając ręką jego lewe ramię.

— Przepraszam... — Spojrzał jej w oczy przez małe otwory w aksamitnej maseczce.

Były pełne niepokojącego żaru, a jednocześnie miały w sobie jakiś szelmowsko-uwodzicielski urok. Nie wytrzymał dłużej i zapytał, starając się nadać słowom ton żartobliwej ironii:

— Kto pani jest?

Zaśmiała się, jakby ubawiona jego pytaniem.

— Ja jestem Płomień. Słyszysz pan? Płomień! Zapalam ogień, którego nie potrafię ugasić...

— Ireno! Poznałem panią od razu.

Skłamał, nie mając czym wypełnić pauzy, gdyż wzruszenie odebrało na chwilę jasność jego myślom.

— Nie od razu, panie Jerzy. Proszę być szczerym. Ale to lepiej. Wie pan? Lubię takie sytuacje. Lubię improwizować.

— Dlatego założyła pani maseczkę na twarz...

Spojrzała mu zalotnie w oczy i przytuliła się mocniej do jego ramion.

Ośmielony, przygarnął ją silniej i stracił rytm.

— Proszę nie profanować tańca. Taniec to uczta bogów — strofowała go z rozgrzeszającym uśmiechem.

— O... bogini moja. Marzyłem o takiej uczcie od dawna.

Pocałował ją w płonący policzek, korzystając, że światło przygasło. Położyła mu palce na rozognionych wargach.

— Pan jest... gwałtowny i niecierpliwy. A ja jestem mimoza...

Kaskada błękitnego światła zawirowała nad głowami tańczących, tworząc rodzaj spiralnych obłoczków. Muzyka zamilkła. Irena zaproponowała, aby przeszli do małego baru, tuż obok, i napili się oranżady z lodem. Gdy usiedli w głębokim półcieniu, zdjęła aksamitną maseczkę.

— Jaka pani dziś piękna! — wyraził w sposób nieco banalny swój szczerzy zachwyt.

Mrużąc oczy, patrzyła na niego z wyraźną kokieterią. Nie wypuszczając z ust słomki, zanurzonej w musującym, ożywym płynie, powiedziała z tajemniczą miną:

— Mam pewną myśl.

— Słucham panią...

— Chodźmy już stąd.

— Dokąd?

Zawahała się. Po chwili usłyszał jej nosowy, intrygujący nutą delikatnej pieśczoły, trochę stłumiony śmiech:

— Cha... cha... cha... pan jest niepoprawny, panie Jerzy. Wszak mówiłam już panu, że lubię improwizować. A pan chciałby zedrzyć brutalnie maskę, za którą kryje się urok rzeczy nie doznanych, a kuszących...

— Jakaż z pani romantyczka! Kobieta Atomowej Ery i poezja! Tego nie rozumiem...

— Ot po prostu: nie zrywajmy pąków naszych marzeń, pozwólmy im zakwitnąć...

— Poddaję się. Pani mnie przekonała, że każdą chwilę, która ma nadejść, należy powitać ukłonem, trzymając palec na ustach. Nie wolno zrywać zasłony.

— Nie wolno...

— Tak. Aż chwila stanie się ciałem....

— Cha! cha! cha! pojętny z pana uczeń, panie Jerzy.

Śmiał się również, przyciągając coraz silniej jej ramię.

— Chciałbym nim być... przy pani.

Podziękowała mu uśmiechem. Wstali. Ujęła go pod ramię i wyszli do westybulu. Potem wsiedli do ruchomej jezdni i popłynęli tajemniczym labiryntem podziemnego miasta.

Jerzy był odurzony czarem tej kobiety, której tyle zawdzięczał. Sam jej widok, możliwość obcowania z nią sprawiały mu wiele zadowolenia. A dziś... O, to nie ma porównania. To już nie to, co w Norbant. Dziś swoją urodą rozpalala mu zmysły. Odczuwał w każdym jej spoj-

rzeniu, w każdym dotknięciu jej ciała przedsmak rozkoszy. Doznawał przyjemnego dreszczu na wspomnienie o tym.

Dokąd go prowadzi? Zresztą było mu wszystko jedno. Szedł przy niej i to mu sprawiało ogromną radość. Uśmiechał się. Nie zdawał sobie sprawy z odległości, jaką przebyli. Zatrzymali się gdzieś, chyba na drugim krańcu miasta. Była cisza, taka absolutna cisza, gdy oddech staje się zbyt głośny i męczący, a serce wali w piersiach jak młot.

Bezgłośnie otworzyły się drzwi i znaleźli się w niedużym pokoju. Z sufitu sączyło się skąpe, różowe światło.

— Oto mój pokój w mieście podziemnym — powiedziała, zsuwając zamasyście płaszcz z ramion.

— Czy pani tu stale mieszka?

— O, nie. Ale pracuję tu, w pobliżu, w laboratorium. To jest mój prywatny gabinet. Proszę się rozgościć...

Usiedli na miękkim tapczanie i przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Ujął jej dłonie, spoczywające swobodnie na kolanach, i poddał je delikatnej pieści. Dała mu odczuć, że sprawia to jej szczególne zadowolenie. Wtedy objął ją i przyciągnąwszy mocno do siebie, pocałował w usta. Całował długo, coraz mocniej, coraz żarliwiej, bez opamiętania... Pierwsza oprzytomniała Irena. Powstała raptownie i zaniósła się długim, nieprzerwanym śmiechem.

Zarzuciła mu ręce na ramiona i dotknęła płonącym policzkiem jego twarzy. Śmiech jej był tak żywiołowy, tak pełny i wszechogarniający jej istotę, że z równą pasją udzielił się jemu. Śmiali się teraz oboje jak dwoje rozbawionych dzieci.

Jerzy czuł, jak fala przeogromnego, nie znanego dotąd szczęścia ogarnia całą jego istotę i odurza go, odbierając świadomość logiki zdarzeń i możliwość zapanowania nad wybuchającym coraz gwałtowniej szokiem namiętności. Jak przez mgłę widział roześmiane do łez oczy Ireny. Wszystko wokoło wirowało rozkoszą.

— Ireno!... Iruś, ty cudna, jedyna... Kocham cię! Kocham!... Czy ty mnie słyszysz? — mówił z uniesieniem, obejmując dłońmi jej odsłonięte ramiona, jakby się obawiał, że może ją stracić za chwilę.

Patrzyła na jego rozwarłe usta z bezgranicznym oddaniem. Prawie niedostrzegalnym ruchem rozpięła dekolt, ukazując obnażone piersi.

— Całuj... mocno... -- powiedziała, mrużąc rozkosznie oczy.

A gdy obsunął się u jej nóg, nieprzytomny prawie, mamrocząc coś bez związku, uniosła się i odstąpiwszy nieco, rozpięła suknię, która z cichym szelestem spłynęła na jej stopy.

Jerzego przykuło do miejsca. Tuż przed nim stała Irena w niewysłowionym uroku swego pięknego ciała.

Po chwili wyciągnęła przed siebie ręce, a z jej lekko rozchylnych ust dobiegło go pełne najtkliwszej pieści:

— Jerzy...

Widział, jak oczy jej zapaliły się ogniem pożądania, którego nie potrafiłaby ukryć, a pierś falowała szybko, nieustannie, jakby nagle zabrakło powietrza.

Przypadł do niej i pochwycił ją w ramiona.

Oszołomiony, czuł w swoich objęciach jej młode, nienasycone ciało. Przyłgnęła do niego mocno i wszechwładnie, wyzwalając w nim kipiący żar, w którym wszystko roztopiło się, zatracając z wolna swoje zwykłe kształty i swój zwykły smak życia. Czas przemienił się w rozkosz, a rozkosz w błogie rozleniwienie...

Zbudził się pierwszy. Irena spała jeszcze, uśmiechając się przez sen. Podniósł się nieco i podparwszy się łokciem patrzył na jej łagodnie zarysowany profil, odcinający się wyraźnie od puszystej bieli podgłowa. Chciał odejść, nie zbudziwszy jej. Musnął wargami jej długie,

bujne rzęsy i chciał pocałować w czoło, lecz drgnęła nagle i otworzyła oczy.

— Jerzy?...

Przeciągnęła się jak rozpieszczona kotka. Potem ziewnąwszy, powiedziała tonem prawie rozkazującym:

— Jerzy, idź już! Musi być bardzo późno.

— Kochana...

— Idź już!

Jej chłodny i arbitralny ton zgasił w nim ochotę do pieszczot. Pijany jeszcze szaleństwem nocy, wstał i zaczął się nerwowo ubierać.

— Obok jest łazienka. Idź i weź kąpiel — powiedziała, nie odwracając się.

— Dziękuję... mogę to samo zrobić u siebie za kilka minut. Chyba to już dzień...

Spojrzał na stojący w głębi radioteleriks. Na jednej z jego świecących tarcz był zegar radiowy. Godzina jedenasta.

Późno... — pomyślał. — Nie zdążę do Instytutu na wykład Marskiego.

Pochylił się nad leżącą, chcąc ją pocałować, lecz zakryła mu dłonią usta.

Mimo oporu pocałował ją w zaróżowiony policzek, pachnący rozkosznym ciepłem. Speszony nieco, zapytał, mnąc w palcach rondo kapelusza:

— Iruś... czy zobaczymy się jutro?

— Nie wiem. Będę w Instytucie Medycyny Doświadczalnej. Zapytaj o mnie doktora Ramina...

Skulił się boleśnie pod wpływem jej słów i wyszedł pośpiesznie. Rychło jednak wytłumaczył to sobie jej zmęczeniem. Wyśpi się, to humor jej wróci — pocieszał się.

Gdy znalazł się u siebie, natychmiast przygotował kąpiel. Woda sycząc pluskała wesoło do wanny, a woń świeżego igliwia drażniła mile nozdrza. Zimny tusz uczynił jego ciało jędrnym i rześkim, lecz w sercu pozostał cierpki osad zawiedzionej nadziei i to niepokojące niedomówienie, wobec którego dobroczynne działanie wody okazało się bezsilne.

Do Instytutu Nauk Specjalnych przyszedł później niż zwykle. Na szczęście, wykład profesora Marskiego został przełożony na inną godzinę — wysłuchał go więc w całości. Potem pracował na oddziale pomiarów prądów magnetycznych w układzie najbliższych czterech planet. Sygnalizowano za pomocą radaru, że wyliczenia profesora Zaorskiego nie pokrywają się z wyliczeniami Ruffina, kierownika stacji magnetycznej na Marsie. Dotyczyło to szczególnie martwej strefy podziału wpływów ciężenia Marsa i Ziemi.

Profesor Marski był trochę zdenerwowany i kazał zakomunikować Ruffinowi za pośrednictwem Centrali Komunikacji Międzyplanetarnej, że wyliczenia i pomiary Zaorskiego są dokładne i gotów jest lecieć na Marsa najbliższym torpedostratusem, aby udowodnić słuszność obliczeń swojego astrofizyka.

Relskiemu opowiadał o tej polemice fizyk atomowy Korblin, odkrywca źródła promieni kosmicznych. Pracował w Instytucie nad budową pieców atomowych, przeznaczonych do ogrzewania terenów arktycznych. Nowością było użycie przez Korblina promieni kosmicznych do rozbijania atomów w izotopach uranu.

Jerzy, który żywo interesował się każdym szczegółem dotyczącym budowy stacji magnetycznej na Antarktydzie, dziś okazywał całkowity indyferentyzm dla tak żywotnych problemów Instytutu. Unikał wyraźnie rozmów, chodził niespokojnie z jednej sali do drugiej z posagowym wyrazem na twarzy, jakby szukał własnego cienia. Myśl jego pracowała leniwie, przytłoczona przeżyciem ostatniej nocy. Irena...

Postanowił zaraz po powrocie do domu zobaczyć się z nią. Gdy jej o tym zakomunikował za pomocą telefonowizora, zaniepokoiła się. Oświadczyła mu, że to niemożliwe, gdyż na dzisiejszy wieczór została zaproszona do znajomych. A gdy przez kilka następnych dni powtarzało się to samo, stracił cierpliwość, dotknięty boleśnie w swej ambicji. Nie miał już wątpliwości, że wyraźnie unikała spotkania z nim. Zraniona duma i gorycz doznanego

zawodu wprowadziły go w stan szczególnego rozdrażnienia, graniczącego z obsesją. Życie stawało się dlań nieznośne i pozbawione sensu. — Opętała mnie ta kobieta, jestem wobec niej bezsilny... — uświadomił sobie ostatecznie.

Postanowił mimo wszystko zobaczyć się z nią i rozmawiać. Wiedział, że bywa często w klinice u doktora Ramina, gdzie studiowała praktycznie medycynę, a ściślej mówiąc, neurochirurgię.

Ponieważ z doktorem Raminem był na przyjacielskiej stopie, mógł przychodzić do Instytutu Medycznego o każdej porze z prawem wstępu do kliniki.

Nie namyślając się, poszedł. Szczęśliwym trafem zastał ją na jednej z sal kliniki. Asystowała przy jakiejś poważnej operacji mózgu. Nie zauważyła go przez szklaną ścianę, tak była pochłonięta zabiegiem. On za to widział ją doskonale. Przez dłuższą chwilę sycił się jej postacią, pełną skupienia i powagi. Usta i nos zasłaniała maseczka dezynfekcyjna, tym mocniej akcentując piękno jej dużych, pełnych wyrazu oczu. Postanowił zaczekać na nią w hallu. Przechadzał się długimi krokami tam i na powrót, od czasu do czasu zerkał przez szklaną taflę i szukał jej wzrokiem, obawiając się, że może wyjść nie zauważona. Lecz za każdym razem widział jej pochyloną sylwetkę nad głową operowanego pacjenta.

Nareszcie! Przebiegła tuż obok, wesoła, roześmiana, nie zauważywszy go. Miała jeszcze na sobie śnieżnobiały kitel, sięgający jej poniżej kolan.

— Ireno!...

Obejrzała się.

— Ach, to pan!... Dzień dobry.

— Dzień dobry, Ireno...

Podszedł do niej szybko z rozpromienioną twarzą i ucałował jej obie dłonie. Zdawała się być zaskoczona tym spotkaniem. I zdziwiona.

— Tak bardzo chciałem się z tobą zobaczyć... — zaczął niepewnie. Po chwili zaś dodał: — Lecz unikałaś spotkania ze mną... Dlaczego?

Spojrzała pytająco i uśmiechnęła się do siebie, by ukryć zakłopotanie.

— Unikałam? Nie to... Ale naprawdę byłam bardzo zajęta. Wyjeżdżam.

— Hm... a czy teraz mogłabyś przejść się ze mną do parku?

— Dobrze, tylko pójdę się przebrać. Proszę poczekać tu, w hallu.

Zniknęła w bocznym, wąskim korytarzu. Gdy ujrzał ją znowu, miała na sobie lekką, różową suknię z długim i wąskim dekoltem jak język ptaka. Była opanowana i wyniosła. Z pewnym onieśmieleniem zbliżył się do niej, próbując ująć ją pod ramię. Wymknęła mu się ruchem pełnym finezji.

— Lubię swobodę — powiedziała — o tak...

I pierwsza skierowała się do wyjścia, w kierunku kolumnowych schodów, prowadzących w stronę Alei Cyprysowej.

Szedł obok niej bez słów.

— Nie wiedziałam, że sprawiłam panu przykrość... — przerwała kłopotliwe milczenie.

— Och, nie... tęskniłem tylko za panią. Chciałem się z panią zobaczyć. Koniecznie...

— Spotkaliśmy się... — uśmiechnęła się przez zamknięte usta. Jej powściągliwość i chłód sprawiły mu ból, a słowa były jakieś obce.

— Dlaczego pani jest dziś taka inna, taka dziwna?

— Wydaje się panu. Mam swój własny styl życia i proszę mi wierzyć, dobrze mi z tym.

Relski nie śmiał już o nic pytać. Słowa pieśnicy, cisnące mu się na usta, wspomnienia niedawnych przeżyć tłumił w sobie wysiłkiem woli. Szli obok siebie jak ludzie widzący się po raz pierwszy w życiu.

Słońce skryło się za chmury, które coraz liczniej gromadziły się na południowej stronie nieba, tworząc ciemne kłębowiska i leje. Komunikat hydrometeorologiczny Pierwszej Strefy Klimatycznej zapowiadał przez megafony, ukryte w gęstwinie drzew parkowych, ulewny

deszcz od godziny czwartej do siódmej. Irena i Jerzy przyspieszyli kroku. Gdy znaleźli się w perspektywie alei, między konarami rozłożystych lip i kasztanów, zaproponowała, aby usiedli na ławce. Panowała tu niczym nie zmacona cisza. Fala zimnego powietrza nie docierała już tutaj, zatrzymana przez bujne listowie. Deszcz nie groził także, gdyż obok, o kilkanaście kroków dalej, znajdowała się stylowa altanka z wysuniętym, opadającym ukośnie daszkiem w kształcie wachlarza.

— Tutaj możemy swobodnie porozmawiać — powiedziała, siadając z westchnieniem ulgi. — Słucham pana...

— Pani Ireno! — zaczął bez wstępu — ja nie wiem, co się ze mną dzieje. Od tego wieczoru, który spędziliśmy razem w mieście podziemnym, nie przestaję myśleć o pani. Wiem, że to może wydać się pani śmieszne, bo w epoce Atomowej Ery nie ma miejsca na romantyczne uczucia, ale ja nie mogę żyć bez pani dłużej...

Spojrzała na niego z przebłyśkiem sympatii w oczach.

— Pokochałem już panią tam, w mieście wiosny, w Norbant... Teraz stała się pani dla mnie tak bliska, tak droga, jakby pani była częścią mego życia, mej świadomości, mej duszy...

— Cóż, zdaniem pana, winnam uczynić dla niego? — przerwała mu, z pewnym zniecierpliwieniem.

— Chciałbym, aby pani została moją żoną...

— Cha! cha! cha!... niepoprawny z pana romantyk i nieodrodny syn swojej epoki. Ja inaczej pojmuję miłość, mój panie. W naszym świecie panują nieco inne zwyczaje, inaczej pojmujemy miłość i małżeństwo — i spojrzawszy mu wyzywająco w oczy, nie bez akcentu pewnej ironii, wyrażonej w ledwo dostrzegalnym uśmiechu, powiedziała wręcz: — Jesteśmy wolnymi ludźmi i posiadamy prawo wolnej decyzji. Nie podzielam pańskiego zapału do małżeństwa, ponieważ mam własny pogląd na tę sprawę.

Urwała na moment, po czym dodała, unikając jego wzroku:

— A poza tym, należę do klubu „Błękitnej Róży”.

— „Błękitnej Róży”? Cóż to za klub?

— Jest to klub wyłącznie kobiecy, którego członkinie muszą przestrzegać ściśle obowiązującego regulaminu. Do klubu nie mogą w żadnym wypadku należeć kobiety zamężne, gdyż małżeństwo dla nas praktycznie nie istnieje. W epoce Ery Atomowej kobieta ma stanowisko uprzywilejowane, gdyż ona, nie mężczyzna, wybiera sobie obiekt miłości. My zaś, należące do klubu „Błękitnej Róży”, oddajemy się jeden, jedyny raz swemu kochankowi, przeżywając wspólną ucztę miłosną, ucztę jedyną, podobną do lotu miłosnego pszczoły...

— Po której umiłowany skazany jest na całopalenie — usłyszała gorzki jak oskarżenie wyrzut.

— Bynajmniej. Może przeżywać swoją wielką przygodę jeszcze niejeden raz... z inną kobietą.

— Dziwna to miłość, która ginie samobójczą śmiercią w chwili narodzin. Właściwie to zaczyna i kończy się przygodą — uzupełnił, wzruszając ramionami.

— Ale nie kończy się spazmem hysterii, prawdziwą czy udaną tragedią albo małżeńską nudą. Jedynie nieliczni, którzy mieli odwagę odejść, zanim kielich rozkoszy wypili do dna, zaznali prawdziwych godów życia... Miłość, zamiast być świętym płomieniem, w którym dobro i zło, cierpienie i radość, kłamstwo i prawda przetapia się w najcudniejszą rozkosz, która wyzwala od powszedniości zjawisk — w waszej epoce straciła swoje godowe szaty, stając się czymś pospolitym, obowiązkowym i nudnym.

— Wybacz pani, lecz nie rozumiem sensu takiej miłości, co ulatuje jak dym z papierosa. Oto mi rozkosz...

Ale ona jakby nie słyszała jego słów. Wpadła w retoryczny zapał i mówiła z egzaltacją:

— Życie wasze też uchodziło jak dym. Szybko, w zajęczych podskokach uciekała od

was młodość. Troski przygniatały was do ziemi, zginały wam kark i srebrzyły włosy, a twarz pokrywały zmarszczkami. Byliście jak żywe mumie. Odradzaliście się w waszych dzieciach, poświęcając dla nich resztki swoich sił, które wam śmierć w końcu wydzieriała.

— Dzieci są największą radością i pociechą — powiedział z przekonaniem.

— O ile tej radości życia wam nie zabierały. Miłość wasza do dzieci była ograniczona i na wskroś egoistyczna. Kochaliście tylko własne dzieci, a inne były wam obce, a często nawet wrogie.

— Pani nie potrafiłaby kochać nawet własnych — wtrącił zjadliwie.

— Cha! cha! cha!... kochać tylko własne dziecko, tylko to, które jest dziełem naszego aktu płciowego, to nie żadna miłość, to po prostu instynkt samozachowawczy. Zwierzęta, a nawet ptaki też „kochają” swoje potomstwo, broniąc je przed niebezpieczeństwem, przynosząc pożywienie. My, ludzie Ery Atomowej, kochamy wszystkie dzieci jednakowo, nasze czy też innych ludzi, naszych braci. Mężczyzna naszych czasów, współżyjąc z kobietą, niekoniecznie musi wiedzieć, czy jest ojcem jej dziecka. Nie pyta jej o to, gdyż jest to dla niego obojętne. Kochając kobietę, kocha jej dziecko. Kocha wszystkie dzieci. Jego nazwisko niepotrzebne jest ani matce, ani dziecku...

— A więc nawrót do prymitywu, do warunków wspólnoty rodowej.

— Bynajmniej. Ustrój wspólnoty rodowej, ten prawzór demokracji ludowej, wytworzył się w warunkach ciężkiej, choć solidarnej walki o byt. Era Atomowa stworzyła warunki nieograniczonej produkcji wszelkich dóbr dla wszystkich ludzi, a stało się to dzięki upowszechnieniu środków produkcji i bajecznie taniej energii. Powszechny dobrobyt stwarza także atmosferę solidarności i braterstwa oraz wysokiej kultury, czego brak było ludom pierwotnym.

— Więc jednak są małżeństwa i nie wszystkie kobiety tak myślą, jak pani?

— Oczywiście że są. I całkowita wolność wyboru stylu życia. Nikogo się nie krępuje, nikomu się niczego nie narzuca. Sprawy miłości to prywatne sprawy mężczyzn i kobiet. Nikt nie prowadzi kartotek, nikt nie rejestruje i nikt ich o nic nie pyta. Dzieci zapisuje się do Głównego Biura Osobowego danej strefy na nazwisko matki lub jakiegokolwiek inne; obojętne. Jedynie numer kolejny jest ważny, bo tego zmienić nie można. Nosi się go przez całe życie i zostaje po śmierci, jako widoczny jego ślad.

— Chyba nigdy nie zrozumieję ducha waszej ery, którą się tak chlubicie.

— Bo nie chce pan dopędzić nas w tym wyścigu z czasem. Pan się cofa.

— Ireno, czy to wszystko, co chciała mi pani powiedzieć?

— Tak...

— W takim razie żegnam panią. Żegnam... — chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz skłonił się tylko i odszedł. Irena patrzyła chwilę za nim, jak oddalał się szybko w stronę dzielnicy willowej. Biegł prawie. Wzruszyła ramionami.

Dziwny jest ten Relski — pomyślała.

Duże krople deszczu zaczęły przeciekać z gęstej płataniny liści. Wstała szybko i narzucawszy na głowę kapuzę impregnowanego płaszcza, poszła w kierunku zjazdu do podziemnego miasta.

## Rozdział VIII

Relski, powróciwszy do domu z owego spotkania z Ireną, rzucił się na fotel. Gorycz wypełniała mu serce, czuł jej cierpki smak w ustach.

W pewnej chwili wstrząsnął nim wewnętrzny, głuchy szloch. Był to bezradny płacz dziecka, któremu wyrządzono straszną, niepowetowaną krzywdę.

— Podła, okrutna kobieta... — zdołał wykrztusić przez zaciśnięte zęby. — I po to dali mi drugie życie, po to oddała mi swoją krew, aby zadawać mi tortury? Dlaczego Kocham ją tak bardzo, że nie potrafię żyć bez niej? Dlaczego?!

Kiedy starał się chwilami opanować i skupić, aby przemyśleć głębiej swoje uczucie do Ireny, uprzytomnił sobie, że jest to szczerą, spontaniczną miłość. I właśnie to czyste, nie skażone uczucie wbrew jego woli przybrało postać nieokiełznanej, szalonej, gwałtownej namiętności i pożądania, które wysysało zeń wszystkie siły i całą wolę życia. Dziwna to kobieta — myślał — co anielską słodyczą potrafi tak kunsztownie łączyć z prawdziwie szatańskim, zmysłowym wyrafinowaniem i niepohamowaną żądzą najwymyślniejszych rozkoszy.

I po raz pierwszy w świecie Nowej Ery pomyślał o śmierci. Zapragnął i tego, aby cały ten wspaniały świat rozpadł się w pył kosmiczny i przepadł na zawsze z nim, z Ireną i tymi wszystkimi, którzy stworzyli nową cywilizację, bezsilną wobec jego uczucia, jego wielkiej miłości do tej kobiety.

Potrąficie wymieniać serca ludzkie, wyjmijcie i moje serce i włóżcie mi inne, abym mógł o niej zapomnieć...

Nie zdawał sobie sprawy, jak długo przebywał w takim odrętwieniu duchowym i w tej obojętności na wszystko, co dotychczas napawało go dumą i radością. W pokoju panowała ciemność i zupełna cisza. Poczłł głód. Podeszedł niepewnym krokiem do okna i nacisnął małą dzwignię. Snop złoteo światła wdarł się do wnętrza wraz z orzeźwiającym chłodem. Był cudny ranek. Od strony parku dolatywał radosny świergot ptaków, witających odwiecznym zwyczajem narodziny dnia. Jerzy wciągnął w płuca balsamiczne powietrze uciekającej nocy. Teraz dopiero poczuł ogarniającą go senność. Ziewnął przeciągle, apatycznie. Odruchowo nacisnął guzik automatu zamykającego okno i całym ciężarem opadł na tapczan.

Żeby tak zasnąć i nie obudzić się więcej — zapragnął. Ale tutaj, w epoce wszechwładnego atomu, nie dadzą człowiekowi umrzeć. Zaraz radioteleryks wysła alarmowy sygnał, gdy tylko serce przestanie bić. A gdyby nawet zniszczył aparat i radiotelewizor kieszonkowy, to i tak nic nie pomoże, bo zgaśnie wówczas lampka kontrolna nad jego numerem w centrali i automatyczny sygnał alarmowy sprowadzi do mieszkania w ciągu kilku minut Pogotowie Ochrony Życia.

Nawet tak pozornie niewinny przedmiot jak jego radiowy zegarek na rękę spełnia rolę anioła-stróża, bo z chwilą gdy tętno zacznie słabnąć, przerwie się magnetyczny obwód, wzbudzany pulsacją krwi, a mikroinstalacja radiowa zegarka zacznie wysyłać krótkie sygnały SOS, które zostaną pochwycone przez gęstą sieć automatycznych stacji przekaźnikowych i bez trudu, niemal błyskawicznie zostanie ustalona tożsamość i miejsce pobytu umierającego. Wtedy zjawia się ludzie doktora Ramina z Instytutu Medycyny Doświadczalnej i będą próbowali przywrócić go do życia. A jeśli im się nie uda, zawiozą go znowu do Norbant, do doktora Zibellusa. I musi znowu żyć. Żyć wbrew swojej woli! Ach, to straszne! Nawet śmierć odebrano człowiekowi... Musi iść do doktora Ramina i zapytać, prosić o radę, co ma czynić, jak żyć z tą raną w sercu i pracować. Ach, Ireno!...

Było już dobrze po południu, gdy się obudził. Wstał i umył się w zimnej wodzie. Do Instytutu nie poszedł. Po pierwsze, było już za późno, po drugie — nie miał wcale ochoty. Cóż obchodziła go w tej chwili stacja magnetyczna na Biegunie Południowym, gdy strzałka na busoli jego własnego życia zmieniła diametralnie kierunek. Toteż zamiast do Instytutu poszedł do doktora Ramina. Zastał go siedzącego na tarasie kliniki, który ocieniały smukłe, pochylone jakby w zadumie palmy. Gdy ujrzał Relskiego, wstał i przywitał się z nim serdecznie, pytając o zdrowie.

— Właśnie przychodzę do pana jako pacjent, doktorze.

— Czyżby? — zdziwił się doktor Ramin i spojrział z niedowierzaniem na przybyłego.



— Jestem chory i to bardzo. Serce...

— Serce? O ile dobrze pamiętam, podczas ostatniego badania pracowało zupełnie normalnie. Ciśnienie krwi także prawidłowe...

— Doktorze, wiem, że pan jest moim przyjacielem. Wyznam więc szczerze: cierpienia mego nie wykaże najczulszy nawet elektrokardiograf, ponieważ ranę memu sercu zadała kobieta.

— A teraz rozumiem. Proszę, niech pan siada.

Usiedli. Doktor Ramin spojrzał mu w oczy z nietajoną troską. Widać było, że coś waży w myślach.

— Doktorze... Robi pan ciekawe operacje, wymienia pan serca ludzkie na nowe, gdy nie nadają się już do dalszej pracy. Proszę, zmień pan moje serce!

Doktor milczał chwilę, patrząc nań z wybaczącym uśmiechem, po czym powiedział tonem łagodnej perswazji:

— Przyjacielu, chętnie bym to uczynił, ale operacja taka nie usunie źródła twego cierpienia. Miłość, o jakiej mówisz, nie jest chorobą serca, ale chorobą wyobraźni.

— Wyobraźni? Więc nie w sercu tkwi źródło mego cierpienia?

— Zapewniam pana, że nie. Serce tu nie zawiniło.

— A zatem nie ma już dla mnie ratunku? Nie chcę cierpieć...

— Tego nie powiedziałem. Znam dwóch lekarzy, którzy uleczą twoje cierpienie, przyjacielu. Jednym z nich jest czas, a drugim...

— Znam tego pierwszego, doktorze. Jego siła i moc leży w zakłamywaniu samego siebie. Pozostaje ten drugi. Któż nim jest?

— Genialny Magin, psychofizjolog i psychochirurg, jego adres: Francja, Druga Strefa Klimatyczna, Instytut Psychoterapii Eksperymentalnej, oddział psychochirurgii urazowej. Jedź, przyjacielu, do niego, on cię uleczy.

Odszedł pocieszony. Za pomocą kieszonkowego radiotelefonowizora połączył się z oddziałem krajowym dla komunikacji europejskiej. Torpedostratus do Paryża odchodził za niecałą godzinę. Obecny Paryż, o którym już słyszał, w niczym nie przypominał dawnego, z epoki Łuku Triumfalnego, Wieży Eiffla i Montparnasse. Obecny Paryż to osiem podziemnych miast-fabryk, a na powierzchni, jak wszędzie w Europie, ogrody, wille, parki, sanatoria i pałace.

Godzina czwarta po południu. Gdy wyjedzie o piątej, będzie w Paryżu przed godziną szóstą. Dziś jeszcze zdąży powrócić do gabinetu profesora Magina. Ponieważ znał język francuski, wszedł śmiało i z miejsca przystąpił do meritum sprawy.

Profesor wysłuchał cierpliwie, nie przerywając ani razu. Był to starszy, wysoki i szczupły pan o bujnych, ciemnych, lekko osrebrzonych włosach. Gdy Jerzy skończył, wstał i przeszedł się parę razy po pokoju, a potem stanął przy oknie i patrzył przez chwilę na wysokie tuje, przyszyżone równo w ostrosłupy, wyprężone, jakby stojące na baczność. Po chwili odwrócił się i sprężystym krokiem zbliżył się do Relskiego.

— Dobrze się stało, że posłuchał pan rady mego przyjaciela, doktora Ramina. Pańska choroba jest uleczalna.

Jerzemu zajaśniały oczy.

— Moja metoda leczenia wyobraźni — mówił w dalszym ciągu profesor Magin szybko, zniżając głos — dała już zadowalające rezultaty. Nie będzie pan pierwszym pacjentem. Wybacz pan, że zabieg zilustruje małym wykładem, aby wyjaśnić, na czym polega istota tej choroby...

— Bardzo proszę.

— Otóż, drogi panie, zacznijmy od tego, czym jest to nasze istotne, najgłębsze „ja”, które nas różni od innych ludzi, jeśli nie sumą różnorodnych doznań i towarzyszącym im ładunków uczuciowych? Świadomość całokształtu tych doznań, zdolność wyobrażenia sobie

poszczególnych fragmentów przeszłości z mniejszą lub większą ścisłością oraz nadanie im właściwego zabarwienia uczuciowego — oto tajemnica naszej indywidualności. To tylko, a nie co innego, odróżnia jednego człowieka od drugiego, stanowiąc wyłączny jego świat, który umie odtworzyć w sobie, zrekonstruować na swój sposób, by nie zagubić się w nim, nie zatracić siebie...

Wyobraźnia jest motorem naszego życia, jest nieustannie pulsującym źródłem, wyzwajającym z nas najbardziej żywotne, twórcze siły, które na podobieństwo pękającego atomu eksplodują, by ukazać nowe, nieznanne jeszcze drogi. — Przerwał na chwilę, zamyślił się, po czym podjął znowu: — Zewnętrzna postać człowieka, jego specyficzne cechy natury fizycznej nie są trwałe i zmieniają się z biegiem czasu pod wpływem najrozmaitszych czynników, niezależnych od woli. Zostaje to, co jest w nas, co wydaje nam się stałe i niezmiennie — dusza, to jest suma doznań, rezultat utrwalonych, zmagazynowanych myśli, owoc syntezy białek naszego mózgu. Dusza jest więc materialna i można ją reprodukcować. Można ją także uśmiercić, nie zabijając ciała...

Relski, zapominając chwilowo o celu swojej wizyty, słuchał z niesłabnącym zainteresowaniem teoretycznych wywodów profesora Magina o materializmie duszy.

— Bo cóż to jest myśl? Myśl jest produktem materialnego mózgu, więc i sama w swej istocie musi być materialna, będąc emanacją materii. Wyzwalający się podczas procesu myślenia strumień energii w postaci elektronów to druga strona medalu tego samego zjawiska — materii, o czym dziś wie każde dziecko. Główny element wyobraźni — myśl, to jak barwna nić, z której utkana jest tajemnicza „taśma wyobrażeniowa”. Jest ona zdolna zmienić oblicze świata, jeśli posiada dość sugestywnej mocy, by olśnić miliony...

— Tak, to prawda — wtrącił Jerzy — jeśli niesie z sobą ładunek twórczej, konstruktywnej siły.

— Słusznie, drogi przyjacielu, lecz idźmy za wątkiem naszego rozumowania. Otóż fizjolog polski, Makowski, odnalazł niedawno te zwoje mózgowo, które na podobieństwo taśmy filmowej utrwalają wszelkie świadome przeżycia i doznania. Inny uczony, nazwiskiem Antonio Lamoniz, Portugalczyk, ustalił tak zwaną „krzywą uczuć”. Może ona być jednakowa dla wielu ludzi, jak przynależność do wspólnej grupy krwi. Dopiero skojarzenie wywołanego świadomie obrazu z „krzywą uczuć” daje moment indywidualnego przeżycia. Obojętne, czy będzie to obraz przeszłości, teraźniejszości lub przyszłości. Odkrycia tych uczonych są doniosłe i będą miały potężny wpływ na nasze przyszłe życie. Po prostu — rewolucyjny. W pierwszym rządzie umożliwią człowiekowi osiągnięcie prawdziwej nieśmiertelności, i to nawet w wypadku zupełnej zagłady materialnej.

— Ależ to niemożliwe, profesorze. Gdy umiera ciało, ginie i pańska „materialna” dusza — próbował polemizować.

— Nie zginie, gdy zostanie utrwalona na taśmie elektrowizyjnej. Zostanie zadany kłam twierdzeniu, że człowiek jest indywiduum niepowtarzalnym we wszechświecie, że istnieje tylko raz, czy to jako geniusz, czy też jako człowiek pospolity, mierny albo kretyn.

— Przepraszam... Nie rozumiem tylko, jak to jest możliwe, że cząstka owej „materialnej” duszy, pamięć zamknięta w miliardach komórek mózgowych, pozostaje tam w formie jakiejś wizji czy utrwalonych fotochemicznie mikroobrazów, które są wywoływane dowolnie za pomocą zwykłego impulsu woli, a więc jakby za naciśnięciem guzika, zamykającego elektryczny obwód w naszej sygnalizacji korowo-mózgowej...

— Tak to sobie można obrazowo sugerować.

— Właśnie. Ale nie mogę zrozumieć jednej rzeczy, profesorze. Przecież komórki obumierają i jak to się dzieje, że umierająca komórka mózgowo przekazuje swój wizualno-uczuciowy ładunek następnej, nowo narodzonej?

— Nasza nauka bada te procesy i jesteśmy na dobrej drodze do ujawnienia, jakie zachodzą reakcje chemo- i elektrofizyczne w mózgu człowieka, które utrwalają i przekazują

obrazy i skojarzenia wizualno-uczuciowe. Pamięta pan zapewne, jak to w jego epoce, za czasów barbarzyńskiego hitleryzmu palono ludzi w krematoriach?

— Tak...

— Otóż to. Odkrycia uczonych naszej ery i dalsze kontynuowanie badań w tym kierunku sprawią, że będziemy mogli wskrzesić każdego człowieka, nawet gdyby zamienił się w dym.

— Ależ to czysta herezja, profesorze...

— Wcale nie. Proszę tylko posłuchać. Gdy zbadamy dokładnie, jaka jest technika układów wyobrażeniowych w zwojach mózgowych czwartej strefy, w jaki sposób, za pomocą jakich uwarstwień cząsteczkowych „magazynuje” się obrazy doznań na tajemniczej „taśmie” mózgu, które można sobie w każdej chwili „wyposażyć” do obejrzenia albo też do powtórnego przeżycia drogą skojarzenia za pomocą „krzywej uczuć”, wówczas będziemy mogli stworzyć dokładny pierwowzór człowieka zniszczonego fizycznie albo dokładny jego sobowtór, tak jak bez trudności można zrekonstruować każdą maszynę, mając jej dokładny plan.

Jerzy z niedowierzaniem kręcił głową, a profesor, podniecony, ciągnął dalej:

— Każdy, kto będzie chciał ustrzec się od śmierci trwałej i zaasekurować od jakiegoś kataklizmu, będzie musiał nosić zawsze z sobą małeńki aparacik, podobnie jak w pańskiej epoce noszono zwykły zegarek. Taki przyrząd, połączony za pomocą elektrowironów ze zwojami mózgu, będzie utrwał technikę układów elektronowych najmniejszy obraz w łańcuchu świadomych doznań oraz wykreślał dokładną „krzywą uczuć”, towarzyszącą tym doznaniom. W ten sposób człowiek, zjawisko jedyne i niepowtarzalne we wszechświecie, stanie się czymś trwałym i ciągłym. Wiecznym...

— Lecz cóż to ma wspólnego z moim cierpieniem, profesorze — zaczął się niecierpliwić.

— Zaraz, zaraz, mój przyjacielu, wszystko pan zrozumie. Archiwum Stanu Cywilnego będzie sporządzało dokładne kopie tych „fotografii psychicznych”, aby w razie potrzeby przeprowadzić ich transplantację na mózg osobnika, stworzonego sztucznie...

— Tak. To jakby „zaszczepienie” starej duszy w nowe ciało. Pomysł zaiste dobry, lecz zbyt fantastyczny.

— Drogi przyjacielu. Mentalność ludzi dwudziestego wieku ciąży niepotrzebnym balastem na pańskim umyśle. Dziś, gdy zdobyliśmy dokładnie tajemnice atomu, gdy znamy reakcje elektrobiochemiczne, które rodzą myśl, poznamy i tajemnicze procesy, dzięki którym myśli i wyobrażenia zostają utrwalane w labiryncie naszego mózgu. Być może, nauczymy się za pomocą wywoływania bodźców sztucznych potęgować zdolność myślenia, a tym samym wzbogacać wyobraźnię ludzką do niebywałych granic. Ale to jest zadanie najbliższej przyszłości. Dziś możemy już leczyć pewne choroby wyobraźni. Potrafimy usunąć ze świadomości człowieka te wszystkie obrazy i skojarzenia, które sprawiają mu ból i zakłócają radość życia. W niedalekiej już przyszłości każdy człowiek będzie się poddawał chętnie takiej operacji usuwania niepotrzebnych przeżyć i bolesnych urazów, jak kiedyś poddawano się operacji wyrostka robaczkowego. To wszystko, co będzie zakłócało radość życia, poczucie jego pełni, będzie usuwane ze świadomości, jak niepotrzebny balast, przez naświetlanie pewnych zwojów mózgu falami elektronów wirowych. Ludzkość nie wyobraża sobie dziś jeszcze w pełni, ile szczęścia przynieść jej może to rewelacyjne odkrycie, nazwane „uśmiercaniem duszy”. Zbliży nas ono do pełni bytu i nie przeczuwanych rozkoszy życia.

— Profesorze, chcę się poddać zabiegowi. Proszę usunąć z mej wyobraźni miłość do Ireny. Albo lepiej — przemienić ją w nienawiść...

— W nienawiść? Cha! cha! cha! Wiedz pan, przyjacielu, że uczucia owe leżą bardzo blisko siebie. Może pan z łatwością pomylić się. Radzę więc usunąć źródło choroby.

— Proszę...

— Chodźmy do kamery elektronowej — zdecydował profesor Magin.

Przeszli do okrągłego gabinetu bez okien. Przytłumione, zielonkawe światło neonu ukazywało niewielkie wnętrze. Na środku stał dużych rozmiarów klubowy fotel, a na nim potężny hełm, podobny do tych, jakie zakładają nurkom, gdy spuszcza się pod wodę. Gdy Relski usiadł, profesor nałożył mu na głowę ów dziwny przyrząd. Mimo okazałych rozmiarów był tak lekki, że inżynier nie czuł prawie jego ciężaru, oczekując z napięciem na zabieg.

— Mogę pana zapewnić — powiedział z uśmiechem profesor — że operacja jest bezbolesna.

Łączył przewody, nie śpiesząc się wcale, jakby chciał wypróbować cierpliwość swego pacjenta. W pewnej chwili przekreślił kontakt i Jerzy usłyszał potężny gwizd, iż zdawało mu się, że głowę rozniesie mu na strzępy. Nagle wszystko ucichło. Słyszał tylko jak przez szum opadającej gdzieś wody, a własna głowa była jakby drewnianym kłosem, przymocowanym sztucznie do ciała.

— Aparat gotów! — usłyszał jak echo głos psychochirurga. Pozamykał wszystkie okienka, prowadzące do wnętrza hełmu, i włączył mały mikrofon, umieszczony na zewnętrznej kopule.

— Inżynierze! — Jerzy usłyszał tuż nad uchem — proszę myśleć intensywnie o kobiecie, którą pan kocha. Proszę wywołać z pamięci wszystkie obrazy i momenty najbardziej emocjonujące, najlepiej w porządku chronologicznym. Zaczynamy!...

Relski przypomniał sobie, jak pierwszy raz ujrzał Irenę, pochyloną nad jego łóżkiem, gdy został przywrócony do życia przez doktora Zibellusa.

— Uwaga! puszczam promień X N W. Proszę myśleć intensywnie i obrazowo — słyszał jakiś daleki obcy głos, jakby na drugim końcu ulicy.

— Proszę myśleć i przeżywać po raz drugi to wszystko!... Eksperyment trwa...

Zapaliło się niebieskie, łagodne światło, wypełniając małe wnętrze. Jerzy miał wrażenie, że znajduje się w szklanej kuli na dnie oceanu. Wywoływane myślą obrazy przeszłości trwały bardzo krótko, może ułamek sekundy, a potem uciekały nagle, rozplywały się w oceanie niebieskiego światła i nie mógł już do nich wracać. Ginęły. Natomiast zjawiały się coraz to nowe, ale było już ich coraz mniej, coraz trudniej przychodziły do świadomości, aż urwały się zupełnie.

Już nie słyszał głosu profesora, dudniącego mu tuż nad uchem przez maleńki mikrofon. Przed oczami pojawiły się białe, skaczące punkciki, a woda oceanu stawała się coraz ciemniejszą, aż stała się zupełnie czarna, w której wszystko utonęło...

Gdy otworzył oczy, ujrzał nad sobą roześmiane oblicze profesora Magina.

— No... jakże się pan czuje, przyjacielu?

— Zupełnie dobrze. Gdzie ja jestem?

— W Paryżu, w Instytucie Psychochirurgii Eksperymentalnej.

— Aha, już wiem... przypominam sobie. Przyjechałem tu, aby poddać się jakiemś zabiegowi, uwolnić się od cierpienia, które było ponad moje siły.

Usiadł bez trudu na wygodnym szezlongu i zaczął się rozglądać dookoła. Na okrągłym stole z różowego marmuru stał pod szklaną kopułą gigantycznych rozmiarów model ludzkiego mózgu. Jerzy zaczął mu się przyglądać z pełnym zaciekawieniem szacunkiem. Miał chyba z metr średnicy albo i więcej, oświetlony od wewnątrz różnokolorowym światłem, co czyniło go prawie przezroczystym. Tysiące znaków i cyfr pokrywało ten olbrzymi globus ludzkiej jaźni.

W pokoju nie było teraz nikogo. To go ośmieliło. Wstał i zbliżywszy się do modelu, oglądał go ze wszystkich stron. Tysiące pajęczych nitek w postaci cieniutkich promieni wybiegało z różnych części zwojów, a każda oznaczona symbolem i numerem. Nic nie rozumiał z tej fantastycznej płątaniny kolorów. Wszystko było dziwnie poskręcane i powiązane w pętle; chaotycznie, zdawałoby się, i bezładnie.

Oto miejsce, gdzie narodziła się dusza — kontemplował. — Związana nierozłącznie z tym organem, bez którego człowiek nie byłby nawet zwierzęciem, a tylko czymś pośrednim pomiędzy rośliną a pierwotniakiem. Tu żyje dusza, którą można fotografować, chwycić na taśmę jak coś, co jest zbudowane z materii, czego można dotknąć, sprawdzić, doświadczyć. Tak twierdzi psychochirurg, profesor Magin...

Wszystko to było dlań prawdziwą rewolucją. Postanowił zapytać jeszcze profesora o niektóre szczegóły „techniki myślenia”, gdyż nie rozumiał dobrze pewnych terminów.

Usłyszał za sobą ciche kroki. Obejrzał się. To profesor wszedł znowu do gabinetu.

— Oho! mój miły pacjent już na nogach. Doskonale. To znaczy, że jest pan zdrowy. Czy tak?

— Najzupełniej, profesorze. Nic mi już nie dolega. Pragnę panu podziękować i... zapytać o coś.

— Ależ bardzo proszę.

— Profesorze... Mówił pan interesująco o pracy mózgu, który jest jakby retortą, gdzie rodzi się myśl i materialna dusza. Czy ewolucyjny proces rozwoju mózgu, a więc inteligencji ludzkiej jest już zakończony?

— Ale gdzież tam! Jesteśmy w okresie początkowego rozwoju. Mózg przeciętnego człowieka doby obecnej jest jeszcze instrumentem o bardzo ograniczonych możliwościach. Powodem tego jest tak zwana jednopłaszczyznowość rozumowania. Potrafimy myśleć w danej chwili tylko o jednym jakimś problemie czy zjawisku, na który skierowana jest nasza uwaga lub wyobraźnia. Inne wrażenia i impulsy, narzucające się podczas aktu, przepływają obok, nie zostawiając śladu na „taśmie doznań”. Jedynie u jednostek genialnych proces ten przebiega nieco inaczej, dzięki pewnej ekwilibryście myśli i oryginalności skojarzeń. Ale i tu, i tam istnieje jednotorowość pracy ludzkiego mózgu stanowiąc tylko etap w procesie ewolucyjnym tego organu. Niedługo dojdziemy, dzięki odpowiedniej „gimnastyce” oraz osiągnięciom psychochirurgii, do zwielokrotnienia pracy mózgu. Da nam to możliwość równoczesnego myślenia i rozumowania o kilku na raz problemach, niezależnych od siebie, i utrwalenie wyobraźni w konsystencji białkowej kory mózgowej. Podobnie jak radiotelewiks, który odbiera jednocześnie i zapisuje na taśmie programy kilkunastu stacji radiotelewizyjnych.

— Profesorze... przecież mózg ludzki to nie maszyna. Nie można go zmechanizować.

— Kto tu mówi o mechanizacji, przyjacielu? To byłoby cofaniem zegara dziejów. Mózg ludzki przy swojej wielotorowości zachowa całkowitą indywidualność i niezależność rozumowania. Po prostu zwielokrotni się tylko w swoim rozwoju, osiągając „piątą strefę” na drodze ewolucyjnych przemian biologicznych. Przecież i „czwarta strefa” mózgu, której zawdzięczamy obecną cywilizację, jest osiągnięciem niezbyt odległym na drodze ewolucji. Człowiek pierwotny nie posiadał jej. Tak jak nie posiadają jej zwierzęta.

— Teraz rozumiem, od czego zależy postęp. Ale czas już na mnie. Dziś jeszcze muszę powrócić do Warszawy.

— O... dlaczego jeszcze dziś? Czy nie zechciałby pan zobaczyć nowego Paryża?

— Z przyjemnością... lecz przyrzekłem doktorowi Raminowi, że dziś wrócę. Muszę wracać. Czekają mnie prace. Budujemy stację magnetyczną.

— Wiem coś o tym, inżynierze. A więc życzę sukcesów. I proszę pozdrowić ode mnie mego serdecznego przyjaciela, doktora Ramina.

Jerzy spojrzął na miniaturową tarczę swego radiozegarka.

— Za kwadrans szósta. Pozostało zaledwie kilkanaście minut do odlotu torpedostratusa. Żegnaj pana, profesorze...

— Do widzenia!

Wyszedł do przedpokoju, aby zabrać swój płaszcz, gdy posłyszał za sobą odgłos szybkich kroków. Obejrzał się. To profesor Magin dopadł go jeszcze, gdy zstępował po stopniach, prowadzących do jednej z cienistych ulic w kierunku stratodromu.

— Ale... ale... byłbym zapomniał, przyjacielu. Otóż proszę przyjąć do wiadomości, że choroba pańska jest zaleczona tylko na pewien okres. Po sześciu miesiącach może powrócić cierpienie z większą niż dotychczas siłą i gwałtownością. Zdarza się, że następuje regeneracja rozłożonych komórek białka kory mózgowej i wówczas...

Jerzy machnął lekceważąco ręką.

— Mam zaufanie do pańskiej psychoterapii, która nazywa się „uśmiercaniem duszy”, i nie obawiam się nawrotu choroby. Zresztą... nic nie pamiętam!

## Rozdział IX

Jerzy Relski po powrocie do domu, co nastąpiło o godzinie siódmej tego samego dnia, połączył się za pomocą telefonowizora z doktorem Raminem. Opowiedział mu o przebiegu swojej wizyty u profesora Magina i pomyślnym wyniku operacji. Na zakończenie dodał:

— Nie trapi mnie obecnie żadna troska; umysł mam lekki, a w sercu radość. Chcę pracować, dużo pracować.

Następnego dnia z samego rana udał się do Instytutu Nauk Specjalnych, aby kontynuować studia i pomagać przy sporządzaniu magnetycznych map Globu. Profesor Marski oświadczył mu nie bez pewnej dumy, że budowa magnetycznej stacji na Antarktydzie postępuje szybko naprzód. Za dwa, trzy miesiące wyjadą na Biegun, aby przystąpić do realizacji planu „M”.

Relskiego wiadomość ta bardzo ucieszyła. Po wyjściu z Instytutu postanowił odbyć dłuższy spacer, gdyż odczuwał potrzebę ruchu. Jego ulubionym miejscem przechadzek był gaj palmowy, znajdujący się w niewielkiej odległości od parku kwiatowego.

Słońce było jeszcze wysoko i przygrzewało mocno. Skwar sierpniowy łagodziło tutaj falowanie chłodnego powietrza, które w tęczowych wirach i smugach unosiło drobniutkie kropelki zimnej wody z licznych wodotrysków, ukrytych w gąszczu parkowych drzew, krzewów i barwnych klombów. Powietrze to, stłoczone pod wielkim ciśnieniem w potężnych kondensatorach, ukrytych głęboko pod ziemią, działało orzeźwiająco. W porze zimowej natomiast z tych samych zbiorników szło powietrze gorące, podnosząc temperaturę otoczenia.

Opady były zapowiadane na dwa tygodnie naprzód. Atmosferę na określonym terenie, najczęściej na obszarze jednej strefy klimatycznej, ładowano najpierw elektrycznością, aby stworzyć warunki fizyczne dla nasycenia jej parą wodną, a następnie wiry lodowatego powietrza pod ciśnieniem tysiąca atmosfer powodowały jej skraplanie, dając w rezultacie deszcz. Padał tak długo, jak długo prądy zimnego powietrza przenikały atmosferę. Przystawał momentalnie, gdy zamiast chłodnego, włączono wiry powietrza ciepłego. Kalendarz opadów był dokładny jak rozkłady lotów torpedostratusów; nie mogło być nawet minutowych odchyień. Najczęściej wyznaczano na opady porę nocną; dni były pogodne i słoneczne, by jak najwięcej energii, płynącej ze Słońca, przechwycić i zakumulować.

Jerzy nie zastanawiał się już nad tym. Wydawało mu się, że tak być musiało, że inaczej być nie mogło, bo tak było dobrze. Właśnie tak. Zniknęła bezradność człowieka wobec kaprysów aury. Nie potrzebował już z lękiem spoglądać w niebo, z niemym pytaniem na ustach, ale ze spokojem i zaufaniem popatrzył na kalendarzyk pogody i wiedział wszystko.

Szedł z dziwną lekkością, wciągając w płuca musujące powietrze lata pomieszane z kropelkami rosy. Mijali go przechodnie: kobiety, mężczyźni i dzieci. Szli grupami albo pojedynczo, nie śpiesząc się. Twarze mieli roześmiane, wesołe. Musieli być szczęśliwi. A czyż on nim nie był w tej chwili?

Kierując swoje kroki w stronę Pałacu Kwiatów, dojrzał mimochodem w perspektywie alei między cyprysami samotnie idącą drobną postać kobiecą. Szła w jego stronę, a gdy była już blisko, twarz jej wydała mu się dziwnie znajoma. Niewysoka, szczupła, o smutnej twarzy dziewczynki, nie pozbawionej swoistego wdzięku. Morelowa, jedwabna suknia w różowe i niebieskie kwiaty dodawała jej powabu i świeżości. W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie widział tę małą, zgrabną kobietkę o dużych, nieco skośnych oczach. Mijała go właśnie, ściągając na siebie spojrzenia przechodzących obok młodzieńców.

Gdy oczy Jerzego spotkały się z oczami przechodzącej kobiety, dostrzegł w nich płomyk zainteresowania i jakby życzliwości. Skłonił się. Odpowiedziała mu ledwie dostrzegalnym uśmiechem, w którym było więcej zenującego zakłopotania niż aluzji do zawarcia znajomości.

— Ależ to Marietta! — zatriumfował niemal głośno i w jednej chwili znalazł się obok niej.

— Dzień dobry pani! Jakże się cieszę, że spotkałem panią tutaj.

Przystanąła i zawiesiwszy wzrok na jego twarzy, odpowiedziała z przyjemną wibracją w głosie:

— Dzień dobry, panie Relski. Miło mi również...

Odruchowo zerwał kwiat magnolii i podał jej.

— O... dziękuję. Pan jest bardzo uprzejmy.

Pokazała w uśmiechu drobne zęby i wpięła kwiat we włosy.

Uszli parę kroków, nie powiedziawszy słowa, przeżywając chwilę zaciekawienia i wzruszenia. Jerzy myślał, jak to jest możliwe, aby ta złotowłosa, wytworna kobieta nie miała nigdy matki. Wydawało mu się to fantastyczne, choć doktor Ramin opowiadał mu kiedyś, że Marietta była owocem ciekawego i jedyne w swoim rodzaju eksperymentu elektrobiologów. Powstała z dziwnego aliażu, połączenia naturalnej komórki kobiecej ze sztuczną męską, tworząc żywy embrión, wyhodowany w retorcie. Wynik taki udało się uzyskać tylko jedyny raz, mimo czynienia dalszych prób. Kobieta, która oddała swą plazmę śmiałym eksperymentatorom, była młoda, niezwyklej urody Japonka, studentka Instytutu Medycyny Doświadczalnej w Jokohamie.

Jerzy spojrział mimochodem na profil jej delikatnej, filigranowej główki. Tak, wybitnie wschodnia, oryginalna uroda Marietty świadczyła aż nadto, że łączyło ją wiele z krainą Wschodzącego Słońca. W jej twarzy, jakby zastygłej w zachwycie, było coś, co odurzało zmysły, a jednocześnie gasząc namiętność, ukazywało zwycięskie w swojej uwodzicielskiej sile, doskonałe piękno.

Aby przerwać zbyt długie milczenie, zapytał z pewnym wahaniem:

— Czy nie będę pani przeszkadzał, Marietto?

— Ależ nie... Chciałam się trochę przejść. Mam kilka wolnych dni...

— To dobrze, że panią spotkałem.

Jej ogromne, ciemne łuki brwi, ułożone w półksiężycy, wygięły się jeszcze bardziej ku górze, nadając jej twarzy wyraz zdziwienia.

— Może i dobrze.

— A zatem... pozwoli pani.

I ujął ją delikatnie pod ramię. Odpowiedziała mu uśmiechem.

— A jak panu idzie praca w Instytucie Nauk Specjalnych? — zagadnęła go.

— Dziękuję... Praca bardzo ciekawa. Pasjonuje mnie.

— Irena mówiła mi kiedyś, że wyjedzie pan na Antarktydę.

— Irena?... Któż to taki?

— Jak to? Nie zna pan Ireny? Przecież przyszedł pan wraz z nią do Głównego Biura Osobowego, aby się zameldować w państwie Nowej Ery.

— Tak? Nie pamiętam...

Marietta popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

— Ho, ho! To ma pan krótką pamięć, jeśli chodzi o nas, kobiety. Ale to może lepiej...  
— spojrziała mu z przymilną ciekawością prosto w oczy.

Zbliżyli się do końca ostatniej alei parkowej. Doszedł ich przenikliwy zapach, idący od pól kwiatowych.

— Chodźmy tam — powiedziała, pociągając Jerzego za ramię — utoniemy w oceanie kwiatów.

Poszedł bezwolnie jak dziecko, wpatrzony w jej odsłonięte nieco ramiona i szczupły tors.

— Co pan robi dziś wieczorem? — zapytała zniecka.

— Dziś wieczorem? Nie wiem...

— To może pojedziemy do podziemnego miasta? Jest dziś koncert sławnego wirtuoza Pantella na skrzypcach magnetycznych.

— Cóż to za skrzypce?

— Nie słyszał pan? Instrument, który potęguje i uwielokrotnia barwy dźwięków. Słuchając, ma się wrażenie, że gra nie jeden, a tysiące skrzypków jednocześnie.

— Doprawdy? — zapytał przekornie.

— Nie wierzy pan? Nic łatwiejszego, jak się przekonać.

— Dobrze. Ale pod jednym warunkiem: pani będzie mi towarzyszyła.

— Bardzo chętnie. Nie opuszczam żadnego koncertu mistrza Pantello.

Stanęli przed olbrzymim klombem egzotycznych kwiatów. Przeniknął ich słodkawy, omdlewający zapach. Nozdrza Marietty zdrząły lekko. Pochyliła się w jego stronę, a on czuł, a raczej odgadywał, że oparła rękę o jego ramię. Dotknięcie było tak delikatne i pełne finezji, iż fizycznie nie odczuwał go zupełnie, lecz był pod nieodpartym urokiem bliskości jej ciała. Sam nie wiedział, kiedy jej mała, drobna dłoń o długich, filigranowych palcach znalazła się w uścisku jego ręki. Miała pieśczośliwą miękkość aksamitu i drżała jak potrącona niebacznie struna.

Trwało to bardzo krótko. Mariettę ogarnął niepokój.

— Chodźmy — powiedziała — spóźnimy się na koncert.

Znaleźli się w labiryncie wąskich alei pośród pól kwiatowych. Jedną z nich, która zawitym meandrem przecinała morze hiacyntów i lewkonii, udali się w kierunku wyjścia do głównej alei parku, prowadzącej do zjazdu w podziemia. Czuli się swobodni i nieskrępowani, idąc obok siebie. Marietta zapytywała go o szczegóły pracy w Instytucie. Specjalnie interesowała ją, w jakim stadium znajduje się budowa potężnej stacji magnetycznej na Biegunie Południowym.

— Ciekawa jestem, czy zmiana pola magnetycznego Ziemi nie spowoduje zaburzeń we wzajemnej grawitacji planet? — rzuciła śmiało pytanie, które go nieco zaskoczyło.

— Skąd pani zna te szczegóły, Marietto?

— Ze sprawozdań Krajowej Rady Naukowej, nadawanych przez Stację Centralną — odpowiedziała, tonując uśmiechem jego zdziwienie. A następnie dodała, potęgując nastrój beztróskiej swady: — Czy przypuszczał pan, że zainteresowania kobiety współczesnej idą w innym kierunku niż mężczyzn? Że w epoce Ery Atomowej nie powinien nas obchodzić taki problem jak przesunięcie orbity Ziemi?

— Myślałem — usprawiedliwił się niezręcznie — że zainteresowania kobiety współczesnej idą w innym kierunku, że absorbuje ją w większym stopniu zagadnienie życia rodzinnego, miłości...

— O, nie? Kobieta naszej ery znajduje czas na wszystko, szczególnie zaś kobiety gatunku U S.

— Dlaczego właśnie wy?

Przystanęła i spojrziała na niego w głębokim zamyśleniu. W głosie jej zadrgała nuta



żalu:

— Hm... to pan nie wie? Przecież jesteśmy bezpłodne jak maszyny...

Pochyliła się naprzód i szła wolno, jakby żałując wypowiedzianych przed chwilą słów. Jerzy podążył za nią. Przez jakiś czas unikała jego wzroku, wpatrując się w daleką panoramę ogrodów i białych domków, wychylających się zza bujnej, soczystej zieloności drzew.

Gdy znaleźli się w windzie, która z szumem zapadła się w otchłań podziemnego miasta, Jerzy szepnął jej do ucha:

— Marietto, pani jest czarująca.

W odpowiedzi uściśnęła jego rękę. Podniósł do ust jej dłoń i pocałował. Winda pędziła jak pocisk. Przez okrągłe szybki w drzwiach wpadały wężyki błyskawic i ślizgały się jaskrawymi refleksami po twarzy Marietty, czyniąc ją podobną do posągu.

Naraz winda drgnęła. Z cichym szelestem otworzyły się automatyczne drzwi, ukazując tonący w półcieniu hali. Zeszli do przystanku ruchomych chodników i rozsiadłszy się na wygodnej, miękkiej ławce, popłynęli w szafirową przestrzeń miasta-giganta.

— Jesteśmy w najniższej kondygnacji — szepnęła Marietta — tysiąc metrów pod powierzchnią ziemi.

— Dlatego to szafirowe światło, przypominające odbicie pogodnego nieba na spokojnych falach morza...

— Tak. Każda kondygnacja w mieście podziemnym ma inny kolor światła. Najniższa ma koloryt morza przy pogodnym niebie. Czy kocha pan morze? — zapytała nieoczekiwanie.

— Tak... Ale wolę raczej to niespokojne, tętniące żywym, nieustannym nurtem fal. Płyną i płyną gdzieś z daleka, groźne i tajemnicze.

— Dziwna jest mowa szumiących fal — dodała Marietta z akcentem melancholii w głosie — dziwna, a tak kojąca i pełna nieokreślonej tęsknoty.

— O, tak... I wie pani, gdy jestem nad morzem, miałbym ogromną ochotę usiąść na takiej fali i płynąć gdzieś do nieznanych portów i tajemniczych, nie zamieszkanym jeszcze wysp.

— Których już nie ma, o biedny Robinsonie minionej epoki — wtrąciła z wybuchem szczerej wesołości. — Ani portów, ani chwytliwych szyj potężnych dźwigów, skrzypiących żelastwem, rozśpiewanych świstem stalowych lin. W portach i na wybrzeżu można spotkać jedynie małe jachty spacerowe, chwytając na swoje białe żagle morską bryzę.

— Więc cywilizacja waszej epoki odebrała morzu cały jego romantyczny urok, żeglarstwo dalekich mórz?

— Skądże; przenieśliśmy go w przestworza. Mamy romantyzm... kosmiczny.

— Kosmiczny albo międzyplanetarny, prawda?

— Coś w tym rodzaju. A synonimem jego: szybkość i wygoda.

Mijali jasno oświetlone ulice i zaułki podziemnego miasta. Było gwarno i ludno o tej porze. Ruchoma taśma chodnika zatrzymywała się na ważniejszych skrzyżowaniach. Wówczas jedni wysiadali, inni wsiadali. Zupełnie jak w tramwaju — pomyślał, przypatrując się przechodzącej obok fali ludzkiej, która rozpływała się gdzieś i ginęła w tajemniczych tunelach i spadzistych wirażach.

— Wie pan, co powiedział o naszej epoce Marek Fantom? — podjęła przerwana rozmowę.

— Któż to taki?

— Marek Fantom to geniusz naszej ery. Odkrywca nowych cząstek atomu, twórca nowych teorii promieniowania i magnetyzmu. Krótko mówiąc, człowiek, który ujarzmił energię świata. Jest członkiem Najwyższej Rady Geniuszów. O jego życiu krąży legenda.

— I co ta legenda mówi?

— Że nie jest naturalnie urodzony i że ma dużo wrogów wśród ludzi U N... Fantom powiedział do mnie kiedyś, że ten karkołomny wyścig z czasem i, jak się wyraził, zejście nau-

ki na ślepy tor, jaki prowadzi człowiek naszej epoki, zabije go. Że nastąpi kataklizm ogólnoswiatowy, jeśli ludzie U N nie zaniechają niebezpiecznych eksperymentów, szczególnie jeśli chodzi o produkcję ludzi U S...

Jerzy poderwał się ze zdumieniem. Usiadł jednak z powrotem i dotknawszy końcami palców dłoni Marietty, zapytał:

— I pani w to wierzy, Marietto?

Nic nie odpowiedziała, podnosząc do ust złocistą chryzantemę, zerwaną przed chwilą w parku. A potem, obracając w dłoni prężną łodygę wspaniałego kwiatu, powiedziała nie odwracając głowy:

— Raczej tak...

— To okropne!

Uśmiechnęła się z odcieniem zatroskania.

— Szkoda byłoby tych kwiatów, prawda?

Uniosła do góry dłoń i zatrzymawszy kwiat na wysokości oczu, wpatrywała się weń długo i z widocznym rozczuleniem. Potem odwróciła się i spojrzała na zasępioną twarz Relskiego wąskim kącikiem na w pół przymkniętych oczu. Rozmowa ta zaczęła ją bawić. Jakby chcąc go pocieszyć dodała:

— Nie wiedziałam, że pan to wszystko bierze serio.

Jerzy rozpogodził się.

— To pani tylko żartowała?

— Niezupełnie. Ale nie potrafię martwić się na zapas. Marek Fantom nie spowoduje katastrofy świata. On nie dopuści do tego. Obdarzony tak rozległą wiedzą, mądry i przewidujący, będzie wiedział, jak postąpić, aby uniknąć nieszczęścia.

Ruchoma taśma zatrzymała się znowu. Wjechali w jasno oświetlony tunel.

— Ach, Fantom!... — mówiła Marietta. — Jakie on ma niezwykle oczy... Jest w nich głębia i urzekająca dobroć. Czasem jednak bywają groźne i niesamowite. Mówię panu, straszne. O... takie, niech pan spojrzy... — Otworzyła szeroko powieki i napięła groźnie brwi.

Relski nie mógł się powstrzymać od głośnego śmiechu, zerknawszy na nią. Zamiast spodziewanej grozy ujrzał w jej nieco skośnych, przesadnie rozszerzonych oczach i błyszczących źrenicach obraz dziecinnej swawoli, zabarwionej nieco komicznym grymasem. Była rozbrajająca. Spoglądał na nią z niekłamanym zachwytem. Zmieszała się. Po chwili powiedziała już innym tonem:

— Oto jesteśmy u celu.

Wskazała na półkoliste wejście do obszernego budynku. Jego fronton wsparty był na sześciu potężnych kolumnach, po trzy z każdej strony obszernych schodów. Wysiedli szybko i zaczęli wstępować po stopniach. Było ich kilkanaście. Wpatrując się w masywy kolumn, nie bez zdziwienia zauważył, że z wnętrza ich, jak z potężnych lamp, sączyło się dyskretne, różowe światło. Wokół każdej kolumny wiły się cielska olbrzymich węży z zielonego jaspisu, które świeciły własnym, nieco przyćmionym, zielonkawozłocistym blaskiem. Na każdej kolumnie było ich trzy, bo trzy groźne paszcze potworów zwisały w dół, patrząc jarzącymi ślepiami, jakby za chwilę miały się rzucić na upatrzoną ofiarę.

Światło w ich obłych kadłubach zmieniało swoje napięcia, przesuwając się to w dół, to w górę, co nadawało im pozory ruchu. Jerzy stanął jak wryty między kolumnami, nie mogąc oprzeć się ogarniającemu go uczuciu lęku. Ogniste języki, niesamowicie długie, podobne do grotów, drgające i wyłupiaste ślepie, osadzone na spłaszczonych, trójkątnych łbach, których blask to przygasał, to rozplomieniał się, czyniły niezwykle wrażenia, pełne tajemniczej grozy.

Marietta pociągnęła go lekko za rękaw.

— Czy pan się boi węży? — zapytała, ujrzawszy nerwowy lęk na jego twarzy.

Nie odpowiedział. Zrobiło mu się głupio. Został popchnięty przez tłum. Zmieszali się z grupą wchodzących mężczyzn, kobiet i dzieci. Krążąc labiryntem wygodnych korytarzy, zna-

leżli się w olbrzymiej, kopulastej sali. Widownia miała kształt wielkiego koła z amfiteatralnie ustawionymi rzędami krzeseł i łóż. Jerzy i Marietta zajęli miejsca w ostatniej, położonej najwyżej. Panował tu przyciszony gwar rozmów i szeptów. W samym środku było wzniesienie, a właściwie potężna, baniasta kolumna, zakończona, miast kapitelu, ogromnych rozmiarów kielichem kwiatu, tak wielkim, że mogłoby się w nim wygodnie pomieścić kilka osób. W środku, jak we wnętrzu gigantycznego dzwonu, powietrze oscylowało słabym, seledynowym odblaskiem. Sama zaś kolumna, tonąca w girlandach żywych kwiatów, emanowała łagodnym, liliowym światłem, a wykwitający z niej fantastyczny kielich zmieniał co chwila ognie swych barw.

Trawiony ciekawością, Relski spoglądał dyskretnie raz po raz w różne strony, starając się pokonać onieśmienie, jakie zawsze stwarza nowa, nie znana i pełna niezwykłego napięcia sytuacja. Nigdy tu dotąd nie był. Siedząc w ostatnim rzędzie, miał tuż za sobą gładką ścianę, z której sączyło się światło o ciepłym, różowym kolorycie. Jakaś słodycz płynęła tu zewsząd i ten zapach wszechwładny, przenikający na wskroś. Zastanowił się, skąd bierze się ten zapach, ale niemal w tej samej chwili przyszła odpowiedź z rąk Marietty. Podsunęła mu wiązankę róż prawie pod sam nos. Nabrał pełne płuca rozkosznej woni, która upajała jak mocne wino. Chciał zatrzymać w palcach jej drobną dłoń, lecz wysunęła ją delikatnie, a odjąwszy z wiązanki kilka kwiatów, podała mu z przemiłym uśmiechem.

Teraz dopiero zauważył, że każda z siedzących obok pań trzyma w ręku kwiaty. Dużo kwiatów. Niektóre z wytwornych dam miały ich pełne naręcza lub trzymały na kolanach, obdzielając nimi hojnie swoich partnerów. Piękny zwyczaj — pomyślał, lecz nie widział, aby ci wszyscy, wchodząc do westybulu koncertowej sali, mieli naręcza kwiatów, więc zapytał o to Mariettę:

— Róże? O... widzi pan te dziewczęta w krótkich, suto marszczonych, jasnych sukienkach? To one...

Rzeczywiście. W szerokich, wygodnych przejściach między rzędami krzeseł i łóż krążyły w zwinnych lansadach małe dziewczynki w niebieskich i różowych sukienkach, rozdając hojnie bukiety róż, fiołków, i irysów, goździków i innych o nie znanej mu nazwie kwiatów.

Dziwił się, że nie było estrady.

— A gdzie będzie grał maestro?

— O, tu: na wprost przed nami — powiedziała niefrasobliwie.

Spojrzał przed siebie. Z tej wysokości rozchylony kielich stylizowanego kwiatu był na równym poziomie z lożą.

Marietta, jakby odgadując jego myśli, szepnęła mu do ucha:

— Mistrz Pantello wyjdzie z wnętrza kolumny i ukaże się publiczność w białym fraku. Jest to bardzo przystojny mężczyzna — dodała z wyraźną prowokacją.

— Tak?

— Ma czarne jak węgiel, fascynujące oczy i nigdy nie gasnący uśmiech. Jest naturalnie urodzonym Sycylijczykiem — szepnęła mu opierając głowę o jego ramię. Chwilami czuł, jak jej maleńkie usta dotykały prawie jego twarzy.

— Oho... musi być czarujący ten sycylijski skrzypek — wtrącił trochę szorstko, podrażniony w swej męskiej ambicji.

Spojrzała na niego, trochę zdziwiona, trochę ubawiona.

Na sali wzrósł się nastrój podniecenia. Rozmowy stawały się głośniejsze. Do uszu dochodził tłumiony śmiech kobiecy, któremu akompaniował męski bas. To znowu ginęło wszystko, zlewało się w jakieś rytmiczne unisono, podobne do brzęczenia pszczoł.

Odwrocił głowę, aby o coś zapytać Mariettę, która milczała teraz, gdy nagle panujący na sali półmrok przecięła jak błyskawica jasna smuga rubinowego światła i zatrzymała się w rozchyleniu kolumny na szczycie. W aureoli tego światła, błyszcząc jak biały posąg, ukazał się mistrz Pantello. Zerwała się burza oklasków.

— Oto on... — usłyszał szept zachwyconych warg Marietty.

Artysta kłaniał się z wdziękiem wokół, z pewną powagą i dystynkcją cyzelując każdy swój ruch, każdy uśmiech i każde spojrzenie, w którym przebijała pewność siebie i poczucie jakby intymnej więzi z tymi ludźmi, spoglądającymi nań z zachwytem. Swoim władcym, śmiałym spojrzeniem zdawał się obejmować wszystkich i wszystko, przykuwał oczy, fascynował.

— Oto nowy Apollo... — szepnęła Marietta, rzucając mu różę, która jak barwny motyl zamigotała w świetlistym kręgu reflektora; spadła gdzieś u stóp potężnej liliowej kolumny. W ślad za nią posypały się inne z bliższych i dalszych rzędów, niby płomienne ręce. Niektóre dotarły do miejsca przeznaczenia i upadły pod nogi artysty. Podniósł jedną z nich i uniósłszy nieco w górę z czarującym uśmiechem przypiął do klapy białego fraka. Kaskada oklasków powoli cichła.

Relskiemu wydało się to wszystko trochę sztuczne, nienaturalne. Złość go brała, gdy spoglądał na pełne ekscytacji, niemal hipnotycznie wpatrzone w stronę estrady oczy kobiet. Kiedyż nareszcie ten Sycylijczyk zacznie grać — denerwował się. Marietta, wyczuwając intuicyjnie jego zniecierpliwienie, szepnęła wpatrzone w mistrza:

— Niech pan uważa, zobaczy pan coś niezwykłego.

Jerzy, poddając się słodkiej sugestii jej głosu, spojrział znowu w stronę dziwnej estrady, jakby zawieszanej w powietrzu na świetlistej aureoli. Naraz z wnętrza barwnego kielicha, pomiędzy jego tęczowych płatów, jak cudna pszczoła na smukłych nóżkach wysunęła się drobna postać dziewczynki niezwyklej urody. Miała u szczupłych ramion małe, podłużne skrzydełka, opalizujące w strumieniu światła, płynącego z reflektora. Ubrana w krótką, bufiastą sukienkę, suto marszczoną, trzymała coś przed sobą, przyciskając obnażonymi rączkami do swego dzieciennego torsu.

— Skrzypce... — zauważył pełen zachwytu, gdyż i jemu zaczął udzielać się ten nastrój dziwnej idolatrii, panujący na sali.

Dygnęła ledwo dostrzegalnym ruchem i z naturalnym wdziękiem uniosła instrument w górę. Mistrz odebrał go z rąk dziewczynki i pochyliwszy się, ceremonialnie pocałował ją w czoło. Skrzypce uniesione do góry zagrały blaskiem złota.

Dziewczynka nagle znikła, rozplywając się w zmiennej aureoli światła, którym bez przerwy emanował olbrzymi kielich-estrada.

Relski przetarł oczy, myśląc, że uległ halucynacji. Czyżby śnił? Ale nie. Potężny grzmot oklasków otrzeźwił go, jak uderzenie dłonią w twarz. Marietta uśmiechała się bez przerwy, a w jej wpełzniętych oczach tlił się ogień niezwykłego podniecenia.

— To córeczka wirtuoza... Ma dopiero siedem lat — powiedziała obracając się w stronę Jerzego.

Chciał coś odpowiedzieć, lecz uwagę jego zwróciło nowe zjawisko, tak dziwne i niezrozumiałe jak poprzednio. Oto zauważył, że bombiasta kolumna, tlejąca od wewnątrz mdławym światłem, drgnęła nieznacznie i potem powoli, zatrzymując się chwilami, zaczęła się wolno, bardzo wolno obracać. Był tak pochłonięty zjawiskiem, że nie zauważył, kiedy Pantello podniósł do góry instrument i oparłszy na lewym ramieniu, przywarł doń podbródkiem. Znieruchomiał na chwilę. Potem, ułożywszy smyczek na strunach, jakby nie dotykając ich, zaczął grać. Popłynęły ciche, pieszczotliwe tony muzyki, nabierając stopniowo wyrazu i pełni.

— Improvizuje... — szepnęła Marietta.

Jerzy patrzył w marmurową twarz wirtuoza. Zdawał się być skupiony, jakby zatopiony w sobie. A melodia płynęła coraz śmieiej, coraz pełniej, rosła, potężniała, osiągając niezwyklej głębię tonów. Coraz to nowe akordy, coraz bogatsze i pełne nieoczekiwanych spięrzeń, porywające swoim wartkim nurtem jak górski potok...

Improwizowany utwór zakończył się mocnym, soczystym akordem pizzicato. Relski był pod przemożnym wrażeniem tej subtelnej i uwodzicielskiej muzyki, słodszej niż miłość,

która się rodzi. Zdawało mu się, że to nie jeden Pantello gra, a tysiąc wirtuozów w rytmie nieosiągalnej doskonałości wyśpiewuje na tysiącu instrumentów jedną i tę samą melodię, przenikającą i upojną. Pełno jej było wszędzie. Drżało nią powietrze świetliste, jak płomień migotliwe; potężna kolumna z girlandami kwiatów, ściany, emanujące coraz to inne ognie ze swego przejrzyściego wnętrza.

Lawina oklasków przetoczyła się przez salę, gdy zgasł ostatni akord improwizacji.

Spojrzał ukradkiem na Mariettę. Twarz jej zastygła w niemym uwielbieniu. Nie widziała nikogo, wpatrzona hipnotycznie w dominującą nad tym wszystkim sylwetkę mistrza.

A on grał znowu, gdy oklaski ucichły. Jerzy podziwiał te ręce, które z nieomylną precyzją, śpiewną giętkością i miękkością ruchów prawie nieuchwytną dla oka, wydzwaniały na strunach zwycięską pieśń człowieka nad materią, wyzwalając piękno, które wyhodował, wykształcił w sobie, w swoim umyśle i sercu. Biegły po strunach w jakimś szaleńczym wyścigu, jakby stanowiły coś odrębnego, coś samoistnego i niewytłumaczalnego. Jakieś tajemnicze misterium. Magnetyczne skrzypce...

Coraz silniejszy dreszcz przenikał jego ciało, budząc rozkosz, dla wyrażenia której brak słów. Rozkosz ta przepływała przez niego nieprzerwanym strumieniem najpięściwszych tonów, jak woda przez otwarte naczynie. Poddał się tej mocy urzekającej i tak trwał w jakimś innym bycie, lepszym, piękniejszym, a nade wszystko pełnym.

Po bisach, których było kilka, podniecenie publiczności doszło do szczytu. Wyraziło się ono w entuzjastycznych okrzykach.

— Brawo, Pantello! — krzyczano zewsząd w euforycznym szale. — Brawo! brawo! bravissimo!

Ale mistrz nie chciał już wystąpić. Zapadł się we wnętrzu kolumny, której blask przysgasł stopniowo, przywracając jej naturalny, jasnoróżowy kolor. Pozostał nieczuły na zrywające się w coraz innym miejscu fale żywiołowych oklasków i głośnie, pełne żarliwej tęsknoty nawoływania kobiet.

A może nie słyszał już mistrz Pantello błagalnego hymnu tych wszystkich, których urzekło piękno i artyzm jego wielkiej sztuki?

Pozbawiona światła kolumna była już tylko martwą, bezduszną bryłą marmuru i stała nieruchomo na swoim monumentalnym cokole, opadającym piramidą gigantycznych pierścieni w dół, aż gdzieś pod lustrzany parkiet podłogi.

Publiczność zaczęła wstawać z miejsc, wolno, w skupieniu kierując się do wyjścia. Marietta uniosła się także i uczyniwszy gest w stronę Jerzego, powiedziała drżącym ze wzruszenia głosem:

— Chodźmy już, panie Jerzy. Koncert się skończył.

— Skończył się... — powtórzył mechanicznie.

— A widzi pan, że to jednak geniusz?

— Być może...

— Tak. To jest prawdziwy mężczyzna. On jeden potrafi zrozumieć duszę kobiety. Tylko artysta!... artysta!... — mówiła z emfazą, torując sobie drogę w stronę wyjścia. Jerzy posuwał się za nią, pozwalając biernie nieść się leniwie płynącej fali ludzkiej.

— Wie pan — powiedziała gdy znaleźli się już na łagodnie opadających stopniach, prowadzących do przystanku ruchomych chodników — czasem próbuję porównać z sobą tych dwóch niezwykłych ludzi, mistrza Pantello i Marka Fantoma...

Jerzy słuchał jej głosu, nie rozumiejąc słów.

— ... Jeden ma w sobie jakąś uwodzicielską moc, której nie można się oprzeć... coś pcha w jego ramiona. Taka słodka pokusa, chęć bezpamiętnego oddania się, która przyćmiwa rozsądek i wolę. Natomiast Fantom... jest porywający, pełen jakiejś mocy, jakiejś dostojnej siły, która nakazuje posłuszeństwo, każąc uwielbiać jednocześnie. Czasem zaś w oczach jego widać grozę i wówczas drzę ze strachu, jakbym widziała śmierć...

— Przecież śmierć nie jest groźna w świecie waszej ery?

— Sama śmierć nie. Lecz tajemniczy jej oddech, proces unicestwiania... Wolałabym od razu spalić się na popiół i więcej nie powstać.

Przystanęli, gdyż podziemna ulica miała tutaj trzy kierunki.

— Dokąd pójdziemy? — zapytała.

— Czy ja wiem? Chyba pospacerujemy ulicami podziemnego miasta. Tak rzadko bywam tutaj...

— Ach, to doskonale — zaaprobowała z pasją. — Chodźmy zatem w nieznane. — Wsunęła dłoń pod jego ramię.

Szli długo wąskimi, krętymi ulicami. Mijały ich z cichym szelestem płynące w różnych kierunkach długie eszelony, jak tratwy na spokojnej wodzie. Czasem mignęła sylwetka przytulonej do siebie pary i ginęła za najbliższym zakrętem uliczki. Uśmiechali się wtedy do siebie szczerym, beztroskim śmiechem ludzi, będących na tropie szczęścia. Mówili mało, banałem słów próbując zatamować bieg myśli, ale oczy zdradzały ich sens ukryty. Gdy przechodzili obok baru, skąd dochodziły dźwięki sentymentalnej muzyki, Marietta zatrzymując się szepnęła:

— Chciałabym się czegoś napić...

Weszli do środka i napili się orzeźwiającego coctailu. Potem, trochę podnieceni, z nowym ładunkiem optymizmu i beztroski, pojechali do głównego hallu, skąd winda pionowa wyrzuciła ich na powierzchnię ziemi. Ze stacji wind ruszyli wolno aleją między cyprysami. Klucząc znaleźli się wśród kawowych i herbacianych krzewów.

Był już wieczór. Księżyc srebrzył wszystko dokoła, zalewał potokiem światła połyskującą aleję wśród drzew. Było prawie tak jasno jak w dzień. Nie czuli chłodu nocy, gdyż klimat Pierwszej Strefy zbliżony był do klimatu pasa śródziemnomorskiego. Stożki Sarotta pracowały bez zarzutu, regulując samoczynnie temperaturę w dzień i w nocy.

Jerzy czuł w piersiach bezmiar nieokreślonego szczęścia. Ostra, nieskazona woń powietrza nocy wywoływała w nim echa pieściwych akordów muzyki Pantellego.

Niebo jarzyło się gwiazdami. Było takie przepastne i ogromne, jakby nagle rozwarło swoją głębię gdzieś aż hen, za linią najdalszych galaktyk. Jerzy poczuł się bardzo małym wobec nieograniczonej przestrzeni i tych miliardów nieznanymi, a potężnych światów, krążących w bezkresie kosmosu z dokładnością najczulszego mechanizmu.

Marietta wpatrywała się przez chwilę w gwiazdną dal, a potem uśmiechnęła się do tych światów dalekich, jak do starych znajomych.

Jerzy przerwał jej kosmiczną adorację nagłym wykrzyknikiem:

— Marietto! Widzi pani, jak piękny meteor przecina niebo tuż nad nami?

Odwróciła głowę w kierunku wskazanym przez Relskiego i przyjrawszy się uważnie zjawisku, zaprzeczywszy ruchem głowy oświadczyła:

— Ależ to wcale nie meteor. Zapewne torpedostratus albo rakieta międzyplanetarna.

— Ach, prawda. Ciągle jeszcze tkwię w tamtym świecie, gdzie tramwaje i koleje były jedynymi dostępnymi dla wszystkich środkami lokomocji...

— A samoloty?

— Samolotami podróżowali ludzie zamożni oraz dyplomaci.

Ujęła go silniej pod ramię i wspiawszy się na jednej nodze, dotknęła włosami jego twarzy. Poczuł na całym ciele ostry dreszcz. Jaka ona rozkoszna — pomyślał. A potem powiedział głośno:

— Marietto... czas wracać do domu. Już późno.

— Tak? Nie żał panu tak pięknej nocy? Wszystko wokoło pachnie. Drzewa, krzewy, kwiaty...

Spojrzał na nią z czułością. Szli wolno wolno, krok za krokiem, zatrzymując się chwilaми i nasłuchując. Zdawało im się, że słyszą dochodzące gdzieś z dala nawoływania i echa

pieśni.

— Muszę wracać, bo jutro czeka mnie praca. Za dwa miesiące wyruszam z ekspedycją na Antarktydę.

— Pan? A po co?

— Jak to po co? Budujemy stację magnetyczną.

— Czy chciałby pan, abym pojechała tam również?...

— Pani? Cóż by pani tam robiła? Mróz, niewygody...

— Hm... To mnie najmniej przeraża. Za to pociąga nowość, potęga myśli, która tworzy wielkie dzieło naszego wieku.

Jerzy przystanął i nie wypuszczając z uścisku drobnej dłoni Marietty, przyglądał się jej z zaciekawieniem. Twarz, w dyskretnym blasku pobliskich świateł, wydała mu się jakaś inna, bardziej podniecająca, tajemnicza i zagadkowa.

Wytrzymała śmiało jego spojrzenie, nie mrugnawszy okiem.

— Nie rozumiem, po co chce pani tam jechać — wycedził, straciwszy pewność siebie.

— Powiedziałam. Zresztą... wiele rzeczy jeszcze pan nie rozumie, lecz zrozumie niedługo...

— Mówi pani językiem dla mnie obcym. Skądże mam zrozumieć?

— O... jak zbudują stację magnetyczną, wtedy pan zrozumie.

Nic nie odpowiedział. Czuł, że Marietta kryje coś przed nim, że gdyby chciała, mogłaby mu wiele powiedzieć. Zresztą było mu to obojętne. Cóż ona może wiedzieć o sprawach Globu, ta drobna, niepozorna kobieta. O wszystkim decyduje Najwyższa Rada i Rząd w Norbant. A Marek Fantom? — Zamyślił się.

— O czym pan дума, Jerzy?

— O pani, Marietto...

— Jerzy... — Przystanęła i oparła mu głowę na piersiach. Przyciągnął ją mocno i pocałował w usta. Oddała mu długi pocałunek z wyrafinowaną pieśczołą.

— Jerzy .. chcę być dziś z tobą — powiedziała, nie odwracając gorącego policzka od jego twarzy. Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

— Taki spokój bije od ciebie, taka dobroć. Jerzy... — szeptały jej wargi, nabrzmiałe czułością. — I pomyśleć, że ten świat może się kiedyś skończyć, może niedługo już...

Urwała i zwróciła ku niemu oczy, w których czał się dziwny smutek.

— O czym ty mówisz, Marietto? — zapytał, nie rozumiejąc tak nagłej zmiany jej nastroju.

— Ot, tak sobie... Senna jestem. Chodźmy.

Klucząc wśród rozległego parku, doszli do Alei Pomarańczowej. Gdy przechodzili obok jego domu, szepnęła:

— Tu mieszkam. — Mimo woli przystanęli. — Czy wstąpisz do mnie? — Zawahała się przez chwilę.

— Zmęczona jestem. Pozwolisz, że odpocznę trochę.

Znaleźli się w przytulnym pokoiku, który Jerzemu służył za gabinet. Marietta osunęła się z ulgą na fotel. Relski stał przez chwilę pochylony nad nią i gładził ręką jej bujne loki. Patrzyła przez wółprzymknięte oczy i uśmiechała się do niego sennie. Odszedł, by włączyć maszynkę do kawy. Gdy wrócił po kilku minutach, Marietta zasnęła już, podparwszy głowę na puszystej wypukłości adamaszku. Stał przez chwilę niezdecydowany, i wyraźnie zakłopotany. Potem wycofał się na palcach do przyległego pokoju i nacisnął guzik mechanizmu, zamykającego drzwi. Włączył radiotelriks i wysłuchał komunikatów centralnych stacji.

Zainteresowała go szczególnie wiadomość o grupowych samobójstwach ludzi gatunku U S w kilku państwach Europy. Rządy poszczególnych krajów powołały specjalne komisje dla zbadania przyczyn tych masowych samouśmierceń. Jak wynikało z pierwszych raportów owych komisji, wśród ludzi U S panowało niezwykle podniecenie, jakaś nie notowana dotąd

masowa histeria, prowadząca do zbiorowego zamroczenia umysłu. I co najdziwniejsze, ta osobliwa neurastenia przenosiła się z kraju do kraju jak epidemia. Nazwano ją „pandemią hysteriosa”. Według zeznań niektórych odratowanych samobójców wynikało, że nie chcą żyć, ponieważ życie straciło dla nich sens, stało się nieciekawe i nudne.

Relski zamyślił się. A więc są malkontenci w świecie Atomowej Ery. Było to dla niego nowością, niemal objawieniem.

— To zaczyna być ciekawe — powiedział głośno do siebie. — Niby wygląda to na spleen, ale nie... W tym kryje się jakiś głębszy sens, jakaś nowa tragedia ogólnoludzka. Może ta, o której tak dziwnie mówiła dziś Marietta?

Wspomniawszy jej imię, uświadomił sobie, że śpi tuż obok. Myśli tłoczyły mu się w głowie i huczały, nie znajdując ujścia. Był wyraźnie zdenerwowany. Czyżby i jego dosięgła pandemia hysteriosa?

Oplótł rękami głowę i zaczął wolno spacerować po pokoju. Próbował rozwiązać tę dziwną zagadkę. W pewnej chwili refleksje jego przerwało poruszenie się Marietty i jakby głębokie westchnienie. Nasłuchiwał, przyłożywszy ucho do cienkiej ściany, gładkiej jak szkło. Ale w pokoju, gdzie spała, panowała znowu niezmacona cisza. Jednakże świadomość jej obecności nie pozwoliła mu już wrócić do poprzedniego tematu. Coś pchało go do niej, coś, co było silniejsze niż on sam z jego ludzką, wyrozumowaną świadomością.

Nie wiedział, kiedy nacisnął drżącym palcem wystający guzik przy drzwiach. Podniosły się cicho jak kurtyna w teatrze marionetek. Spojrzał z lękiem do wnętrza, skąd dochodził rytmiczny oddech śpiącej kobiety. Stał, nasłuchując czas jakiś. Po dłuższym wahaniu, zakradając się jak kot, wszedł na palcach i stanął na wprost śpiącej.

Odblask światła wpadał przez otwarte drzwi i szerokim refleksem odbijał się od przeciwległej ściany. Ujrzał ją leżącą swobodnie, z rozpiętą na piersiach suknią i głową wspartą na prawym łokciu, tonącym w mięszu tkaniny. Wstrzymał oddech, by jej nie przebudzić. Lecz ani drgnęła. Chciał się cofnąć, ale postać Marietty działała nań zniewalająco. Pierś jej podnosiła się rytmicznie i opadała lekko. Postąpił jeszcze krok naprzód. Był tuż przy niej. Miał w nozdrzach słodki, kuszący zapach jej ciała.

Jakaś moc niewidzialna szła od niej i ścisnęła mu krtań, tamując oddech. Czuł, że płonie, że ogień ogarnia go i że nie będzie w stanie mu się oprzeć. Już chciał ukłęknąć i pocałować jej odsłonięte lewe ramię, lecz bezbronność Marietty wzbudziła w nim wewnętrzny szacunek i jakby nabożny lęk. Zrobiło mu się wstyd. Ostatnim wysiłkiem woli poderwał się i uciekł do swego pokoju. Tak. Tchórzliwie uciekł, gdyż czuł, że nie miałby potem odwagi spojrzeć jej w oczy. Zasunął z powrotem drzwi i opadł na fotel, dysząc ciężko. Do świtu nie zmrużył oka.

Następnego dnia rano udał się, jak zwykle do Instytutu. Marietta wstała wcześniej i zjedli razem śniadanie. Przepraszała, że sprawiła mu kłopot. Była nie mniej miła i serdeczna, jak ubiegłego wieczoru. Jerzy nie mógł sobie darować tej nocnej sceny. Pozostało dla niego na zawsze zagadką, czy Marietta wiedziała o tej jego nocnej wizycie, a pytać przecież nie śmiał, czując się winnym wobec niej. Rozstali się jak para przyjaciół, umówiwszy się na następny wieczór.

Tego dnia profesor Marski powierzył mu do opracowania tablice napięć magnetycznych na południowej półkuli Ziemi oraz obliczanie mocy pól grawitacyjnych w zależności od pory dnia i roku, a także innych czynników natury kosmicznej. Praca ta wiązała się ściśle z rozpoczętą już budową gigantycznej stacji magnetycznej na Antarktydzie, będącej jednym z ogniw tego zuchwałego przedsięwzięcia. Badaniom i pomiarom napięć magnetycznych na Ziemi towarzyszyły podobne przedsięwzięcia kontrolujące na Marsie i Wenus, a przede wszystkim na Księżycu, który obecnie odgrywał, w razie potrzeby, rolę stacji tranzytowej przy przelotach na planety. Kupując na przykład w Biurze Komunikacji Międzyplanetarnej bilet na



Marsa, należało zaznaczyć, czy ma być bezpośredni, czy też z przesiadką na Księżycu.

Jerzy był dumny z tego, że jemu powierzono tak ważne zadanie. Świadczyło to o tym, że w stosunkowo krótkim czasie doskonale opanował bogaty materiał naukowy, odnoszący się do badania zjawisk magnetyzmu i grawitacji. Dwaj asystenci Instytutu, Janusz Borski i Roman Korwin, dokonywali pomiarów za pomocą precyzyjnych magnetografów i innych doskonałych instrumentów w różnych punktach Ziemi poniżej równika i przysyłałi meldunki drogą radiotelewizyjną.

Z Instytutem Nauk Specjalnych Pierwszej Strefy Klimatycznej współpracowały placówki naukowe i obserwacyjne innych państw europejskich, dokonując pomiarów i wymiany doświadczeń w określonych strefach Globu.

Zaden naród, mały czy wielki, nie chciał być pominięty w tym ofiarnym wysiłku, z którego miał się narodzić wielki czyn, jedyny w historii świata, a mający zapewnić wszystkim mieszkańcom Globu lepsze, doskonalsze warunki życia przez zbliżenie Ziemi do Słońca o nieco ponad trzy sekundy światła, to jest o odległość wynoszącą około miliona kilometrów, licząc od największego zbliżenia Ziemi do Słońca.

Ten skok do Słońca o odległość stosunkowo niewielką w skali kosmicznej to ocean energii, jaki miał spływać na Ziemię, by uchronić ją od wszelkich niespodzianek i kaprysów aury, to gwarancja, że nie powtórzy się już nigdy epoka lodowcowa, gdyż temperatura przeciętna Globu podniesie się o 7 — 109 stopni Celsjusza, a tereny podbiegunowe pokryją się zielenią lasów i łąk bez sztucznego podnoszenia temperatury za pomocą energii ziemskiej, co było przecież wielkim marnotrawstwem, gdyż w końcu energia ta może się wyczerpać. A przy tym ile wysiłku ludzkiego zaoszczędzi ta dodatkowa energia, gdy spłynie ze Słońca, czyniąc zbędnym sztuczne podwyższanie ciepłoty dla zachowania obecnych stref klimatycznych. Zadaniem człowieka będzie tylko regulacja owych dobroczynnych strumieni energii, które dotychczas nie docierały do Ziemi, ginąc po drodze w lodowatych przestrzeniach międzyplanetarnych.

Profesor Marski, znakomity magnetolog, wierzył w szczęśliwe rozwiązanie tej arcyśmiałej koncepcji. Będą to jakby drugie narodziny Ziemi — twierdził — nowa faza jej dziejów i człowieka. W ten sposób przybliży się ona o krok tam, skąd wzięła swój początek przed przeszło dwoma miliardami lat.

Zapał i entuzjazm udzielał się Relskiemu zawsze, ilekroć rozmawiali o tym. A rozmawiali prawie codziennie, gdyż dyrektor Instytutu polubił Jerzego szczerze i serdecznie, uważając go za wybitnie uzdolnionego, ponieważ w stosunkowo niedługim czasie opanował trudny i obszerny materiał naukowy.

Bezpośrednią kontrolę nad działalnością Instytutu Nauk Specjalnych sprawowała Krajowa Rada Naukowa, otrzymując okresowe raporty i sprawozdania, które z kolei odsyłała z własnymi uwagami i komentarzem do sekretariatu Najwyższej Rady Geniuszy w Norbant.

Jednym z członków Najwyższej Rady Geniuszy był Marek Fantom, człowiek o niezwykłej inteligencji i bajecznej wprost pomysłowości. Skonstruował on cały szereg ciekawych aparatów, a między innymi lunetę elektryczną, dzięki której można było zobaczyć dokładnie dna najgłębszych oceanów oraz wnętrze Ziemi na setki kilometrów w głąb, aż do płynnej magmy. Prócz tego miał wiele sukcesów i ciekawych osiągnięć w pracy nad wytwarzaniem sztucznych tworzyw oraz taniej energii, którą zastosował do produkcji wielu artykułów, używając wody morskiej jako bazy surowcowej do wyrobu delikatnych tkanin.

Powietrze i surowce wtórne oraz różne odpady otrzymywane przy produkcji przedmiotów powszechnego użytku z wody morskiej zastosował do produkcji korkonu, z którego budowało się małe przenośne domki w rodzaju tych, jaki przydzielono Relskiemu. Ponadto udoskonalił wyrób niektórych gatunków stopów i mas plastycznych o wielkiej wytrzymałości i odporności na działanie wysokich temperatur, co miało szczególne zastosowanie przy budowie torpedostratusów zarówno dla komunikacji na Globie, jak i międzyplanetarnej.

Marek Fantom miał w najbliższym czasie przyjechać do Instytutu Nauk Specjalnych, aby osobiście kierować jego działalnością, jako pełnomocny delegat Najwyższej Rady Geniuszy, aż do czasu wyjazdu na Antarktydę

Relski znał Fantoma z komunikatów Centralnej Stacji. Raz słyszał jego wykład o racjonalnym wykorzystaniu energii słonecznej i widział sylwetkę uczonego przez telewizor. Jednakże nie wspominał o tym Marietcie podczas wczorajszej rozmowy w parku, słuchając jej niejasnych relacji i zagadkowych uwag o tym niezwykłym człowieku.

Teraz, dokonując skomplikowanych obliczeń logarytmicznych za pomocą automatu elektronowego, myślał o tych jej tajemniczych aluzjach. Zastanawiał się, co by mogło łączyć tak genialnego badacza z kobietą o średniej inteligencji, choć egzotycznej urodzie, nie odznaczającej się niczym szczególnym, a przy tym z nienaturalnie urodzoną.

Rozwikłania tej zagadki postanowił szukać u Marietty, gdy się z nią zobaczy. Ale kiedy? Powiedziała, że dziś wieczorem będzie w pobliżu jego domu, więc mogą się spotkać.

Tymczasem pasjonowała go praca nad sporządzeniem magnetycznej mapy południowej półkuli w niezwykle dużej skali. Z otrzymanych ostatnio pomiarów magnetograficznych obliczał napięcia i oznaczał gniazda magnetycznych zagęszczeń. Łączył linie jednakowej deklinacji magnetycznej w izogony, miejsca jednakowej inklinacji — w izokliny. Wykreślił równik magnetyczny, wynajdywał izodynamy oraz zakreślał drobną siatką te miejsca, gdzie panowały burze magnetyczne, spowodowane przez strumienie elektronów, wyrzucanych przy protuberancjach słonecznych.

Teraz dopiero, w miarę stopniowego opanowywania bogatego dorobku naukowego z tej dziedziny, konstatawał, jak uboga była nauka pierwszej połowy dwudziestego wieku o magnetyzmie ziemskim i kosmicznym, o istocie tej tajemniczej siły, dzięki której cały wszechświat trwał w niezachwianej harmonii ruchu i nie zmaconej niczym równowadze. Aż oto zjawił się człowiek, który po raz pierwszy w historii świata postanowił coś zmienić w tym największym i najdoskonalszym zegarze. Zmienić? Nie. Raczej dokręcić jedną maleńką śrubkę w przeogromnym mechanizmie, by nie zakłócić jego biegu. Ale gdyby eksperyment nie udał się? Co wówczas z Ziemią? Relski wzdrygnął się na tę myśl. A może Marietta to właśnie miała na myśli, mówiąc, że „to wszystko może się wkrótce skończyć”. Czyżby nie wierzyła w powodzenie całej sprawy? Ot, głupstwa. Co ona może wiedzieć? Przecież najtęższe głowy, najwięksi geniusze Ery Atomowej myślą o tym i z pewnością nie popełnią błędu.

Przy tak precyzyjnym, niezawodnym obliczeniu wszystkich czynników na Ziemi i poza nią błąd jest nie do pomyślenia — pocieszał się. — Jak to? Przecież najwybitniejsi astrofizycy i astronomowie z całym sztabem specjalistów sporządzają równocześnie magnetyczne mapy wszystkich planet systemu słonecznego i dokładną mapę magnetyczną Gwiazdy Diennej. Nawet protuberancje słoneczne dadzą się przy obecnym stanie wiedzy uchwycić w ścisłe formuły matematyczne i przewidzieć z dokładnością czasową, jak zaćmienie Księżyca.

Jerzy zastanowił się głęboko. Nie. Geniusz ludzki nie może się mylić — starał się przekonać samego siebie. Wszak jest beniaminkiem natury, najwyższym, najdoskonalszym wyrazicielem jej woli, najdelikatniejszym, najczulszym instrumentem, jaki potrafiła wypracować w ciągu ogromu czasu swego istnienia, by zmierzyć siebie samą i zgłębić... I jeśli współczesny człowiek tworzy nową syntezę bytu, czyni to zgodnie z jej wolą i zdąża do celu, jaki sobie wytknęła przed miliardami lat. Jest jak dziecko, które prowadzi za rękę nieomylny instynkt pramatki natury.

— Tak, Geniusz nie może się mylić — powiedział głośno do siebie. — I dlatego nie będzie katastrofy kosmicznej, gdy Ziemia wejdzie w nową orbitę. Nie będzie...

Uspokojony tym rozumowaniem, zaczął nucić melodię piosenki „Jutro spotkamy się na Księżycu”, którą usłyszał wczoraj w barze podziemnego miasta, gdy pili z Mariettą oranżadę. Pochylony nad olbrzymią mapą magnetyczną, myślał bez przerwy o bliskim spotkaniu z Mariettą.

— No i jak, panie Relski? — usłyszał naraz głos profesora Marskiego. — Czy meldunki z punktów obserwacyjnych nadchodzą punktualnie?

— Bez żadnego opóźnienia, profesorze — odpowiedział, nie odrywając cyrkla od gładkiej bieli papieru. Magnetolog spoglądał chwilę, zmrużył lewe oko nad gmatwaną różnokolorowych kółek, kresek i elipsoid, upstrzonych mnóstwem cyfr, strzałek i punktów, zlewających się razem w jakiś kubistyczny obraz.

Zakreślając cieniutką niebieską kreseczką pola burz magnetycznych na Pacyfiku, Relski rzucił od niechcenia pytanie:

— Przepraszam, że osmielę się zapytać, profesorze... Nie rozumiem, w jaki sposób uda się spowodować taki potężny wstrząs magnetyczny, który by zachwiał ustaloną równowagę Globu?...

— Nie rozumie pan? To dobrze... — powiedział łagodnie, z pewną tkliwością w głosie, kładąc mu rękę na ramieniu. Jerzy zwrócił nań zdziwione, pełne zakłopotania spojrzenie.

— To wszystko zależy od tego, drogi przyjacielu, czy uda się osiągnąć tak wielką moc i napięcie — ponad sto milionów wolt. Zresztą skąd my wiemy, czy Ziemia nie zmieniła już kiedyś swojej orbity, w okresie swego niemowlęctwa. Któż to może sprawdzić?

— A więc w zasadzie wszystko jest możliwe i nie ma niebezpieczeństwa?

— Oczywiście. Sprawa jest prosta w swojej koncepcji i wszystko zostało dokładnie obliczone. Proszę być dobrej myśli, panie Jerzy. Marek Fantom zna szczegóły. Niedługo przyjedzie tutaj — zakończył profesor Marski, oddalając się z życzliwym uśmiechem w kierunku obserwatorium.

Gdy Relski wracał po zajęciach do siebie, ujrzał w niewielkiej odległości od swego domku spacerującą Mariettę. Był mile zdziwiony tak wczesnym jej przybyciem. Spodziewał się ujrzeć ją dopiero wieczorem w mieście podziemnym, na dansingu. Pewno zakochana albo się nudzi — pomyślał. Gdy go ujrzała na zakręcie alei, jej jasne oczy śmiały się do niego z daleka spoza ciemnych długich rzęs. Przywitał ją serdecznie, choć z pewnym zażenowaniem. Trzymała w ręku długi kwiat tuberozy.

— Zobacz, jak cudnie pachnie... — powiedziała, dotykając delikatnymi płatkami jego twarzy.

Zatrzymał w powietrzu jej rękę i ucałował. Zauważył, że wyglądała dziś o wiele ładniej niż wczoraj, i wytworniej.

— Czy nie przeszkadzam ci, Jerzy? — zagadnęła nieśmiało.

— Ależ skąd, Marietto... Czekałem na chwilę naszego spotkania...

Spojrzała mu prosto w oczy z dziecięcą ufnością. Oczy Jerzego wyrażały niekłamana radość. Ujęła go pod ramię i szli wolno wzdłuż szpaleru i równo przyciętych krzewów pomarańczowych.

— Powiedz, czy to nie dziwne, Jerzy... — zaczęła po chwili, spoglądając na przelatujące ptaki.

— Co, Marietto?

— To nasze wczorajsze spotkanie w parku. I wieczór... — Roześmiała się głośno, swawolnie.

— Jestem szczęśliwy, że poznałem cię. Wierz mi... — Przycisnął silniej jej rękę do swego boku.

— W takim razie anektuję cię na dzisiejszy wieczór. Pójdziemy na dansing.

— Doskonale. Zjem tylko obiad. Czy wstąpisz do mnie?

— Nie. Pójdę coś załatwić i spotkamy się na osiemnastym piętrze, przy windach.

— O której?

— Kiedy zechcesz. Mogę być za pół godziny.

— Więc o szóstej.

— O szóstej.

Poszła, zostawiając go na wąskiej ścieżce, prowadzącej do willi. Patrzył przez chwilę, jak jej drobna, smukła sylwetka zniknęła w perspektywie alei. Został dyskretny zapach jej perfum.

Przebrał się szybko i zjadł obiad. Była dopiero trzecia. Co zrobi z trzema godzinami. Nie mógł usiedzieć w domu i wyszedł, zanurzywszy się w cienistym chłodzie drzew parkowych. Szedł, nie myśląc, dokąd idzie. W końcu usiadł na ławce, na wprost wodotrysków przy Alei Palmowej i przyglądał się spacerującym. Czynił to ze szczególnym upodobaniem zawsze, ilekroć jego poczucie równowagi psychicznej było zachwiane, gdy ogarniał go niepokój jeszcze bliżej nieokreślony, mający swoje źródło w skomplikowanym, niezrozumiałym dlań mechanizmie życia Nowej Ery.

Punktualnie o godzinie szóstej zjechał do podziemnego miasta. Marietta czekała już w głównym hallu. Zajęli miejsca w taśmowej kolejce i po kilku minutach wylądowali przed jednym z barów dansingowych na czwartym piętrze. Jerzemu wydał się ten lokal dziwnie znajomy, ale nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć, kiedy tu był. Zajęli miejsce przy stoliku i wsunęli żetony do automatu, ukrytego pod płytą. Z wnęki wysunęły się dwa nakrycia i wyborny omlet oraz mrożony dżem. Nie brakło butelki coctailu. Gdy wypili po jednym kieliszku, Jerzy odzyskał dobry humor. Opowiadał wesołe anegdoty, jakie pamiętał jeszcze z czasów studenckich. Marietta krztusiła się ze śmiechu. Wówczas dolewał do kieliszków złocistego płynu i wznosił toast:

— Twoje zdrowie, egzotyczna Miss...

— Jesteś nieoceniony. Jerzy... podobasz mi się — usłyszał jej namiętny szept.

Spojrzał jej czule w oczy.

— Dlaczego ci się podobam, Marietto?

Zastanawiała się przez sekundę. Potem, unosząc łagodnie brwi, wybiegła wzrokiem w dal. Wreszcie, unikając jego spojrzenia, odrzekła:

— Bo jesteś taki inny niż wszyscy... Mężczyźni naszej ery nie wnikają głębiej w wewnętrzne życie kobiety. Są zakochani w sobie. Chełpią się swoimi osiągnięciami i albo są skryci, albo zarozumiali. Takim wystarczy kochanka...

Twarz jej wykrzywił grymas lekceważenia.

— A czy są wierni?

— Wierni? Tego nikt od nich nie żąda! Pragniemy przyjaźni, szczerzej, serdeczniej. Nie chcemy być tylko zabawką.

— Czy wszystkie kobiety myślą tak jak ty, Marietto?

Podsunał jej kieliszek z grubego kryształu i napełnił coctaiłem.

— Nie, nie wszystkie. Innym wystarczy przygoda. Ja pragnę czegoś więcej...

— O ile wiem, nie są to poglądy kobiet waszej epoki. Nie jesteś epikurejką.

— Nie. Ale nie wierzę również naszym prorokom, głoszącym, że życie jest jakby działaniem matematycznym, sumowaniem tego, co przyjemne, i odejmowaniem tego, co przykre i bolesne. Panuje u nas pogląd, że człowiek nie ma duszy. Ja na pewno jej nie mam. bo urodziłam się w retorcie naszych elektrobiochemików. Nie wiem, co to pieśczoła matki, o której tyle słyszałam...

Głos jej załamał się. Była wyraźnie wzruszona.

— Nie mówmy o tym, Marietto. Przecież życie jest piękne...

Przysunął się do niej bliżej i ująwszy jej dłoń, przywarł do niej wargami.

— Piękne, powiadasz? Tak, gdy jestem z tobą. Nie znoszę samotności. Samotność jest dla mnie cierniem, który sprawia mi nieustający ból. Tym bardziej gdy pomyślę...

Urwała nagle i spojrzała z wyrazem zakłopotania w jego stronę. Ale Jerzy uśmiechnął się.

— Nie rozumiem — zaczął z łagodną perswazją — jak można czuć się osamotnionym w wieku Atomowej Ery i cierpieć z tego powodu. Wszak tyle możliwości stoi przed człowiekiem współczesnym.

Spojrzała na niego jakby z wyrzutem.

— Świat ten jest dla mnie obcy, czasem wręcz nienawistny.

Oparła się łokciami o taflę stołu i ukryła twarz w dłonie. Oczy jej patrzyły nieruchomo spod bujnych rzęs.

— Marietto... lecz po cóż myśleć o tym w tej chwili?

Starał się nadać swoim słowom ciepły, pojednawczy ton. Uśmiechnęła się na znak zgody. Muzyka grała tango. Melodia ta miała dla Relskiego swoisty urok. Wstał, by zaprosić Mariettę do tańca. Uczyniła to z ochotą, zapominając o przykrych refleksjach. Kołysząc się w takt melodii, sunęli po gładkim, lśniącym parkiecie. Marietta tańczyła zwiewnie i lekko, nie dotykając prawie stopami ziemi. Światło grało barwami. Muzyka upajała. Starał się nie myśleć o niczym. Żyć tylko tą chwilą.

Marietta podana nieco do tyłu, opierała, zda się, cały ciężar swego ciała na jego prawej dłoni. Wyczuwała z subtelnością niezwykłą każdy jego ruch, każde drgnienie ręki czy ledwo wyczuwalną zmianę rytmu. Gdy światło stawało się zbyt żywe, przymykała oczy i uśmiechała się do niego. Była porywająca w takiej chwili. Oszołamiała go. Czuł, że traci zmysły, wpatrzony w nią z niemym uwielbieniem. Widać było, że Marietta przeżywa taniec całą swoją istotą, że ona, melodia, rytm — to jedno. To ona była tym, co wypełniało treścią melodię, usprawiedliwiała jej istnienie i sens.

Tańczyli długo jeszcze, nie czując znużenia. Zatracili poczucie czasu, zatopieni w sobie.

Pierwsza ocknęła się z tego snu na jawie Marietta. Poczucie płynności czasu przywrócił jej sygnał Centralnej Stacji, obwieszczający godzinę czwartą po północy.

— Już późno, Jerzy. Trzeba wracać. .

Wyszli. Popłynęli wśród tysiąca uliczek, kierując się do głównego wyjścia. Dopiero gdy winda uniosła ich w górę i znaleźli się na zakręcie alei, Marietta krzyknęła:

— Patrz, Jerzy! przecież to już dnieje... cha! cha! cha!...

Śmiech jej był szczery, zaraźliwy. Objął ją wpół i całował jej oczy, usta... Przyjmowała biernie jego pieszczoty i przyłgnęła doń na chwilę. Czuł gorący żar. płynący od niej. Nagle Marietta wysunęła mu się zręcznie, zawirowała w rytmie walca.

Jerzy spoglądał na nią rozplomienionym wzrokiem i próbował przyciągnąć do siebie. Lecz ona puściła jego dłoń i zanuciwszy jakąś wschodnią, tęskną melodię, zaczęła tańczyć obok na piaszczystej alei jakiś egzotyczny taniec, dający niezwykłą lotność jej ruchom, pełnym finezji i ekstatycznego napięcia. Jerzy stał w miejscu i wodził za nią oczyma. Gdy skończyła i podeszła do niego, zdołał wykrztusić:

— Marietto, jesteś czarująca..

— To dla ciebie, kochany... taniec na cześć Słońca. — Zaśmiała się, ubawiona jego konsternacją.

— Nie wiedziałem, że tak cudnie tańczysz. Czy występowałaś w balecie?

— Nigdy. Taniec jest moim żywiołem. Mam go we krwi. Myślę, że mogłabym tańczyć nawet na linie.

Roześmieli się głośno, aż echo dalekich drzew przyniosło im chłodny powiew rodzącego się dnia. Brzask jutrzeńki złocił zagięte liście klonów, wśród których perliły się kropelki rosy jak srebrne, błyszczące kuleczki.

Pożegnali się na skrzyżowaniu alei, w pobliżu stacji reflektorów słonecznych.

## Rozdział X

Któregoś dnia w Instytucie Nauk Specjalnych panowało od rana niezwykle ożywienie. Lotem błyskawicy rozeszła się wiadomość, że za kilka dni przyjedzie Marek Fantom. Na ustach wszystkich było imię genialnego fizyka.

Relskiego ucieszyła ta wiadomość. Więcej niż nominacja na stanowisko kierownika wydziału kartograficznego. Chciał poznać bliżej człowieka, o którym tyle wszyscy mówili. Z drugiej strony, przeczuwał intuicyjnie, że coś łączy Mariettę z osobą wielkiego atomologa.

Marek Fantom. Ile razy wymawiał to imię, twarz jego zdradzała bliżej nieokreślony, jakiś dziwny niepokój. Raz próbował rozmawiać z Mariettą na ten temat, ale niczego mu nie powiedziała. Umiała milczeć, mimo że zakochała się w nim, czego zresztą wcale nie ukrywała. To go doprowadzało do pasji. Nie okazywał jednak wobec niej swego rozdrażnienia. Zazdrość szarpała mu serce.

Były chwile, że chciał uciekać stąd daleko, byle jej nie widzieć. Denerwowała go ostatnio częsta i nieoczekiwana zmiana nastrojów. Od euforii i miłosnych egzaltacji popadała bez wyraźnej ku temu przyczyny w stan całkowitej apatii lub też skrajnego pesymizmu. Mówiła wtedy o katastrofie, która rzekomo grozi światu nieuchronnie, i wyrażała tęsknotę do śmierci. Czasem bywała chłodna i wyniosła, jakby zapominała o tym wszystkim, co przeżywali razem. Nie rozumiał jej. Czyżby Fantom miał coś wspólnego z ich losem?

Patrząc przez okno na z wolna zapadający zmierzch, wybiegał myślą do tej chwili, gdy wyjedzie z całą ekspedycją na Biegun Południowy. Czerwień zachodzącego słońca z trudem przebijała się przez ciemne zwały chmur, wiszące tuż nad horyzontem. Purpurowe smugi docierały aż do jego okna, z trudem torując sobie drogę wśród wąskich szczelin.

Pewno montują na noc deszcz — przemknęło mu przez głowę.

Refleksje jego przerwało wejście Marietty. Przyszła od strony ogrodu, więc nie zauważył jej. (Umyślnie wyłączył urządzenie sygnalizacyjne, gdyż i tak nikt bez uprzedzenia nie składał wizyty, a włamywaczy i złodziei nie było w ogóle). Przyniosła z sobą spore naręczce kwiatów. Mały salonik wypełniła mocna, odurzająca woń.

— Jerzy... — usłyszał jej śpiewny, przyjemnie wibrujący głos. Położyła kwiaty na stoliku i oplotła mu szyję. — Czy tęskniłeś za mną, Kochany? — szczebiotała, przyglądając mu się badawczo, to z jednej, to z drugiej strony. W odpowiedzi pocałował jej lekko rozchyłone usta. Zauważył, że była czymś silnie podniecona. Opadła z westchnieniem ulgi na niski, klubowy fotel, rozłożywszy szeroko ramiona.

— Jerzy... chcę być dziś z tobą... — mówiła szybko, gwałtownie, odwracając głowę w jego stronę.

Nachylił się i patrzył jej prosto w twarz. W ogromnych, głęboko osadzonych oczach Marietty, na samym ich dnie, dojrzał coś niepokojącego, choć spoglądały na niego spokojnie i z ufnością. Nigdy dotąd nie wydała mu się tak bliska sercu jak w tej chwili.

— Marietto... dlaczego jesteś smutna?

Nie odpowiedziała. A gdy dotknął ustami jej czoła, przymknęła powieki. Jaka ona piękna — pomyślał — jaka powabna i świeża...

— Jerzy... chodźmy już stąd — powiedziała tonem cichej, łagodnej prośby. — Chcę pić cocktail i tańczyć, tańczyć. Słyszysz?

— A dokąd proponujesz?

— Do podziemnego miasta. Tam czuję się najlepiej. Z tobą — dodała pośpiesznie, szukając jego dłoni.

— Chodźmy więc.

Ożywiła się. Wstała szybko i przynaglała do pośpiechu. Wyszli na szeroką aleję, prowa-

dzącą do zjazdu. Szedł obok niej z uczuciem szczerego zadowolenia. Dziś nie umiałby odmówić żadnej jej prośbie. Czuł się szczęśliwy, że oto jest znowu przy nim, że jest jej potrzebny. To chyba była miłość.

Wrócił dobrze po północy. Marietta została w mieście podziemnym. Miała tam swój pokój, w pobliżu Głównego Biura Osobowego, z którego korzystała, gdy nie chciała wracać do dzielnicy willowej. Był trochę zły na siebie, że tak łatwo ulegał jej kaprysom, lecz nie miał dość siły, aby nie poddać się urokowi, jaki wywierała na niego.

Rano wstał rześki i wypoczęty. Pierwszym człowiekiem, napotkanym w Instytucie, był profesor, który jak zwykle obchodził wszystkie wydziały. Zdawało mu się, że powitał go ze szczególną życzliwością. Czyżby czekał na niego, przemierzając swymi długimi krokami obszerny hali budynku, gdy on wchodził po stopniach, prowadzących do wejścia? Pierwsze słowa Marskiego potwierdziły jego przypuszczenie.

— O godzinie dwunastej w południe przyjeżdża Marek Fantom. Czy ma pan ukończone wszystkie mapy magnetyczne południowej hemisfery? — usłyszał jego rzeczowe pytanie.

— Tak, panie dyrektorze... Prócz Nowej Zelandii i kilku małych wysp na wodach Antarktydy. Między innymi wyspy Rossa...

— Aha! Na wyspie Rossa jest czynny wulkan Erebus, który na tym obszarze powoduje zakłócenia magnetyczne. To trochę przeszkadza. Marek Fantom pojedzie w najbliższych dniach z ludźmi naszego Instytutu i zgasi wulkan...

— Jak to? Zgasi wulkan?

— Tak. Najwyższa Rada Geniuszy powierzyła mu to zadanie. Fantom zgasi dymiący wulkan, zaś olbrzymie ciśnienie gazów podziemnych oraz ich wysoka temperatura zostanie zużyta na ogrzewanie pewnej połaci lądu Antarktydy, który wyłania się już spod grubej pokrywy lodowej.

— Czy pozwoli mi pan, profesorze, jechać z ekspedycją Fantoma?

— Nie mam nic przeciwko temu. Tylko chciałbym prosić, by zechciał pan wykończyć wszystkie mapy magnetyczne jeszcze przed mającym się wkrótce odbyć nadzwyczajnym posiedzeniem Rady Geniuszy.

— Mogę pana zapewnić, że jeżeli otrzymam na czas brakujące pomiary, zdążę na pewno.

— To dobrze, panie Relski. To bardzo dobrze... — Zamyślił się na chwilę, po czym dodał: — Jestem panu wdzięczny za tak ofiarną pracę.

Uściskawszy mu rękę z gestem koleżeńskiej zażyłości, znikł w długim korytarzu, prowadzącym do laboratoriów.

A tymczasem we wszystkich salach Instytutu aż huczało na temat przyjazdu genialnego fizyka. Inżynierowie wszelkich specjalności, geo- i astrofizycy, termochemicy, magnetolodzy, klimatolodzy, kartografowie oraz piloci i astronauty, a nawet sekretarki — wszyscy ci ludzie łączyli z przyjazdem Marka Fantoma nie tajone nadzieje.

Jeden wszakże człowiek, pracujący w Instytucie, nie podzielał ogólnej psychozy entuzjazmu i nie ukrywanego zachwyty dla światoburczych zamierzeń geniusza epoki. Tym zuchwalcem był monsieur Paweł Devenieur, naturalnie urodzony Francuz, który zaledwie przed miesiącem osiadł w Drugiej Strefie Klimatycznej. Pracował z Relskim w oddziale kartografii i zaprzyjaźnił się z nim, o ile można było nazwać przyjaźnią ich wzajemny stosunek, zamykający się raczej w granicach serdecznego koleżeństwa, gdyż Jerzy nie spotykał Pawła nigdy poza Instytutem, choć nieraz szukał okazji ku temu. Zawsze pogodny, tryskający humorem, prawdziwy entuzjasta życia, budził zrozumiałe zaciekawienie. Ta wewnętrzna dynamika, bijąca od niego z każdego gestu, z każdego słowa i uśmiechu budziła zachwyty otoczenia i udzielała się samorzutnie każdemu, kto z nim krócej lub dłużej obcował. Nigdy nie widziano go smutnym lub przygnębionym. Wszyscy lubili go i podziwiali, nie wyłączając profesora

Marskiego. Ale szczególnymi względami cieszył się wśród kobiet. Nazywały go „Monsieur Charmanteur”.

Dla jednej kwestii wszakże Paweł Devenieur-Charmanteur nie wykazywał specjalnego zainteresowania — dla pracy. Traktował ją jako coś, czego uniknąć niepodobna. A że szanował umowy społeczne, więc nie buntował się ani jawnie, ani też skrycie. Jednak nie pracował nigdy dłużej jak dwie godziny dziennie, zgodnie z obowiązującą minimalną normą.

Paweł Devenieur utrzymywał, że przyjechał do Polski, bo... podobały mu się Polki. Złośliwi twierdzili, że opuścił Francję, bo nie cieszył się powodzeniem u Francuzek. Zresztą nikt w to nie wierzył. Jedno było wiadome, z czym zresztą monsieur Charmanteur wcale się nie krył: życie jego obracało się w królestwie kobiet. Otaczał się kobietami i im wyłącznie poświęcał swój wolny czas. A miał go niemało, bo aż całe dwadzieścia dwie godziny na dobę. Toteż cieszył się powodzeniem nie byle jakim, choć należało stwierdzić obiektywnie, że monsieur Charmanteur nie zabiegał o ich względy, jak to mają zwyczaj czynić mężczyźni, nie odznaczający się niczym szczególnym, pospolici i nudni. To on był zdobywany przez kobiety, nie przywiązując się na dłużej do żadnej ze swoich kochanek. Niekiedy zdobywał sam, ale czynił to w szczególnych wypadkach, gdy obiekt miłości fascynował go.

Gdziekolwiek się pokazał, był przedmiotem szczerego zainteresowania ze strony płci „dekoracyjnej”, gdyż tak po swojemu wyrażał się o kobietach w ogóle. One zaś nazywały go mistrzem, uważając słusznie czy niesłusznie, że „takiemu” nie można się oprzeć. Kobiety Atomowej Ery nie miały zwyczaju długo się opierać, wyznając dewizę, że co przyjąć musi, niech lepiej przyjdzie zaraz.

Takim go poznał Jerzy Relski i po miesiącu tej znajomości niewiele więcej o nim wiedział. Paweł Devenieur mówił mało o sobie, a jeszcze mniej o kobietach. Nazywano go Dionizosem Nowej Ery, gdyż twierdził, że świat odrodzi się dopiero przez sztukę nowej miłości, którą on, Paweł Devenieur-Charmanteur, objawi wszem i wobec, jeśli dostojny areopag mędrców z Norbant przyjmie go do swego grona jako nowego geniusza. Przyjaciółki Pawła były jeszcze bardziej dyskretne i powściągliwe od samego mistrza.

I oto teraz w atmosferze fantomowej gorączki śmiał się głośno i strzelał oczami w stronę uroczej kopistki, panny Eny, ognistej brunetki, wywołując żywe rumieńce na jej rozbawionej twarzy.

Monsieur Charmanteur zdawał się być dzisiaj w szczególnym humorze. Gdy Jerzy wpadł po coś na chwilę do oddziału kopiotechniki, zwrócił się doń nie bez pewnego patosu w głosie:

— Witam przyszłego inspicjenta kosmicznej imprezy polarnej... Czy i pana, szanowny kolego, dotknęła również ta nowa epidemia, nazwana skromnie „fantomanią”?

Jerzy nie odpowiedział w pierwszej chwili, starając się pokryć złośliwe pytanie maską uprzejmej obojętności.

— Żadna epidemia, mój przyjacielu. Po prostu sam chcę jechać na Biegun Południowy.

— No to wiesz, wiesz... Ale czy nie uważa pan, drogi kolego, że jest tam cośkolwiek za chłodno?

— Owszem, za ciepło tam nie jest. Ale może być gorąco...

— Jak Fantom przeweksluje Glob na nową orbitę?

— Jak nie zdoła go zatrzymać, gdzie należy...

Paweł roześmiał się jakąś mieszaniną pogardy i lekceważenia.

— I szanowny kolega wierzy w te kosmiczne brednie?

— Wierzę...

— W takim razie jest pan najmilszym z naiwnych, jakiego oglądały moje oczy w epoce elektrobiochemicznego tworzenia ludzi bez przyszłości.

— Czy jest pan przeciwnikiem produkowania ludzi U S w instytucjach elektrobiochemii stosowanej?



Łagodną twarz Pawła Devenieur wykrzywił grymas gniewu.

— Mało przeciwnikiem. Otwartym i zdecydowanym wrogiem!

— Dlaczego? — zapytał z udaną naiwnością Jerzy.

Paweł postąpił krok naprzód i akcentując każde słowo, wyskandował dobitnie:

— Bo prawdziwy człowiek może powstać jedynie pod wpływem miłości dwojga ludzi, a nie w mózgach choćby genialnych eksperymentatorów, którymi kieruje żądza tworzenia rzeczy nowych, by zaspokoić jedynie swoją ciekawość spekulacyjnotwórczą, ignorując najistotniejszą treść życia: miłość.

— Człowiek jest syntezą funkcji fizjologicznych pewnych organów ludzkiego organizmu. Żadna, nawet najpiękniejsza miłość nie potrafi stworzyć nowego życia... — Jerzy powiedział to nie z głębi własnego przekonania, ale z wrodzonej przekory. Niech Paweł argumentuje. Ale Devenieur-Charmanteur zaprzeczył ruchem głowy.

— Bzdury, panie kolego. Pseudonaukowe bzdury. Życie to nie tylko mechanizm fizjologicznych funkcji, ale coś znacznie głębszego i rozległego. Życie to synteza funkcji, przeobrażonych wola, pragnieniem piękna i pełni dosytu...

Jerzy chciał znowu zaprzeczyć, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi i do środka weszło trzech mężczyzn o minach bardzo uroczystych. Jednym z nich był profesor Marski, a w drugim Jerzy poznał bez trudu Marka Fantoma, delegata Najwyższej Rady Geniuszy z Norbant. Marski przedstawił przybyłych: Marka Fantoma i jego sekretarza, Szweda Karola Jensena, wysokiego, szczupłego blondyna o żywych, niebieskich oczach. Po krótkim powitaniu przeszli na oddział kartografii ogólnej, gdzie profesor Marski zdał relację o stanie prac na tym oddziale. Relski uzupełniał pewnymi szczegółami wywody profesora. W pewnej chwili Fantom skierował na niego błysk swoich zimnych oczu i przyglądał mu się z uwagą.

Paweł Devenieur wsunął się przez uchylone drzwi do sali i stanąwszy w przyzwoitej odległości, z rękami opartymi na biodrach, obserwował z kpiarskim uśmiechem tę scenę. Profesor Marski referował rzeczowo i bez afektacji, podkreślając ze szczególnym uznaniem udział w pracach kartograficznych inżyniera Relskiego. Fantom spojrział na niego z wyrazem chłodnej uprzejmości na twarzy i uściśnął mu rękę:

— Jest mi niezmiernie miło, że mogę panu osobiście podziękować za jego pełną poświęcenia pracę w imieniu Najwyższej Rady Geniuszy i własnym.

Jerzy poczuł lodowaty chłód, idący od jego palców. Wyrecytował jakiś zdawkowy frazes i trochę rozczarowany patrzył za odchodzącym w towarzystwie Marskiego i Szweda. W nieruchomych, przepastnych oczach Fantoma, jak w odbiciu głębokiej studni, dojrzał jakby błysk ironii... Był niewysoki, krępy, o nieprawdopodobnie długich rękach i potężnych, szerokich dłoniach. Chód miał trochę chwiejny, kołyszący i nic nie znamionowało w nim wielkości. Jedynie na jego twarzy malowała się zaciętość i duma, granicząca z nonszalancją.

Ten człowiek nie ustąpiłby nawet diabłu — pomyślał. W każdym razie legendarna niemal postać Marka Fantoma uczyniła na nim nieprzeciętne wrażenie.

— Oto otarłeś się o płaszcz proroka — powiedział nie zauważony przez Jerzego Devenieur.

— Tobie zawsze żarty w głowie. Paweł. A tu robota nas czeka.

— A co, może nie prorok?

— Prorok nie prorok. Co to ma do rzeczy?

— To, że czuję jeszcze wiatr nieśmiertelności, jaki powiał tu, na tej Sali, gdzie wykreśla się nową ekliptykę dla naszej mocno już sfatygowanej i wyeksploatowanej staruszki — Ziemi...

— Przyznasz jednak, że to mocny człowiek ten Fantom...

— Ręcę, że boi się własnego cienia. Znam ja te rozdmuchane, nadęte wielkości. Zapewniam cię, że gdyby teraz istniały jeszcze wróżki-kabalkarki, jak to miało miejsce w twojej epoce, poszedłby bez wahania postawić kabałę: przejdzie czy nie przejdzie?

— Co?

— Ziemia...

— Eh! Fantom wygląda na człowieka, który zna potęgę własnego mózgu.

— Słuchaj, Jerzy. Nasza epoka nie fabrykuje już bohaterów. To się już dawno skończyło. Wojen nie ma kto aranżować. Widocznie stały się już niemodne. Jedyne samobójcy podtrzymują mit o bohaterstwie, ale czynią to raczej z nudów. Czy ja wiem? Pozostały kobiety, ozdoba ludzkiego gatunku. Przez nie i dzięki nim odrodzi się świat, gdy wrócimy do natury.

— Tyś chyba, mój przyjacielu, dawno już wrócił. Nieprawda, Charmanteur? — zażartował Jerzy.

Paweł skrzywił się, jakby połknął gorzką pigułkę. Skłonił się i skierował do wyjścia. W drzwiach natknął się na profesora Marskiego.

— Oh!... przepraszam dyrektora...

Profesor obejrzał się za nim z wyrazem jawnego zniecierpliwienia, po czym wzruszył ramionami, uśmiechnął się z przebaczącą wyrozumiałością i zbliżył się do Jerzego.

— Panie Relski — zaczął z wesołą miną i szczerą życzliwością w głosie — pojutrze jedzie pan na Antarktydę! Marek Fantom kompletuje w tej chwili w sali konferencyjnej swój sztab. Wyraził zgodę na dokooptowanie pana.

— Oh... serdecznie panu dziękuję, profesorze. Cieszę się niezwykle...

Uściskał obie ręce swego zwierzchnika i wyszedł z Instytutu, płonąć wewnętrzną radością. Pragnął czym prędzej podzielić się tą wesołą nowiną z Mariettą. Był pewny, że przyjdzie do niego jak zwykle. Ale nie przychodziła. Zaczął się niepokoić. Próbował połączyć się za pomocą telefonowizora, lecz nie odpowiadała. W końcu udało mu się uzyskać połączenie za pośrednictwem Centrali Pierwszej Strefy. Stacja posiadała urządzenie sygnalizujące obecność lub nieobecność abonenta w domu i Marietta, zdekonspirowana w ten sposób, podeszła do ekranu. Miała wyraźnie zgaszoną twarz, z której przebijało zakłopotanie.

— Marietto! Czekam na ciebie. Muszę się z tobą zobaczyć.

Odwrociła głowę, ukazując śliczny, drobny profil.

— Jerzy, nie mogę dziś... Czuję się okropnie. Bądź zdrow...

— Marietto! Marietto! — krzyczał w połyskliwą taflę telewizora. Na próżno. Wyłączyła aparat i nie ukazała się więcej. Jerzy osunął się na fotel, nic nie rozumiejąc. Co jej się stało — myślał. — Dlaczego dziś została w domu i nie chciała zobaczyć się ze mną? Przecież tak lękała się samotności. A może to tylko kaprys? Znajac jej nierówne usposobienie, przyłgął do tej myśli i uspokoił się nieco. Tak, to na pewno kaprys.

Zaczął zastanawiać się nad swoim bliskim wyjazdem do krainy wiecznych lodów. Wiecznych lodów? Uśmiechnął się. Nie. Nie będzie już wiecznych lodów i śnieżnych pustyń. Geniusz ludzki przetopi je na wodę i parę, by w postaci deszczu użyźniły ziemię, wyswobodzoną z okowów, która zazieleni się i rozkwitnie bujnym życiem. Człowiek Atomowej Ery zwycięży w tej ostatniej bitwie z naturą, mając takich niezłomnych bojowników, jak Marek Fantom, Marski, Zibellus, Ramin. Musi zwyciężyć!

Zasnął, ukotłysany własnym optymizmem i niezachwianą wiarą w szczęśliwą przyszłość.

Zaraz po swoim przyjeździe do Instytutu Nauk Specjalnych Marek Fantom zawiadomił Mariettę, że będzie u niej o godzinie piątej po południu. Przyjęła zapowiedź jego wizyty z chłodną rezerwą. Była w swoim mieszkaniu w mieście podziemnym i tam oczekiwała na przybycie swego dawnego kochanka. Kiedyś był dla niej wszystkim. Dziś już tylko dalekim echem niedawnych jeszcze przeżyć, o których pragnęła zapomnieć. Lecz nie było to łatwe. Związała się z nim dobrowolną przysięgą. Przysięgą miłości i śmierci. Ufała mu bezgranicznie i była pewna, że już nigdy nikogo więcej nie pokocha. Aż tu naraz zjawił się Relski, człowiek z innego świata, który zawładnął jej sercem.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, bo inna to była miłość. Zawładnął inaczej niż tamten, w którego oczach tlił się niepokojący ogień i jakaś siła, nie znosząca oporu. A choć kochała Jerzego, Fantom wywierał na nią w dalszym ciągu ten dziwny urok, którego nie umiała przewyciężyć. Chciała z nim zerwać, wyrzec go się, aby należeć tylko i wyłącznie do Jerzego, ale nie miała dość siły. Zresztą... ta przysięga. Ach, to okropne!... Jak ten człowiek wdarł się w jej życie, jak zawładnął nią wówczas, gdy należała tylko do niego, że nawet zgodziła się umrzeć razem z nim, jeśli on tego zażąda, gdy życie straci już dla nich właściwy sens i urok.

Myśląc o tym wszystkim, nie mogła oprzeć się uczuciu bolesnego zawodu. Wstrząsnął nią dreszcz i poczuła ciepłe łzy, spływające po policzkach. W tej właśnie chwili ujrzał Jerzy jej sylwetkę na rozświetlonym ekranie radiotelewizora.

Marek Fantom zjawił się punktualnie o umówionej godzinie. Marietta miała jeszcze oczy wilgotne od łez. Fantom patrzył na nią przez chwilę, nie mówiąc ani słowa. Poprosiła, żeby usiadł. Uśmiechnął się nieznacznie, mrużąc swoje stalowoszare oczy. Robił wrażenie zmęczonego. Marietta drżącymi rękoma układała swoje drobiazgi na toaletce. Poprosił, by usiadła obok niego. Odmówiła.

— Jakże zmieniałaś się, Marietto, od czasu mej ostatniej wizyty. A przecież zaledwie dwa miesiące upłynęły od tej chwili...

Usiadła naprzeciw niego przy maleńkim stoliku i podparła głowę łokciami. Przyglądała mu się obojętnie, prawie ze złością.

— Marietto... Wtedy przyjechałem tylko do ciebie. Pamiętasz?

Znieruchomiła i opuściła głowę, nie mogąc znieść jego wzroku.

— I mimo że rozmawialiśmy dość często na odległość — mówił głosem spokojnym i dziwnie łagodnym — nie wspomniałaś mi nigdy, że w sercu twoim zakwitła nowa miłość...

— Skąd wiesz o tym? Przecież to jest moją tajemnicą. — Wydawała się być niemile zaskoczona.

— Twoją tajemnicą? — Uśmiechnął się z wymuszoną uprzejmością. — Jesteś zawsze tą samą czarującą, naiwną kobietą, Marietto.

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym tyle było lęku, co zaciekawienia.

— Więc kazałeś mnie śledzić?

— Ależ skąd znowu. Mam inne sposoby, by sprawdzić wierność kochanki.

— Ach, domyślam się... Oglądałeś mnie przez swoją elektryczną lunetę. Jak mogłeś, Marku? — w głosie jej drgał wyrzut, graniczący z pogardą.

Fantom wykrzywił twarz grymasem zniecierpliwienia i rzucił z nerwowym pośpiechem:

— Po prostu przez ciekawość.

Marietta poczerwieniała z oburzenia.

— Przecież to podłość! Nie miałeś prawa mnie śledzić!

— O, przepraszam... Nie chciałem cię urazić. Niemniej jednak jako twój kochanek mam pewne prawa, których oficjalnie mi nie zaprzeczyłaś.

— Teraz ci je odbieram! Rozumiesz?! Jesteś okrutny!

Dyszała z gniewu. Lecz Fantom zdawał się nie zauważać jej zdenerwowania i ciągnął swobodnie dalej:

— Powiedzmy, że mówisz serio. Ale to nie cofnie biegu rzeczy, które się stały...

— Tak. Masz rację. Życia nie można cofnąć jak wskazówki zegara. Tym bardziej gdy doszłam do wniosku, że nie kochałam cię nigdy...

— Jak to? Więc kłamałaś?

Fantom uniósł się na fotelu, lecz usiadł z powrotem, dławiąc w sobie uczucie obrażonej dumy.

— Nie kłamałam. Lecz to nie była miłość. To było uwielbienie dla twego geniuszu i strach przed tobą. Tak. Strach...

— Kobieta wtedy prawdziwie kocha, gdy uwielbia — powiedział obojętnie.

Marietta, zapalając papierosa, poruszyła się gwałtownie, jakby chwycił ją nagły skurcz. Chciała coś powiedzieć, lecz żadne słowo nie przeszło jej przez zaciśnięte gardło.

— Nie sądz o mnie źle, Marietto — zaczął po chwili innym tonem. — Przecież wiesz, że cię kocham. To miłość do ciebie odbierała mi czasem rozum. W takich chwilach brałem do ręki elektryczną lunetę i szukałem cię, szukałem nieraz długo, chwytając słabe sygnały twego aparatu, aby cię ujrzeć, gdy ty o tym nie wiedziałaś. Ujrzeć cię bez maski, taką jaką jesteś dla siebie, na codzień...

— Istotnie, metoda godna geniusza — rzuciła mu z ironią.

— Przyznasz jednak, że taka elektryczna luneta to cudowny wynalazek, który może odzwyczaić ludzi od kłamstwa...

— Osobliwa to moralność, która uczy podłości. Co za perfidia! — zaśmiała się suchym, urywanym śmiechem.

Wstała i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Fantom wodził za nią wzrokiem i milczał. Gdy uspokoiwszy się nieco, usiadła znowu, zaczął tym samym tonem:

— Nie powiedziałem ci jeszcze wszystkiego. Otóż widziałem cię także, gdy byłaś z nim po raz pierwszy, w jego domu...

Marietta westchnęła głęboko i odwróciła głowę. Umilkł na chwilę, widząc, że sprawił jej ból.

— Od tego czasu nie wzięłem mojej elektrycznej lunety do ręki. Chciałem ją zniszczyć, ale tajemnicę jej budowy zdradziłem już dawno w Instytucie Fizyki Doświadczalnej w Norbant. Zostałem nawet odznaczony z tego powodu przez Najwyższe Kolegium...

— Winszuję! Czy to już wszystko, Marku, co chciałeś mi powiedzieć — zapytała nieco spokojniejszym głosem.

— Nie. Mylisz się, sądząc, że przyszedłem do ciebie, aby ci czynić wyrzuty z powodu zdrady. Znasz mnie przecież i wiesz, że miłość do kobiety nie jest zdolna zaćmić na dłużej mego umysłu i zmienić kierunku mych usiłowań i dążeń, które mają wyższy, ogólnoludzki cel.

— Wiem coś o tym. Jesteś wielkim egoistą i myślisz tylko o sobie...

— Myśląc o wszystkich ludziach Globu, myślę także o sobie. To drugie wynika z pierwszego, nie pomniejszając samej idei. Mam na myśli miliony biednych robotów, ludzi U S, których spłodziła współczesna wiedza, aby uczynić ich nieszczęśliwymi...

— Od tego jest Rząd Światowej Federacji. Cóż ciebie to obchodzi?

— Obchodzi mnie, gdyż jestem po ich stronie, czuję ich ból. Ale o tym będę mówił na posiedzeniu Najwyższej Rady Geniuszy w Norbant. Podejmę walkę...

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Dziwne. Do niedawna bardzo cię to interesowało. Na przykład zagadkowe, zbiorowe samobójstwa ludzi U S, prawdziwych męczenników wiedzy naszej ery, biednych, doświadczalnych królików.

— Kocham Jerzego i chcę żyć. To wszystko — powiedziała oschle.

— Kochaj go sobie, proszę... Ale dlaczego nie widzisz we mnie przyjaciela, swego najbliższego przyjaciela, z którym przecież chciałaś razem umierać...

— Nie mówmy o tym, Marku. To straszne. Ja kocham go inaczej, niż kochałam ciebie. Mówiłam ci już. On jest zupełnie inny.

— Tak. To człowiek minionej epoki. Romantyk. Wzdycha razem z tobą do gwiazd i do kwiatów. Pije coctail i tańczy, a ty to lubisz. Potrafi inaczej pieścić twoje ciało niż ja...

— Zamilcz, błagam cię! Dlaczego znęcasz się nade mną! Jesteś szatanem! Opętałeś mnie!... — wybuchnęła.

— Uspokój się. Niczego od ciebie nie żądam. Zachowaj tylko moją przyjaźń.

— Za późno... W moim sercu rozbudziła się miłość wielka, jakiej dotąd nie przeżywa-

łam — powiedziała z zapałem i błyskiem niespokojnych źrenic.

— Za późno, mówisz? Może masz rację, Marietto...

Zastanowił się chwilę, jakby coś ważył w myślach.

— Za późno... — powtórzył prawie szeptem. — A czy wiesz, dlaczego?

— Domyślam się, że przygotowujesz zamach na całą ludzkość.

— Nie... tylko wymuszę sprawiedliwość. Będę jej dochodził wszelkimi możliwymi dla mnie środkami i nie cofnę się nawet przed siłą.

— Jak to? Więc chcesz wrócić do metod z epoki barbarzyńskich tyranów, aby z ludzi wolnych uczynić niewolników? Ty, wybrany wśród mędrców, geniusz! — Wzruszyła ze wzgardą ramionami.

— Wymawiasz wielkie słowa, które są w środku puste jak mydlana bańka. Tamta epoka nie powtórzy się już nigdy. Ja podniosę bunt o nowe jutro ludzkości. Nie pozwolę, aby dłużej produkowano ludzi w retortach. Nam, ludziom nauki, nie wolno potęgować cierpienia na świecie. Naszym prawem i obowiązkiem jest potęgować radość życia, budować szczęście... Lecz jeśli Najwyższa Rada nie zgodzi się, to wówczas...

— Ależ to szaleństwo, Marku. To zbrodnia... I ty chciałbyś zniszczyć Ziemię?!

— Marietto! Większą zbrodnią jest tworzyć miliony przyszłych samobójców, ludzi nieszczęśliwych, odartych z wszelkiej nadziei, że los ich może się zmienić na lepsze.

— Marku... Ja ciebie nie rozumiem. Wydaje mi się, że żądasz zbyt wiele i ambicja przerosła twoją wielkość. Zatraciłeś proporcje dobra i zła. Marku, ty nie uczynisz tego? Powiedz!

Wstała i podeszła do niego. Fantom siedział nieruchomo w fotelu. Wyciągnęła przed siebie ręce i oparła na jego ramionach.

— Marku... — prosiła już błagalnie — powiedz, że nie uczynisz tego... No, powiedz.

Fantom milczał, patrząc chmurnie na końce swoich butów.

Zatrzęsła nim, aż się przeraził jej gwałtowności.

— Marku! Zaklinam cię na wszystko, nie czyn tego. Ja chcę żyć! Rozumiesz? Ja i wszyscy ci, którzy potrafią jeszcze kochać.

Miała szeroko rozwarłe oczy i patrzyła mu błagalnie w twarz. Wreszcie upadła przed nim na kolana i ukrywszy twarz w dłoniach, zaczęła głośno łkać. Fantom wzdygnął się. Ujął bezradnie w swoje szerokie dłonie jej małe, filigranowe ręce, mokre od łez.

— Marietto! Nie płacz... Przecież wszystko może się jeszcze dobrze skończyć. Na pewno dobrze się skończy... — pocieszał niezręcznie, zaskoczony jej nagłym szlochem.

Wstał i ułożywszy ciągle jeszcze płaczącą Mariettę najwygodniej, jak mógł, na miękkim fotelu, z objawami zdenerwowania na twarzy opuścił jej pokój.

## Rozdział XI

Przez cały następny dzień Relski nie wychodził z Instytutu, gdzie czyniono gorączkowe przygotowania do odjazdu. Trzeba było spakować wiele aparatów i precyzyjnych instrumentów naukowych. Niektóre były własnością Instytutu Nauk Specjalnych, inne przywiózł z sobą Marek Fantom z Pałacu Wiedzy w Norbant. Nie brakło również kilku elektrycznych lunet pomysłu Fantoma. Na każdej z nich, u okrągłej, metalowej nasady było wyryte jego imię oraz data dokonania wynalazku i numer kolejny.

Aparaty i urządzenia, przywiezione przez Fantoma, miały najrozmaitsze kształty i rozmiary. Jedne przypominały reflektory przeciwlotnicze XX wieku, inne, podobne do małych

teleskopów, przysły już starannie zapakowane i stanowiły tajemnicę geniusza. Nikt z otoczenia Fantoma nie wiedział, do czego służą, nawet sam profesor Marski. Nikt też nie pytał go o to, gdyż tego dnia był milczący i niechętnie rozmawiał, udzielając jedynie koniecznych dyrektyw i wyjaśnień, mających bezpośredni związek z ekspedycją polarno-magnetyczną.

Jerzy wrócił do domu około godziny trzeciej po południu, aby przygotować się do podróży. Z Mariettą umówił się na piątą w mieście podziemnym, gdzie mieli spożyć kolację. Wyjazd miał nastąpić następnego dnia o świcie specjalnym torpedostratusem międzykontynentalnym. Tego samego dnia będą już na wyspie Rossa, gdzie czekała na nich wygodna kwatera. Na wyspie, jak również na stałym lądzie Antarktydy pracowała od kilku miesięcy cała armia termochemików i termofizyków, zmieniających klimat terenów podbiegunowych.

Według raportów Głównej Komisji Ekspertów Polarnych, ogłoszonych niedawno przez Stację Centralną, lodowce od południowej strony Bieguna były już stopione i woda spływała do oceanu. Wyłonił się stały ląd Antarktydy, a ponieważ średnia temperatura „dzienna” wynosiła 10—12 stopni Celsjusza (do prac przygotowawczych wybrano „dzień” podbiegunowy, trwający, jak wiadomo, przez sześć miesięcy), przeto roślinność północnej strefy umiarkowanej miała dostateczne warunki klimatyczne do rozpoczęcia wegetacji. Toteż nie tracono czasu, transplantuując na martwą glebę wszelkiego rodzaju rośliny i krzewy, by ziemia nie była pustynna i naga.

Agrobiologowie musieli się dobrze napracować, zanim ta ziemia, odpoczywająca pod lodem setki tysięcy lat, mogła znowu przyjąć do swego łona nowe życie. Ale ludzie Atomowej Ery byli uparci, gdy chodziło o tworzenie rzeczy nowych i wielkich. O tym wiedział Jerzy i paliła go ciekawość, aby zobaczyć to wszystko na własne oczy. Pomysł budowy potężnej stacji magnetycznej na Biegunie Południowym prócz zasadniczego celu, jakim miał służyć, to jest zmianie orbity ziemskiej, miał jeszcze i tę dobrą stronę, że bezludna, lodowa pustynia, kraina wiecznego milczenia, zatętniała nowym życiem, które zgasił okres lodowy w odległej epoce geologicznej.

Następnego dnia o godzinie czwartej rano był już na nogach. Ledwo zasnął, wróciwszy późno do domu, gdy obudził go radiowy sygnał Instytutu, przeznaczony specjalnie dla uczestników ekspedycji. A ponieważ bagaż swój odesłał jeszcze wczorajszego wieczora, zabrał z sobą tylko mały, podręczny neseser.

Na placu startowym wrzało już jak w ulu. Torpedostratus olbrzymich rozmiarów zwiślał nad płaskim dachem poprzecznego budynku Instytutu. Wyglądał imponująco w świetle kolorowych reflektorów, gdyż na dworze panował jeszcze mrok. Na jego podłużnym kadłubie, mniej więcej pośrodku, widoczny był świetlisty napis: Ekspedycja „M”, a obok cyfra: 51.

Aparatura oraz obfity materiał naukowy był już załadowany do kabiny towarowej, mieszczącej się z przodu potężnego aerostatku o kształcie wielkiego cygara, zwężającego się gwałtownie w kierunku tylnych sterów, które tworzyły jakby otwarty wachlarz, składający się z grubych rur, wywinętych lejkowato na końcach jak u puzonu.

Jerzy rozglądał się wokoło, spacerując w cieniu stratosferycznego giganta, tuż przy balustradzie, zamykającej szeroką płaszczyznę dachu. Z tej niewielkiej, bo zaledwie kilkupiętrowej wysokości widział doskonale śpieszących się do odlotu uczestników wyprawy, którzy z podręcznymi walizkami znikali w hallu budynku, by za pomocą windy wydostać się na dach startowy. Wielu było też i takich, których przywiodła tu ciekawość, by ujrzeć dzielnych ludzi, wyruszających na zdobycie już nie Bieguna, ale władzy nad kosmicznymi prawami świata.

Wypatrywał pilnie, czy nie ujrzy gdzieś, pośród snujących się w dole mężczyzn i kobiet, Marietty. Wczoraj przy rozstaniu powiedziała mu, że przyjdzie bezpośrednio przed odlotem, na miejsce startu, aby- go pożegnać.

Powinna już być — pomyślał. — Przecież zostało zaledwie kilkanaście minut do startu. Zastanawiało go wczorajsze dziwne zachowanie się Marietty. Była bardzo powściągliwa w rozmowie i choć okazywała mu serdeczną troskę i czułość, domyślał się łatwo, że coś ukry-

wała przed nim. Wspomniała niejasno o wielkim niebezpieczeństwie, jakie grozi światu w najbliższej przyszłości, i że kto wie, czy nie będą musieli się rozstać na czas dłuższy. Była zgaszona i smutna, pełna niedobrych przeczuć i obaw.

— Kto wie, może i ja pojedę na Biegun... — zagadnęła, próbując się uśmiechnąć.

Relski zaprzeczył ruchem głowy.

— Ty? A po co? O ile wiem, warunki tamtejsze są więcej niż prymitywne. Trzeba budować życie od podstaw, tworzyć cywilizację na pustyni.

— To nie jest najgorsze, Jerzy. Ale ja boję się czegoś. Boję się o siebie...

— Bądź spokojna, Marietto, nic mi się nie stanie — odpowiedział jej beztrosko, śmiejąc się głośno z jej obaw. Patrzyła na niego z głęboką troską w oczach.

— A zresztą — mówił nie bez uczucia pewnej dumy — jedzie z nami taki człowiek jak Marek Fantom.

Jerzy, myśląc o tej rozmowie, zastanawiał się, co mogło być przyczyną jej przygnębienia i niepokoju. Czyżby Fantom? Cóż zresztą mogło łączyć Mariettę z nim, człowiekiem tej miary? Albo co go mogły obchodzić kobiety, którym trzeba poświęcać wiele czasu, okazywać wiele cierpliwości i wyrozumiałości wobec ich kaprysów, nastrojów, a nawet hysterii? Taki człowiek jak Marek Fantom nie ma z pewnością czasu dla tych istot, delikatnych i wrażliwych — skonstatował z uczuciem pewnej ulgi.

Podążył w kierunku schodów, by zejść na dół i raz jeszcze sprawdzić, czy przypadkiem czego nie zapomniano załadować na torpedostratus.

W przejściu natknął się na Mariettę.

— A więc jesteś jednak? — zaaferowany, rzucił się w jej stronę. W głosie Jerzego drgała nuta spełnionej nadziei.

— Tak... przyszedłam tu, aby cię powstrzymać od udziału w ekspedycji. To szaleństwo...

— Marietto! Jak możesz tak mówić... Nie widzę powodu, aby zmieniać decyzję. Już zresztą za późno, zaraz nastąpi start...

— Proszę cię jednak, zostań!

Nalegała, ściskając mu rękę. Ale on był uparty i zaczął się denerwować.

— Nie zostanę i już. Nie będę zmieniał danego słowa. Zresztą chcę jechać.

— W takim razie... bądź zdrow, Jerzy... Żegnaj!

Odwróciła się szybko i znikła we wnęce schodów. Chciał biec za nią, chciał wytłumaczyć jej, że przecież nie można zostać, skoro wcielono go do ekspedycji jako odpowiedzialnego kartografa, znającego doskonale tajemnice napięć magnetycznych południowej hemisfery. I to teraz, w ostatniej minucie przed odlotem, gdy nie ma nikogo, kto mógłby go zastąpić bez szkody dla wielkiego eksperymentu.

— Jak mogła, jak mogła żądać tego ode mnie w tej chwili! O Marietto!

Podbiegł do balustrady na dachu, aby ujrzeć ją tam, na dole, gdy będzie wychodziła na obszerny plac, a stamtąd, obok gazonu, w boczną aleję między cyprysami. Ledwo dostrzegł jej drobną sylwetkę, przeciskającą się wśród tłumu publiczności, oczekującej na uroczysty moment odlotu. Z pewnością zginęłaby mu z oczu, gdyby nie żółta smuga reflektora, płynącego gdzieś z bocznego pawilonu Instytutu. W pewnej chwili Marietta zatrzymała się, gdyż zagroził jej drogę mężczyzna w ciemnym kapeluszu z pękatą teczką pod pachą. Był to... Marek Fantom. Jerzy poznał tę szeroką twarz, wyglądającą groźnie w rozbłysku światła. Chwilę rozmawiali z sobą, żywo gestykułując. Zdawało mu się, że Fantom usiłował zatrzymać ją. Ale nie, nie zatrzymał. Poszła...

W tej samej chwili ujrzał przed sobą smukłą postać profesora Marskiego.

— O, panie Relski. Dobrze, że pana znalazłem. Proszę sprawdzić łaskawie, czy zabrano cały materiał kartograficzny. Za dziesięć minut wyruszamy.

Zjechali windą w dół. Potem szedł za profesorem, milcząc. Był jeszcze pod wrażeniem rozmowy z Mariettą. Przeciskali się wśród cizby mężczyzn i kobiet do przeciwległego skrzy-

dła budynku, gdzie mieściły się biura. Tędy szła — pomyślał. Zdawało mu się, że czuje jeszcze zapach jej perfum. Starał się wyrwać z kręgu tych myśli, oderwać się od nich, przejąć się swoją rolą w ekspedycji Fantoma.

— Eh!... z kobietami to tak zawsze. Niczego nie można przewidzieć — powiedział półgłosem do siebie.

Weszli do oddziału kartografii ogólnej. Marski sprawdzał starannie, czy zostały zapakowane wszystkie mapy magnetyczne, a właściwie ich dokładne kopie, sporządzone na białych arkuszach z niełamliwej masy, odpornej na działanie temperatur. Materiał ten miał posłużyć do sporządzenia magnetycznego globusu o średnicy 3—4 metrów, już po przybyciu na ląd Antarktydy.

— No, wszystko w porządku — zaopiniował chłodno profesor Marski. — Nasi chłopcy o niczym nie zapomnieli.

— Tak. Nawet Paweł Devenieur pomagał nam wczoraj — wtrącił Relski.

— No... no... to doprawdy zastanawiające, wprost nie do wiary — konstatawał z uśmiechem zadowolony Marski.

— To znaczy, że i on uwierzył w geniusz Fantoma, profesorze?

— Czy uwierzył? — Marski wykonał przeczący ruch głową. — Tacy ludzie jak Paweł Devenieur potrafią działać na przekór samym sobie, a nawet w tym działaniu wykazać entuzjazm dla sprawy im obcej. Ale kochają życie i znają jego cenę...

Rozmowę ich przerwał ostry, metaliczny głos, płynący z góry:

— Uwaga! Uwaga!... Panowie z ekspedycji „M”! Proszę zająć miejsca w kabinach! Za pięć minut wyruszamy na Biegun! Uwaga!...

Na obszernym dziedzińcu Instytutu zawrzało. Słychać było zewsząd urywane rozmowy i nawoływania. Teraz dopiero Relski zauważył, jak wiele osób przybyło, aby zobaczyć odlatujący torpedostratus. Nie brakowało również spikera Centralnej Stacji Pierwszej Strefy Klimatycznej dla przeprowadzenia transmisji radiotelewizyjnej odjazdu ekspedycji polarnej.

Rozmawiał właśnie z profesorem Marskim, gdy rozległ się potężny, basowy ryk i na chwilę zagłuszył wszystko. Jerzy skonstatował z zadowoleniem, że nie był to właściwie ryk, jaki wydawały syreny okrętowe XX wieku. Był to raczej złożony akord wielu tonów. A choć siła i donośność głosu była niezwykła, sprawiała uszom prawdziwą przyjemność, jak potężna uwertura muzyczna. Profesor znalazł się znowu przy nim. Słowa jego były krzykliwe i jakby odarte z dźwięku, gdy powiedział:

— Oto pierwszy sygnał do startu, panie Relski. Po następnym torpedostratus z szybkością pocisku poszybujecie w stratosferę, by wylądować dopiero na Ziemi Wiktorii. Proszę zająć miejsce w kabinie.

— Jestem gotów, profesorze.

Schylił się po swój neser podróżny, zostawiony tu od wczoraj. Krótki, mocny uścisk dłoni, wymowniejszy od słów. Jerzy pędzi do windy, by jak najprędzej znaleźć się na górze. Na dachu czekali nań koledzy z oddziału. Obstąpili go kołem.

— Bądź zdrow, Jerzy! Serwus! A nie zapomnij pozdrowić od nas białe niedźwiedzie.

— I pingwiny — uzupełnił ktoś z boku, śmiejąc się w głos.

Dobre chłopaki — myśli Jerzy. — Nie zapomnieli...

Obok stoi starszy asystent Kryniecki, należy także do ekipy. Windy torpedostratusa pracują niezmordowanie, ładując do wnętrza coraz to nowych pasażerów. Słychać tylko świst rozwijanych linek i ciche kłaśnięcia, gdy wagonik znika na krótko poza dolną krawędź aerostatku. Jerzy znalazł się w wygodnej, dwuosobowej kabinie wspólnie z Wiktorem Krynieckim. Kabina oznaczona była numerem 26. Miała wygodne dwa fotele, wnękę na bagaż zamkniętą gęstą siatką oraz owalny, mały stolik. Nie brakło też radiotelewizora, umocowanego na przeciwległej ścianie, a nieco wyżej, gdzie ściana zbiegała się z sufitem w łagodnym łuku, widoczne były tarcze ze wskazówkami, oświetlone od wewnątrz. Będą wskazywały, jak to



wyjaśnił Kryniecki, wysokość lotu, szybkość, ilość przebytych kilometrów od miejsca startu, kierunek lotu i temu podobne: Zupełnie jak w kabinie pasażerskiego samolotu dwudziestego wieku.

Jerzy umieścił swój bagaż i zaczął wodzić oczami kolejno po różnych szczegółach wyposażenia wnętrza. Kryniecki tymczasem spoglądał obojętnym, znudzonym wzrokiem przez szklany otwór luminatora na to, co się działo w dole, na dziedzińcu. Był to sympatyczny, wysoki blondyn o łagodnym profilu, wiecznie z czegoś niezadowolony. Jerzy znał go z pracy w Instytucie i nawiązanie z nim koleżeńskie rozmowy nie było trudne. Jak się okazało, znał on dokładnie skład osobowy ekspedycji oraz załogę torpedostratusa. Koleżeńską rozmowę przerwał na chwilę znany już, lecz tym razem jeszcze niższej tonacji, wychodzący gdzieś z dolnych pomieszczeń huragan akordów. Był to jakby grzmot wielu organów, od którego wszystko wokół drżało.

— Startujemy — powiedział, krzywiąc się, Kryniecki.

Nim upłynęło parę sekund, uczyli silny wstrząs. Potem zostali na moment jakby przykuci do ściany kabiny, gdyż start zastał ich w pozycji stojącej. Na szczęście, ściany były miękkie jak z waty i nie czuło się wcale ucisku. Jerzy spojrzął na tarczę zegara. Była punktualnie godzina piąta. Gdy odzyskali swobodę ruchów, torpedostratus znajdował się już na takiej wysokości, że ziemia, budynki i drzewa zlewały się w jakąś szarą, bezkształtną masę. Stało się to niemal w jednej chwili, w ciągu paru zaledwie sekund. Relski obserwował teraz przez mały, oszklony otwór, jak wszystko zapadało się w przepaść.

— Pędzimy z szybkością trzy razy większą niż głos... O... patrz pan, panie kolego — mówił Kryniecki, wskazując na podłużną tarczę z grubym, wypukłym szkłem, po której przesuwiała się wskazówka, obliczająca czas w sekundach i minutach — lecimy dopiero dziesięć sekund... Czy widzi pan, jak zwiększa się szybkość? Z jednego kilometra, jaki przelecieliśmy w ciągu trzech pierwszych sekund, gdyśmy byli przyciśnięci do ściany tego pudła jak sardynki, wzrosła już szybkość lotu do tysiąca metrów na sekundę.

— A jaka będzie maksymalna szybkość lotu?

Kryniecki popatrzył na tarczę.

— Chyba ponad siedemdziesiąt kilometrów na minutę. Ładnie, co? Około godziny dwunastej w południe, według średniego czasu ziemskiego, będziemy nad morzem Rossa...

Relski patrzył, jak ziemia traciła stopniowo swój zwykły konwencjonalny wygląd, przyoblekając się siatką zagmatwanych kresek, załamania i zagięć, które z tej odległości mogły oznaczać wiele albo prawie nic. Gdyby nie czerwona tarcza Słońca wynurzająca się z mgieł jak z oceanu, nie można byłoby już odróżnić, gdzie ląd, a gdzie faliste, ułożone jedno za drugą, jak długie warkocz, warstwy chmur.

Wznosili się coraz wyżej i w pewnej chwili wysokościomierz wskazywał dwadzieścia kilometrów.

— Wchodzimy w stratosferę... — Kryniecki rozsiadł się wygodnie i zapalił papierosa. Uważał za swój obowiązek informować Jerzego, który po raz pierwszy odbywał tak długi lot. Słońce traciło powoli swój rubinowy blask i nabierało olśniewającej białości.

— Dojedziemy do stu dwudziestu kilometrów i stop!

Niebieskawy dymek zwijał się wąskim pierścieniem nad jego głową. Powietrze robiło się ciężkie. Jerzy przekręcił w prawo dźwignię aparatu, regulującego dopływ tlenu. Rozległ się wesóły syk dopływającego gazu. Płuca oddychały lżej.

— Powiedz mi pan, panie Kryniecki, dlaczego to w torpedostratusach międzykontynentalnych załogi mają tak różny skład narodowościowy? — zapytał po chwili.

— Dla wygody podróżujących. A poza tym... dla zaakcentowania międzynarodowej solidarności. Nie ma już dyskryminacji.

Torpedostratus pędził z szybkością 63 kilometrów na minutę, a wskazówka posuwała się coraz wyżej.

— Ciekawym, jak określa się narodowość ludzi U S? — indagował Jerzy swego współtowarzysza. Pytanie to wprawiło w pewien kłopot Krynieckiego. Po namyśle powiedział:

— Ludzie U S nie mają narodowościowego oblicza, ponieważ nie posiadają ciągłości rozwojowej, biologicznej. Dopiero przy wpisywaniu do kartotek Głównego Biura Osobowego otrzymują narodowość tego kraju, gdzie dano im sztuczne życie, nie pytając ich o zgodę. Uważam to za niemoralne. Zresztą... Problem narodowościowy w Erze Atomowej już prawie nie istnieje. Zdezaktualizował się z chwilą powstania Rządu Światowej Federacji w Norbant i zniesienia wiz na całym Globie...

— Tak, istotnie. To jest największe zwycięstwo waszej epoki. Dawniej człowiek przykuty był do miejsca jak niewolnik. Wiek dwudziesty mógłby wam słusznie zazdrościć.

— Ach... wasz wiek dwudziesty! Gdy, czytam o tych wszystkich okropnościach tamtej epoki, trudno mi wprost uwierzyć, że w takich warunkach mogli żyć ludzie. Państwo i państwka o zamkniętych hermetycznie granicach... — Kryniecki zgasił niedopałek papierosa o wystającą muszlę popielniczki i spojrzał w górę.

— Oho... jesteśmy już na ładnej wysokości: sto kilometrów!

Jerzy chciał coś odpowiedzieć, lecz uwagę jego odwrócił głośnik radiotelewizora. Odczytywano nazwiska uczestników ekspedycji „M”, a na ekranie ukazywały się sylwetki członków wyprawy. Gdy ujrzał siebie i Krynieckiego, zaczął się głośno śmiać. Kryniecki obruszył się nie na żarty.

— Tego jeszcze brakowało! Nie rozumiem, po co ta bezsensowna autoreklama? Nauka to nie polityka. Nie potrzebuje reklamy, ale faktów, obiektywnych faktów. Jeszcze niczego nie dokonaliśmy, a świat robi już z nas bohaterów. Bohaterów na wyrost — dodał nie bez ironii.

— Widzę, że pod tym względem niewiele zmieniło się na lepsze — zauważył z pewną satysfakcją Relski.

— Przyznaję koledze słusność. Z najbliższej centrali radiotelewizyjnej prześlę protest do Krajowej Rady Naukowej. To skandal...

— Ale już chyba z Wyspy Rossa — dodał żartobliwie Jerzy.

— Wszystko jedno skąd. Nienawidzę taniego reklamiarstwa.

Zdenerwował się i zaczął przemierzać szybkimi krokami niewielką przestrzeń kabiny. Po chwili jednak opanował się i zadartszy głowę do góry, przyglądał się z milczącą obojętnością kolorowym cyfrom na tarczach instrumentów nawigacyjnych.

— No, no... mamy już połowę drogi za sobą, a jest dopiero godzina dziewiąta minut trzynaście. Czy wie pan, kolego, gdzie się obecnie znajdujemy?

— Nie...

— No, proszę zgadnąć.

— Kiedy naprawdę nie wiem. Chyba gdzieś nad Afryką Południową?

— Ale gdzież tam! Nie lecimy trasą kontynentalną. Pędzimy wprost na Biegun i znajdujemy się w tej chwili nad Oceanem Indyjskim, poniżej równika, na wysokości Cejlonu.

Jerzy spojrzał w luminator, ale padający z tej strony oślepiający blask słońca nie dozwalał niczego dostrzec. Dopiero po chwili zauważył świecące jasno gwiazdy na czarnym jak atrament niebie. Poniżej rozciągała się przepaść zawleczona błękitną mgłą.

Przez megafon radiotelewizora usłyszeli komunikat pilota nawigatora:

— Znajdujemy się w tej chwili na dwunastym stopniu szerokości południowej i osiemdziesiątym czwartym stopniu długości na wschód od Greenwich.

Do kabiny wszedł, zadzwoniwszy uprzednio, drobny, szczupły człowiek w białym mundurku z wysokim kołnierzem, zapiętym pod szyję. Stanąwszy w drzwiach, zapytał przyciszonym, jakby lęklwym głosem:

— Czy można panom podać śniadanie?

— Proszę bardzo — zawyrokował arbitralnie Kryniecki.

Za chwilę ten sam niepokazny człowieczek wszedł z błyszczącą tacą w rękę i nakrywszy białym obrusem owalny stolik, przymocowany na stałe do podłogi, postawił wprawnym ruchem przed pasażerami kabiny dymiący parą imbryk i dwie filiżanki. Obok stało już pieczywo i świeże owoce.

Kryniecki odzyskał dobry humor.

— Przegryziemy coś, panie kolego — zwrócił się z uprzejmym gestem do Relskiego, napełniając stojącą przed nim filiżankę aromatycznym płynem.

Zjedli z apetytem śniadanie na wysokości stu dwudziestu kilometrów.

Po skończonym posiłku ten sam małowówny steward zjawił się niepostrzeżenie i zgarnawszy zręcznym ruchem na tacę resztki pieczywa, znikł za drzwiami kabiny.

— Oto człowiek U S, jeden z międzynarodowej załogi na naszym torpedostratusie. Milczący i ponury jak cień schizofrenika.

— Czy oni wszyscy są tacy? — zapytał Relski.

— Nie wszyscy, ale olbrzymia ich większość. Za to prawie wszyscy to kandydaci na samobójców... — Kryniecki uśmiechnął się jakoś dziwnie.

Relski przypomniał sobie w tej chwili Mariettę. I ona mówiła często o śmierci, choć miała w sobie przecież tyle pasji życia.

— Czy to nie dziwne, panie kolego — kontynuował w tym samym tonie Kryniecki — że ostatnio Marek Fantom otacza się coraz więcej ludźmi U S? Co pan o tym sądzi?

— Hm... trudno mi coś o tym sądzić. Po prostu przypadek, zbieg okoliczności...

— O nie. To nie przypadek, mój przyjacielu. W tym jest głęboko przemyślana metoda, jakiś ukryty cel.

— Nie rozumiem... Cóż w tym dziwnego?

Kryniecki wzruszył ramionami.

— Trudno mi na razie coś konkretnego powiedzieć. To są tylko moje przypuszczenia. Fantom jest geniuszem, a tych odgadnąć niełatwo. Taki człowiek to cały labirynt myśli i zagadnień, niedostępny dla przeciętnego umysłu. Geniusza nie można zgłębić, ale można odkryć, zdemaskować jego zamiary, które nie zawsze są tak wzniosłe i idealistyczne jak ewangelia, którą głosi...

— Jak można tak mówić o wielkim człowieku, któremu świat tyle zawdzięcza — zaproponował Jerzy ze szczerym oburzeniem w głosie.

— Przecież ja nic złego nie powiedziałem — próbował się usprawiedliwić Kryniecki, bębniąc palcami po stole. — To są tylko moje uwagi. Obawiam się, że człowiek ten, z gatunku U S, może sprawić wiele kłopotu naszemu dostojnemu areopagowi w Norbant.

— Przecież to dziecię ich geniuszu!

— Uczeń prześciga mistrza, dziecię przewyższa ojca. Enfant terrible... Areopag mędrców wierzy mu, darzy go zaufaniem.

— Dlaczego więc my, niegodni jego uczniowie, mamy wątpić? Ja wierzę w geniusz człowieka, który dokonał tylu odkryć i wynalazków. Taki człowiek nie może się mylić.

— Wolno wierzyć, wolno i wątpić. To nas odróżnia od stada niewolników, gdzie niczego nie wolno,...

Ostatnie słowa Krynieckiego zagłuszył donośny głos spikera pokładowego:

Proszę się przygotować do lądowania. Znajdujemy się w odległości tysiąca dwustu kilometrów od Wyspy Rossa. Za dziesięć minut opuszczamy się na ląd.

Wskazówka szybkościomierza spadała raptownie w dół. Torpedostratus wyraźnie tracił na szybkości. Moment lądowania zbliżał się. Rozległ się gong i w tej samej chwili wszedł do kabiny mały człowieczek, który przy niósł śniadanie. Miał przełożone przez ramię dwa grube, sportowe pulowery, a w rękę ciepłe czapki. W drugiej ręce trzymał dwie pary dużych, sportowych butów, jakich używano w górach.

— Proszę się przebrać, na lądzie jest zimno. Za chwilę przyniosę płaszcze.

Jerzy pierwszy założył ciepły, puszysty sweter i naciągnął buty z miękkiej sztucznej skóry. Kryniecki zrobił to samo, czyniąc przy tym wesołe uwagi na temat sportu. Po chwili zjawiły się płaszcze, które mały człowieczek pomógł im wciągnąć.

Nastąpił krótki wstrząs, jak przy starcie, i zanim zorientowali się, byli już o kilkadziesiąt metrów nad obcym, nieznanym lądem. Torpedostratus wisiał nieruchomo w powietrzu, a załoga przygotowywała windy do wysadzenia na ziemię pasażerów. Słychać było dolatujący z dołu gwar ludzkich głosów. Jerzy spojrział przez luminator. Zobaczył tłum ludzi, wiwatujących na ich cześć.

— Fantom! Niech żyje Marek Fantom — dolatywały ich gromkie okrzyki tłumu.

Marek Fantom pierwszy ukazał się w wylocie głównych drzwi i stanawszy na wysuniętym mostku jak na trampolinie, odpowiadał gestami rąk na powitanie, jakie mu zgotowano.

Torpedostratus opuścił się jeszcze niżej na wysokość około dwudziestu metrów ponad ziemię i pasażerowie zaczęli zjeżdżać okrągłym, podobnym do spłaszczonej kuli, wagonikiem w dół, szybko i sprawnie.

Pierwsi znaleźli się na ziemi: Marek Fantom, Kryniecki i Relski. Ściskano im ręce, zarzucano pytaniami. Załoga tymczasem szybko i sprawnie zajęła się wyładowaniem bagażu, który został odtransportowany przez zespół miejscowy do obszernego parterowego budynku. Jak się później okazało, było to pomieszczenie specjalnie przygotowane dla nowo przybyłych członków ekspedycji, pracowników naukowych i techników-specjalistów.

Zmiana temperatury była tak gwałtowna, że mimo ciepłej odzieży, w jaką zaopatrzone ich na aerostatku, odczuli dojmujący chłód. Toteż z uczuciem prawdziwej ulgi zajęli przydzielone im pokoje, ogrzane i zaopatrzone w bieżącą, ciepłą wodę. Za dwie godziny miał odbyć się wspólny obiad. Trzeba było obmyć się i przebrać. Taka połowiczna kąpiel wydała się Jerzemu rozkoszą nie lada po długiej, nieco uciążliwej i nudnej podróży stratosferycznej.

Odpuściwszy trochę, wyjrzał przez okno, wiedziony ciekawością. Słońce zwisało nisko nad horyzontem i mimo rażącego blasku, jaki padał od lekko falującego morza, na samej granicy widzenia rysowały się kontury wysokiej, stożkowej góry, nad którą wznosiły się pióropusze gęstego dymu. To wulkan Erebus — przypomniał sobie rozmowę z profesorem Markskim. Nic tu jednak nie przypominało śnieżnych, mroźnych okolic podbiegunowych.

Relski wpatrywał się przez szerokie okno w ten niecodzienny krajobraz i nie wierzył, że jest to ta sama ziemia, po której stapał kiedyś, gdy po raz pierwszy znalazł się w tych stronach jako członek ekspedycji polarnej w poszukiwaniu cennych rud uranowych. Wtedy połykające swoją groźną nagością lodowce i oślepiająca białość śniegu to jedyny widok, jaki ukazywał się zmęczonym oczom podróżnika-badacza.

Teraz wszystko ożyło. Gwar ludzki wypełnił ciszę nagiej ziemi, ocean z hukiem uderzał o niedaleki, skalisty brzeg wyspy, a fale mrugały nieustannie rtęciowym blaskiem podbiegunowego słońca.

Relski zadumał się. Nie słyszał nawet, że ktoś zapukał do drzwi.

Kryniecki wszedł cicho i stanął za jego plecami.

— Nie poznaje kolega tych stron, jak widzę?

— Nie, nie poznaje... Marek Fantom to jednak naprawdę wielki człowiek. Przecież zaledwie pięć miesięcy temu rozpoczęli pracę nasi termotechnicy i klimatolodzy, a dziś panują tu już znośne warunki bytowania.

— O tak. bezsprzecznie jego to zasługa, bo ma w tym jakiś ukryty cel, którego dotąd nikomu nie wyjawiał. Wiem ze sprawozdań Krajowej Rady Naukowej, że przylatywał tu często i sprawdzał, czy wszystko odbywa się zgodnie z jego dyrektywami. Nieposłusznych i opornych odsyłał z powrotem na kontynent, sprowadzając na ich miejsce ludzi U S, rzekomo odporniejszych na surowy klimat Antarktydy. W rzeczywistości chodziło mu o co innego. Chciał mieć jak najwięcej posłusznych jego woli i oddanych mu ludzi...

— Nie rozumiem, w jakim celu by to robił. Przecież nad wszystkim czuwa Rząd

Światowej Federacji i Najwyższa Rada Geniuszy, jako czynnik doradczy najwyższej instancji.

— Ja też dobrze tego nie rozumiem, ale to nie zmieni faktów, a te świadczą przeciwko niemu. Obecnie, jak się zdażyłem dowiedzieć — tu Kryniecki zniżył głos i mówił prawie szeptem — znowu spora grupa uczonych i specjalistów-klimatologów opuszcza Ziemię Wiktorii, aby udać się do Europy tym samym torpedostratusem, który nas tutaj przywiózł. Podobno nie służy im klimat...

Kryniecki znacząco się przy tym uśmiechnął, ale Jerzy nie zwracał na niego uwagi, gdyż z zainteresowaniem przyglądał się białym żaglom niewielkiego jachtu, płynącego wzdłuż wybrzeża. Kryniecki potrząsnął go za ramię.

— A propos klimatu. Tym chodzącym mumiom U S służy on doskonale. Zimno wytrzymują lepiej jak białe niedźwiedzie...

Kryniecki zaśmiał się głośno, lecz Relski nie podzielał jego radości. Po chwili zapytał go, nie odrywając wzroku od okna:

— Powiedz mi pan lepiej, skąd czerpicie tyle energii, by ogrzać lodową pustynię?

— Jak to, kolega nie wie? Rzecz jest bardzo jasna. Ustawiono tysiące, dziesiątki tysięcy Stożków Sarotta, ale trochę innych niż te, które pochłaniają energię słoneczną w naszych strefach klimatycznych. Zaraz je zobaczymy. Są wszędzie, nawet tutaj, obok baraku. O, widzi pan, tam na wprost... Z daleka wyglądają jak niezwyklej rozmiarów grzyby, tylko z odwróconymi kapeluszami, aby jak najwięcej promieni kosmicznych padało na ich płaskie dno. Słońce niewiele tu daje, prawie nic. Gdy przyjdzie noc podbiegunowa, wszystko by zamarło i cała praca na nic by się zdała. A promieni kosmicznych jest w bród. Można powiedzieć — ulewa. Prawdziwa lawina pocisków elektronowych i innych o różnej sile i wartości w zależności od tego, jakie cząstki nuklearne reprezentują, spływa na dno stożka, gdzie podlega ona selekcji w specjalnej kamerze magnetycznej. Tylko niektóre z nich o specyficznych właściwościach dostają się do wnętrza stożka, zwanego „piecem atomowym”...

Jerzy słuchał z zainteresowaniem fachowych wyjaśnień kolegi, gdyż mniej zajmował się zagadnieniami fizyki atomowej, pochłonięty badaniami nad magnetyzmem. Kryniecki uczenie wywodził dalej:

— Ten piec, to właściwie retorta ze specjalnej masy. Wyłapuje potrzebne cząstki energii kosmicznej i kieruje na płytę izotopu, rozbijając atom po atomie, tak jak dziadek chrupie orzeszki...

— Doprawdy... bardzo plastycznie — roześmiał się Jerzy, patrząc za znikającym w oddali jachtem.

— Nie lubię suchego języka nauki. Ale, panie kolego, proszę posłuchać dalej.

— Słucham... słucham uważnie.

— Jądra atomów pękają pod wpływem tych promieni, wyzwalając w jednym stożku energię równą sile spadającej wody Niagary. A takich retor-dziadków atomowych jest tysiące, dziesiątki tysięcy...

— Tak, teraz rozumiem, dlaczego lodowiec spłynął do morza.

— O, właśnie — potwierdził z satysfakcją Kryniecki. — A przy tym energia ta nic nie kosztuje, bo przypływa sobie gratis z kosmosu, bez żadnych ograniczeń, dzień i noc, a zamieniona w energię cieplną, rozchodzi się rurami pod postacią rozgrzanego powietrza, ogrzewając teren. Ale to jeszcze nie wystarcza, by utrzymać temperatury plus dziesięć do piętnastu stopni Celsjusza. Całe masy energii elektrycznej zostają wysyłane za pomocą fal elektromagnetycznych z dalekich kontynentów Australii, Azji Południowej i Afryki... Pięćdziesiąt tysięcy ludzi pracuje tutaj bez przerwy, zmieniając się co dwie godziny. Ogrzewają ziemię, przewożą i instalują nowe maszyny, budują podziemne miasta...

— Ach! i to wszystko zawdzięczamy biednym U S?

Kryniecki spojrział nań wzrokiem bazyliuszka.

— O, myli się kolega gruntownie. Praca ludzi U S to praca rąk. Przyrodę tego niewdzięcznego kraju zmieniły mózgi geniuszy z Norbant. A mózgi te należą do ludzi U N, panie kolego...

Dalszy tok dyskusji przerwał głos radiotelewizora, wzywający uczestników ekspedycji „M” na koleżeński obiad do sali jadalnej. Przeszli więc niezwłocznie, bo poczuli już głód. Kryniecki, nieco udobruchany, zagadnął:

— Ale apetycik to tutaj niezły, prawda kolego?

Jerzy potwierdził to śmiechem.

Weszli do obszernej sali, mieszczącej się w tym samym baraku i zaczęli rozglądać się, szukając wolnego miejsca przy stole. Niektórzy z uczestników siedzieli już, inni stali obok i rozmawiali. W jednej grupie zauważyli Marka Fantoma, żywo dyskutującego. Gdy ich dostrzegł, przeprosił swoich rozmówców i zbliżył się do nich.

— Panie Relski, panie Kryniecki, proszę bardzo, zajmijcie panowie miejsca...

Mówił głosem uprzejmym, niemal z czułością. Usadowił ich obok małego, szczupłego jegomościa w dużych okularach.

— Panowie się poznają: pan profesor Aksimow...

Relski i Kryniecki skłonili się.

— To nasi współpracownicy z Instytutu Nauk Specjalnych — wyjaśnił półgłosem profesorowi, który wydawał się tą prezentacją nieco zażenowany.

Poważny pan spojrział na nich spoza grubszych szkielec z rosnącym zainteresowaniem. Małe, wyłupiaste oczy, ukryte w cieniu okularów, nadawały jego chudej, kościstej twarzy wyraz pewnej drapieżności, jak oczy ptaka. Kłaniając się z przesadną galanterią, powiedział, śmiejąc się i mówiąc na przemian:

— Bardzo... bardzo mi miło poznać panów... Słyszałem, słyszałem dużo o ciekawych osiągnięciach waszego Instytutu. Szczególnie jeśli chodzi o ustalenie martwych pól magnetycznych Ziemi. Ho! ho!... — mówiąc to ścisnął im nerwowo ręce.

Potem zaczął opowiadać o swoich projektach przeniesienia flory tropikalnej na Biegun, po uprzednim skrzyżowaniu niektórych gatunków z roślinnością arktyczną. W pewnej chwili, gdy profesor Aksimow zakrzuszył się potokiem własnych słów, Kryniecki szepnął zjadliwie do ucha Jerzego:

— Oto niezmordowany w swojej gadatliwości naukowej człowiek U S...

Relski spojrział z uczuciem sympatii w stronę agrobiologa. Chciał coś powiedzieć, ale w tej samej chwili wstał ze swego krzesła Marek Fantom i jego czysty, mocny głos jak dźwięk szlachetnej stali wbił się ponad szmery rozmów i odgłosy dyskutujących:

— Kochani koledzy i przyjaciele! Po dłuższej nieobecności spotykamy się znowu na tej ziemi, która naszym wspólnym wysiłkiem i cierpliwością wraca do nowego życia. Ziemia ta, uwolniona od lodów, zazieleni się znowu i pokryje kwieciami, jak ongiś, w odległej epoce, przed milionami lat. Ale tym razem ziarno życia nie zostało rzucone szczerą ręką przyrody, jak to bywało zawsze po kataklizmach, gdy natura dyktowała człowiekowi warunki, lecz pobudzona do życia, do wzrostu i kwitnienia mądrością ludzkiego geniuszu...

Żywiołowe oklaski zagłuszyły na chwilę słowa mówiącego. Gdy się uciszyło, Fantom podjął znowu tym samym, pewnym siebie, nie znoszącym sprzeciwu tonem:

— ...I oto tu, na tym obszarze Globu, jakby wyklętym przez dziejotwórcę i skazanym na wieczyste milczenie, rodzi się wielka myśl i wielki czyn, który wstrząśnie światem, by przynieść całej ludzkości poczęcie lepszego, szczęśliwego jutra...

Na sali panowała idealna cisza, tylko profesor Aksimow bębnił palcami po stole, nie odrywając wzroku od twarzy mówiącego.

— ...Tutaj oto, po raz pierwszy w historii świata, od miliardów lat jego istnienia, stanie się rzecz niezwykła i nowa jak narodziny gwiazdy...

Mówca przerwał na chwilę, ogarnawszy wzrokiem swoich słuchaczy. Potem, zmieni-

wszy tonację głosu, mówił ciszej, jakby z pobłażliwym uśmiechem:

— ...Oto istota nieznana i buntownicza, człowiek, w swoim niepokojącym parciu do poznania i ogarnięcia tych wszystkich tajemnic i powikłań, jakie narzuca mu otaczający go świat, postanowił uczynić wyłom w swojej dotychczasowej, biernej postawie wobec tych potężnych sił natury, którym musiał jeszcze dotąd ulegać, wszechwładnej sile ciężenia i niezmienności orbity naszej planety. Zbuntował się ostatecznie i nieodwołalnie i bunt swój wyrazi czynem, od którego zadrży Ziemia, by zmienić swój bieg i stać się posłuszną jego woli. I stanie się. Po to przyjechaliśmy tutaj, aby dzieło, rozpoczęte z takim trudem, nie poszło na marne. Aby zwyciężył człowiek w swojej nieustępliwej walce o władzę nad siłami żywiołów, z których sam powstał. I zwycięży!

To ostatnie słowo powiedział z taką mocą i pewnością siebie, że nikt nie odważyłby się poddawać w wątpliwość jego śmiałej wiary w ostateczne zwycięstwo człowieka nad siłami natury. Spontaniczne oklaski były potwierdzeniem przez obecnych wiary w to zwycięstwo. Genialny fizyk podziękował lekkim skinieniem głowy i usiadł na swoim miejscu. Relski, patrząc na niego, nie odczuwał nienawiści. Z twarzy Fantoma biła ogromna moc i zdecydowanie, której nie potrafił przysłonić zwykły uśmiech towarzyskiej uprzejmości.

Podano obiad. Jerzego ogarnęło uczucie dumy, że jest członkiem wielkiej awangardy dziejowej, której przewodzi ten oto człowiek. W uczuciu tym utonęła reszta jego niechęci do Fantoma z powodu Marietty.

Będą zdobywać szturmem świat! Nie będzie to już walka, w której człowiek staje przeciw człowiekowi, aby zabijać, ale walka z siłami, które rządzą materią i życiem.

Śmiesznie małą i nieważną wydała mu się w tej chwili jego miłość do Marietty. Jakże maluczki był wobec tego tytana nauki i wiedzy, Prometeusza nowej epoki. Poczucie własnej nicości kazało mu oczyścić go z wszelkich podejrzeń, bo był on zbyt wielkim, aby go dosięgły. Z zamyślenia wyrwał go piskliwy głos Aksimowa:

— Czy pozwolą panowie, że im pokażę po obiedzie plantacje nowych gatunków traw niskopiennych i krzewów użytkowych, które doskonale zaaklimatyzowały się w strefie polarnej? — i nie czekając na odpowiedź dodał pośpiesznie: — Bo muszę panom zdradzić pewną tajemnicę...

— Słuchamy, profesorze, niech pan mówi. — Kryniecki uśmiechnął się z błyskiem ironii w oczach. Aksimow zdawał się tego nie zauważać.

— Otóż udało mi się po wielu próbach wyhodować pewne gatunki roślin i kwiatów, które znoszą doskonale niską temperaturę i aklimatyzują się tutaj, na Biegunie. Mam już wypracowany plan rozległego parku, który powstanie w pobliżu Bieguna Magnetycznego, gdzie buduje się obecnie podziemną stację...

— Wspaniale, profesorze — powiedział z wybuchem szczerości Jerzy, odsuwając pusty talerz. Ale po chwili milczenia zapytał: — Profesorze, czy to jednak nie zbyt śmiałe przedsięwzięcie, kwiaty na Biegunie?

Aksimow wykrzywił usta, ukazując kośćistość swoich policzków, i zaśmiał się suchym, sardonicznym śmiechem. Po czym, utkwivszy przelotnie swe małe, ruchliwe oczka w zmarszczonej grymasem twarzy Krynieckiego, zaintonował z powagą:

— Czy panowie sądzą, że to są urojenia starego dziwaka, nie mającego nic wspólnego z tak zwanym poczuciem realizmu? O, nie. To są już pewniki, aksjomaty, prawie fakty. Próby wypadły pomyślnie, warunki biologiczne i glebowe zbadane. Moja flora nie boi się nawet nocy podbiegunowej. Zresztą — klimat już zrobiony, a światło rozproszy mroki długiej nocy na tym obszarze. Marek Fantom ma już plan takiej instalacji...

Geniusz z Norbant, usłyszawszy swoje imię, odwrócił się w stronę profesora z wyrazem protekcjonalnej zyczliwości.

Obiad przechodził w miłym nastroju. Fantom dolewał z butelek orzeźwiającego płynu i zachęcał do konsumpcji. Rozmowy przybierały poufały i przyjacielski ton pogawędki, prze-

platanej tu i ówdzie aktualnym dowcipem. Gdy niektórzy z uczestników zaczęli wstawać od stołu, Marek Fantom zabrał powtórnie głos. Tym razem brzmiał on ciepło, koleżeńsko.

— Dziś, proszę was, moi mili, o zapoznanie się z terenem. Jutro wyruszamy na Biegun Magnetyczny dla sprawdzenia pomiarów i skontrolowania, w jakim stadium znajduje się budowa podziemnej stacji generatorów uranowych. Do zobaczenia!

Zaczęto się rozchodzić. Jerzy i Kryniecki, a wraz z nimi i profesor Aksimow, poszli szeroką drogą, wysypaną drobnym żwirem, w głąb lądu. Od południowej strony wiał ostry, lodowaty wiatr.

— Ochłodziło się — zauważył Relski.

— To tylko pierwsze wrażenie, zapewniam pana — uspokajał go biolog. — Z tamtej strony Bieguna Wiatrów zostało jeszcze trochę lodowców, stąd ten przykry, mroźny podmuch.

— A stacje ciepłych wiatrów? — zagadnął Kryniecki. — Czyż nie mogą złagodzić tego przykrego działania zimna?

— Owszem, ale jest ich jeszcze za mało. Nasi termotechnicy, dzielni chłopcy, budują z tamtej strony Bieguna potężny izolatron wirowy, taką ścianę z wibrującego powietrza, sięgającą do wysokości pięciu tysięcy metrów, na której zatrzymają się te lodowate wiatry. Nastąpi to już za parę dni. Wówczas temperatura powietrza podniesie się automatycznie o kilka stopni i wyniesie mniej więcej tyle, ile w północnej Skandynawii latem...

Szli dość szybko i po jakimś czasie nie odczuwali już przykrego chłodu. Przeciwnie, czuli nadmiar ciepła w sobie, a policzki gorzały rumieńcami, chłostane ostrym wiatrem. Mijali małe domki, podobne do tych, jakie ustawiono w Pierwszej Strefie Klimatycznej, tylko mniej starannie wykończone, jakby budowane w pośpiechu.

— To są domki naszych pracowników, ludzi U S — usłyszeli dyszkant profesora.

W powietrzu na tle spopielałego nieba widać było pędzące w różnych kierunkach z szybkością pocisków bezskrzydłe kolosy. Relski podnosił głowę i wyteżał wzrok.

— Cóż, u licha! Czyżby torpedostratusy? Tutaj?

— Oczywiście. Transportowce — objaśnił biolog. — Zwożą z Australii i południowej Azji gotowe bloki do budowy stacji magnetycznej...

Jerzy zwolnił kroku, gdyż profesor teraz z trudem nadażał za długonogim Krynieckim, drepcząc i sapiąc ze zmęczenia.

— Hej! tam! Czego się kolega tak śpieszy? — krzyknął za nim Relski. Kryniecki obejrzał się i przystanął niezdecydowanie. Jerzy, ujawszy Aksimowa pod rękę, podążył w jego stronę. Patrzyli z zainteresowaniem, jak w pobliżu wąskiej drogi kręcili się ludzie w wysokich, błyszczących butach i krótkich bufiastych kurtkach. Na rękach mieli długie rękawice, które chroniły od zimnych podmuchów wiatru. Jedni składali nowe domki z leżących wzdłuż drogi gotowych bloków korkonu, inni ustawiali Stożki Sarotta, montując długie przewody rurowe, biegnące wzdłuż przygotowanych rowów. Co kilkanaście kroków wystrzelała z ziemi na wysokość kilku metrów metalowa kolumna, zakończona kilkoma węzownicami z cienkich rurek, wokół których widać było drgające fale gorącego powietrza. Aksimow, wskazując na nie, powiedział:

— To są baterie termiczne. Dzięki nim nie zamienimy się w sople lodu na lądzie Antarktydy.

Kryniecki, zbliżywszy się do nich, rzucił od niechcienia:

— Myślę, że to nie jest najważniejsze, profesorze... — A gdy Aksimow zwrócił nań pytające spojrzenie, nieco zdetonowany, dokończył tym samym tonem: — Dzięki tym oto regulatorom temperatury zrealizuje pan, profesorze, projekt wielkiego parku w obrębie stacji magnetycznej, w którym nie zamarzną kwiaty i drzewa, co byłoby katastrofą w tym kraju, gdyż przyznam się, brak flory zaczyna mnie już nużyć.

Agrobiolog spojrział z uczuciem ulgi na mówiącego, nie zrozumiawszy widocznie



zawartej w jego słowach ironii.

— Może wrócimy już — zaproponował Relski.

Aksimow i Kryniecki zawrócili w milczeniu. Jednostajność krajobrazu nie zachęcała do dalszej wędrówki. Na tle nagiej jeszcze ziemi tylko gdzieniegdzie dopiero porastała trawa. Jerzy, patrząc na delikatne pędy świeżych roślin, pomyślał mimo woli: tutaj życie dopiero się zaczyna, jakby narodzin nowego świata. A głośno dodał:

— Za kilka lub kilkanaście lat będzie tu wcale interesująco, nieprawdaż, profesorze?

Aksimow uśmiechnął się kącikiem cienkich warg.

— Myślę, że tak długo nie potrzeba będzie czekać. Spodziewam się, że do przyszłego lata będzie tu już zupełnie inaczej. Roślinność pokryje całą glebę. Warzywa i krzewy zaczną owocować, zakwitną kwiaty, owady wypełnią ciszę radosnym bzykaniem i nadleci ptactwo, zdziwione zmianą, jaka tu nastąpiła.

— No... zapewne — przytaknął Kryniecki. — A co kolega sądzi? — zwrócił się do Jerzego.

— Sądzę, że profesor ma rację. — Stanęli na chwilę, gdyż droga skręcała na południe i nagle znaleźli się twarzą do słońca, na wprost wiatru, wiejącego od Bieguna. Kryniecki kręcił nosem. — Jak się profesor przyzwyczaił do tego bezustannego dnia? — zagadnął. — I kiedy się tu właściwie chodzi spać?

— Ho! ho! z tym to już najmniej kłopotu. Organizm sam zażąda snu, gdy przychodzi właściwa godzina. Na szczęście, nie obowiązuje już antyczny czas słoneczny, ale międzyplanetarny, jednakowy na Ziemi, Marsie czy Wenus...

Relski, którego zaintrygowały wywody profesora Aksimowa, dodał od siebie:

— Przyznaję, że obecny czas odpowiada lepiej wymaganiom epoki. Niemniej jednak stwarza ciekawe paradoksy. Na przykład w pewnych okolicach Globu wschód słońca można obserwować w godzinach wieczornych...

— O, to już najmniejszy kłopot. Do tego można się przyzwyczaić. Gorzej, gdy nie wschodzi ani nie zachodzi. Ot, jak tutaj... — Aksimow wskazał na rubinową kulę słońca, wiszącą, niby lampa, na szarym nieboskłonie.

Profesor przerwał na chwilę swój uczony dyskurs, spoglądając na idącego przodem Krynieckiego, któremu słońce oblewało czerwienią długą szyję i śmiesznie odstające uszy. Ale zaraz powrócił do tematu i zwracając się do Relskiego, zapytał:

— A jak pan sobie wyobraża komunikację przy obecnej szybkości podróżowania?

— Myślę, że według czasu słonecznego nie można by opracować rozkładów jazdy.

— Oczywiście. Oto wyjeżdża sobie o godzinie szóstej rano kilkudziesięciu turystów torpedostratusem międzykontynentalnym z Pierwszej Strefy Klimatycznej w Polsce, powiedzmy, do Indii. Torpedostratus kieruje się na południowy wschód z szybkością mniej więcej około 3300 kilometrów na godzinę, to jest przeciętnie trzydzieści stopni długości geograficznej, aby po sześciu godzinach wylądować w Kalkucie, przebywszy przestrzeń... stu osiemdziesięciu stopni. I cóż się okazuje?...

Aksimow szerokim gestem rozłożył ręce. Jerzy przystanął, próbując odgadnąć, o której godzinie torpedostratus powinien wylądować w Indiach.

— Okazuje się — wywodził dalej profesor — że w chwili lądowania aerostatku na dachu Biura Komunikacji Międzykontynentalnej w Delhi była akurat godzina dwunasta w nocy według czasu słonecznego.

— A zatem podróż trwała osiemnaście godzin...

— Absurd, drogi panie. Podróż trwała tylko sześć godzin. Ani minuty dłużej. Ale człowiek prześcignął czas, pędząc dwa razy szybciej, niż wynosi prędkość obrotowa Ziemi.

— Tak. Ale jest to wyścig pozorny. — Jerzy próbował dyskutować.

— Z czasem słonecznym człowiek wygrał wyścig. Ziemia obraca się zbyt wolno. Dlatego czas słoneczny zdezaktualizował się, stracił sens, stał się anachronizmem.

— Rozumiem. Ziemia obraca się w kierunku z zachodu na wschód z szybkością piętnastu stopni długości geograficznej na godzinę. Torpedostratus pędzi z przeciętną szybkością trzydziestu stopni, a więc dwa razy szybciej od ruchu wirowego Ziemi, wyprzedzając ją co godzinę o piętnaście stopni. Po sześciu godzinach wyprzedził ją o dziewięćdziesiąt stopni, czyli o sześć godzin czasu słonecznego...

— Ależ tak, rozumie się — podchwycił Aksimow. — Zamiast stracić sześć godzin na podróż, pozornie zyskano tyleż czasu, wyprzedzając słońce. Teraz widzi pan, jakim anachronizmem byłby w naszych warunkach czas słoneczny. Wprost nie do pomyślenia! Powstałby nieopisany chaos w komunikacji, w życiu społecznym i osobistym. Katastrofa, drogi panie. Ka-ta-stro-fa! — wyskandował z tragikomicznym akcentem. Mrugnął przy tym śmiesznie małymi oczkami spod grubych szkielek okularów.

Zrównali się z Krynieckim i przyspieszyli kroku. Aksimow wsunął się poufale między nich i ująwszy ich pod ręce, szedł, przebierając szybko nogami, aby nie zostać w tyle. Mówił bez przerwy, wybuchając co chwilę swoim nieco nerwowym, urywanym śmiechem. Pożegnali się tuż przed wejściem do baraku.

Była godzina osiemnasta, gdy Jerzy znalazł się znowu w swoim pokoju. Długi spacer zmęczył go trochę, ale był zadowolony. Zapuścił ciemną storę na okno i zapalił fluoryzujące, błękitne światło. Z łagodną jasnością, spływającą z przezroczystej tafli sufitu, przenikał do jego duszy błogi spokój, jakby wspomnienie dobrych, szczęśliwych chwil.

Włączył radioteleriks, aby wysłuchać komunikatów Centralnej Stacji Europejskiej. Nie znalazł nic ciekawego i przełączył się na muzykę. Rozebrał się i położył do łóżka. W pokoju było ciepło. Gorące powietrze pulsowało ukrytymi w ścianach przewodami, grzejąc dyskretnie i przyjemnie. Dobroczynne ciepło, przychodzące z dalekich światów na falach kosmicznego promieniowania. Z głośnika radiotelewizora popłynęła miłosna pieśń. Śpiewała ją kobieta niezwykłej urody. Widział wyraźnie jej pełną wdzięku, powabną sylwetkę na ekranie telewizora. Wzywała kochanka, by przyszedł i ukoił jej smutek.

„...O przyjdź, jedyny mój, i zapal na mych ustach płomień pożądania...”

Przekręcił gałkę aparatu, ale wibrujący nieukojoną tęsknotą głos śpiewaczki długo jeszcze drgał w nim, jak trącona niebacznie struna. Śpiew ten przywołał mu obraz Marietty. Gdzie jesteś w tej chwili. Czy myślisz o mnie? — zadawał sobie pytanie.

Wreszcie zmęczony marzeniem — zasnął.

## Rozdział XII

Zbudziło go pukanie do drzwi. Wstał w pidzampie i zapytał, kto jest. Okazało się, że Kryniecki.

— Przepraszam, panie kolego, ale jest już późno. Jedziemy na wyspę Rossa gasić wulkan. Fantom kazał pana obudzić.

— Doskonale!

Kryniecki, wyświeżony i pachnący, mówił pośpiesznie:

— Jedzie nas sześciu. Fantom, ja i pan oraz dwóch specjalistów od eksplozji atomowych. No i ten stary nudziarz, profesor Aksimow... Czekam na kolegę w jadalni.

Jerzy ubrał się najśpieszniej, jak umiał, i zatrzasnąwszy drzwi, zjawił się przy stole. Kryniecki kończył już śniadanie, wypijając ostatni łyk kawy.

— Doskonała kawa, kolego. A bułeczki, że palce lizać — zachęcał Jerzego.

Zjawił się Marek Fantom w towarzystwie Aksimowa i przywitawszy się, usiadł obok.

— Jutro zabieramy się do pracy, moi panowie — powiedział, zwracając się do obecnych. Po czym, nalewając profesorowi kawy, dodał: — Tymczasem, abyśmy się nie nudzili, zajmijmy się gaszeniem Erebusa.

— Przyznaję, że to wcale niezłe zajęcie dla atomologów — zaskrzypiał swoim szerokim chichotem profesor Aksimow. A mrugnawszy jednym okiem w stronę Jerzego, zapytał z wesołą miną: — Czy widział pan kiedy taki eksperyment? Zabawimy się w strażaków Erebusa. Hi! hi! hi!

I zakrzusiwszy się, kichnął na cały głos. Wszyscy zaśmiali się chórem. Po śniadaniu wyszli pośpiesznie, aby się przebrać w drogę.

— Za dziesięć minut wyruszamy — oznajmił lakonicznie Fantom.

Startowali z dachu budynku. Mały torpedostratus, zwany torpedonem, czekał już na nich, kiwając się lekko na wietrze. Na górze Fantom spacerował z powagą, trzymając w ręku długi przedmiot. Była to elektryczna luneta. Profesor Aksimow był także uzbrojony w taki przyrząd. Spuszczono windę i wszyscy znaleźli się we wnętrzu niewielkiego aerostatu, lecz w wygodnej i dość obszernej, owalnej kabinie. Na dany przez Fantoma sygnał pilot włączył akceleratory atomowe i statek powietrzny poszybował lotem strzały w kierunku morza.

— Pędzimy z szybkością ciężkiego pocisku artyleryjskiego — powiedział Kryniecki, nachylając się w stronę Relskiego.

— Za parę minut ujrzymy dymiący wulkan — uzupełnił Aksimow, spoglądając przez elektryczną lunetę, opartą wylotem o ścianę kabiny.

Niespodziewanie Fantom zwrócił się do Jerzego:

— Panie Relski, czy nie żałuje pan swego przyjazdu tutaj, na ziemię Antarktydy?

Jerzy zawahał się przez chwilę, po czym, wytrzymując przenikające, zimne spojrzenie fizyka, odpowiedział spokojnie:

— Nie, panie dyrektorze. Nie żałuję... Ta praca daje mi zadowolenie. Jestem dumny, że mogę się tutaj na coś przydać i pracować przy boku tak wielkiego męża nauki, być współtwórcą wielkiego dzieła, które uszczęśliwi ludzkość.

Chłodne spojrzenie geniusza zmiało pod wpływem tych słów. Uśmiech zadowolenia rozjaśnił mu twarz.

— To dobrze... Będę panu wdzięczny... — urwał, a po chwili dodał: — Gdyby jednak tęsknota za krajem, za wysoką cywilizacją wzięła górę nad wolą pozostania tutaj aż do ukończenia naszego zadania, wówczas...

Wzrok ich spotkał się znowu. Oczy Fantoma były nieustępliwe, niemal drwiące. Kryniecki spoglądał to na Jerzego, to znów na Fantoma, nie zdradzając większego zainteresowania dla tej kontrowersji. Aksimow przysłuchiwał się rozmowie w głębokim milczeniu.

— Wiem, co mi pan chce powiedzieć — odrzekł Relski — że mogę w każdej chwili wrócić, uciec stąd. Wiem... — Patrzył mu w oczy śmiało, wyzywająco. — Ale ja tu zostanę, dopóki będę panu potrzebny. Zostanę z panem i naszym zespołem.

— Dziękuję panu.

Odwrócił się i spojrzał przez luminator gołym okiem.

— Już widać wyspę — zawołał wesołym tonem. — Patrzcie, panowie.

Wszyscy przywarli do grubych szkieł. Rzeczywiście, daleko na horyzoncie, na ciemnym granacie morza majaczył szary punkt, który rósł w oczach.

— Widać smugę niebieskiego dymu nad kraterem — zaintonował piskliwym dyszkan-tem profesor.

Wulkan rósł w oczach i nim się spostrzegli, podziwiając zmieniający się co chwila krajobraz, byli już wysoko, tuż nad dymiącym szczytem Erebusa.

Torpedon obniżył gwałtownie lot, spadając prawie pionowo. Pod nimi widać było gęste chmury dymu o kolorze niebieskawofioletowym oraz kłębowiska pary.

Fantom dawał ręką znaki pilotowi. Aerostatek opuścił się jeszcze niżej, ginąc w kurza-

wie gęstego dymu. Chwilami, gdy dym przewalał się na boki poprzez strome zbocza krateru, ukazywała się ciemna, poszarpana u wierzchołka, głęboka jama.

— Wulkan odpoczywa — powiedział jakby do siebie profesor Aksimow.

— Całe szczęście — podchwycił jeden z towarzyszących mu atomologów. — W innym wypadku nie moglibyśmy obniżyć się na tak niewielką odległość od krateru. Jeszcze dwa tygodnie temu pluł ogniem i żelazem, a cała wyspa trzęsła się od tych wybuchów, powodując wysoką falę, która zalewała nasze wybrzeża, grożąc zniesieniem najbliższych położonych budynków.

— O, tak — wtrącił się Aksimow. — To niebezpieczna bestia. Nigdy nie wiadomo, kiedy się znowu przebudzi.

— Ale zdaje się, że koniec jego żywota. Przecież Fantom zabrał miny wodorowe — zauważył optymistycznie Jerzy.

Tymczasem Fantom i towarzyszący mu specjaliści od eksplozji atomowych dokonywali obserwacji za pomocą elektrycznej lunety. Dzięki niej mogli dokładnie widzieć wnętrze wulkanicznej góry, kierunek podziemnych kanałów, którymi wulkan wyrzucał podczas częstych wybuchów na wysokość kilku kilometrów ognistą, niszczycielską lawę.

Torpedon zawisł nieruchomo w gęstych obłokach dymu. Pasażerowie oddychali ozonem, który z ostrym sykiem wydostawał się z butli, zawieszanej na ścianie kabiny.

Aksimow także patrzył przez elektryczną lunetę w dół, usiłując coś zobaczyć. Po chwili oddał ją Krynieckiemu, a ten, popatrzawszy w milczeniu, podał ją Jerzemu.

Relski spojrział w szkiełko, umieszczone w tym miejscu, gdzie rurki zaginały się lekko ku górze, lecz niczego nie dostrzegł.

— Nic nie widzę... — wystękał jękliwie, przyciskając przyrząd do oczu.

Aksimow zaczął manipulować przy lunecie, nie wyjmując jej z rąk Jerzego. Po chwili góra stała się prawie przezroczysta, jakby ze szkła, ukazując w głębi olbrzymi kanał o ciemniejszym zabarwieniu. Kanał ten skręcał w różnych kierunkach, rozwidłał się na szereg mniejszych i ginał w tajemniczej głębi, rozplływając się jak we mgle. Oderwał na chwilę wzrok od lunety i przetarł chusteczką oczy, czując napływające łzy.

— Męczy wzrok, co? — zagadnął go Kryniecki.

— Ziemia strzeże swoich tajemnic i nie lubi, jak jej zaglądać do brzucha — śmiał się w głos profesor Aksimow.

— Nic tam ciekawego nie ma, profesorze. Trochę płynnego żelaziwa, manganu, niklu, ołowiu i siarki — zauważył przekornie Kryniecki. — Czasem nie może tego paskudztwa strawić i wypluwa...

— Uwaga, moi panowie! Za chwilę wyrzucamy ładunek do krateru — dobiegł ich stentorowy głos Fantoma.

Wyrzucono z niedużego pomieszczenia obok kabiny trzy żółte, świecące kule o średnicy około pół metra, a jeden z inżynierów zaczął sprawdzać ukryte pod grubą, metalową pokrywą mechanizmy.

— Wszystko w porządku — oznajmił.

— Proszę ustawić wybuch za dwadzieścia minut — rozkazał Fantom.

Odkrywano kolejno każdą z nich i przesuwno strzałkę na świecącej, małej tarczy. Następnie zasunięto ochronny pancierz i skręcono go śrubami, po czym kolejno ustawiono kuliste ładunki w małym zagłębieniu podłogi kabiny i za pociągnięciem dźwigni otwierano klapę, by przez powstały otwór kula staczała się do umieszczonej na zewnątrz kamery, skąd spadała wprost w otwartą czelusć krateru.

Gdy ostatnia kula znikła w głębokim leju, torpedon uniósł się gwałtownie i odleciał z wielką szybkością. W odległości kilkudziesięciu kilometrów zatrzymano się w powietrzu.

— Tutaj będziemy bezpieczni i możemy obserwować eksplozję — oświadczył Fantom, robiąc zadowoloną minę do towarzyszy.

Zaczęto przesuwać się do luminatorów, aby popatrzeć na wulkan. Z tej odległości wyglądał niewinnie jak motyw dekoracyjny w krajobrazie.

— Jeszcze piętnaście minut, a zmieni się topografia wyspy — wtrącił Aksimow, pociągając Jerzego za rękaw. — Patrz pan! takie widowisko nie zdarza się codziennie...

Relski nie odrywał oczu od okienka iluminatora. Napięcie wzrastało z każdą minutą, a Kryniecki stukał nerwowo końcem buta o ścianę kabiny. Tylko Marek Fantom był spokojny i uśmiechnięty, jakby się nic ważnego nie działo.

Spoglądano niecierpliwie na zegar. Czas dłużył się niepomrotnie. Rozmowa nie kleiła się.

— Jeszcze jedna minuta — przypominał cierpliwie Aksimow.

Fantom zbliżył się do oszklonego otworu w ścianie.

— No, uwaga, jeszcze dwadzieścia sekund i... — Kryniecki nie dokończył, bo w tej samej chwili nad kraterem Erebusa zabłyśło jaskrawe światło, jaśniejsze od tysiąca błyskawic. Wulkan i cała wyspa znikła na chwilę w oślepiającym morzu ognia, a gdy światło zgasło, nie było widać nic prócz ogromnej, czarnej chmury dymu.

Do uszu ich doleciał potężny grzmot, który wzmagał się z każdą chwilą.

Nikt nie odezwał się słówkiem; wszyscy zajęci byli obserwacją eksplozji we wnętrzu czynnego wulkanu.

— Eksplozja nastąpiła na samym dnie krateru Erebusa — powiedział Fantom, który wraz z jednym z atomologów obserwował akcję przez elektryczną lunetę.

— To znaczy, że miny wodorowe dotarły do miejsca przeznaczenia — uzupełnił Aksimow.

— Tak jest. I spełniły swoje zadanie. Stożek wulkanu zapadł się pod ziemię i utonął w magmie, gdyż eksplozja termojądrowa rozładowała ciśnienie gazów podziemnych w promieniu działania wulkanu i stopiła podłoża skalne krateru w promieniu kilku kilometrów — objaśniał Fantom. — O, patrzcie, panowie, chmura dymu opada coraz niżej. Gdzieniedzie widać już wyspę...

— Z dymu wyłania się ład — podchwycił Jerzy — ale wulkanu nie widać!

— I nie zobaczy go pan już — powiedział wesoło Fantom. — Zamienił się w płynną masę i zakorkował gardziel, przez którą wydobywała się lava z głębi Ziemi. Masa ta wypełniła dawny krater aż po brzegi. A gdy kiedyś, w przyszłości, przyjdą tu nowi ludzie i będą oglądać wyspę, nie domyślą się nawet, że był tu potężny wulkan...

## Rozdział XIII

Po powrocie z wyspy Rossa Jerzy zabrał się z niezwykłą energią do prac przygotowawczych dla sporządzenia globusa magnetycznego według dokładnych planów i pomiarów, przywiezionych z Instytutu Nauk Specjalnych. Masa galenowa nadeszła już z Europy i można było odlewać poszczególne segmenty kuli. Kryniecki zajęty był jeszcze pomiarami pól magnetycznych w okolicach Antarktydy i przyjaciele nie mieli wiele czasu na dyskusje i sprzeczki.

Fantom wszędzie był obecny i zachęcał do pośpiechu.

Aksimow zaglądał czasem do pracowni i zamieniał kilka słów, wnosząc trochę humoru swoim beztróskim optymizmem. Częściej jednak przebywał na terenie stacji magnetycznej, gdzie inplantował wyhodowaną przez siebie roślinność przy urządzaniu wielkiego parku. Prowadził na ten temat długie rozmowy z Fantomem, dla którego teren ten był prawdziwym

oczkiem w głowie.

Przy budowie stacji magnetycznej pracowali uczeni wszelkich specjalności. Prócz inżynierów, budujących podziemne miasto-elektrownię o sile stu milionów wolt, zajętych było wielu sławnych fizyków-atomologów, elektryków, magnetologów, klimatologów oraz agrobiologów i agrotechników. Ci ostatni pracowali pod kierunkiem profesora Aksimowa.

Któregoś dnia Fantom zabrał Jerzego i Krynieckiego na teren stacji. Znalazł się tu również Aksimow. Polecili tym samym torpedonem, który zawiózł ich przed kilkunastu dniami do Erebusa. Temperatura była tu nieco wyższa niż na wybrzeżu, choć znajdowali się na samym Biegunie. Gęsta sieć stacji ciepłych wiatrów oraz wysokie ściany gorącego, wirującego powietrza zamykały dostęp do tych okolic lodowatym wichrom z tamtej strony Bieguna, gdzie był jeszcze lodowiec.

Po powrocie Jerzy nie umiał znaleźć słów na wyrażenie swego podziwu dla tak niezwykłego dzieła ludzkiego geniuszu. Wielokilometrowy teren olbrzymiej stacji rozciągał się akurat w tym miejscu, gdzie igła kompasu obracała się w kółko na swojej tarczy. Miasto maszyn znajdowało się na głębokości pięciuset metrów pod ziemią, zbudowane na wzór miast podziemnych Europy i było ostatnim wyrazem techniki w tej dziedzinie. Do ogrzewania zastosowano nowe typy reaktorów atomowych z samoczynną regulacją temperatury; oświetlenie było dwojakie: świecące powietrze i lampy fluoryzujące o właściwościach promieni słonecznych. Wykańczano w szybkim tempie „generatory atomowe”, które miały wytworzyć energię elektryczną o sile stu milionów wolt, potrzebną do przesunięcia orbity ziemskiej.

Fantom śpieszył się, aby wypróbować stację jeszcze przed swoim odjazdem do Norbant na nadzwyczajne posiedzenie Najwyższej Rady Geniuszy, gdzie ostatecznie będzie ustalona data wykonania eksperymentu.

Relski, mimo niezwykłego entuzjazmu dla wspaniałego przedsięwzięcia i podziwu, połączonego wprost z uwielbieniem dla genialnego projektodawcy, czuł się zmęczony. Bezustanna, pełna nerwowego napięcia praca poderwała jego siły i zapał. Ostrość klimatu i ubóstwo fauny oraz ten wieczny, nie kończący się dzień przyprawiały go o melancholię. Usiłował jednak przezwyciężyć się i wytrwać do końca. Był z natury optymistą i nie wierzył, by eksperyment mógł zakończyć się katastrofą. Wierzył niezachwianie w geniusz Marka Fantoma i nie dawał wiary złośliwym podszeptom Krynieckiego, że „to wszystko to wielka gra, w której można tylko przegrać”.

Były chwile, że ogarniało go zwątpienie i wtedy buntował się w duchu przeciw wielkiemu fizykowi. Denerwowała go tajemniczość, jaką się osłaniał, oraz wyższość, jaką okazywał w sposób wyrafinowany i dla podkreślenia której wymagał fantastycznej wprost uległości swego otoczenia, a przede wszystkim ze strony oddanych mu bez reszty ludzi U S.

Choćby taki Aksimow. Nie potrafił niczego powziąć na własną rękę, choć z góry wiedział, że Fantom nie będzie sprzeciwiał się jego projektom, dotyczącym szaty roślinnej na tych terenach. Wszak był jedynym autorytetem w tych sprawach.

Fantom — groźny dyktator... Nie. To mu się nie mogło pomieścić w głowie. W Erze Atomowej nie ma przecież miejsca dla dyktatorów.

Ale te wszystkie wątpliwości ulatywały bez śladu, gdy w pracowni zjawił się Fantom i z sugestywną siłą wyjaśniał, pochwalał lub wytykał błędy. Jako człowiek przedstawiał niezwykły kompleks sprzeczności. Czasem jego milcząca surowość, dostojność i władczość, nie pozbawiona wyniosłej pogardy dla wszystkiego, co nie było nim samym, owa „splendid isolation”, przechodziła w nutę niespodziewanej serdeczności i poufności. Przeżywał wtedy chwile wielkiego podniecenia, jakby zwielokrotnionej wizji życia, i w takich momentach budził podziw i był pełen uroku osobistego, któremu nikt nie potrafił się oprzeć.

Jerzy posadzał go ponadto, że potrafi czytać myśli ludzkie.

## Rozdział XIV

Paweł Devenieur-Charmanteur był chyba jedynym człowiekiem w epoce Atomowej Ery, dla którego problem wysadzenia Ziemi ze starej orbity nie zdawał się budzić emocji. Po wyjeździe Relskiego i części pracowników na Biegun Południowy pracy w Instytucie było niewiele. Dyrektor Marski chodził chmurny i niezadowolony. Coś go wiecznie trapiło, ale Paweł daleki był od dociekania przyczyn depresji dyrektora, którego nie lubił. Od chwili gdy kopistka Ena zajęła należne jej miejsce w galerii jego wspomnień, szukał obiektu nowej miłości.

W jednym z rozległych parków w sąsiedztwie Pałacu Kwiatów było takie zaciszne ustronie, gdzie spotykali się ci wszyscy, którzy czuli się osamotnieni. Mężczyźni i kobiety, poszukujący swego ideału, mieli tutaj sposobność znaleźć ucieleśnienie swych marzeń lub przeżyć jeszcze jedno rozczarowanie.

Miłość wolna od kłamstwa i pełna beztroskiej swawoli była w Erze Atomowej powszechnym hasłem życia. Odnaleźć godne i doskonałe dopełnienie swej płci było ambicją każdej kobiety i każdego mężczyzny.

Dlatego miejsce spotkań towarzyskich w zacisznym parku przy Alei Westchnień posiadało dla ludzi obojga płci szczególny urok. Wspaniałe kwietniki, tajemnicze ścieżki, upajająca woń kwiatów...

Paweł pamiętał dobrze to miejsce pierwszych spotkań. Poznał tutaj niejedną swoją kochankę i chciał znaleźć nową, lecz inną od tamtych wszystkich. Taką, jaką wyśnił sobie podczas ostatnich nocy, spędzonych samotnie. Przyszedł o zmierzchu, nim jeszcze zapłonęły światła. Wierzchołki drzew parkowych połyskiwały miedzianym blaskiem zachodniego nieba.

Paweł zaczął się rozglądać, aby ujrzeć tę, którą pieścił już w swojej wyobraźni, lecz wśród przechodzących samotnie kobiet nie dostrzegł podobnej. Był w samym środku Alei Westchnień. Gdzieś z dala dochodziły ciche, przytłumione śmiechy. Park ożywiał się. Zapalały się fluoryzujące języki lamp, ukrytych wśród traw i kwiecica, iż zdawało się patrzącemu, że to drzewa, krzewy i kwiaty płoną żarem wygasłego już dnia, wśród postępującej leniwie, ciepłej, pełnej słodczy nocy. Z ukrytych głośników płynęła muzyka, cicha i sentymentalna jak miłosne szept i wyznania.

Długo kluczył tajemniczymi drózkami, prowadzącymi we wszystkich kierunkach, od Alei Westchnień aż do Gaju Palmowego, położonego na skraju parku, w pobliżu stacji reflektorów słonecznych. Przejścia między szpalerami kwiatów i krzewów ozdobnych były miejscami tak wąskie, że mijając nadchodzące z przeciwnej strony młode kobiety, o kształtnych biustach i roziskrzonych oczach, musiał się zatrzymywać. Ceremonii tej towarzyszył zwykle uśmiech zażenowania i powściągliwej ciekawości ze strony napotkanej, lecz był to najdogodniejszy moment do nawiązania rozmowy.

Tego wieczoru nie miał szczęścia, gdyż wszystkie napotkane dotąd w labiryncie miłosnych schadzek wydały mu się dalekie od poszukiwanego ideału, toteż zrezygnowawszy z przygody, skierował się do wyjścia. Nim jednak minął ostatnie szeregi klombów, usłyszał wyraźny szelest sukni. Przystanął i odwrócił się. Dojrzał w odbłyśkach fluoryzujących lamp, zawieszonych wśród płataniny liści, sylwetkę idącej w jego stronę kobiety. Szła szybko, jakby śpieszyła się na umówione spotkanie.

Była wysoka, smukła, śmiała w ruchach. Paweł zatrzymał się i czekał, aż nieznajoma się zbliży. Stał w półcieniu na zakręcie, tak że z daleka nie był widoczny. Przejście było tutaj szerokie, prowadzące do Alei Cyprysów. Gdy nieznajoma była już blisko, wyszedł jej naprzeciw. Na pierwszy rzut oka wydała mu się niezwykle powabna. Ona, ujrawszy go, zatrzymała

się, jakby zdziwiona, skąd się tu wziął. Spojrzeli na siebie badawczo. Paweł nieufnie, z właściwą mu nonszalancją, nieznamoma — z ciekawością, nie pozbawioną kokieterii. Potem uśmiechnęli się do siebie tym dziwnym uśmiechem ludzi, odgadujących się wzajemnie.

Czarująca... To właśnie ta — pomyślał Paweł. I natychmiast zagadnął:

— Przepraszam... Czy pani w stronę Alei Westchnień?

— Tak... A pan?

— Ja?... Wracam właśnie stamtąd.

— I tak samotnie? — wyraziła zdziwienie.

Wzruszył ramionami.

— Tak... Szukałem tam pani... — Złożył ukłon w jej stronę.

— Nazywam się Irena Tarska — przedstawiła się nieznamoma.

— Paweł Devenieur.

Podali sobie ręce.

— Przejdziemy się po parku? — śmiało zaproponował.

Potwierdziła skinieniem głowy. Paweł ujął ją delikatnie pod ramię, jakby znali się już od dawna. Był wzruszony, odnajdując tak niespodziewanie swoją znajomą z krainy marzeń.

Szedł obok, milczący, jakby obawiał się, że niezręcznym słowem może zniszczyć tę piękną chwilę.

— Czy lubi pan zapach orchidei? — pierwsza odezwała się Irena.

Słowa jej zabrzmiały w ciszy wieczoru jak najtkliwsza pieszczota.

— Ubóstwiam te kwiaty. Woń ich, jak oddech młodej dziewczyny, podnieca moje zmysły i pobudza wyobraźnię.

— Cha! cha! cha!... — zaśmiała się prowokująco i popatrzyła mu w twarz z widocznym zadowoleniem.

Paweł odzyskiwał już zwykłą pewność siebie. Taktowny, próbujący miłosnej gry młody mężczyzna ustępował miejsca wytwornemu uwodzicielowi.

— Chodźmy tam... — wskazał ręką w kierunku kolorowych świateł.

W niedalekiej perspektywie cyprysowych drzewek, przyciętych w stożki o łagodnym łuku, widać było obszerną dolinę palmowego gaju. Liczne fontanny tryskały w górę słupami wody, która mieniła się w świetle reflektorów wszystkimi barwami tęczy. Przyśpieszyli kroku. Paweł mocniej przycisnął ramię Ireny. Aleja Cyprysowa skończyła się i szli teraz przez niskie, gęste pergole z drzew pistacjowych i akacji. Tak niskie, że idąc, musieli schylać głowy, a zwisające liście i kwiaty bluszczu gładziły im twarze. Fluoryzujące światełka tylko gdzieś tam przebłyskiwały jak świętojańskie robaczki. Szli przed siebie, swawolnie, rozbawieni...

W pewnej chwili długi zwój bluszczu owinał się koło szyi Pawła i omotawszy go, zmusił do zatrzymania się. Irena, śmiejąc się i żartując, poczęła odwijać wolno ten niesforny zwój listowia. Jej wilgotne od rosy, ciepłe dłonie dotykały szyi Pawła, policzków i uszu, sprawiając go za każdym dotknięciem o przyjemny, krótki dreszcz. Podniecony, przyciągnął ją delikatnie do siebie. Objęła dłońmi jego szyję i przylgnęła rozplomienionym policzkiem do jego twarzy. Czuł jej gorącą, pulsującą krew. Nie wiedział, kiedy usta jego przywarły do jej ust.

Wyrwała mu się gwałtownie.

— Pan jest... drapieżny — skarciła go ostro.

— Ireno... jesteś fenomenalna!... — szeptał podniecony.

I w tej samej chwili objął ją wpół, a uniósłszy w górę, szedł przed siebie, jak baletmistrz, wykonujący przepisową figurę w duecie.

Irena zaniósła się śmiechem, zachwycona jego męską siłą i śmiałością.

Paweł, uniósłszy ją wyżej, szedł na oślep wśród płataniny liści i kwiatów, niosąc przed sobą rozkoszny ciężar. Niektóre swoją aksamitną miękkością i chłodem rosy wieczornej doty-



kały jego warg, pełnych miłosnego żaru, rozplamionych policzków i czoła, a inne wciskały mu się do ust i, zerwane, spadały unosząc z sobą krótkotrwałe zapach... Gdy skończyła się pergola, zamigotały przed nimi fale tęczowego światła. To wodotryski były niezmordowanie w czarną otchłań nieba istną orgią barw.

Irena dotknęła stopami ziemi i przetręła ręką oczy, jakby budziła się ze snu. Przyszło jej nagle do głowy, że ta noc nie miała początku i nigdy się nie skończy.

Stali przez chwilę nieruchomo, wpatrzeni w tęczowe kłębowisko. Chłodne kropelki wody, straciwszy po drodze swój świetlisty ładunek, docierały aż tu, do ich rąk i twarzy przyjemnym chłodem.

Między smukłymi sylwetkami palm poruszały się ludzkie postacie, pojedynczo i parami.

— Oto pielgrzymi z Alei Westchnień — powiedział wesołym tonem, Paweł, ściskając dłoń Ireny.

— Wszyscy przychodzą tutaj, do światła... I ci, których miłość dotknęła swoim skrzydłem jak nas, Pawle, i tamci, którym łatwiej tu marzyć i lżej tęsknić tej nocy wspaniałej...

Zamilkła wyraźnie wzruszona.

— Ireno... chodźmy tam, między tęczowe koła. Niech ogarną nas te światła, wykwitające jak najcudowniejsze kwiaty nocy...

— Chodźmy, Pawle... Miłości, jakiej nie doznał jeszcze żaden człowiek na świecie... Takiej miłości pragnę...

Paweł poczuł przyjemne ciepło jej miękkiej dłoni, zaciskającej się wokół jego ręki. Oparła mu głowę na ramieniu i mówiła namiętnym, urywanym szeptem, utkwivszy oczy w świetlistej dali:

— Pawle!... jak piękne jest życie! Czasem ogarnia mnie fala tak przeogromnej radości, że nie mogę pomieścić jej w sobie. Wtedy tańczę, śpiewam i skaczę jak mała dziewczynka. Jestem wtedy szalona i robię głupstwa... — urwała, bo zabrakło jej tchu.

Fala delikatnych wzruszeń i słodkich nadziei ogarnęła ich oboje. W milczeniu, pełni tajemnych przeczuć, schodzili wolno w dolinę, między palmy i tęcze...

## Rozdział XV

Paweł do wczoraj nie wierzył w miłość, toteż ilekroć która z jego kochanek stawała się zbyt natrętna, uciekał od niej i żadna dotąd nie potrafiła przykuć go do siebie na dłużej. Nawet Ena, która była cieniem jego nocy i dni.

Ale Irena wniosła w jego życie jakby świeży powiew, ożywczy prąd, który zaczął burzyć dawne proporcje i układy, które uważał dotąd za niewzruszone. Postanowił nawet zerwać na zawsze z Eną, aby nie przeszkadzała mu w budowie nowego świata, który się rodził w jego wyobraźni. W tym nowym świecie widział siebie z Ireną, złączonego węzłem wielkiej miłości, innej niż tamte wszystkie. Imię jej, jak jutrzienka, miało zwiastować jasność tego nowego dnia, który nadchodził. I dziwne... Zaczął wierzyć w trwałość owego szczęścia, które miał otrzymać z rąk Ireny. Oddychał już powietrzem tego przyszłego szczęścia i nie mógł doczekać się wieczoru, który mieli spędzić razem.

Całe popołudnie przebywał w domu, licząc godziny i minuty. Enę uprzedził w biurze, że wyjeżdża do Paryża i wróci dopiero następnego dnia. Uśmiechnęła się z odcieniem rezygnacji. Wiedziała, że znaczyło to dla niej: nie przychodź do mnie, bo będę zajęty inną kobietą. Paweł strzegł przed nią zazdrośnie spraw, które się rozgrywały lub które miały nadejść, nato-

miast ze swobodą i beztroską wtajemniczał ją w bieg rzeczy już dokonanych, choćby świeżych jeszcze, lecz nie mających się powtórzyć.

Wypełniony myślami o Irenie, zjechał do podziemnego miasta i czekał o umówionej godzinie w Biurze Zakochanych.

Zjawiła się punktualnie, świeża i powabna. Zajęli stolik w głębokiej niszy pod ścianą, prawie niewidoczni dla otoczenia. Stłumiony gwar rozmów i dźwięki cichej muzyki mieszały się z sobą, potęgując się lub zanikając na przemian.

Paweł ujął dłoń Ireny i pieszcząc delikatnie jej palce, patrzył na jej roześmiane usta i zaróżowione policzki.

— Tęskniłeś? — zapytała cicho, przysuwając twarz do jego twarzy.

— Bardzo...

— Tak się cieszę, że jesteśmy znowu razem. Wyobraź sobie, że nie mogłam zasnąć tej nocy. Myślałam o tobie, Pawle.

Podziękował jej wymownym spojrzeniem. I nie wypuszczając jej dłoni z lewej ręki, prawą wcisnął kwadratowy żeton do otworu w płycie stolika, skąd za chwilę automat wyrzucił pękata butelkę coctailu i dwa kieliszki z grubego, kolorowego szkła. Paweł napełnił je drżącą ręką.

— Za naszą miłość, Ireno...

— Za naszą... — powtórzyła, podnosząc kielich. Wargi ich dotknęły lekko musującego płynu, a oczy spotkały się w miłosnym spojrzeniu. Paweł spoglądał z lubością na szlachetny owal jej twarzy, na jej ciało, smagłe i prężne.

Naraz drgnął, a wzrok jego znieruchomiał. Spod pionowej, wąskiej fałdy, tuż prawie pod jej smukłą szyją, wysunął się miniaturowy wisiorek, który zatrzymał mu oddech w piersiach. Czuł, że na jego twarzy pojawiają się zimne krople potu.

Irena, zauważywszy błądność jego oblicza, szepnęła zatrwożona:

— Pawle, co ci się stało? — Chwyciła go za rękę i ścisnęła kurczowo.

Paweł trwał przez chwilę bez ruchu, jak człowiek, którego chwycił nagły, nieoczekiwany ból...

— Ach... to nic... — powiedział po dłuższej chwili, odwracając oczy — dostałem naglego skurczu serca.

— Niedobry... dlaczego się nie leczysz? Zaraz jutro pójdziemy do doktora Ramina. Zamówię dla ciebie nowe serce i sama będę asystowała przy operacji.

— Dziękuję ci — wykrztusił, odzyskując utraconą chwilowo równowagę. — To zdarza mi się bardzo rzadko. Myślę, że moje serce wytrzyma jeszcze niejedną miłość... — Gorzki uśmiech wykrzywił mu twarz.

— Żartujesz, Pawle... Ale dobrze, że wraca ci humor. Napijemy się jeszcze coctailu.

Nalał złocistego płynu. Pili. Paweł przemógł się, odzyskując pozorny spokój, ale w umyśle jego powstał nieoczekiwany plan. Maleńka, niebieska różyczka raz po raz wychylała się niedyskretnie spod fałdy sukni, ukazując filigranowe płatki.

Szykujesz się do miłosnego lotu, królewno — pomyślał. — Tak nakazuje ci regulamin twego klubu „Błękitnej Róży”. Pokażę ja ci godowy lot, jakiego w życiu nie zaznałeś, ale od lotu tego opalą się twoje skrzydełka...

Paweł hamował dławiając go nagle falę gniewu i oburzenia. Pił coctail, śmiał się beztrosko i spoglądał coraz namiętniej w jej duże, roześmiane oczy, w których dostrzegał już pierwsze błyski zmysłowego żaru. Był znowu ten sam: swobodny, wesoły urzekający...

Tańczyli. Muzyka o mocnym, falującym rytmie i cieplej, tęsknej melodii rozgrzewała jak stare wino. Paweł wiedział, że nic tak nie zbliża do kobiety jak muzyka i taniec. Tańcząc, czytał w sercu swej partnerki jak w otwartej księdze. Każde spojrzenie, każdy jej ruch mówiły mu o tym, o czym usta najczęściej milczały. W tańcu zniknął wszelki oficjalny dystans, dając miejsce nieoficjalnej poufności, stwarzając ciche i tajne porozumienie. Dla Pawła taniec był

czymś więcej niż tylko uwerturą miłosnych rozkoszy. Był rozkoszą samą w sobie, nie znającą odpowiednika. Był jednym z owych wtajemniczeń, jak w misteriach eleuzyjskich.

Przystanęli na chwilę, pozwalając się wymijać tańczącym parom. Świejące powietrze przechodziło z odcieni jasnoróżowych szeroką gamą kolorów aż do mrocznego błękitu. Wtedy muzyka cichła niemal zupełnie, tak że słyhać było poruszenia roztańczonych nóg albo czyjeś głębokie, stłumione westchnienie.

Irena przyciągnęła Pawła do stolika. Usiedli i napili się orzeźwiającego płynu. Uśmiechając się zalotnie, otworzyła szeroko oczy, jakby chciała przykuć jego uwagę. Dotknęła pieśczośliwie ręki Pawła i patrząc na niego z iskrą egzaltacji w oczach powiedziała nieśmiałym szeptem:

— Kocham cię, Pawle... Kocham, jak nikogo dotąd na świecie.

Twarz jej promieniała radosnym podnieceniem.

— Kochasz?... — zapytał trochę zagadkowym, jakby zdziwionym tonem. I szukając wzrokiem ukrytej za fałdą jej sukni maleńkiej, niebieskiej róży, nie mógł powstrzymać się od ironicznego uśmiechu. W oczach Ireny odmalował się niepokój.

— Pawle, czyżbyś wątpił w szczerość moich słów?

Patrzyła mu prosto w oczy, wstrzymując oddech. Ale on nie dosłyszał jej ostatnich słów. Porwała je rytmiczna melodia. Paweł wstał, by poprosić ją do tańca, który uniósł ich znowu w zaczarowany krąg miłosnych szeptów i wzruszeń.

— Ireno... powiedziałaś, że mnie kochasz. Czy tak?

— Tak powiedziałam — odrzekła bez wahania. — I powiem tysiąc razy, gdy zechcesz: kocham...

Muzyka przeszła w wartkie crescendo, a tempo stało się żywsze. W pewnej chwili usłyszała stłumiony szept Pawła:

— Jeśli kochasz, daj dowód swej miłości.

— Jakiego chcesz dowodu, najdroższy?

Ścisnęła niecierpliwie jego ramię, a w oczach jej zapalił się radosny błysk.

Paweł spoglądał na jej usta, rozchylone i wilgotne... Był oszołomiony. W głowie miał zamęt i nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Wspaniale gra — pomyślał. — Genialnie... Lecz dlaczego kłamię?

— Powiedz, co mam zrobić, abyś uwierzył w moją miłość, Pawle? — ponowiła pytanie.

Muzyka cichła i za chwilę skończyli taniec. Paweł patrzył na Irenę przez chwilę i wahał się. Nie chciał jednak dłużej ukrywać swych obaw. Dotknął miękko jej dłoni, spoczywającej swobodnie na kryształowej płycie stolika i spojrzawszy jej prosto w oczy, powiedział tonem wyrzutu i żalu zarazem:

— Oddaj mi swoją błękitną różę, Ireno.

Cofnęła się, jakby zatkało jej oddech. Czuł, jak nagły dreszcz przebiegł jej ciało. Przez chwilę jakby zawahała się, strojąc poważną minę, po czym śmiejąc się figlarnie jak dziecko, gdy uda mu się żart, odrzekła rozbawiona:

— Ach, Pawle!... więc to tu tkwi źródło twej nieufności do mnie. Teraz rozumiem. — I roześmiała się z wyraźną ulgą.

Był zaskoczony jej nieoczekiwanym wybuchem śmiechu. Patrzyła na niego wyzywająco kącikiem swoich rozbawionych oczu, manipulując coś przy sukni pod szyją. Nie przestając się uśmiechać, odpięła miniaturową błyszczącą różę i podsuwając mu na otwartej dłoni pod samą brodę, powiedziała triumfująco:

— Masz, Pawle, weź... i niech nas już nic nie dzieli.

Ujął delikatnie między palce filigranowy kwiatusek i długo się weń wpatrywał, po czym z pietyzmem, ruchem powolnym i z przesadną powagą, położył go na metalowym talerzyku, służącym do zapalania papierosów i nacisnąwszy widoczny z boku kontakt, patrzył z nieukrywaniem zadowoleniem, jak martwy kwiatek, tryskając w górę fioletowym płomykiem,

zamienił się w jednej sekundzie w piramidkę szarego popiołu. Patrzyli jeszcze przez chwilę oboje na spopielały kształt kwiatu. Potem Irena dmuchnęła leciutko, składając usta jak do pocałunku i wszystko rozwiało się niby dalekie wspomnienie.

— No... i już po wszystkim. Czy to nie zabawne, Pawle?

Ta scena z „Błękitną Różą”, choć miała w sobie tyle przekonującej prostoty, wydała mu się zbyt patetyczna i nie pozbawiona aktorskiego gesty. Otrząsnął się jednak z resztek wątpliwości, mówiąc:

— Tak... Czasem nam się zdaje, że to wielka rzecz, że bez tego nie potrafimy żyć. A to już tylko... popiół.

A Irena, jakby nie słysząc jego filozoficznej refleksji, kończyła swoją myśl:

— Pawle! jestem szczęśliwa, że tamto... już nie istnieje dla mnie. Od wczoraj, od dziś mierzę czas swoją miłością do ciebie, kochany...

Podziękował jej jasnym, niezmaconym uśmiechem. Opuścili lokal. Czas jakiś jeździli bez celu uliczkami podziemnego miasta, przeżywając po raz wtóry narodziny swojej miłości. Paweł był szczerze uradowany, że sprawy przybrały taki obrót. Radość jego była tym większa, że przez chwilę pogrzebał był ją w swoich uczuciach, a teraz jakby na nowo odzyskał.

A jednak jest inna, niż tamte wszystkie — pomyślał. Kocham ją...

Irena, wyczuwając swoim kobiecym instynktem jego nastrój, przysunęła się bliżej i Paweł czuł na swojej twarzy ciepło jej oddechu. Odruchowo objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

— Inuś... chciałem wyznać ci to, czego nie powiedziałem dotąd żadnej kobiecie...

— Mów, najdroższy.

— Kocham cię...

Osunęła mu głowę na piersi i tak trwała w bezruchu przez czas jakiś. Ruchoma taśma zatrzymała się. Ktoś wysiadł przechodząc obok nich. Lecz oni nie widzieli nikogo, zapatrzeni we własne szczęście.

— Pawle.

— Co, Inuś?

— Wsiądźmy już... Chcę być dziś z tobą. — Głos jej przechodził w ciepły, namiętny szept. Spojrzała mu zalotnie w oczy i znowu przyłgnęła do niego ruchem pełnym oddania. Przez ciało Pawła przebiegł leciutki dreszcz. Płynęli jeszcze czas jakiś wśród kolorowych świateł nie kończących się ulic. Kiedy wysiedli, Irena zawołała z uczuciem nie tajonej radości:

— A oto już i moja dzielnica!

Pierwsza wstąpiła na alabastrowy chodnik, prowadzący do jasnych korytarzy. Paweł podążył za nią. Za chwilę znaleźli się we wnętrzu wykwintnie urządzonego buduaru, oświetlonego łagodnym, seledynowym światłem.

— Pawle, zdejm płaszcz i rozgość się, proszę. Ja się tylko przebiorę...

Chciał coś odpowiedzieć, ale zamknęła mu usta płomiennym pocałunkiem i zniknęła za aksamitną kotarą.

Paweł usiadł i zapaliwszy papierosa, otoczył się smugami wonnego dymu. Próbował myśleć o czymś, co nie było nią, lecz nie potrafił. Niedługo czekał. Ciężka zasłona, zwisająca falisto przy wejściu do sąsiedniego pokoju, rozchyliła się bezszelestnie, a na jej ciemnym tle, jak meteor na nieboskłonie nocy, ukazała się Irena w jasnej, niemal przezroczystej sukni, pod którą rysowała się wyraźnie, prawie dotykalnie, prężna sylwetka jej wspaniałego, młodego ciała. Włosy, zaczesane w diadem, miały kolor miedziany, płomienisty. Oczy patrzyły śmiało, prowokująco, choć z oblicza jej biła słodycz i jakby wyczekująca bierność.

Paweł powstał i jak zahipnotyzowany chłonał zmysłowe piękno płynące od niej, nie mogąc wypowiedzieć słowa.

— Pawle... czy podobam ci się w tej sukni? — zapytała wahająco, opuszczając powieki.

Podszedł do niej, objął dłońmi jej głowę i trwał tak w olśnieniu czas jakiś. A potem, całując na przemian jej usta i oczy, powtarzał na pół przytomnie:

— Inuś... ukochana moja... najdroższa... będziesz moją na zawsze... na zawsze...

## Rozdział XVI

W piętnastym dniu, licząc od chwili wylądowania ekspedycji „M” na Ziemi Wiktorii i biorąc pod uwagę średni czas ziemski, model globusa magnetycznego był gotów ze wszystkimi szczegółami. Było to niewątpliwą zasługą Marka Fantoma oraz jego najbliższych współpracowników, szczególnie zaś Relskiego, który pracował bez wytchnienia, odrywając się jedynie na krótki czas, dla spożycia smacznego posiłku.

Marek Fantom spędzał również wiele godzin w podziemnych halach, gdzie mieściły się potężne generatory atomowe stacji magnetycznej, udzielając wskazówek inżynierom i technikom przy ich montowaniu.

Olbrzymie torpedostratusy przewoziły niezmordowanie coraz to nowe maszyny i urządzenia, potrzebne do zmontowania stacji, aby skończyć jej budowę jeszcze przed nastaniem nocy podbiegunowej, zgodnie z życzeniem Najwyższej Rady Geniuszy.

Tymczasem torpedostratus M 51, przeznaczony wyłącznie do dyspozycji Fantoma, przywiózł nowy transport ciekawych aparatów pokaznych rozmiarów. Uwagę przykuwały długie na kilka metrów rury z białego metalu, cienkie u nasady i rozszerzające się gwałtownie w kierunku wylotu, przypominające kształtem gigantyczne fanfary.

Wszystkie owe tajemnicze maszyny wylądowano w stanie rozmontowanym, częściowo w metalowych skrzyniach, i umieszczono w prawym skrzydle budynku zajmowanym przez ekspedycję „M”. Nikt nie miał tam prawa wstępu prócz Fantoma i kilku jego zaufanych ludzi U S.

Co to były za aparaty, do czego miary służyć, o tym nikt nie wiedział. Nikt też nie śmiał o nic pytać, a Kryniecki uśmiechał się tylko z oschłą ironią, gdy mówił do Relskiego:

— Zobacz pan, panie kolego, jakie niespodzianki czekają jeszcze niespokojnych mieszkańców Globu, zanim ujrzą światło Nowego Słońca...

— Przypuszcza pan, że coś bardzo przykrego?

— Przykrego?... Cha! cha! Dobrze sobie... Będzie to uczucie człowieka, obserwującego ze szczytu wulkanu zachód słońca, gdy nagle usłyszysz podziemne grzmoty, zwiastujące wylew ognistej lawy.

— Taki wulkan nie jest straszny w naszej epoce. Wszak można ugasić jego wewnętrzny żar jedną miną wodorową — zareplikował Relski.

Kryniecki zasępił się. Po chwili odparł:

— Nie widzę powodu do wesołości, panie kolego...

— A ja nie widzę podstawy do skrajnego pesymizmu. Mam pełne zaufanie do Marka Fantoma, choć prawdę mówiąc, lękam się go czasem. Jest tajemniczy i bezwzględny.

— Tak. Dla niego istnieją tylko ludzie U S. Im wierzy i ufa, a na nas zaczyna patrzeć wilkiem. Denerwuje mnie ten ich gromadny, służalczy hołd dla jego osoby, ta ich idolatria. Przyznam się koledze, że to mnie właśnie najwięcej niepokoi i intryguje. Te bierne masy robotów widzą w nim nowego Allacha, proroka nowych czasów, a on gotów uwierzyć, że jest nim naprawdę, jak wierzyli w to dyktatorzy waszej epoki. I co wtedy?

Pytanie Krynieckiego zawisło w próżni. Relski milczał.

— No i co wtedy, pytam. Co wtedy? — denerwował się Kryniecki.

— Ludzie U S nie są groźni ani niebezpieczni — powiedział po chwili wahania Jerzy. — W ich usposobieniu przeważa negacja życia. Te ich masowe samobójstwa na tle tak zwanej histeriozy powrotnej czynią z nich ludzi naprawdę nieszczęśliwych. Zresztą... epoka dyktatorów i tyranów w rodzaju Hitlera minęła bezpowrotnie...

— Tak kolega sądzi? Ja jestem innego zdania. W tym wszystkim jest jakaś diabelska logika, jakieś sprzysiężenie przeciw światu i cywilizacji ludzi U N. To jawne, demonstracyjne kokietowanie przez Fantoma robotów U S ma swój głęboki sens, na dnie którego leży... nienawiść. Tak, panie kolego, to jest nienawiść do gatunku U N. Ci ludzie nas nienawidzą!

— Ale za co?

— Za to — odpowiedział z akcentem pewności w głosie Kryniecki — że daliśmy im życie, a nie daliśmy szczęścia.

— Szczęście trzeba zdobywać samemu. Ale przedtem trzeba wytworzyć w sobie ideał takiego szczęścia.

— Żeby to zrobić, trzeba mieć wyobraźnię, a oni jej nie posiadają. Dlatego ci ludzie są nieszczęśliwi, a nieszczęśliwi potrafią tylko nienawidzić.

— Czy nienawiść ta jest nieuleczalna?

Kryniecki zawahał się.

— Podobno tak... Uczeni z Norbant nie posiadają żadnego remedium. Elektrobiochemia nie może odkryć jej źródła. Moim zdaniem, leży ono w niewłaściwych proporcjach pewnych wydzielin hormonalnych oraz w odchyleniach przy budowie substancji białkowych, z których, jak z żywych cegiełek, składają się nasze tkanki. Również osocze krwi ma u nich nieco inny skład niż u ludzi urodzonych naturalnie. Trochę inaczej wiążą się atomy węgla, wodoru i azotu w ich białkach oraz solach hormonalnych i tu leży źródło ich tragedii.

— Dlaczego więc w dalszym ciągu robi się te dziwaczne eksperymenty i powiększa miliony nieszczęśliwych?

— Właśnie o to samo chciałem zapytać kolegę — podchwycił zręcznie Kryniecki, uśmiechając się z satysfakcją.

— Może dlatego, że nauka lubi eksperymenty i nie potrafi z nich zrezygnować, by nie zahamować postępu cywilizacji...

— Cóż to za postęp, gdy ludzie ci przeklinają swoich twórców!

Potrąfili godzinami prowadzić ożywioną dyskusję na podobne tematy, o ile im nikt nie przeszkadzał. Tak się jednak zawsze składało, że w najmniej oczekiwanym momencie zjawiał się profesor Aksimow. Jego przybycie kładło kres najbardziej ożywionej dyspacie, gdyż Kryniecki odczuwał niewytłumaczoną niechęć do osoby powszechnie cenionego badacza flory marsjańskiej, a wszelkie jego projekty i osiągnięte już sukcesy, w pokryciu szatą roślinną nagich terenów Antarktydy, przyjmował z nie tajonym lekceważeniem albo wprost z drwiną. Ta niewytłumaczona animozja stale wzrastała i zaczęła niepokoić Relskiego. Kiedyś zapytał wręcz:

— Dlaczego pan nienawidzi Aksimowa?

Kryniecki wzdrygnął się.

— My tu jesteśmy niepotrzebni, panie kolego. Niepotrzebni! Słyszysz pan? Fantom otacza się ludźmi U S. Takimi jak profesor Aksimow i jemu podobni. Żywe, chodzące mumie!

— Profesor Aksimow jest genialny — odpowiedział Relski z oburzeniem w głosie. — Tworzy nowy świat roślin, nieznanych i wspaniałych, na tym pustkowiu i nie zraża się trudnościami. Dzięki jego zabiegom, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ziemia ta, bezduszna i martwa, pokryje się różnobarwnym kwieciami i będzie pachniała miodem.

— Tere-fere... Lekka przesada, panie kolego. Nie jego to zasługa, że życie zakwitnie tutaj, na tym wymarłym pustkowiu. On jest tylko maszyną, która umie myśleć. Wiedza i mądrość zrodziły się w mózgach ludzi U N. Oni odkryli prawa, rządzące życiem, stworzyli teorie i gotowe formułki, pewne i niezawodne jak działanie matematyczne. Tacy jak profesor

Aksimow wykonują tylko mnożenie i dzielenie, dodawanie i odejmowanie, według znanych powszechnie reguł. To są automaty...

W tej chwili ktoś zapukał cicho i do pokoju wsunął się Aksimow, zażenowany trochę i nieśmiały jak zwykle. Ale twarz miał rozpromienioną radością, a oczy biegały żywo, wyrażając wielkie podniecenie. W lewej ręce trzymał duży, żółty kwiat o podłużnych, misternych, pastelowo-delikatnych płatkach. Jerzy spojrział na niego z przyjaznym zaciekawieniem, zaś Kryniecki wykrzywił z niesmakiem usta, jakby się napił octu. Aksimow zatrzymał się na środku pokoju niezdecydowanie i kręcąc w palcach na wysokości swojej głowy cienką łodyżkę świeżo zerwanego kwiatu, wykrzyknął triumfująco:

— Eureka! Mam już, znalazłem właściwą odmianę kwiatu do pierwszego parku na Biegunie Południowym. Oto on! Nazywa się Polaris Imperator! — mówiąc to wznosił w górę mały, niepozorny kwiatusek, z miną marszałka, salutującego buławą defilującą przed nim armię.

Relski podszedł do profesora i z żywym zainteresowaniem zaczął oglądać delikatny kwiat o jasnożółtej, zwisającej koronie, a Kryniecki parsknął śmiechem. Aksimow spojrział na niego wzrokiem wyrażającym zdziwienie i zapytał nieśmiało:

— Przepraszam... może ja panom przeszkadzam?

— Ależ skąd, profesorze — pośpieszył z odpowiedzią Relski. — Jesteśmy zawsze radzi pana widzieć.

— Bo myślałem... hm... Pan Kryniecki nie interesuje się florą Antarktydy?

— Owszem, interesuje się... Tylko mój przyjaciel jest w wyjątkowo dobrym humorze i bierze wszystko na wesoło. Uważa, że śmiech jest ozdobą życia.

— To dobrze, jak można się dużo śmiać. Ja nie potrafię...

— O, piękny ten pański Polaris Imperator!

Jerzy wziął kwiat z ręki Aksimowa i delektował się nim, dotykając nozdrzami delikatnych płatków.

— Tylko — zauważył po chwili z pewną troską — czy on wytrzyma lodowaty podmuch wichru z tamtej strony Bieguna, profesorze?

— He! he! he! Czy wytrzyma, pyta pan, panie Relski? Nawet przeżyje długą, sześciomiesięczną noc podbiegunową. Zapewniam pana... Jest odporny na mróz, nawet do dwudziestu stopni niżej zera. Uodporniłem go szczepami widłaków z Marsa, które wytrzymują temperaturę minus osiemdziesiąt stopni Celsjusza.

— A kiedy profesor ogłosi otwarcie parku przy stacji magnetycznej? — zapytał Kryniecki pojednawczo.

— O, już niedługo. Za jakieś cztery tygodnie. Chciałbym, ażeby na otwarcie zakwitły te oto polarisy i białe astry. Marek Fantom bardzo się ucieszy, bo on kocha kwiaty i przepada za nimi.

— Czyżby? — zdziwił się Kryniecki. — Marek Fantom i kwiaty... Któż by przypuszczał? No, no. Ten człowiek o stalowym, zimnym jak gład spojrzeniu, który chce wyważyć i orbity i podrzucić do Słońca jak piłkę naszą pocziwą, starą Ziemię, kocha kwiaty... Cha! cha! cha! Kapitalne, co, panie kolego?

— Cóż w tym dziwnego? — rzucił z przekonaniem Relski. — Wielkie umysły i serca pełne są zwykle najbardziej sprzecznych z sobą myśli i uczuć, a nawet pragnień.

— Jeśli w tym leży ich wielkość, to mogę nazwać się szczęśliwym, panie kolego, że nie zaliczam się nawet do ich satelitów...

Tu spojrział znacząco w stronę Aksimowa.

Relskiego zaczął oburzać ironiczno-pogardliwy ton, z jakim Kryniecki odnosił się do znakomitego genetyka i astrobotanika. Odpowiedział jednak spokojnie i z opanowaniem:

— No... nie tylko w tym. Te sprzeczności i konflikty, to raczej ich wewnętrzna sprawa. Może dzięki nim właśnie rodzą się nowe, twórcze myśli w tyglu ich genialnej wyobraźni.

Dyskurs przerwał profesor Aksimow:

— Pozwolą panowie na małą dygresję...

— Ależ prosimy — podchwycił skwapliwie Jerzy, spoglądając z sympatią na profesora. Aksimow chrząknął kilka razy przez nos i zdjąwszy okulary, zaczął je przecierać chusteczką, nie przestając pomrukiwać:

— Hm... hm... moi panowie, z geniuszami to niełatwa sprawa... hm... — był wyraźnie zakłopotany i nie wiedział, od czego zacząć. — O... choćby mój przyjaciel, Marek Fantom...

Wyczekał chwilę, spoglądając niepewnym wzrokiem w stronę Krynieckiego. Ale ten usiadł sobie wygodnie w fotelu i z miną najbardziej obojętną zapalił papierosa.

— Chciałem powiedzieć — zaczął po chwili — że Marek Fantom to jedyny chyba człowiek na Globie, który zrozumiał niedolę człowieka U S...

Kryniecki przywołał na twarzy grymas lekkiej ironii, a Jerzy wzrokiem zachęcał profesora do mówienia.

— Ale wielkość jego nie kończy się na tym tylko. Nikt tak jak on nie przeniknął tajników budowy materii i nie objął z taką jasnością i głębią potężnych światów aż do kresu Galaktyki, tam gdzie rodzą się i umierają gwiazdy. Dzięki jego wysiłkom ludzkość poznała niezmiennie prawa, rządzące światem i materią...

Kryniecki nie wytrzymał dłużej i zniecierpliwiony wtrącił:

— Przesada, profesorze. Fanfaronada!... Przypisuje pan zasługi jednemu człowiekowi, gdy tymczasem miliony ludzi pracowały nad tym, ryzykując nieraz życie, by wydrzeć jakąś nową tajemnicę naturze, jakieś nowe prawo. Bez ich wkładu do dzieła postępu nie osiągnęlibyśmy takiej wyżyny naszej cywilizacji, jaka jest udziałem obecnego pokolenia.

Aksimow przerwał z wyrazem zniecierpliwienia na swojej ascetycznej twarzy:

— Bez wątpienia, panie Kryniecki, bez wątpienia... hm., ale widzi pan, Fantom to zupełnie inna sprawa...

Kryniecki zaprzeczył gestem, śmiejąc się nie bez cienia chępliwości w głosie...

— Eee, profesorze... Używa pan nieco przestarzałej argumentacji. Obecnie...

— Panie Kryniecki — wtrącił niespodziewanie Jerzy — dajmy spokój sporom, niech profesor Aksimow powie, co myśli o jednym z największych ludzi naszej Atomowej Ery.

Kryniecki zamilkł, urażony w swojej dumie, agrobiolog zaś mówił dalej, choć chwilami głos przysychał mu w gardle:

— Marek Fantom, to człowiek o niezwykle lotnym i giętkim umyśle, symbolizujący najlepiej naszą tak pełną naukowego realizmu, a nie pozbawioną poetyckiego lotu epokę. To prawdziwy geniusz syntezy — ostatnie zdanie podkreślił gestykulacją, unosząc do góry prawą rękę, lewą zdejmując okulary, zaciśnięte na wgłębieniu kości nosowej. I nie zrażony milczeniem obydwu przyjaciół, zaczął wywodzić: — Bo kto tak jak on potrafił powiązać te wszystkie ogniwa poszczególnych odkryć w jeden wielki łańcuch i opasać nim Ziemię wokoło, by ją dźwignąć z odwiecznego szlaku do Słońca? Obdarzony genialną intuicją, przeczuwa nieznane jeszcze prawa natury i odkrywa je niespodziewanie, jakby obdarzony był jakimś kosmicznym węchem.

Kryniecki zaśmiał się swobodnie i zapytał nie bez złośliwości:

— A co będzie, kochany profesorze, jeśli Parlament Świata i Najwyższa Rada Geniuszy nie zgodzą się na eksperyment wyważenia naszej prababki Ziemi ze starej orbity? Co wówczas uczyni pański „geniusz syntezy”, obdarzony „kosmicznym węchem”?

Kryniecki powstał i zbliżywszy się do Aksimowa, zaśmiał mu się prosto w twarz. Agrobiolog skrzywił się i zamilkł. W sukurs przyszedł mu Relski:

— Przypuszczam, że będzie powszechny plebiscyt w tak ważnej sprawie. Przecież to w równym stopniu dotyczy wszystkich mieszkańców Globu.

— Nie będzie plebiscytu — zaopiniował z akcentem pewności w głosie Aksimow.

— A dlaczego? Czy wolno zapytać? — Kryniecki przybrał poważny ton.



— Dlatego że Fantom w swoich obliczeniach jest nieomylny. Potrafił przekonać o tym Radę, która skłania się do zaaprobowania projektu bez zastrzeżeń. Otrzymała już placet Parlamentu Świata i w jej rękach spoczywa los naszej planety.

— Znaczy to, że faktycznie Marek Fantom dzierży w swoich rękach losy świata?

Kryniecki zaśmiał się zjadliwie, prowokująco.

— O ile mi wiadomo — zaczął z kolei Relski — to decyzja zapadnie dopiero na posiedzeniu Najwyższej Rady.

— Bez wątplenia — potwierdził Aksimow, odzyskując pewność siebie. — Termin jest już bliski. Niecałe dwa tygodnie dzieli nas od tej wielkiej chwili.

— A kiedy Marek Fantom wykona próbę napięcia stacji magnetycznej?

— To kolega nie wie? — zdziwił się Kryniecki, zmieniając momentalnie ton ironiczno-złośliwy na taktowny i zyczliwy. — Ach, prawda... zapomniałem. Przecież była o tym mowa we wczorajszym biuletynie technicznym. Tu na Biegunie człowiek zupełnie zatracił poczucie czasu. Widocznie ten dzień i dzień. Jak to niedobrze, gdy słońce stoi w miejscu, jakby korzeniami wrosło w niebo. Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

— A mnie to wcale nie przeszkadza w prowadzeniu dziennika — zauważył Aksimow. — Co wieczór, zanim udam się na spoczynek, łączę się z Centralną Stacją na kontynencie i zapytuję, jaki dziś mamy dzień. Potem wpisuję odpowiednią datę do swego dziennika i zapisuję w kilku wierszach najważniejsze zdarzenia minionego dnia. Dnia, który nie ma nocy. A potem zasypiam...

— Szczęśliwy z pana człowiek, profesorze — westchnął Kryniecki prawie dobroduszenie. — Pozostaje mi pożegnać moich przyjaciół. Życzę „dobrej nocy”.

Wyszedł, odprowadzony niespokojnym spojrzeniem Aksimowa.

Gdy ucichły kroki za drzwiami, zapytał Jerzego wprost:

— Panie Relski... nie rozumiem, dlaczego ten pan Kryniecki tak mnie nie lubi.

— Ot, ma swoje fanaberie. W gruncie rzeczy dobry chłop, tylko pozuje na snoba.

— Może to nie snobizm, a strach, który jest chorobą ludzi U N. My, ludzie urodzeni w retortach, nie znamy tego uczucia i nie boimy się śmierci, nie znając jej istoty. Śmierć jest dla nas kolejnym etapem bytu, w którym następuje nowe przegrupowanie atomów naszego ciała według odwiecznych i niezmiennych praw natury. Czegóż więc się lękać?

— Ja także nie boję się śmierci, profesorze Aksimow. Wszak już raz umarłem i to właśnie tutaj, wśród lodów Antarktydy. Mnie tylko przeraża myśl, że znowu stracę władzę nad swoim ciałem, że stanę się bierną masą pozbawioną woli działania. — Zamilkł na chwilę, uśmiechając się melancholijnie. Zaraz jednak dodał weselszym już tonem: — Ale dlaczego poruszamy teraz tak przykry temat, profesorze?

Agrobiolog wzruszył ramionami i odpowiedział bez wahania:

— Rzeczywiście... Budujemy nowe życie, a mówimy stale o śmierci. Porozmawiajmy lepiej o sprawach aktualnych, bieżących. Na przykład, czy wiadomo panu, że Marek Fantom wyjeżdża za kilka dni na Biegun Północny, aby tam również uruchomić bliźniaczą stację magnetyczną?

— Domyślam się, że musi być przeciwwaga napięć, aby wywołać prądy magnetyczne na całym Globie.

— Oczywiście — potwierdził z zapalem w oczach profesor Aksimow — Marek Fantom chce osobiście wszystko sprawdzić, aby zdać dokładną relację z tego na posiedzeniu Najwyższej Rady Geniuszy. U nas też odbędzie się próba za kilka dni. Musimy osiągnąć napięcie sto milionów wolt, aby wzbudzić prądy magnetyczne o takiej mocy, by przyspieszyły obroty Ziemi dookoła osi. Niezależnie od głównych stacji na Biegunach istnieje już cały szereg podstacji, które będą uzupełniały i regulowały napięcia głównych stacji biegunowych. Fantom o wszystkim pomyślał, wszędzie ma swoich oddanych ludzi, którzy gotowi są za niego oddać życie.

— Są to przeważnie ludzie U S, nieprawda, profesorze? — rzucił znieczulony Relski.

Aksimow zdawał się być zaskoczony tym pytaniem. Zdjął okulary i przymrużywszy swoje małe, rozbiegane oczy, przypatrywał mu się przez chwilę badawczo, wycierając pieczołowicie chusteczką szkła. Gdy je włożył z powrotem, usta jego wykrzywił nerwowy grymas, który na jego podłużnej, chudej twarzy mógł oznaczać równie dobrze uśmiech jak i ból.

— No... niezupełnie, mój przyjacielu... Taki na przykład Etkins, Szwed. Kieruje budową Stacji Arktycznej i obecnie tam się znajduje. Jest jednym z najlepszych fizyków atomowych i cieszy się całkowitym zaufaniem Fantoma. To on właśnie, według pomysłu Marka, skonstruował generatory uranowe, które zamieniają energię rozbitych atomów na prąd wysokiego napięcia.

— To rzeczywiście genialne, profesorze Aksimow, te generatory uranowe.

— W samej rzeczy. Bez nich nie moglibyśmy marzyć o wybudowaniu elektrowni podziemnej o takim napięciu i cały eksperyment przesunięcia Ziemi na nową orbitę pozostałby tylko, jak dotąd, marzeniem poetów.

— Profesorze... — Jerzy zawahał się. — Profesorze... proszę mi wybaczyć, że będę niedyskretny, ale chciałbym o coś zapytać...

— Proszę, mów pan śmiało — zachęcał Aksimow.

— Czy pan wierzy, że eksperyment się uda?

Agrobiolog oniemiał na chwilę, jakby zamienił się w słup soli. Potem twarz mu się zmieniła i patrzył na Jerzego wzrokiem pełnym zdziwienia i zawodu.

— Ja?... Ja miałbym nie wierzyć, gdy Marek Fantom... Panie Relski...

— Przepraszam... chciałem tylko zapytać.

— A pan? Pan nie wierzy, prawda?

Jerzy czuł spojrzenie jego małych, świdrujących oczu jak ukłucia igieł.

— Wierzę. Tylko czasem ogarnia mnie dziwny niepokój, jakiś nieokreślony lęk, który zaciska mi krtań.

Aksimow spojrzał nań z politowaniem.

— Zapewniam pana, że nie jest to strach, profesorze...

— Więc czego pan się obawia? — zapytał chłodno, jakby ze wzgardą.

— Właśnie, że nie wiem... To przychodzi samo z siebie, nieoczekiwanie...

— Jest pan wyczerpany nerwowo. Klimat podbiegunowy nie służy panu. Niech pan wraca do Europy, do swojej Pierwszej Strefy Klimatycznej.

— O, nie! Nie wrócę. Będę tu do końca, cokolwiek się stanie. Ja tu jestem potrzebny. Marek Fantom to jednak niezwykły człowiek. Nie potrafię mu się oprzeć...

— Tak? To niech pan zostanie!

Twarz Aksimowa rozpozodziła się. Próbował się uśmiechnąć. Stał chwilę bez słowa, a potem raptownie wyciągnął rękę i uściśnął dłoń Jerzego.

— Dobranoc!

Wyszedł. Relski czuł się zmęczony i zaraz położył się do łóżka. Długo nie mógł zasnąć, choć przy zasłoniętych storach w pokoju panowała zupełna ciemność.

Aksimow zaś, gdy wrócił do swego pokoju, znajdującego się w przeciwległym skrzydle budynku, zapisał w swoim dzienniku następujące słowa: „Moja teza, że ludzie U N boją się Nowego Światła życia przez zbliżenie Ziemi do Słońca potwierdza się. Nawet Jerzy Relski, którego uważałem za człowieka o mocnym charakterze, choć urodzonego w epoce największego barbarzyństwa, ma chwilę zwątpienia i lęku. Oni wszyscy się boją, ci ludzie U N, którym się zdaje, że są panami świata i dlatego godni są współczucia. Biedne, okaleczone istoty, ciągnące ze sobą, niby krwawe brzemie, widmo własnej, nadciągającej śmierci...”

## Rozdział XVII

Tak jak to przepowiadał profesor Aksimow, Marek Fantom zapowiedział próbne uruchomienie potężnych generatorów elektronowych Stacji Magnetycznej „B” (Stacja Magnetyczna „A” znajdowała się na Biegunie Północnym). Świadcami tego doniosłego wydarzenia mieli być wszyscy członkowie ekspedycji „M”, atomolodzy, magnetolodzy, inżynierowie i technicy pracujący przy budowie podziemnego miasta-giganta oraz zaproszeni goście z wielu instytucji naukowych całego Globu, w tym kilku delegatów z Instytutu Wiedzy w Norbant, przedstawiciele Najwyższej Rady Geniuszy, a także deputowani z Parlamentu Świata.

Spodziewano się przyjazdu około tysiąca osób i byłby nie lada kłopot z zakwaterowaniem tylu ludzi, gdyby nie przewidujący wszystko Fantom. Na jego zlecenie sprowadzono z Europy kilka tysięcy domków z lekkiej masy galenowej, podwyższono temperaturę powietrza o kilka stopni przez uruchomienie nowych stacji ciepłych wiatrów, które jednocześnie nagrzewały surową glebę, specjalnie spreparowaną, by przygotować ją do przyjęcia nasion roślin i kwiatów.

Pojawiły się już pierwsze ptaki. Były to pingwiny i mewy, sprowadzone z Południowej Patagonii.

Relski spacerował często wzdłuż morskiego wybrzeża i obserwował hałaśliwe mewy i poważne, niemal pretensjonalne białoczarne pingwiny. Widziane z oddali, w jaskrawym blasku podbiegunowego słońca, którego promienie padają tutaj prawie na wysokości fal morskich, wydawały się olbrzymie w swoich majestatycznych ruchach, przypominając raczej paradujących we frakach kelnerów niż ptaki.

Jerzy patrzył z rozrzewnieniem na te widome dowody rodzącego się tutaj życia. Czasem okazywał niecierpliwość, nie mogąc się doczekać uruchomienia stacji magnetycznej i w takich chwilach odbywał samotne wycieczki, skracając sobie w ten sposób czas.

Krynieckiego unikał od owego wieczora, gdy przyszedł profesor Aksimow z kwiatem polarisa. Nie mógł mu darować cynizmu, jaki jawnie okazywał wielkiemu biologowi, który z takim samozaparciem i entuzjazmem, godnym dwudziestoletniego młodzieńca, pracował nad stworzeniem szaty roślinnej na tym pustynnym jeszcze terenie. Toteż z radością powitał dzień próbnego uruchomienia gigantycznej, podziemnej elektrowni. Był już tam kilka razy, gdy transportowano globus magnetyczny, który następnie został zmontowany w głównej hali Centrali Ruchu.

Specjalne torpedostratusy kursowały między wybrzeżem a terenem stacji, dowożąc delegatów, przybyłych ze wszystkich kontynentów

Kryniecki nie pojechał, tłumacząc się przed Relskim niedyspozycją, co było naiwnym kłamstwem, gdyż widziano go tegoż dnia, pracującego wśród gromady hydrotechników i klimatologów, montujących z niemałym trudem hydrokondensatory do wywołania pierwszego deszczu na tych terenach. Było to na życzenie profesora Aksimowa, gdyż gleba pod wpływem ciepłych fal powietrza zaczęła już wysychać.

Jerzy uradował się szczerze, zauważywszy przy zjeździe do głównej hali generatorów elektronowych charakterystyczną sylwetkę profesora Aksimowa. Szedł na czele licznej grupy delegatów, żywo coś gestykułując. Ujrzawszy w tłumie przyjezdnych życzliwego mu agrobiologa, nie czuł się tak osamotnionym na tym pustkowiu, gdzie życie zaczynało dopiero kiełkować. Zresztą co tu ukrywać, polubił profesora, może nieco dziecinniałego, ale pełnego niezachwianej wiary w ostateczne zwycięstwo człowieka nad siłami natury. Mimo swoich dziwacznych manier pociągał prostotą w obejściu i olśniewał ogromną wiedzą i doświadczeniem z dziedziny astrobotaniki i genetyki, będąc całkowicie wolnym od wszelkiej megalomanii. Urzeczoną geniuszem Marka Fantoma, krył wstydliwie swoją osobę w cieniu jego sławy.

Ujrawszy Jerzego w tłumie napływających, podbiegł do niego truchcikiem.

— O... pan Relski!... Jak to dobrze.

Mówił szybko, z widocznym zadowoleniem, ściskając mu obie ręce. Poprosił go do swojej grupy, której przewodniczył. Szli wolno, przystając co chwilę, szerokim korytarzem. Panowała tu jasność niezwykła, lecz światło, rozproszone łagodnie, nie raziło oczu. Po obydwu stronach, jakby nakryte olbrzymim, szklanym kloszem, stały wsparte na postumentach maszyny bez kół i trybów, podobne raczej do baterii kaloryferów, gdyż składały się z rur powyginanych w spirale i płyt o różnej grubości. Wokoło połyskiwały lustrzane tafle, a na nich strzałki kolorowe, dźwignie o kształcie ludzkiej ręki i lampki jarzące się różnobarwnym światłem.

— To są elementy generatorów elektronowych, pracują na izotopach — objaśniał Aksimow, z dumą wskazując na jeden z serii szklanych domków. — Jest ich tu ponad dziesięć tysięcy — mówił dalej — a każda taka bateria atomowa daje około dziesięciu tysięcy wolt napięcia roboczego.

— Jak to jest możliwe? — zagadnął ktoś.

— Nie wiem. Jestem tylko biologiem. Marek Fantom wyjaśni to panom szczegółowo. Te generatory atomowe, oparte na wibracji elektronów, to jego pomysł.

Jerzy patrzył z podziwem na długie, nie kończące się szeregi oszklonych komór z mnóstwem skomplikowanych, precyzyjnych aparatów, zainstalowanych w ich wnętrzu. Pomieszczenie o ścianach z grubych, przezrzystych tafli, ujętych w mocne, metalowe ramy, przypominały raczej obszerną, luksusową łazienkę ze swymi długimi węzownicami rur i prostokątną kadzią z brązowej, chropawej masy.

Baterie generatorów ciągnęły się długimi rzędami we wszystkich kierunkach i ginęły w dalekiej perspektywie jak domki dla lalek.

W pewnych odstępach, wysunięte trochę do przodu, wystrzelały w górę wieżyczki z kopulastym daszkiem o przezroczystych ścianach. Podeszli do jednej z nich. We wnętrzu stał człowiek w przezrzystym hełmie na głowie, ubrany w szary kombinezon z grubej tkaniny, szczelnie przylegający do ciała.

— To są podstacje kontrolerów — objaśniał Aksimow swoją grupę. — Będą potrzebni do uruchomienia stacji w jej pierwszej fazie. Potem muszą odejść, gdyż zostaliby zbombardowani promieniami, wydobywającymi się z masy rozszczepialnej podczas reakcji jądrowej.

— A kto będzie kierował tą największą elektrownią świata? — zapytał jeden z uczestników.

Aksimow odparł z dumą:

— Jeden człowiek... Telewizyjne automatyczne urządzenia sterownicze pozwolą na dokładną kontrolę pracy tej potężnej maszyny bez kół, która poruszy Ziemię.

— Będzie nim zapewne Marek Fantom — zauważył Relski, stojący za plecami profesora.

— Zgadł pan... On i jego asystent, inżynier Etkins z Instytutu Wiedzy w Norbant. Jego uczeń — dodał i pociągnął Jerzego za ramię.

— Chodźmy do serca tego giganta — zwrócił się do idących za nim z powagą delegatów. — Ujrzycie, panowie, jak jeden człowiek może z łatwością kierować ruchem tej największej w dziejach świata fabryki energii...

Urwał, gdyż ktoś z grupy przechodzącej obok, mijając Aksimowa, odwrócił się w jego stronę i zawołał głośno:

— Jak się masz, stary marzycielu? Nie poznajesz mnie?

Po czym szybko przebiegł dzielącą ich odległość i stanął na wprost zdumionego profesora.

— Ach! Taleman! Jak się masz? — Aksimow zatrzepotał w powietrzu rękami jak ptak zrywający się do lotu.

— Przyjechałem tu z profesorem Kleinerem, aby zobaczyć stację magnetyczną. Ciekawym, czy osiągnięcie potrzebne napięcie sto milionów wolt — szybko wyrecytował Taleman.

— Zaraz się o tym przekonamy. Chodźmy na górę, do Centrali Ruchu.

Relski, który stał na uboczu i przyglądał się biernie tej scenie, zbliżył się do przybysza.

— Inżynier Jerzy Relski... — przedstawił się.

— Oh, przepraszam... Jestem dziś roztargniony. Panie Jerzy... to mój przyjaciel z Instytutu Agrobiologii Stosowanej, profesor Taleman...

— A oto profesor Kleiner...

Taleman wskazał ręką na podchodzącego w ich stronę wysokiego mężczyznę o czarnych, kędzierzawych włosach. Przybyły skłonił się i uściśnął ręce Aksimowa i Jerzego.

— Wiele o panu słyszałem — zagadnął, zwracając się w stronę Aksimowa. — Szczególnie o pańskich osiągnięciach przy tworzeniu nowych szczepów, odpornych na klimat podbiegunowy. Lecz jak pan sobie poradził z martwą glebą arktyczną, pozbawioną bakterii azotowych?

— He! he! he!... mój młody przyjacielu. Najpierw nie była to gleba, a kamieniste podłoże, pokryte grubą warstwą lodu. Po stopieniu lodowca trzeba było pokruszyć powierzchnię skał, a potem poddać to wszystko działaniu fal ultradźwiękowych, by powstała w ten sposób warstwa ziemi uczynić pulchną i przepuszczającą wilgoć...

Aksimow umilkł nagle, ujrawszy w niewielkiej odległości idącego w otoczeniu grupy delegatów Marka Fantoma. Podbiegł sprężystym krokiem w jego stronę z wyciągniętymi przed siebie rękoma, skinąwszy głową Relskiemu i pozostałej dwójce przyjaciół. Fantom dojrzał go także i uśmiechając się życzliwie, przywitał się z nim, prezentując go delegatom z Norbant. Potem uprzejmym gestem poprosił Jerzego oraz Talemana i Kleinera do swojej grupy. Na twarzy jego, zwykle chłodnej i wyniosłej, widać było dzisiaj ożywienie niezwykle, pełne wewnętrznego zadowolenia. Wyrażało się ono w nie pozbawionych szczerości gestach i słowach, przekonywających jasnością definicji i urokiem osobistym geniusza. Relski nie poznawał dziś Fantoma. Taki był inny, taki swobodny, bezpośredni, bliski.

— Moi panowie — powiedział po krótkiej dyskusji do otaczających go kołem delegatów — ponieważ zbliża się wyznaczona godzina próby stacji magnetycznej, prosiłbym szanownych kolegów o łaskawe udanie się ze mną do Głównej Centrali Ruchu, skąd wyjdzie sygnał uruchomienia dziesięciu tysięcy generatorów atomowych. Wprawdzie nie wszyscy z przybyłych tutaj delegatów znajdą pomieszczenie w Telewizyjnym Ośrodku Kontroli — pośpieszył z wyjaśnieniem — lecz nie ma w tym nic przykrego. Ekrany telewizyjne umieszczone są wszędzie i będzie można widzieć i słyszeć wszystko, co będzie się działo w halach generatorów, jak i Centrali Ruchu...

Powiedziawszy to, ruszył naprzód szerokim przejściem w stronę, skąd połyskiwała olbrzymia kula świetlna, symbolizująca Słońce. Za nim podążył Aksimow, podany nieco do przodu, z wyciągniętą, długą szyją, naszpikowany powagą i dostojeństwem. Wszak zbliżali się do mózgu i serca potężnej maszyny, mającej poruszyć świat. Pełen uwielbienia dla geniusza wszystkich czasów, Marka Fantoma, szedł tuż za nim, nie odwracając głowy do idących obok przyjaciół. Relski kroczył w środku, między Talemanem i Kleinerem, starając się nawiązać z nimi rozmowę. Reszta delegatów ciągnęła szeroką falą za nimi, rozbijając się na mniejsze lub większe grupy.

— I któż by pomyślał — zabrał głos Relski — że jeszcze pół roku temu ziemię tę pokrywały wieczne lody i śniegi?

— O tak — wtrącił Taleman — czas stracił swoją tragiczną moc w dobie rozkwitu naszej Ery Atomowej.

— I przegrał wyścig z człowiekiem — zaopiniował bez wahania Kleiner, spoglądając wyczekująco w stronę Relskiego. Ale Jerzy milczał, jakby nie zależało mu na podsycaniu rozmowy, którą zainicjował.

— Nie uważam — zaczął po dłuższej chwili — aby można zwyciężyć to, co jest nieuchwytnie i nieokreślone. Co jest zwyczajną fikcją, mirażem. Czas to układanie zdarzeń w dowolnej kolejności, niekoniecznie zgodnej z przebiegiem zjawisk.

— Oh... definicja bardzo subiektywna — skrzywił się Taleman. — Wraca pan do epoki wielkiego Einsteina, a tymczasem taki człowiek jak Marek Fantom dokonuje rzeczy, o jakich twórca teorii względności zapewne nie marzył.

W tej samej chwili Fantom, idący o kilka kroków przed nimi, odwrócił się i wyciągnąwszy nieznacznie prawą rękę do góry dawał znak, żeby się zatrzymać. Aksimow stanął z boku i spoglądał w milczeniu na zbliżających się delegatów.

— Moi panowie — zaczął nie bez pewnego wzruszenia geniusz z Norbant — moi panowie... otóż za chwilę znajdziemy się w samym centrum największej na Globie kuźni energii elektrycznej. Jest to gigantyczna fabryka mocy, nie mająca równej sobie w dziejach, ponieważ zdolna jest zakłócić obieg naszej planety dookoła Słońca i spowodować katastrofę kosmiczną w tej części wszechświata... — Urwał i rozejrzał się po obecnych. Jerzemu, który spotkał się z jego wzrokiem, zdawało się, że oczy fizyka spoczęły na jego twarzy nieco dłużej. Jakiś dziwny błysk zauważył w tych oczach, przykuwających siłą swego spojrzenia. Ale nie... Fantom się uśmiechał, a wargi drżały mu nieznacznie. Subtelna, finezyjna i prawie niedostrzegalna gra mięśni jego twarzy czyniła go podobnym do sfinksa. Mógł zrozumieć, rozszyfrować to spojrzenie chyba tylko taki człowiek jak profesor Aksimow.

A Fantom, uczyniwszy zapraszający gest, mówił dalej, nadając słowom żartobliwy, niemal familiarny ton:

— Proszę was, koledzy i mili goście, podążajcie za mną po schodach do Centrali Ruchu. Zaraz rozpoczniemy próbę. Profesorze Aksimow...

— Jestem, dyrektorze — odpowiedział jak echo agrobiolog.

— Proszę wskazać panom delegatom przejście do bocznych sal. W głównej nie pomieszczą się wszyscy.

Aksimow zaaprobował milczącym skinieniem głowy polecenie swego szefa. I zaraz dyrygował:

— Proszę panów, tędy, między kolumnami w dół i na prawo... Proszę za mną.

Jerzy poszedł z pierwszą grupą za Markiem Fantomem. Wstępowali wolno po szerokich, kamiennych schodach, zaopatrzonych w wygodne poręcze, ozdobione na każdym zakręcie białą, świecąca kulą. Po przejściu kilkudziesięciu stopni znaleźli się w obszernej, półkolistej sali o ścianach nie przepuszczających światła. Panował tu błękitny półmrok, tak miły dla oczu, a przedmioty znajdujące się wewnątrz, wydawały się bardziej wyraziste, pełniejsze w kształtach, jakby naładowane od środka jakąś prężną substancją. Posadzka, wyłożona miękką, elastyczną masą, tłumiała odgłos kroków. Jerzy znał tę salę dobrze. Montowali tutaj z Krynieckim globus magnetyczny i Fantom był przez cały ten czas z nimi. Sprawdzał osobiście każdy szczegół, obliczał, wymierzał, kreślił i poprawiał. Był wtedy powściągliwy, skupiony, obojętny i chłodny nawet dla profesora Aksimowa, gdy zjawił się tutaj nieoczekiwanie.

Sala też wyglądała inaczej. Jasne jak odbicie słońca fluoryzujące światło przenikało do każdego zakątka, stwarzając przy pracy atmosferę radosnego podniecenia. Nie było jeszcze jak dziś tej wielkiej ilości skomplikowanych aparatów oraz połyskujących w półmroku srebrzystych ekranów i kolorowych, neonowych świateł.

Wśród cichego gwaru zgromadzonych w sali delegatów rozległ się mocny, pewny siebie głos Marka Fantoma:

— Proszę panów! Oto jesteśmy w samym sercu podziemnego miasta-giganta na Biegu nie Południowym. Za chwilę to potężne serce zacznie bić energią stu milionów volt...

Salę Centrali Ruchu zaległa głęboka cisza, a delegaci zwrócili twarze w kierunku stojącego na podium geniusza epoki.

— ...Wszelka myśl odkrywczą i naukowa — Fantom mówił wolno, z namaszczeniem

— wówczas dopiero zasługuje na miano wielkiej i genialnej, jeśli dzięki niej nastąpi ujarzmienie sił natury w sposób dotąd nie praktykowany i powszechny, aby służyły całej ludzkości.

Słowa te wywołały poruszenie wśród delegatów, a z kilku stron rozległy się oklaski. Krzyknięto przy tym kilkakrotnie: — Brawo, brawo, Fantom, twórca nowej epoki!

Podziękował dystyngowanym ukłonem i mówił dalej:

— ...Myśl, która nie zrodzi wielkiego czynu, choć wydaje się niezwykłą i śmiałą, jest jak piękna kobieta, pełna powabu i czaru, lecz skazana przez naturę na bezpłodność...

Jak Marietta — pomyślał mimo woli Jerzy, któremu porównanie Fantoma przywołało na pamięć obraz ukochanej.

— ...Lecz nasza epoka płodna jest w wielkie myśli i wielkie czyny, aby świadczyć o wielkości naszej wiedzy i nauki. Od dziś człowiek jest panem świata. Przewyciężył obce mu i wrogie siły żywiołu i zmusił je, aby służyły ku jego chwale i wielkości. Spełniły się marzenia największych poetów i myślicieli. Zdobyliśmy władzę, aby ruszyć z posad Ziemię...

Znowu spontaniczne oklaski przerwały potok jego słów. Jerzy słuchał z napięciem.

— ...Możemy zatrzymać Glob albo przyspieszyć jego bieg. Możemy oddalić go lub zbliżyć do Słońca, zamienić w bryłę lodu lub w obłok gazowy. Możemy także spowodować katastrofę kosmiczną całego systemu planetarnego i przyspieszyć zapowiedziany przez proroków koniec świata...

Relski uczył w pewnej chwili, jak ktoś pociągnął go lekko za rękaw. Odwrócił się i ujrzał obok siebie sylwetkę profesora Aksimowa. Uśmiechał się do niego przyjaźnie i miał minę wielce zadowoloną, wpatrując się w podnieconą teraz emocją twarz Fantoma, który mówił nieprzerwanie:

— ...Ale nauka i wiedza winny służyć dobru powszechnemu, wszystkim ludziom bez wyjątku i dlatego wielkie dzieło naszych mózgów i naszych rąk, wykonane w tak trudnych warunkach podbiegunowych, obrócimy dla uszczęśliwienia wszystkich ludzi, zarówno tych, co powstałi z woli natury, jak i tamtych, których do życia powołał geniusz ludzki.

— Patrz pan, co za wspianiała instalacja — szepnął mu w ucho Aksimow, wspinając się na palcach.

Jerzy rozejrzał się po wysokich ścianach, gładkich jak marmur, na których miejsce przy miejscu lśniły okrągłe tarcze, pełne różnokolorowych kresek, cyfr i świecących wskazówek, cewki o połyskujących zwojach, dźwignie i retorty, soczewki, lśniące lustrzaną gładzią, rurki szklane, powyginane w najrozmaitsze kształty...

Fantom zszedł z podium i wmieszał się w tłum delegatów. Jego głos przebijał się przez gwar rozmawiających:

— Zanim uruchomimy tę największą elektrownię świata, by sprawdzić jej działanie i moc, zdradzę panom niektóre szczegóły konstrukcyjne i najnowsze osiągnięcia w dziedzinie automatyzacji i sygnalizacji ruchu. Otóż stacja magnetyczna składa się z dwudziestu tysięcy generatorów atomowych, z których każdy jest samodzielną, wielką elektrownią. Do pracy włącza się połowę czynnych elementów. Pozostałe dziesięć tysięcy — to rezerwa. Zostają one automatycznie włączone do pracy na miejsce uszkodzonych, które same wycofują się z ruchu. Jako paliwa używamy izotopów. Dzięki zupełnie nowej metodzie rozrywania jądra atomu za pomocą wibrujących elektronów otrzymujemy bezpośrednio napięcie elektryczne przy słabym promieniowaniu, a nie jak dotychczas wielką ilość energii termicznej i kinetycznej, która nie mogła być w pełni wykorzystana dla celów praktycznych. Wszystkie pracujące elementy atomowe dadzą w sumie napięcie równe stu milionom wolt, a więc wystarczające przy równoczesnym uruchomieniu analogicznej stacji na Biegunie Północnym do wzbudzenia tak silnych prądów magnetycznych na całym Globie, aby przyspieszyć jego obrót dookoła osi.

— Czy to nie wspianiałe odkrycie, panie Relski? No, powiedz pan... — szeptał podniecony entuzjazmem zgromadzonych na sali profesor Aksimow.

— Nie tylko wspaniałe, ale genialne — podchwycił Jerzy, któremu udzielił się entuzjazm Aksimowa. — Prawa natury są w istocie swojej proste i nieskomplikowane, skoro poznamy mechanizm ich działania, łańcuch przyczyn i skutków.

— He, he, he, oczywiście, panie Relski, tak... Trzeba tylko odnaleźć ogniwa w tym łańcuchu przyczyn, umieć oddzielić je od siebie, a potem łączyć, wiązać... O! Fantom jest genialny, bo nie daje się zwieść pozorom. Pod gruzami prawd odkrywa nowe, nieznanne, a zrozumiałe dla wszystkich. To archeolog myśli.

Spojrzał z wyrazem uwielbienia w oczach w tę stronę, skąd dochodził głos wielkiego fizyka, który mówił ze wzrastającym ożywieniem:

— ...Ale chyba najciekawsze jest to, że tym potężnym oceanem energii elektrycznej może kierować jeden człowiek po uruchomieniu stacji, bez niczyjej pomocy...

Szmer zdziwienia przebiegł po sali, ale Fantom, jakby unikając zapytań i dyskusji, przeszedł pośpiesznie w kierunku małych, kręconych drzwi, gdzie mieściła się telekabina Centrali Ruchu, i znalazł się za przejrzystą, grubą ścianą. Jerzy oraz profesor Aksimow obserwowali bacznie każde jego poruszenie. Fantom usiadł przed wielką, ciemną ścianą, na której prawej stronie widoczna była oświetlona tarcza, oznaczona kolejnymi numerami od jednego do dwustu. Każdy numer opisany był kołem, w środku którego tkwiła zielona wskazówka.

— Te cyfry na tarczy odpowiadają kolejnej liczbie wszystkich podstacji generatorów atomowych. Każda podstacja to bateria, składająca się z dziesięciu elementów — objaśnił w urywanych słowach agrobiolog.

U samej góry, jak potężny wachlarz, rozłożona była podziałka z wypisanymi na niej dużymi, czerwonymi cyframi od jednego do stu dwudziestu. Oznaczały one napięcie w milionach wolt. Z lewej strony, w niewielkiej wnęcie umieszczony był ekran, jak u zwykłego telewizora.

Fantom nacisnął jakąś dźwignię i w tej samej chwili rozległy się głosy syren, takie same, jakie Jerzy usłyszał po raz pierwszy podczas startu torpedostratusa M 51. Dźwięki te nakładały się na siebie w miłe dla ucha akordy. Światło pociemniało, a na wielkiej, czarnej tablicy zapaliły się zielone światełka z kolejnymi cyframi od jednego do stu. To podstacje meldowały się, że są już gotowe do podjęcia akcji.

Równocześnie na ekranie we wnęcie ściany przesuwają się w błyskawicznym tempie małe, okrągłe domki z kopulastymi wieżyczkami, a w nich postacie w białych hełmach na głowie. To kontrolerzy poszczególnych sekcji generatorów atomowych. Byli na stanowiskach i czekali na sygnał, by uruchomić maszyny.

Wszystko to trwało nie więcej niż dwie minuty. Syreny przestały grać i nastąpiła znowu cisza. Obecni jakby zatrzymali oddech, tak byli przejści chwila. Aksimow ścisnął nerwowo Jerzego za rękę, nie śmiąc przemówić słowa. Rozległ się jeszcze jeden ryk syreny, krótki, gwałtowny, potem błysk świateł, i znowu cisza. Przeróżająca, jakby zapadli się w przepaść...

Nagle wielka, czerwona wskazówka zapłonęła rubinowym światłem i drgnęła. A następnie zaczęła wolno przesuwać się na prawo, mijając kolejno cyfry: dwa, trzy, pięć, siedem, dwanaście, piętnaście...

Marek Fantom przesuwiał wzrok za jej biegiem jak w hipnozie. Na ekranie telewizyjnym przesuwają się znowu małe domki o przejrzystych ścianach, ale nie było już w nich ludzi w białych hełmach. Zniknęli nagle, jakby zapadli się w głębie.

Czerwona wskazówka biegła dalej i dalej, aż zatrzymała się dopiero na cyfrze 100. Wtedy Fantom odwrócił się i wskazał na nią ręką

— Sto milionów wolt — powiedział głośno profesor Aksimow drżącym głosem.

— Sto milionów wolt osiągnięte, panowie delegaci — oświadczył z mocą Fantom, a słowa jego powtórzyły potężne gigantofony i ukazały jego sylwetkę ekrany telewizyjne całego świata.

— Sto milionów napięcia!... nie do wiary, to prawdziwy cud — szepnął do siebie



Relski.

Aksimow zatrzeszczał swoim suchym, nerwowym śmiechem:

— Wolne żarty, panie Relski, wolne żarty... Czy można nazwać cudem prosty wynik matematyczny? Dodawanie, mnożenie, potęgowanie?

— Potęgowanie potęgi, mocy przeogromnej, która może zniszczyć świat, profesorze...

Zwielokrotniony akord niskich dźwięków przetoczył się znowu z ogromną mocą poprzez rozległe hale i korytarze i wdzierał się do płuc. Eksperyment skończony. Fantom jednym nieskomplikowanym ruchem wyłączył generatory. Atomy przestały się pożerać. Kilku delegatów przekroczyło szklaną ścianę, aby uścisnąć rękę genialnemu fizykowi. Wśród nich znalazł się profesor Aksimow, Relski, Kleiner i Taleman.

Fantom śmiał się głośno i strzelał dowcipami.

— Jak panowie widzą — mówił z widoczną satysfakcją — nie będzie sprawą arcytrudną sterować naszą Ziemią wśród gwiazdnych szlaków, nadążając za ruchem Słońca. Kto wie nawet, czy nie będzie to łatwiejszym zadaniem niż kierowanie niegdyś okrętem podczas burzy, jeśli nabierze się do tego pewnej wprawy. Wszak próba napięcia udała się. Osiągnęliśmy przecież konieczne napięcie sto milionów volt...

Zrobił się gwar i zamieszanie. Padały pytania, na które wielki fizyk nie nadażał z odpowiedzią. Uśmiechał się więc z pobłażliwą wyrozumiałością i wyjaśniał, tłumaczył na język zwykły, codzienny, zawiłe problemy nowoczesnej fizyki jądrowej, na której opierał swoje wszystkie osiągnięcia, przeszłe i obecne. Jerzy nie poznawał go. Ten zamknięty w sobie, wyniosły i zimny człowiek, otoczony aureolą własnej „splendid isolation”, stał się nagle giętkim i układnym, pełnym kurtuazji dla ludzi, którym na ogół nie okazywał zbyt wielkiej łaskawości swego dumnego serca, ponieważ byli to ludzie U N.

Aksimow wmieszał się w dostojny tłum żywo dyskutujących, w tym celu zapewne, aby być bliżej Fantoma. Przygodni znajomi, Taleman i Kleiner, zniknęli gdzieś w tłumie. Niektórzy delegaci zaczęli opuszczać salę.

I Jerzy poszedł za nimi, w kierunku wyjścia.

## Rozdział XVIII

Wkrótce po opisanej próbie technicznej Marek Fantom wyjechał na Biegun Północny, aby sprawdzić działanie bliźniaczej stacji magnetycznej na tamtejszym terenie. Gdy przekonał się, że generatory atomowe Stacji „A” pracują bez zarzutu, udał się bezpośrednio do Norbant, na posiedzenie Najwyższej Rady Geniuszy. Do zapadnięcia nocy podbiegunowej zostało jeszcze niecałe dwa tygodnie, należało się więc śpieszyć, aby wszystko na czas przygotować.

Od swych przyjaciół z Instytutu Wiedzy miał już poufne wiadomości, że Parlament Świata nie będzie sprzeciwiał się realizacji projektu przesunięcia orbity ziemskiej, o ile Najwyższa Rada Geniuszy uzna ostatecznie tę koncepcję za dojrzałą technicznie i naukowo. Bowiem szczęśliwa jej realizacja miała dać w pierwszym rzędzie olbrzymie oszczędności w zużyciu energii, a tym samym mogła podnieść znacznie stopę życiową mieszkańców Globu.

Spodziewano się, według obliczeń ekonomistów, że będzie można skrócić czas pracy z przypadających obecnie średnio dwóch godzin na dobę do jednej godziny. Ponieważ ostateczna decyzja w tej sprawie leżała w gestii Rady Genialnych, Fantom nie widział istotnych trudności w przeprowadzeniu swojego wielkiego planu, który od dawna starannie przygotowywał. Miejscem rozgrywki miała być sala posiedzeń Najwyższej Rady Geniuszy, a przeciwnikiem — sama Rada in gremio. Postanowił przedłożyć swoje postulaty wobec najwyższe-

go trybunału nauki i wiedzy ludzkiej w sposób najbardziej umiarkowany, ale niemniej stanowczy. Jeśli przedstawiciele nauki nie zgodzą się, wówczas postawi ultimatum: nie wypełni zaleceń Rady odnośnie zmiany orbity lub wprost zbojkotuje jej zalecenia. Wszak w jego rękach spoczywał klucz do przeprowadzenia tego gigantycznego zadania. Odkrył nowy sposób bombardowania atomów za pomocą wirujących elektronów, otrzymując bezpośrednio przy rozpadzie jąder energię elektryczną, co dotychczas było nieosiągalne. Wprawdzie musiał zdradzić przed areopagiem uczonych tajemnicę swego wynalazku, gdyż w epoce Ery Atomowej nie było już urządzeń patentowych, które by strzegły tych tajemnic. Najwyższa Rada w dowód zaufania powierzyła mu zbudowanie magnetycznych stacji na Biegunach według jego projektów.

Przewidując jednak przyszłe nieporozumienia z Radą, ukrył przezornie kilka szczegółów, mających związek z konstrukcją samych generatorów atomowych, aby mieć w ręku konieczne atuty dla przeforsowania swoich projektów. Jeśli odrzuci jego żądania o zaprzestanie produkcji ludzi U S, zagrozi zniszczeniem stacji albo katastrofą kosmiczną. Był pewny, że Rada ugnie się w obliczu tak strasznej groźby i nie sprzeciwi się, tym bardziej że ludzie U S coraz częściej buntowali się, organizując demonstracyjnie masowe samobójstwa, jako jedyny i widoczny protest przeciwko tworzeniu ludzi nieszczęśliwych, za jakich siebie uważali.

Fantom rozumiał ból tych istot i cierpienia ich „martwej” duszy, która rodziła się razem z ich ciałem w retorcie elektrobiokemika. Ci ludzie pójdą ze mną nawet na śmierć — myślał. Był pewien tego. Byli jak ładunki dynamitu. Wystarczyło zapalić w nich iskrę ostatecznego buntu, aby eksplodowała nagromadzona w nich nienawiść do ludzi naturalnych za to, że dali im życie, które dla większości z nich było męką, gdyż ich system nerwowy zżerała tajemnicza choroba, histerioza powrotna.

Fantom miał w Norbant swoją stałą rezydencję. Mieszkał w pięknej willi, której mógłby mu pozazdrościć niejeden koronowany władca dawnej epoki. Willę tę podarował mu Rząd Światowej Federacji za szczególne zasługi dla ludzkości w dziedzinie epokowych wynalazków.

Następnego dnia po swoim powrocie torpedostratusem z Północnego Bieguna udał się do Pałacu Wiedzy, położonego w malowniczej dolinie u podnóża Alp, gdzie odbywały się posiedzenia Najwyższej Rady Geniuszy. Mimo wczesnej godziny panował ożywiony ruch na ulicach miasta, które było obecnie rzeczywistą stolicą i mózgiem świata. Mieszkańcami jego byli przeważnie uczeni i dyplomaci, reprezentujący wszystkie rządy wolnych republik oraz najwyższe instytucje nauki i sztuki. Wysokie i dostojne ich czoła naznaczone były stygmatem powagi i słusznej dumy, płynącej z głębokiego przeświadczenia, że reprezentują najlepszych i najmądrzejszych obywateli swego kraju. I dlatego panowała tu swoista atmosfera, która mogła się wydać obcą i pretensjonalną dla przybysza, lecz była zrozumiałą i naturalną dla tych, co przebywali tutaj stale. Była to jakby wyspa-oaza wśród ludzi i otaczającej natury. Miasto pałaców i kwitnących ogrodów o niezwykłym przepychu i komforcie, nie znanym ludziom dawnych epok. To, co stworzyła współczesna wiedza dla wygody i pomnożenia radości życia i jego piękna, znalazło tu swój wyraz.

W dolinie Norbant panowała wieczna wiosna, stanowiąca niezwykły kontrast z ośnieżonym, lodowatym szczytem Jungfrau, który w promieniach słońca odcinał się ostrymi refleksami zimnych blasków i niepokalaną bielą śniegu ze szczególną wyrazistością na granatowym tle nieba.

Utrzymanie przez cały rok sztucznego klimatu w tej górskiej kotlinie, tak aby temperatura nie spadała nigdy poniżej piętnastu stopni Celsjusza, było sprawą niełatwą dla klimatologów i termotechników, wymagającą wielkiej czujności z ich strony, gdyż ostre wichry, spływające z lodowatych szczytów w porze zimowej mogły w każdej chwili zamienić rozchylone do słońca kielichy barwnych kwiatów w kulki lodu. Że tak się nie stało, należało zawdzięczać jedynie tej szczęśliwej okoliczności, iż stacja termo- i hydrometeorologiczna przy Pałacu

Wiedzy była kierowana przez najlepszych specjalistów w tej dziedzinie.

Rosły tu niezwykle rzadkie okazy drzew i kwiatów, zebrane ze wszystkich lądów świata, oraz sztuczne, najbardziej fantastyczne szczepy, wyhodowane przez genetyków tej klasy co profesor Aksimow. Drzewa rodziły wyborne owoce, stanowiące nie jedyne, ale obfite źródło aprowizacji mieszkańców doliny Kwitnącej Wiosny. Biologowie tak kierowali życiem roślin, że gdy jedno drzewo i kwiaty zaczynały owocować, inne dopiero okrywały się kwieciami lub rozwijały świeże pąki i tak bez końca, jakby czas krążył tu wokół, nie odchodząc.

Nieliczne, lecz wytworne kobiety oraz dzieci, prawdziwe dzieci wiosny, które przychodziły tu na świat w sposób naturalny, prezentowały sobą urok i młodość. Ludzie U S należeli tu do wyjątków, prawie nie spotykało się ich wcale.

Norbant — to magiczne słowo, które znał każdy mieszkaniec Ziemi, każde dziecko. Ono symbolizowało epokę Atomowej Ery, było jej żywą definicją. Tu mieściła się największa Centrala Radiotelewizyjna, obsługująca cały Glob, nadająca w dzień i w nocy komunikaty we wszystkich językach świata oraz Stacja Radio Planety utrzymująca stały kontakt z ekspedycjami naukowymi na Marsie i Wenus, kierując jednocześnie komunikacją międzyplanetarną i międzykontynentalną. Tu mieścił się parlament i Rząd Światowej Federacji, Najwyższa Rada Geniuszy, a także najlepiej wyposażony na świecie Instytut Elektrobiologii Stosowanej, regulujący produkcję ludzi U S. Również Instytut Ożywiania Zmarłych miał tu swoją główną siedzibę.

W Pałacu Wiedzy mieścił się Międzynarodowy Instytut Fizyki Jądrowej, kierowany przez Marka Fantoma, Centrala Realizacji Wynalazków, Główne Studium Architektury Miast Podziemnych, Biuro Kontroli Energii, Najwyższy Trybunał Wolności i Archiwum Świata, mieszczące się w mieście podziemnym pod skalnymi fasadami Alp. Poza tym setki innych instytucji i towarzystw naukowych o niezwykłej doniosłości.

Marek Fantom kochał Norbant i dotychczas niechętnie opuszczał miasto kwitnących ogrodów i słonecznych pałaców. Lecz ostatnio ogarniał go coraz większy niepokój i drażnił, denerwował go wspaniały komfort, jaki był tutaj udziałem każdego mieszkańca. Wzbierała w nim w sposób gwałtowny potrzeba działania, aby zbudować lepszy świat niż ten, wolny od cierpień ludzi U S.

Nadszedł oto dzień jego największej próby. Dzień zwycięstwa jego idei, o słuszności której nie wątpił ani na chwilę, czy też klęska zniszczenia nie tylko wspaniałej cywilizacji Atomowej Ery, ale nawet całej ludzkości, w wypadku gdyby Najwyższa Rada Geniuszy odrzuciła jego żądanie zaprzestania produkcji ludzi U S w instytutach elektrobiologii stosowanej. Użyje wszelkich sił i wpływów, aby przekonać Rząd i Parlament Światowej Federacji o słuszności swojej tezy, aby przeciwstawić się Radzie, gdyby ta ostatnia wypowiedziała się przeciwko jego wnioskowi.

W tym niezłomnym postanowieniu wstępował Marek Fantom do Pałacu Wiedzy po wspaniałych, zewnętrznych schodach z białego i różowego marmuru, kierując się do pierwszego sekretarza Rady, pana Lampère. Pałac ten, zbudowany z syntetycznego marmuru „Carrara”, należał do największych i najwspanialszych budynków świata. Wygodne, kolumnowe schody prowadziły do najwyższych pięter, zaś wewnątrz setki wind i ruchomych chodników pracowało nieprzerwanie, by zapewnić wygodę tym, którzy tam przybywali. Na płaskim dachu lądowały bez trudu torpedostratusy międzykontynentalne, a nawet olbrzymie międzyplanetarne. Pałac nie posiadał okien, gdyż ściany jego świeciły od wewnątrz własnym światłem fluoryzującym, a w jego niezliczonych salach mogło pomieścić się swobodnie ponad trzysta tysięcy osób, nie licząc kularów, małych sal recepcyjnych i około tysiąca pokoi biurowych.

W głównym hallu panował już ożywiony ruch. Fantom odpowiadał bez przerwy na ukłony lub wymieniał uściski rąk ze swymi przyjaciółmi. Od pana Lampère dowiedział się, że przewodniczącym na dzisiejszym posiedzeniu Najwyższej Rady będzie doktor Zibellus.

Wiadomość ta z jednej strony uradowała go i nastroiła optymistycznie, z drugiej jednak nappełniła pewną obawą. Zibellus cieszył się powszechnym i zasłużonym szacunkiem jako dyrektor najświetniejszej na świecie Kliniki Ożywiania Zmarłych. Gdyby żył o kilka wieków wcześniej, byłby uznany niewątpliwie za proroka lub świętego, gdyż okazywał bezmiar poświęcenia i współczucia dla tych, którym przywracał życie. Ale w epoce panowania atomu był tylko genialnym chirurgiem i uczonym elektrobiologiem. Nauka współczesna wyświetliła już wszelkie procesy życia i nie było miejsca dla cudów.

Doktor Zibellus nie miał wrogów, a to dzięki niezwykłym zaletom swego charakteru. Nawet Marek Fantom, zazdrosny o swoją sławę, miał dla niego wielkie uznanie i coś w rodzaju cichego uwielbienia. Dlatego Fantom był niepokojony, że właśnie on, zwycięzca śmierci, będzie świadkiem jego starcia z członkami Najwyższego Kolegium Genialnych. I kto wie, może będzie z nim polemizował na forum Rady?

Czy dostojny areopag domyśla się, jaką niespodziankę im przygotował? Przypuszczał raczej, że nie, choć nie taił się z tym nigdy, że jest przeciwnikiem zaludniania Globu robotami U S. Miał zdać dokładny raport o technicznym stanie przygotowań do wielkiego eksperymentu. Ogólnie członkowie Rady byli o wszystkim dokładnie poinformowani. Miano jednak przedyskutować sam problem wzbudzenia potężnych wirów magnetycznych na osi Ziemi, aby przekonać sceptyków, że projekt przesunięcia Globu nie kryje niebezpieczeństwa utraty równowagi w naszym systemie planetarnym. Fantom miał już nagrane na taśmie magnetowizyjnej obszernie sprawozdanie, dotyczące próbnego uruchomienia Stacji Magnetycznych, oraz przemówienie programowe, które zamierzał wygłosić na forum Rady. W epoce Atomowej Ery przyjął się zwyczaj wygłaszania mów, reprodukowanych z taśmy, aby nie męczyć prelegenta długim przemówieniem, uchronić go od tremy i zbędnej egzaltacji.

Fantom wręczył materiał telewizyjny przewodniczącemu, doktorowi Zibellusowi, który z kolei oddał wszystko dyżurnemu operatorowi.

Posiedzenie zaczęło się punktualnie o dziesiątej w ogromnej rotundzie sali fizyki Stosowanej. Wszyscy członkowie Kolegium zjawili się w komplecie. Przewodniczący zajął miejsce na podium, w pobliżu dużego ekranu telewizyjnego, który był widoczny na całej sali. W bezpośrednim jego sąsiedztwie, w kilku rzędach zasiedli ci członkowie Kolegium Genialnych, którzy zapisali się do głosu. Fantom zajął miejsce w pobliżu fotela przewodniczącego.

Zibellus zagał posiedzenie odczytaniem porządku obrad, który zawierał cztery punkty: Sprawozdanie Fantoma o stanie technicznym stacji magnetycznych, dyskusja nad projektem przesunięcia orbity ziemskiej, głosowanie nad projektem oraz wolne wnioski. Głos jego o matowym, niskim i pełnym brzmieniu łączył w sobie uroczysty, dostojny ton, jak podzwiek dzwonu z liryczną, niemal aksamitną miękkością i śpiewnością. Gdy skończył, na podium zjawił się Marek Fantom.

Stał przez chwilę nieruchomo przed Radą Genialnych, jakby zamienił się w bryłę marmuru. Powitano go zgodnym chórem oklasków, a niektórzy członkowie Kolegium powstali z miejsc, bijąc brawo. Ukłonił się kilka razy z powagą, a potem dał znak teleoperatorowi, aby włączył taśmę magnetowizyjną z jego przemówieniem, sam zaś usiadł na zajętym uprzednio miejscu przy trybunie. Wśród uroczystej ciszy usłyszał własny głos, brzmiący naturalnie i spokojnie.

Ciekaw był, jakie wrażenie wywrze jego mowa na członkach Kolegium Genialnych. Była to pierwsza część, zawierająca sprawozdanie techniczne. Na wielkim ekranie telewizyjnym ukazywały się cyfry i zdjęcia obiektów stacji magnetycznych, o których była mowa. Dzięki temu, że nie potrzebował przemawiać bezpośrednio, mógł czynić baczne obserwacje i robić spostrzeżenia, jak dostojni słuchacze przyjmują jego słowa. Tego nie doświadczał żaden mówca dwudziestego wieku, gdyż siłą rzeczy musiał skupić całą swoją uwagę na dialektykę, dykcję i intonację słów oraz akcentowanie zwrotów retorycznych i modulację głosu, mimikę i gesty. Ludzie Ery Atomowej byli zbyt wygodni, by trudzić się wypowiedzianiem tysięcy słów

w atmosferze podniecenia i nerwowego napięcia, gdy doskonałe urządzenia nowoczesnej techniki reprodukcji dźwięków zapewniały nieskazitelnie czystą i dowolnie regulowaną siłę i barwę głosu dzięki użyciu specjalnych filtrów akustycznych. W ten sposób głos niejednego mówcy, z natury chropawy i pozbawiony rytmiki, zyskiwał na urodzie.

Pierwsza część przemówienia dobiegała końca. Fantom uzasadniał gorąco wniosek przesunięcia orbity Ziemi, używając mocnej i przekonującej argumentacji. Wysokie audytorium odniosło się do jego wywodów na ogół życzliwie. Wyczuwał to z zachowania się sali. Ale były to pozory. Projekt znalazł wielu przeciwników, którzy zaczęli podnosić się z miejsc i zapisywać do głosu, prócz tych, którzy zgłosili się jeszcze przed rozpoczęciem posiedzenia. Nastąpiła krótka, denerwująca przerwa, po czym zebrano się ponownie. Fantom nie okazywał najmniejszego zdenerwowania. Przewodniczący otworzył dyskusję i udzielił głosu dyrektorowi Międzynarodowego Towarzystwa Oceanograficznego w Monako, profesorowi Sambroni, który ostro zaatakował cały ten projekt, nazywając go „tańcem szkieletów”.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę dostojnych kolegów na nieprzewidziane przez projektodawców następstwa, jakie pociągnie za sobą wytrącenie z równowagi kuli ziemskiej, choćby na moment. Niezawodnie powstaną burze morskie o nie notowanej gwałtowności, wywołane nagłą zmianą temperatury i silniejszym przyciąganiem Księżyca z powodu jego zbliżenia do Ziemi. Cyklony i tajfuny mogą spowodować tak potężne fale morskie, że najniższe położone obszary zostaną zalane, co może równać się klęsce potopu.

Argumentacja dyrektora Sambroni, a szczególnie wzmianka o groźącym potopie, wywołała duże wrażenie na niektórych członkach Kolegium Genialnych, co wyrażało się widocznym potakiwaniem mówcy. Fantom zaniepokoił się i poprosił przewodniczącego o głos. Oto jego słowa:

— Dostojna Rado! Wizja potopu, którą tak sugestywnie odmalował mój czcigodny przedmówca, brana była pod uwagę przez Komitet Techniczny projektu i po głębokiej analizie wszystkich czynników natury fizycznej, chemicznej i kosmicznej ustalono, że w wypadku przesunięcia orbity Ziemi potop nie grozi naszej planecie. Wprost przeciwnie — należy spodziewać się pewnego uspokojenia wód oceanicznych, gdyż nastąpi nieco silniejsze przyciąganie Ziemi...

Dyrektor Sambroni, zaprzeczając gwałtownym ruchem głowy, rzucił nieprzejednany okrzyk:

— Gotujcie więc piekło na Ziemi! Ja z tym nie mam nic wspólnego... — i zszedł w wielkim podnieceniu z podium dla mówców.

Następnym z kolei przeciwnikiem projektu zbliżenia Ziemi do Słońca o milion kilometrów był znany atomolog, dyrektor Instytutu Fizyki Eksperymentalnej w Sydney, Artur Brisbane.

— Dostojni mężowie, którzy decydujecie dziś o losach świata — oświadczył on — zwracam się do was z gorącym apelem o poddanie głębokiej i krytycznej analizie tych wszystkich okoliczności i procesów, które będą niezawodnie towarzyszyły w momencie wyzwolenia tak olbrzymich źródeł energii elektrycznej o napięciu dotąd nie stosowanym, co niewątpliwie wywoła zjawiska promieniowania na wielką skalę potężnych mas skorupy ziemskiej, a w pierwszym rzędzie może spowodować rozpad atomowy resztek rud uranowych, jakie jeszcze zostały na Globie. Wówczas ogromne połacie Ziemi zostałyby zamienione w gorejące piekło, a miliony istnień ludzkich poniosłyby śmierć...

Dyrektor Brisbane ostrzegł jeszcze, że silniejsze promieniowanie materii ziemskiej, jakie może się wytworzyć pod wpływem bombardowania przez wielkie strumienie elektronów, płynących od Biegunów, może zabić wszelkie życie w ogóle i zbliżenie Ziemi do Słońca będzie wówczas przysłowiowym kadzidłem dla umarłego.

Odpowiedzi na zarzuty dyrektora Brisbane udzielił jego kolega z Instytutu Fizyki Jądrowej w Norbant, Duńczyk Halsen, wyjaśniając, że obawy jego są płonne, gdyż w Pałacu

Wiedzy poczyniono potrzebne doświadczenia, które nie potwierdzają przewidywanych przez niego zjawisk sztucznego promieniowania, ponieważ strumienie elektronów, wyrzucane z tak olbrzymią siłą, będą jakby przepływać przez materię, nie przenikając do wnętrza atomów, powodując tylko jonizację warstwy zewnętrznej.

Ponieważ podnoszone dotąd zarzuty nie wytrzymały autorytatywnej krytyki, pozostali przeciwnicy projektu zaniechali dalszej dyskusji. Wobec takiej sytuacji przewodniczący udzielił głosu nestorowi fizyków atomowych i zarazem prezesowi Najwyższej Rady Geniuszy, siwowłosemu Rajmundowi Parten. Wiadomym było, że Parten posiadał dziesięć doktoratów, znał dwadzieścia kilka języków i nie przyznawał się do żadnej narodowości, nazywając siebie obywatelem świata. Był człowiekiem naturalnie urodzonym i najstarszym wiekiem w Radzie. Poza tym był aktywnym członkiem wszystkich poważniejszych instytucji naukowych i kilkakrotnie brał czynny udział w ekspedycjach na Wenus.

Gdy czcigodny prezes stanął na podium obok trybuny przewodniczącego, doktora Zibellusa, ten ostatni zbliżył się doń i z szacunkiem uściśnął mu rękę. Fala światła utrwaliła tę krótką scenę spotkania dwóch sławnych mężów nauki na ekranie radiotelewizyjnym Centralnej Stacji w Norbant i przekazała wszystkim stacjom Globu, stwarzając nastrój uroczystej powagi. Parten odwrócił się na chwilę w stronę, gdzie siedział Marek Fantom i skinął mu przyjaźnie głową, na co ten odpowiedział głębokim ukłonem. Sala zagrzmiała oklaskami, po czym Parten przemówił, ważąc każde słowo:

— Dostojni mężowie i szanowni koledzy! Nadeszła chwila, kiedy należy zdecydować, czy pragniemy szczęścia tych, którzy przyjdą po nas, by prowadzić dalej dzieło rozkwitu kultury i cywilizacji świata Atomowej Ery, czy też mamy być pogrobowcami tej wspaniałej epoki, która nie miała równej w historii ludzkości. Stanęliśmy przed dylematem: albo wyeksploatujemy resztę złóż uranu i innych surowców rozszczepialnych, będących w naszej dyspozycji, do produkcji energii atomowej i staniemy przed katastrofą zniszczenia naszych niezwykłych osiągnięć, albo też zdecydujemy się na wielki eksperyment zbliżenia Ziemi do Słońca, by uwolnić się na wieczne czasy od grożącej nam zagłady naszej cywilizacji, ponieważ energia, jaką otrzymujemy ze Słońca w najrozmaitszej postaci oraz z promieniowania kosmicznego jest niewystarczająca dla podtrzymania sztucznych klimatów w Europie i na innych kontynentach. Nie wystarczy ona na dłuższą metę na oświetlenie naszych wspaniałych miast podziemnych i zapewnienie komunikacji w powietrzu, a cóż dopiero do utrzymania obecnej stopy życia, nie mającej równej w dziejach ludzkości, co przecież jest naszą prawdziwą chlubą i stanowi przedmiot naszej słusznej dumy...

Fantom spoglądał na skupione twarze zgromadzonych i uśmiechał się nieznacznie. Parten bronił jego sprawy.

— ...A ponieważ złoża rud uranowych są już na wyczerpaniu i mogą wystarczyć przy obecnym zużyciu zaledwie na dziesięć lat, przeto nie pozostaje nam nic innego, jak zgodzić się na projektowane przesunięcie naszej planety o kilka sekund światła w kierunku Słońca. Gdy cel ten osiągniemy, wówczas zaoszczędzimy olbrzymie masy energii, gdyż Słońce ogrzeje nam w sposób bezpośredni i naturalny te tereny, gdzie obecnie podtrzymujemy sztuczne klimaty. Nadwyżka ciepłoty, jaka powstanie na skutek intensywniejszego promieniowania energii słonecznej, szczególnie w pasie równikowym, zostanie zamieniona na energię elektryczną i inną i sprawi, że pustynne jeszcze tereny zakwitną nowym życiem, a noc podbiegunowa zajaśnieje blaskiem nowego dnia.

Liczne brawa i oklaski zagłuszyły na chwilę jego słowa. Gdy się uspokoiło, ciągnął dalej:

— Czcigodni koledzy! Jeśli chcemy uniknąć powszechnej katastrofy, musimy iść naprzód, do zbawczego światła, do Słońca, i nie wolno nam się cofnąć z obranej drogi. Dlatego też wypowiadam się za realizacją projektu przesunięcia orbity ziemskiej...

Przemówienie Rajmunda Partena nagrodzono burzą oklasków, która jak szum wodospa-

du przeciągnęła przez salę. Prezes Najwyższej Rady Geniuszy odpowiedział lekkim skłonem głowy i w majestacie powagi najstarszego męża nauki opuścił podium.

Ponieważ nikt już z obecnych nie zgłosił się do dalszej polemiki, przewodniczący zarządził głosowanie. Trwało ono kilka sekund, ponieważ każdy z delegatów miał przy swoim stoliku trzy przyciski elektryczne z napisami: za wnioskiem — przeciw wnioskowi i wstrzymanie się od głosu. Naciskając jeden z nich, przekazywał swój głos wraz z innymi na ekran telewizyjny, gdzie został automatycznie zsumowany z odpowiednią grupą.

Przewodniczący doktor Zibellus, odczytał głośno liczby na ekranie: za wnioskiem padło dwieście piętnaście głosów, przeciw — siedemdziesiąt dwa. Dwudziestu trzech delegatów wstrzymało się od głosu. Ponieważ dla ważności uchwały, zgodnie z regulaminem Najwyższego Kolegium, potrzebna była aprobatą dwóch trzecich ogólnej liczby członków, projekt został zatwierdzony przez najwyższy autorytet nauki. Ale dopiero po ostatecznym zatwierdzeniu go przez Parlament Świata miał się stać prawomocny i gotowy do realizacji. A ponieważ jak dotąd żaden Parlament Świata nie sprzeciwił się uchwale Mędrców z Norbant, można było już przyjąć za pewne, że nowa idea zwyciężyła.

Podczas przerwy sala obrad opustoszała. Zapełniły się kuluary i przyległe pokoje rekreacyjne. Niektórzy, jak Fantom, doktor Zibellus, Rajmund Parten i inni, wyjechali windą na najwyższy taras od południowej strony, by zażyć kąpieli słonecznej i sycić się malowniczą panoramą tej części Alp.

Stanęli, patrząc na dalekie, ośnieżone wierzchołki gór, ginące w obłokach fioletowej mgły. Doktor Zibellus spoglądał w zamyśleniu na odległe szczyty Alp i cień smutku zgasił blask jego oczu. Fantom, patrząc na niego, starał się odgadnąć bieg jego myśli. Ale żaden nerw nie drgnął na twarzy wielkiego rewitologa.

W pewnej chwili Zibellus oderwał znieruchomiały wzrok od górskiego krajobrazu i zagadnął:

— Drodzy przyjaciele! Obawiam się, że świat w nowej epoce, która uchwałą Najwyższego Kolegium narodziła się dziś, straci wiele ze swego kolorytu i piękna, które leży w kontrastach i półcieniach. O, na przykład szczyty, osnute welonem fioletu i błękitu na tle ostro odcinającej się bieli śnieżnej. Gdy słońce stopi wieczne śniegi, i woda opadnie w doliny, góry staną się szare i nieciekawe, jak zamarłe w swojej surowej nagości...

— Myli się pan, przyjacielu — zaoponował Rajmund Parten. — Romantyczna wizja nie zastąpi nigdy ogromnych korzyści w postaci nowego źródła energii i dobroczynnego promieniowania nowego światła i ciepła.

— O tym zadecyduje ostatecznie Parlament Świata dzisiaj wieczorem. Uważam, że w takiej chwili, gdy chodzi o los naszej planety i całej ludzkości, nie wystarczy decyzja Najwyższego Kolegium...

— Byłoby niepowetowanym szaleństwem, szanowny kolego — zareplikował Parten gwałtownie, prawie szorstko — gdyby deputowani Parlamentu Świata sprzeciwili się naszej uchwale. Chyba nie zechcą światli przedstawiciele rządów federacyjnych zasłużyć na miano grabarzy kultury i cywilizacji?

— A jednak są sprawy wielkiej wagi, których biegu rozum ludzki nie zdoła przewidzieć — zauważył chłodno Marek Fantom.

— Nie rozumiem, co szanowny kolega ma na myśli? — zapytał nie bez zdziwienia Rajmund Parten.

— Dowiedcie się, moi panowie, z drugiej części mego przemówienia, które wygłoszę po przerwie. Czas wracać na salę obrad.

Złożył ukłon w stronę skonsternowanego tym doświadczeniem prezesa Najwyższej Rady. Doktor Zibellus, zapatrzony w słoneczny krajobraz górski, zdawał się nie słyszeć ostatnich słów Fantoma.

Gdy wrócili na salę, większość delegatów była już na swoich miejscach. Za pięć minut

miały się rozpocząć dalsze obrady. Marek Fantom był pierwszym wpisanym na listę mówców. To przemówienie postanowił wygłosić osobiście przed areopagiem mędrców, gdyż przewidywał momenty bardzo burzliwe, które mogłyby wymagać bezpośrednich wyjaśnień.

Gdy przewodniczący zagaił drugą część obrad, Fantom stanął na podium i objął wzrokiem zgromadzonych. Powitał go grzmot oklasków i okrzyki:

— Niech żyje Marek Fantom, budowniczy Nowego Świata!...

— Sława i cześć wielkiemu badaczowi!...

Fantom czuł wzbierającą w sobie falę wzruszenia. Coś chwyciło go za gardło. Chciał przemówić, podziękować w serdecznych słowach, ale żadnego dźwięku nie mógł wydobyć ze ściśniętej krtani. Zresztą w tej chwili nikt by go nie usłyszał. Stał, opierając obie ręce o gładką krawędź stolika, i kłaniał się, pochylając tors to w jedną, to w drugą stronę. Ponieważ owacja przeciągała się, przewodniczący kazał włączyć stację „poławiaczy dźwięków” i w jednej chwili zapanowała niczym nie zmacona cisza.

Poławiacze dźwięków był to aparat pozwalający na wyławianie fal głosowych, zakłócających spokój. Gdy nastała cisza, Fantom zaczął mówić:

— Dostojni koledzy i obywatele świata! Jestem głęboko wzruszony waszą życzliwością i uznaniem dla wyników mojej skromnej pracy. Mogę was zapewnić, że będę pracował niezmiernie nad doskonaleniem osiągniętych już rezultatów moich dociekań w dziedzinie budowy jądra atomu oraz natury poszczególnych jego elementów składowych. Również wykonam ściśle zalecenia Najwyższej Rady w sprawie uchwalonego dzisiaj projektu przesunięcia orbity Ziemi po jego zatwierdzeniu przez Parlament Świata. Pozwolę sobie jednak postawić jeden wniosek, będący jednocześnie apelem i prośbą do was, dostojni mężowie. Chodzi mi o waszą zgodę na zaprzestanie produkcji ludzi U S w naszych instytucjach elektrobiologii stosowanej...

Umilkł i powiódł wzrokiem dokoła. Na sali zapanowało poruszenie i... cisza. Dopiero po chwili dały się słyszeć urywane rozmowy i wykrzykniki. Potem ktoś poprosił o głos. Przewodniczący uczynił ręką zapraszający gest. Na podium wszedł Mr Cezary Charles, delegat amerykańskiej Ligi Postępu i oświadczył:

— Mimo wielkiego uznania dla niepospolitych zasług Marka Fantoma w dziele postępu cywilizacji naszej Ery Atomowej, jak również osobistej sympatii dla genialnego fizyka — (tu złożył pełen estymy ukłon w stronę stojącego obok Fantoma), — jestem przeciwny wstrzymaniu produkcji ludzi U S, ponieważ powzięcie takiej decyzji przez Radę znaczyłoby nie tylko zahamowanie i unicestwienie wszelkiej naukowej i odkrywczej myśli, ale co gorsze, równałoby się cofnięciu naszej wspaniałej cywilizacji i kultury do epoki totalnych wojen. Nie po to nauka i wiedza ludzka wszystkich czasów zdobywa w takim trudzie doświadczenia, które dźwigają ludzkość na wyższy szczebel kulturalnego rozwoju, by samobójczą ręką niszczyć to wszystko i cofać się...

Liczne oklaski przerwały na chwilę jego przemówienie. Ale poławiacze dźwięków poszły w ruch.

— ...Wnioskowi Marka Fantoma przeciwstawiam się — kończył Mr Cezary Charles — i proszę szanownego wnioskodawcę o podanie przyczyn, które skłoniły go do wysunięcia tego żądania.

Zakręcił się w miejscu i oddawszy ukłon przewodniczącemu, zniknął gdzieś w dalszych rzędach.

Marek Fantom powstał i nawiązując do słów Mr Charlesa, powiedział:

— Z największą ochotą wyjaśnię wam, dostojni koledzy, jakie powody skłoniły mnie do zajęcia takiego stanowiska. Istoty ludzkie, o których mowa, są, jak wiemy, owocem wielkiego eksperymentu naukowego w dziedzinie elektrobiologii i z małymi wyjątkami są oni głęboko nieszczęśliwi, gdyż eksperyment ten to poroniony płód nauki...

Na sali dał się słyszeć szum, przechodzący chwilami w głośny pomruk. Ale Fantom, nie



zrażony tym, mówił dalej:

— Dlatego poroniony, że przedwczesny, że niedoskonały. Gdy inżynier wybuduje precyzyjną maszynę i ta nie spełni swego zadania, do jakiego została przeznaczona, mówią, że konstruktor popełnił jakiś błąd. Ale gdy nasze instytuty elektrobiochemii stosowanej tworzą nowe życie w milionach retort i życie to, gdy otrzymuje ludzki kształt i ludzki sposób odczuwania świata, jest wyrazem melancholii, depresji i cierpienia — to cóż mamy powiedzieć o tych, co powołują ich do życia ze świata obojętnej i bezbolesnej materii? Pijani triumfem wiedzy, o władni szaleńca tworzenia życia w sposób dotychczas nie znany, a olśniewający swoją nowością, zapomnieli o naczelnym przykazaniu moralnym: nie wolno zadawać cierpienia!

Fantom wstrzymał oddech, jakby czekał na echo własnych słów. Z głębi dały się słyszeć pojedyncze głosy, potęgujące hałas. Ktoś z delegatów powiedział głośno: — Ależ on oskarża naukę!

Na ekranie telewizyjnym zjawił się świetlny napis: „Proszę o głos”, a pod nim nazwisko delegata: prof. Amon Lenois — dyrektora Paryskiej Kliniki Chirurgii Psychiczej. Na sali powstała wrzawa. Tu i ówdzie rozległy się okrzyki: — Prosimy profesora Lenois!...

Przewodniczący, doktor Zibellus, włączył znowu poławiacze dźwięków, by przywrócić spokój. Po czym przyjaznym spojrzeniem zachęcił Fantoma do kontynuacji swego przemówienia. Fantom podjął je z wielką powagą i determinacją:

— Ktoś z szanownych kolegów rzucił mi wręcz, że oskarżam naukę. To jest mylna interpretacja moich słów. Nie oskarżam nauki, będącej w swojej istocie sumą poznanych praw, które rządzą życiem i materią, ale jako jeden z tych, co wydzierają naturze coraz to nowe tajemnice, mam prawo żądać od was, dostojni mężowie, aby nauka uczyniła człowieka szczęśliwszym, a nie potęgowała cierpienia przez to, że powołuje do życia istoty, obciążone już z góry kompleksem nie znanych nam jeszcze bliżej aberracji psychicznych. Te właśnie odchylenia psychobiologicznej natury są podłożem dla rozwijającej się stopniowo pandemii psychicznej, zwanej histeriozą powrotną. To straszne cierpienie, nie znane człowiekowi U N, jest wyłącznie cierpieniem ludzi U S i przyczyną ich masowych samobójstw. Protestuję przeciwko dalszej, bezcelowej produkcji tych nieszczęśliwych istot, gdyż nie chcę być współwinnym straszliwej zbrodni naszej epoki!...

Marek Fantom musiał przerwać dalszy tok swoich wywodów, gdyż powstała taka nieopisana wrzawa, jakiej wielka, rotundowa sala Fizyki Stosowanej dotychczas nie była świadkiem. Przewodniczący wstał ze swego miejsca na podium i nerwowo bębnił palcami po stole. Rozległy się znowu okrzyki: „Niech mówi profesor Lenois!” — Równocześnie na ekranie telewizyjnym pojawiły się z błyskawiczną szybkością napisy: „Prosimy prof. Lenois o zabranie głosu” lub: „Marek Fantom dezawuuje Radę”.

Gdy poławiacze dźwięków przywróciły spokój, profesor Lenois wstał ze swego miejsca i ruszył trochę chwiejnym krokiem w kierunku podium. Fantom usiadł obok trybuny przewodniczącego i z zaciśniętą nerwowo dolną szczęką czekał na dalszy rozwój wypadków.

Profesor Lenois stanął na podwyższeniu dla mówców i rozglądał się wokoło z pewnym zakłopotaniem. Był to wysoki, szczupły, jeszcze młodo wyglądający mężczyzna o pociągłej, wąskiej twarzy i potężnym, orlim nosie. Oddał ukłon w stronę przewodniczącego, potem skłonił się audytorium i odchrząknawszy kilka razy, jakby bał się tremy, zaczął mówić lekko i niepewnie:

— Czcigodni mężowie! Mój szanowny przedmówca poruszył problem niezwyklej wagi: czy osiągnięcia nauki należy wcielać w życie, choćby wyniki praktyczne nie osiągnęły jeszcze swojej ostatecznej, optymalnej doskonałości, czy też należy czekać, czyniąc doświadczenia, aż ten najwyższy szczebel doskonałości zostanie osiągnięty. Jestem zupełnie innego zdania, aniżeli mój wielce szanowny kolega, Marek Fantom. Najmłodsza ze wszystkich nauk, elektrobiochemia, powstała dopiero lat temu kilkadziesiąt, gdy człowiek odkrył tajemnicę

powstania żywego białka. W huku pękającego jądra pramaterii i błyskawicy nowego ognia, gorętszego niż słońce, ujrzał Prometeusz naszych czasów tajemnicę tworzenia życia z martwej, nieożywionej materii i tajemnicę tę przekazał nam, ludziom Atomowej Ery, abyśmy stworzyli nową cywilizację. I jak kiedyś szlachetni Grecy przyjęli ogień, przyniesiony z Olimpu, a skradziony bogom, tak my przyjęliśmy dar bogów z atomowej góry Uranum i stworzyliśmy nową, nie znaną dotąd istotę, człowieka U S. Szlachetni mężowie! Każda nowa nauka, jeśli ma służyć dobru powszechnemu, przechodzi okresy prób i doświadczeń, nieraz bardzo bolesnych, ale przecież nic, co żyje, nie jest nigdy skończone...

Oklaski i brawa przerwały wypowiedź profesora Lenois. Po chwili ciągnął dalej pewniejszym już głosem:

— Zgadzam się z tezą przezacnego kolegi Fantoma, że ludzie U S cierpią nieraz katusze psychiczne, i wierzę mu, bo i on sam, choć jest obdarzony genialnym umysłem, należy także połowicznie do tej wielkiej, bezimiennej rodziny ludzi, powołanych do życia przez naukę. Ale wiedza, nauka czynią wszystko, aby złagodzić cierpienia tych ludzi i znaleźć przyczynę ich cierpień. Powiem więcej: jesteśmy już na tropie tej choroby, której sprawcami nie są ani zjadliwe bakcyle, ani też tajemnicze wirusy, ale nieco inne wiązania atomów węgla w białku ich organizmu. Przyroda potrzebowała wiele milionów lat, aby wytworzyć człowieka w swojej skomplikowanej retorcie takim, jakim jest obecnie, dozwalając mu zakosztować wszystkich form biologicznego istnienia w długim procesie ewolucji. My, ludzie Atomowej Ery, stworzyliśmy sztuczne życie ludzkie w ciągu zaledwie jednego pokolenia. To był prawdziwy cud i największy triumf ludzkiego geniuszu. Nie wymagajmy zbyt wiele, ale idźmy z wiarą i szlachetnym uporem na spotkanie lepszego, doskonalszego człowieka aniżeli ten, którego stworzyła natura w swojej leniwej i astronomicznie długiej pracy, pełnego niepokoju, lęku i nie ukojonej nigdy tęsknoty. Nie wolno zatrzymać biegu tej sprawy, jak nie wolno zatrzymać biegu Ziemi, gdyż groziłoby to nieuniknioną katastrofą. Z tych też powodów jestem przeciwko zaprzestaniu produkowania w retortach ludzi U S.

Profesor Lenois został nagrodzony rześzystymi oklaskami przez wyraźną większość delegatów. Fantom widział to i postanowił zabrać głos jeszcze po raz ostatni. Może jednak uda mu się przekonać Zgromadzenie o słuszności swojej tezy, a gdy i to nie odniesie skutku, użyje jeszcze jednego, ostatecznego argumentu: zagrozi katastrofą kosmiczną.

Podał sygnał na ekran: „Chcę mówić”. Sala grzmiała jeszcze oklaskami na cześć profesora Lenois, ale już bateria poławiaczy dźwięków poszła w ruch. Doktor Zibellus udzielił mu głosu.

— Szlachetni mężowie! Jeszcze raz odwołuję się do waszych wielkich umysłów i do waszych serc. — Głos jego był twardy i nieustępliwy, choć dźwięczny jak spiż. W jego zimnych oczach zapaliły się iskry gniewu czy buntu. — Profesor Lenois starał się was przekonać, że nauka ma prawo zadawać cierpienia w imię postępu i nowej cywilizacji, aby doskonalić się w ten sposób i w ogniu męki jednych szukać nowej prawdy dla innych, budując w końcu istotę doskonalszą od człowieka U N. Nic bardziej fałszywego, dostojni koledzy. Zapytuję was — kto nauce dał takie prawo? Wszak naukę stworzył człowiek i nie może przypisywać jej innych praw, niż te, które regulują stosunki między ludźmi i zabraniają znęcać się człowiekowi nad człowiekiem, choćby czynił to pod płaszczykiem najbardziej fascynującej idei. Nie widzę różnicy między człowiekiem U N i U S. Jeden rodzi się w sposób ustalony przez naturę, drugi zaś powstaje z takiej samej cząstki żywej materii, którą geniusz ludzki odtworzył, skopiował wiernie, układając misternie atom po atomie z materii nieożywionej w takich stosunkach i proporcjach, jak to czyni przyroda według nieomylnych zasad i reguł w swojej niez mordowanej kuźni życia. I chociaż prawo naszej ery jest jednakowe dla wszystkich, nie czyniąc istotnej różnicy między człowiekiem urodzonym naturalnie i człowiekiem U S, to jednak ludzie ci odczuwają na każdym kroku swój kompleks niższości w stosunku do tych, którym życie dała natura, pozwalając im subtelniej, głębiej i radośniej odczuwać piękno

i łaskę życia anizeli im, urodzonym w retortach elektrobiokhemików...

Fantom przerwał, gdyż gwar na sali wzmoął się do tego stopnia, że nie słyszał echa swoich słów. Gdy przewodniczący przywrócił spokój, Fantom podjął przerwana myśl:

— Oświadczam wam, dostojni mężowie, w imieniu tych milionów nieszczęśliwych, że nie dopuszczę do popełniania w dalszym ciągu tej strasznej zbrodni, i proszę o natychmiastowe wstrzymanie produkcji ludzi U S, gdyż w przeciwnym razie użyję siły!...

Na sali zapanowała śmiertelna cisza, jakby ponad głowami zebranych przeciągnął tajfun. Marek Fantom przestraszył się własnych słów. Doktor Zibellus skierował na niego pełne zakłopotania spojrzenie i zakrył dłońmi twarz. Upłynęło może kilka sekund, nim zerwała się burza. Do uszu Fantoma doleciały pełne oburzenia okrzyki i inwektywy:

— Ależ to szantaż! Jak on śmie! Bezczelność!

Zamieszanie i tumult wzmagaly się. Wielu delegatów powstało z miejsc, wygrażając pięściami w stronę podium. Okrzyki stawały się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej niepoahamowane, brutalne, natarczywe.

— Nie uznajemy szantażu i gwałtu! Żądamy wykluczenia Marka Fantoma z Kolegium Genialnych! To skandal!

Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby przewodniczący, doktor Zibellus, nie zorientował się w lot w sytuacji. Widząc, że zanosi się na niebywałą awanturę, która może zdyskredytować Radę w opinii całego świata, postanowił nie dopuścić do tak haniebnej kompromitacji. Wstał i podniósłszy obie ręce do góry, czekał, aż przycichnie wrzawa. Umyslnie nie włączył pochłaniaczy dźwięków, gdyż wiedział już, że tylko jego osobista interwencja może zażegnać burzę. Cieszył się tak wielkim szacunkiem i uznaniem, że mógł liczyć na posłuch. I rzeczywiście, po krótkiej chwili zapanowała zupełna cisza. Wtedy wstał ze swego podwyższenia i oznajmił przez tembrefon:

— Szanowni członkowie Kolegium! Posiedzenie jeszcze trwa i proszę o zachowanie spokoju. Sprawa jest zbyt wielkiej wagi i dlatego apeluję do was, szanowni koledzy, nie dajcie się sprowadzić z drogi obiektywnej prawdy, choćby ta prawda wydała się wam okrutna i raniła waszą dumę. Tu chodzi o przyszłość świata, o szczęście lub zagładę wszystkich mieszkańców naszej planety, więc sprawy małe, własne, muszą ustąpić miejsca sprawom wielkim, ogólnoludzkim.

Kilka oklasków zatrzepotało na sali. Dał się słyszeć gwar rozmów. Ktoś zawołał: „Fantom obraził Najwyższe Kolegium! Żądamy skreślenia go z listy członków Zgromadzenia!...”

Doktor Zibellus tłumaczył tonem mediatora:

— Nie przeczę, szanowni obywatele, że zachowanie się Marka Fantoma w czasie polemiki było co najmniej dziwne, ale przyznacie sami, że jego postulaty zasługują, aby im więcej poświęcono czasu i uwagi. Czy produkować w naszych instytutach elektrobiokhemicznych ludzi U S, to moim zdaniem, problem nie mniejszej wagi niż zagadnienie przesunięcia orbity ziemskiej. Z tych względów należy wniosek Marka Fantoma poddać pod głosowanie Rady.

Na sali zakotłowało się znowu i słyhać było głosy sprzeciwu. Kilka rąk podniosło się do góry z głośnym okrzykiem:

— Nie! nie! nie będziemy głosować nad wnioskiem, który chce cofnąć cywilizację do epoki barbarzyństwa!

Marek Fantom, nie czekając, aż któryś z delegatów zabierze głos, zwrócił się do przewodniczącego z zapytaniem, czy może mówić.

— Zgadzam się koledze udzielić głosu pod warunkiem, że nie będzie używał obraźliwych zwrotów, godzących w honor i powagę naszego Zgromadzenia — odparł doktor Zibellus.

Fantom powstał i oświadczył spokojnie, ale z nutą lekkiej ironii w głosie:

— Szanowni delegaci! Usłyszałem przed chwilą gorzkie wyrzuty i słowa oburzenia pod moim adresem. Stało się to dlatego, że miałem odwagę powiedzieć wam prawdę, taką, jaka

ona jest, a więc wolną od retuszu kłamstwa i hipokryzji..

Mimo wzmagającej się wrzawy polemizował w dalszym ciągu:

— Żądacie wykluczenia mnie z grona genialnych, zapominając, że w moim ręku są klucze do otworzenia nowej epoki w dziejach ludzkości. Ja dźwignę Glob ku Słońcu, jeśli będą się na nim rodzić ludzie szczęśliwi, lub zniszczę naszą planetę, a wraz z nią tych wszystkich, dla których śmierć jest wybawieniem od cierpień. Wraz z nimi zginiecie i wy, dostojni mężowie. Poniesiecie karę za to, że z nauki uczyniliście narzędzie zbrodni!...

Musiał przerwać w tym miejscu, gdyż na sali powstała piekielna wrzawa, a zewsząd dały się słyszeć okrzyki: „Zbrodniarz! Morderca! Unieszkodliwić go!”

Doktor Zibellus uniósł się przy swoim stole i włączywszy gwałtownym ruchem pochłaniacze dźwięków, krzyknął przez tembrefon:

— Panowie!... proszę o ciszę!

Głos jego, powiększony wielokrotnie, zagrział jak straszliwa groźba. Sala umilkła i Marek Fantom mówił dalej:

— Mówicie: zbrodniarz. Być może. Ale w zasięgu waszej moralności, światli mężowie, nie mieści się już inna zbrodnia, którą wy popełniacie rzekomo dla dobra nauki, dla dobra ludzkości. Moja moralność ma inny aspekt: posiada cieplejszy klimat i bardziej rozległą perspektywę widzenia rzeczy przyszłych. I jeśli popełnię największą zbrodnię w dziejach świata jakbyście to nazwali, to mam prawo to uczynić. Prawo do zniszczenia Globu i decydowania o losach świata i ludzi daje mi moja wiedza i mądrość, jakiej nie posiadał dotąd żaden człowiek U N...

Na sali słyhać było gdzieś głośne śmiechy, ale spokój nie został zakłócony. Fantom, nie zrażony tym, polemizował coraz gwałtowniej i zacieklej:

— Skoro waszą wolą ma zostać cierpienie na ziemi, ma się potęgować jeszcze na skutek tworzenia coraz to nowych milionów nieszczęśliwych istot o ludzkich kształtach, to czyż nie lepiej będzie, gdy jednym uderzeniem gromu życie przestanie istnieć, oddając materii to, co od niej wzięło?...

— Szalencie! — doleciał go gdzieś z głębi sali jadowity, syczący głos.

— ...Bo cóż to jest życie, jeśli nie pewna forma przemiany energii pozaatomowej, na skutek szczególnego powiązania w ciałach białkowych, bez szkody i pożytku dla ciągłości bytu samej materii, która jest prapoczątkiem i końcem wszystkiego. Dlatego może ono przestać istnieć, jak nie istniało miliardy lat temu i jak nie będzie prawdopodobnie istniało za miliardy lat w świecie dostępnym naszej obserwacji. Będę więc nie zbrodniarzem, jak mi imputujecie, zacni mężowie, lecz katalizatorem tej wielkiej reakcji, która zamieni Ziemię i was wszystkich w obłok gazowy, wyzwalaając luźne atomy do pierwotnego, wolnego stanu w temperaturze Słońca...

— ...Nie miejcie do mnie żalu, czcigodni mężowie, jeśli taki będzie finał tej naszej dzisiejszej kontrowersji. Jako człowiek U S, powstałem z waszej woli, jestem emanacją waszego mózgu, gdyż nie kto inny, tylko wy daliście mi życie i uzbroiliście mój umysł w oręż waszej wiedzy i mądrości. Dlaczego więc nazywacie mnie zbrodniarzem, skoro posługuję się waszą bronią, którą daliście mi w sposób uważany przez was za najlepszy? Dotychczas byłem wam posłuszny. Nie uczyniłem niczego, co sprzeciwiałoby się waszej woli, sądząc, że sami rozumiecie swój błąd i będziecie usiłowali go naprawić. Był czas, że ufałem błędnym teoriom waszej nauki. Potem poszedłem własną drogą, wydzierając tajemnice naturze, by uszczęśliwić wszystkich ludzi na Globie. Niestety, przeszkadzaliście mi, tworząc miliony nieszczęśliwych U S. Postępując tak, doprowadzilibyście świat do zguby, zadając mu przedtem morze cierpień. Ja uwolnię świat od tego cierpienia, pogrążając go w mroki śmierci, z której, być może, narodzi się lepszy, jaśniejszy byt, który powstanie znowu kiedyś, może za miliardy lat, na drugim krańcu Galaktyki. Dlatego nie boję się umrzeć, wierząc, że życie odrodzi się, lepsze i szczęśliwsze. Lecz wy, których zmysły zdolne są w pełni ogarnąć radość życia, szczególnie

tutaj, w słonecznej stolicy świata, mieście Norbant, gdzie kwiaty nie opadają z drzew, a uśmiechów nie maści grymas bólu, otoczeni wszelkim dobrem, jakie stworzyła cywilizacja naszej epoki, zamknięci jak pszczoła w kwietnym kielichu z nektarem, nie jesteście w stanie zrozumieć ogromu bólu i tragedii ludzi U S. I nie zrozumiecie tego nigdy, bo to jest krzyk nie narodzonej duszy...

Po tych słowach Marka Fantoma powstało zamieszanie i niehumanitarna wrzawa. Członkowie Najwyższego Kolegium poczęli w sposób niekulturalny gwizdać, wyć, bić rękoma w pulpity stolików, tupać nogami, a niektórzy zaczęli rzucać w kierunku niefortunnego mówcy różnymi przedmiotami, nie wyłączając okularów, kieszonkowych radioteleriksów i kontaktów elektrycznych. Przewodniczący z wyrazem przerażenia na twarzy rozglądał się bezradnie wołał, jakby już się zaczął zapowiedziany przez Fantoma koniec świata.

Tymczasem sprawca tego gorszącego zajścia wyszedł niepostrzeżenie wśród ogólnego zamętu z rotundowej sali Fizyki Stosowanej i skierował swoje kroki na obszerny, zadrzewiony dziedziniec Pałacu Wiedzy. Nikt go nie śmiał zatrzymać, gdyż nie było już w tych czasach policji ani też uzbrojonej gwardii. Zresztą był zasłużonym i poważnym mężem nauki i wszędzie okazywano mu cześć i szacunek. Spokojnie i z podniesioną dumnie głową wszedł do swego domu, gdzie czekali na niego zaufani i oddani mu ludzie.

— Kości rzucone!... — powiedział, zacisnąwszy pięści i opadł ciężko na fotel. A gdy ochłonął nieco, sięgnął po radioteleriks i połączywszy się ze Stacją Centralną, nadał na umówionej fali komunikat tej treści:

— Do wszystkich placówek U S na Globie. Zająć posterunki, opanować centralne stacje, wzmocnić straż na stacjach magnetycznych. Akcja „S” rozpoczęła się. Czekać na dalsze zlecenia. Fantom.

Po dziesięciu minutach nadeszła tą samą drogą odpowiedź od inżyniera Etkinsa ze Stacji Magnetycznej „A” na Biegunie Północnym. W okienku telewizora ukazała się jego roześmiana twarz i dał się słyszeć suchy, urywany głos:

— Halo!... To ty, Marku? *All right!* Czuwamy. Materiał przygotowany. Przyjeżdżaj. Etkins.

Fantom odetchnął z ulgą. O Biegun Południowy był także spokojny. Profesor Aksimow wraz z zaufanymi ludźmi nie pozwolił się zaskoczyć. Będą czuwali. Przed odlotem do Norbant zostawił im dokładne instrukcje i pouczył, jak należy obchodzić się z aparatami, strzelającymi ładunkami elektrycznymi systemem falowym na odległość setek kilometrów w wypadku, gdyby zostali zaatakowani przez ludzi U N.

A więc wojna — pomyślał. — Ostatnia wojna w dziejach świata...

Marek Fantom przemierzał swój gabinet wolnym krokiem, przystając co chwilę i myślał gorączkowo nad wytworzoną sytuacją. Wojna... Po jednej stronie on i wierni mu ludzie U S, dysponujący potężną bronią, którą można zabić połowę ludzkości albo zniszczyć Glob, a po drugiej...

To jednak straszne. Potężna broń, o jakiej nikt jeszcze dotąd nie słyszał, choć na pozór taka niewinna. Zabawka... A co najciekawsze, że wynalazek tej broni zawdzięcza doktorowi Zibellusowi! Oh! Gdyby on wiedział, do jakiego celu będą służyły owe pociski elektryczne, owe tajemnicze ładunki „P 47”, które udało mu się wytworzyć na podstawie badań słabiu-tkich prądów elektrycznych, które kierują pracą ludzkiego serca.

Zibellus pomierzył dokładnie te napięcia i ustalił źródło ich powstawania. Potem zmierzył długość skurczu elektrycznego, a także pole elektromagnetyczne, wytwarzane przez te mikroprądy. Fantom, opierając się na tym, zbudował wyrzutnie ładunków elektrycznych o takiej samej długości fali, które powodowały krótkie spięcia prądów czynnościowych, a co za tym idzie, i zanik skurczu elektrycznego, a tym samym paraliż mięśni serca i śmierć. Prawdziwą rewelacją tej nowej broni było to, że nie działała ujemnie na ludzi U S, ponieważ u tych ostatnich magnetyczne pole serca miało inny potencjał.

Podał sygnał załodze torpedostratusa „M 51”, który wylądował na dachu jego willi w Norbant po powrocie z Antarktydy. Za chwilę zjawił się w drzwiach gabinetu pierwszy nawigator.

— Tilmore... startujemy do Bieguna Północnego. Proszę przygotować maszynę i większy zapas izotopów.

— Mistrzu! Maszyna gotowa do lotu od dwóch godzin, a paliwa mamy dostateczny zapas: pięćset dwadzieścia pięć kilogramów czystego U 235 i prawie tyle Plutonu. Starczyłoby tego na Marsa i z powrotem.

— Doskonale. A skąd wiedziałeś, że wystartujemy na północ?

— Byłem tego pewny, panie...

Fantom wyraził zdziwienie, ale Tilmore dodał szybko:

— Słuchałem przebiegu posiedzenia Najwyższej Rady w kabinie radiotelewizyjnej naszego „M 51”.

— Co sądzisz o tym?

— Co ja sądzę, mistrzu? Cha! cha! cha! — zaśmiał się całym ciałem, wyciągnawszy swobodnie ręce w obszernych kieszeniach kombinezonu — trzeba załadować wyrzutnie elektrycznych pocisków „P 47”. Mogą się przydać w drodze...

— Przypuszczam, że będziemy ścigani przez wysłanników Najwyższego Trybunału Obrony Wolności.

— Tego się nie obawiam, gdyż przedstawiciele owej instytucji mają zwyczaj się spóźniać, ale U N mogą nas ubiec i zająć stację magnetyczną, a wtedy co?

— Nie bój się, Tilmore, nie zajmą...

Fantom wziął do ręki elektryczną lunetę, leżącą przed nim na stole obok kryształowego wazonu z hiacyntami i skierował jej wylot w stronę Pałacu Wiedzy. Zmrużył jedno oko i długo regulował odległościomierz. Po chwili mówił jakby do siebie:

— No tak... spodziewałem się. Tajne posiedzenie Rządu. Radzą nad wytworzoną sytuacją. Jest Zibellus, ale siedzi na uboczu, milczący. Jest Mr Cezary Charles i kręci się niespokojnie, a obok niego Rajmund Parten, nadęty pychą, i profesor Lenois, uśmiechający się niepewnie. Są ministrowie Rządu Światowej Federacji z premierem Galmontem, który coś mówi... O! jest i przewodniczący Trybunału Obrony Wolności, Morren...

Patrzył jeszcze przez chwilę, a potem odjął niecierpliwym ruchem lunetę od prawego oka i powiedział do stojącego obok Tilmore'a:

— Wiesz, przyjacielu, wiele dałbym za to, aby usłyszeć, co mówi ten stary oportunist, Galmont...

— To dlaczego nie wynajdziesz, mistrzu, takiego aparatu, aby nie tylko widzieć na odległość, ale i słyszeć?

— Nie przypuszczałem, że będzie potrzebny. Dotychczas wszystko odbywało się jawnie i nic nie ukryło się przed okiem i uchem Centralnej Stacji. Zresztą, to nie jest ważne, co oni mówią, ale co zamierzają uczynić, ażeby przeszkodzić mi w realizacji moich planów. My, ludzie U S, nie cofniemy się przed siłą i gwałtem, prawda Tilmore?

— Nie cofniemy się. Możesz na nas liczyć, mistrzu.

Na twarzy pierwszego nawigatora „M 51” pojawił się triumfujący uśmiech, gdy zapytał:

— A więc, załadować wyrzutnie „P 47”?

— Tak, załadować. Za dziesięć minut wyruszamy na Biegun.

Tymczasem Najwyższa Rada Geniuszy wspólnie z członkami Rządu Światowej Federacji obradowała bez przerwy. Na wniosek Amerykanina, Mr Charlesa wyłoniono komisję do zbadań sprawy Fantoma, która by wspólnie z członkami rządu oraz przy udziale prezesa i dwóch członków Najwyższego Trybunału Obrony Wolności zajęła jasne i zdecydowane stanowisko wobec postawionego przez genialnego fizyka ultimatum na forum Najwyższej Rady Geniu-

szy.

Po kilkugodzinnej, burzliwej debacie, w czasie której wyszło na jaw, że Marek Fantom posiadał wielu zwolenników wśród członków Rady, jak również i między członkami gabinetu, ustalono zgodnie, mimo rozbieżności poglądów w kwestii produkcji ludzi U S, że trzeba za wszelką cenę przeciwdziałać akcji niszczycielskiej Fantoma, by nie dopuścić do zapowiedzianego w ultimatum zniszczenia Globu. W ten sposób wyłoniono jakby sztab generalny, którego głównym zadaniem miało być natychmiastowe i bezzwłoczne przejęcie przez Rząd Światowej Federacji zarządu obydwu stacji magnetycznych na Biegunach, a także stacji przekąźnikowych energii magnetycznej, współdziałających w akcji przesunięcia orbity ziemskiej. Również wszystkie centrale energetyczne, radiotelewizyjne i biura dla Komunikacji Międzykontynentalnej i Międzyplanetarnej miały być obsadzone przez delegatów Rządu ludźmi U N.

Ale było już za późno. Rząd Światowej Federacji i Najwyższa Rada Geniuszy straciły zbyt wiele cennego czasu na dysputy i spory, a kiedy osiągnięto porozumienie w sprawach zasadniczych, większość Centrali Radiotelewizyjnych była już w rękach ludzi U S, którzy posłuchali wezwania Marka Fantoma, gdy ten dał sygnał do rozpoczęcia akcji „S” zaraz po swoim powrocie z pamiętnej sesji Rady w Pałacu Wiedzy.

Ponieważ ani rządy poszczególnych krajów, ani też rządy federacyjne nie posiadały regularnych armii, gdyż nie liczone się już z możliwością wojny, wytworzyła się nader przykra sytuacja dla ludzi U N, gdyż U S byli zawczasu zorganizowani i przystąpili natychmiast do ataku.

Opór U N był bardzo nieznaczny, toteż prawie bez walki oddawali w ręce U S poszczególne centrale, zakłady wytwarzania energii atomowej oraz komunikację. Jedynie tam, gdzie stanowili zdecydowaną większość, jak to miało miejsce w stolicy świata, Norbant, utrzymali w swoim władaniu wszystkie placówki.

Premier Galmont w krótkich słowach zwrócił się do wszystkich ludzi na całym Globie o niedawanie wiary złudnym słowom „zdrajcy ludzkości”, jak nazwał Marka Fantoma, i wezwał do obrony przed atakami U S. Niestety, nie wszyscy mogli go już usłyszeć z tej prostej przyczyny, że większość stacji radiotelewizyjnych znajdowała się w zasięgu władzy ludzi U S, a ci ostami nadawali komunikaty swojego wodza.

Marek Fantom, zadowolony z dotychczasowych osiągnięć, gdyż komunikował się stale, lecąc torpedostratusem na Biegun Północny, ze wszystkimi zdobytymi placówkami na północnej i południowej półkuli, miał za dwie godziny wylądować na terenie Stacji Magnetycznej „A”, ażeby zabezpieczyć tak ważną placówkę strategiczną przed ewentualnym zniszczeniem jej przez ludzi U N.

Jakoż szczęśliwie wylądowali tuż nad potężnym kompleksem budynków stacji, w pobliżu wieży wind. Ponieważ na Biegunie Północnym panowała noc, tereny oświetlały olbrzymie reflektory fluoryzującego światła o żółtej, płomienistej barwie, czyniąc wszędzie jasność równą słonecznej.

Wysiadającego z torpedostratusa wodza U S zniesiono na rękach i dopiero inżynier Etkins zdołał go uwolnić od gwałtownych uścisków. Szli przez zadrzewiony, obszerny park. Rosły tu już dość wysokie drzewa i ozdobne krzewy. Było to możliwe dlatego, że na Biegunie Północnym zaczęto budować stację magnetyczną o całe pięć lat wcześniej niż na Antarktydzie.

Gdy znaleźli się w gabinecie Etkinsa w towarzystwie kilku kierowników stacji generatorów atomowych, Fantom w krótkich słowach opowiedział przebieg burzliwego posiedzenia Najwyższej Rady w Norbant. Okazało się jednak, że wszyscy byli już doskonale zorientowani w sytuacji.

— Moi panowie — mówił Fantom — musimy być przygotowani na to, że w każdej chwili mogą się tu zjawić delegaci Rządu w celu podjęcia zarządu nad Stacją Magnetyczną „A”.

— Poślemy ich najbliższą drogą do nieba — powiedział z ironicznym uśmiechem inżynier Etkins.

— Wiem, że mogę na was liczyć — odparł Fantom z powagą — i wierzę, że cel swój osiągniemy...

— Ludzie U N na pewno ustąpią przed groźbą zagłady, gdyż panicznie boją się śmierci — wtrącił jeden z kierowników sekcji, człowiek U S.

— A ja myślę, że nie ustąpią — dodał twardo Etkins. — Już ja ich znam, są uparci, butni i pewni siebie...

— Masz rację, Etkins, nie ustąpią. Ale spróbować trzeba. Złożę im jeszcze jedno oświadczenie, podając trzydniowy termin. Przedtem jednak przemówię do naszych braci U S z centrali „Północ”.

Wstał i podszedł do aparatury nadawczo-odbiorczej, znajdującej się w gabinecie.

Inżynier Etkins uruchomił instalację radiotelewizyjną i zapowiedział przemówienie Marka Fantoma. Podsunął bliżej ekran telewizora, aby lepiej widoczna była sylwetka wodza ludzi U S, który zaczął od słów:

— Bracia i siostry! Akcja „S” trwa już od kilku dni. Ludzie U N, kierujący losami świata, sprzeciwili się naszym słusznym żądaniom, aby nie powiększać liczby tych, którzy cierpią nie za swoje winy. Jeśli nauka naszej ery ma służyć idei postępu, niech uleczy nas ze strasznej choroby, która jest przekleństwem naszego życia. A jeśli tego nie uczyni, niech zginie razem z nami, niech giną również ci, którzy ją stworzyli. Wiem, że myślicie tak samo jak ja i nie cofniecie się, choćby doszło do walki z ludźmi U N. Być może, że do tego nie dojdzie, o ile kierownicy świata zgodzą się na nasze warunki. Nim zapadnie ostateczna decyzja, bądźmy dla nich wielkoduszni i nie czynmy im krzywdy. W środowiskach, opanowanych przez nas, zostawmy swobodę decyzji. Jeśli zechcą, mogą wracać do swoich. Ci, co chcą zostać z nami, zostaną, ale nie wierzcie im pochopnie, aby nie oszukali was. Placówki, opanowane przez nas, musicie utrzymać. Dostaniecie broń, która zapewni zwycięstwo naszej słusznej sprawie. Bywajcie!

Następnie zwrócił się w krótkich słowach do Rządu Światowej Federacji, Najwyższej Rady Genialnych i wszystkich ludzi U N:

— Zwracam się do was w imieniu setek milionów U S z propozycją pokoju. Macie trzy doby do namysłu. Rozważcie dobrze, zanim poweźmiecie decyzję. Jeśli odrzucicie nasze warunki, zginiecie, gdyż posiadamy broń, wobec której jesteście bezsilni. Mamy nadzieję, że nie dojdzie do walki, jeśli okażecie w tej decydującej chwili potęgę waszego rozumu i wielkość serca. Czekamy...

— No tak. Czekamy — powtórzył inżynier Etkins. — Ale co zrobić z kilkoma tysiącami ludzi U N, którzy nie solidaryzują się z nami. Nawet grożą nam i wymyślają od buntowników...

— Gdzież oni są? — Fantom zrobił zdziwioną minę.

— Tutaj, na Biegunie, w kolonii hydrotechników, niedaleko stacji magnetycznej. Są izolowani i nie wolno im opuszczać terenu. Obawiam się, że mogliby nam zniszczyć stacje ciepłych wiatrów i zamienić nas w bryły lodu.

— Na to się nie zdobędą. Są zbyt tchórzliwi. Ale czy nie będzie lepiej pozwolić im na odjazd do Europy! — Fantom zamyślił się i powiedział jakby z wyrzutem do inżyniera:

— Nie możemy tych ludzi traktować jak jeńców. Przecież między nami a ludźmi U N nie zaistniał jeszcze formalnie stan wojny. Etkins, trzeba ich zaraz uwolnić, zaraz...

Zaczął szybkimi krokami przemierzać niewielki gabinet kierownika stacji. Wreszcie położył rękę na ramieniu inżyniera i powiedział krótko:

— Etkins... niech ci U N zażądamy natychmiast torpedostratusów z Centrali Komunikacji Międzykontynentalnej.

— To jest niemożliwe, Marku...



Po czym dodał z pewnym wahaniem, rozkładając bezradnie ręce:

— Centrala Komunikacji Międzykontynentalnej jest już w naszych rękach...

Fantom zatrzymał się nagle i zapytał z wyrzutem:

— Kto dał taki rozkaz?

— Rozkazu nie było, mistrzu. Nasi U S uczynili to samorzutnie po wysłuchaniu twego pierwszego wezwania.

— Czy ktoś został zabity?

— Tak... Zginęło parę tysięcy U N, ponieważ stawiali opór i kilku naszych zabili...

— To straszne, Etkins... — Fantom chwycił się za głowę. — Jak można, jak można było w ten sposób bez wyraźnego rozkazu? Czy tych ludzi U N przywrócono do życia?

— Zdaje się, że nie, ponieważ nasi obawiali się kontrakcji i cały zagrożony teren trzymali w „polu śmierci”.

Fantom pieniał się.

— Skandal! Nie pozwoliłem używać wyrzutni „P 47” bez mego wyraźnego rozkazu. Trzeba natychmiast zmienić przywódców w Centrali Komunikacji. Osobiście nadam radiotelewizogram...

— Pozwól, że ja to uczynię.

Fantom zatrzymał go ruchem ręki.

— Etkins, czy jeszcze gdzieś doszło do starcia?

— Tak, w kilku innych punktach, ale na szczęście, nie użyto broni „P 47”. Walka odbyła się na pięści, jak w zamierzonych czasach...

— To nie jest wcale pocieszające. Należało tego unikać.

— Stało się — odpowiedział inżynier z rezygnacją. — Ludzie nasi dali się unieść pierwszej fali oburzenia i gniewu. Nie można brać im tego za złe.

Fantom zwiesił głowę i trwał w bezruchu przez krótką chwilę. Miał rysy ściągnięte zmęczeniem. Potem usiadł obok Etkinsa i powiedział spokojniejszym, łagodnym tonem:

— Mój drogi, wyruszam zaraz do Pierwszej Strefy Klimatycznej, gdzie ukonstytuuję Radę Wykonawczą, która będzie kierowała akcją „S” zgodnie z moimi dyrektywami. A oto szyfr, z którego będziemy korzystać w naszych kontaktach radiotelewizyjnych...

Podał inżynierowi rolkę taśmy magnetowizyjnej.

— W razie usiłowania ze strony ludzi U N, by opanować stację magnetyczną, użyć pocisków „P 47”, ale tylko w doraźnej potrzebie. A teraz pokaż mi stację generatorów.

Wsiadli do pneumatycznej windy i zjechali w podziemia. Okazało się, że wszystko jest w należyтым porządku. Fantom był zadowolony i odzyskał dobry humor. Gdy wyjechali na powierzchnię, czekał na nich kilkutyśięczny tłum U S, pracowników i mieszkańców arktycznego miasta, wiwatując na cześć Fantoma. Etkins pożegnał go na dachu budynku, gdzie czekał torpedostratus, którym pilotował wierny Tilmore. Fantom dał rozkaz startu i torpedostratus z charakterystycznym gwizdem wzbił się jak pocisk w bezkres stratosfery. Potem przywołał do siebie pierwszego nawigatora:

— Słuchaj, Tilmore... Łądujemy w Warszawie.

— A potem, mistrzu?

— Lecimy na Antarktydę, aby walczyć o lepszy świat...

Tilmore rozjaśnił twarz uśmiechem, wyrażającym zadowolenie i dumę. W słowach jego brzmiała nuta szczerości i gotowości poniesienia każdej ofiary, gdy mówił:

— Mistrzu, w tej walce możesz na nas liczyć. Jesteśmy z tobą, cokolwiek się stanie.

## Rozdział XIX

Tymczasem w Norbant zawrzało. Wygłoszony ze stacji „Północ” apel Marka Fantoma do swoich zwolenników i ultimatum pod adresem Rządu Światowej Federacji i Rady Genialnych, a także napływające coraz to nowe wiadomości o gwałtach, popełnianych świadomie przez ludzi U S, i wprowadzenie do akcji tajemniczych pocisków elektrycznych sprawiły odpowiedzialne czynniki U N w stan gorączkowego podniecenia. O żadnym kompromisie nie chciano słyszeć. Zwołano ad hoc delegatów Najwyższej Rady Geniuszy i deputowanych Parlamentu Świata na Generalne Zgromadzenie w celu przedyskutowania planu obrony przed „buntownikami”. Po dłuższej debacie wyłoniono Komitet Mobilizacyjny do przeciwdziałania akcji „S” i powołano Ministerstwo Obrony Pokoju celem przywrócenia ładu i porządku na świecie.

Postanowiono wysłać natychmiast ekipy specjalistów na tereny zajęte przez U S celem odebrania z ich rąk utraconych placówek o znaczeniu ogólnym i społecznym, a przede wszystkim pozbawić Marka Fantoma kierownictwa stacji magnetycznych A i B. („Północ” i „Południe”). W razie gdyby ludzie Fantoma przeciwstawili się wysłannikom Rządu Światowego, postanowiono zmobilizować Ochotniczą Armię Pokoju i siłą odebrać wszystkie utracone pozycje. Żołnierzy Ochotniczej Armii Pokoju miano wyposażyc w pistolety „Ultraton”, strzelające falami ultradźwiękowymi o takiej mocy, że w promieniu tysiąca metrów zabijały wszelkie życie, rozrywając komórki żywych organizmów, a w pierwszym rzędzie raziły mózg, powodując nagłą, bezbolesną śmierć.

Przystąpiono natychmiast do produkowania broni „Ultraton” dla żołnierzy Armii Pokoju. U N byli zaniepokojeni nową bronią U S, którą ci ostatni użyli do akcji po raz pierwszy przy zdobywaniu Centrali Komunikacji Międzykontynentalnej. Głowiono się nad rozwikłaniem zagadki tej strasznej broni masowej zagłady, ale na razie bezskutecznie. Wiedzano tylko, że każdy, kto znalazł się w magnetycznym polu, wytwarzanym przez tajemnicze ładunki elektryczne, ginął na paraliż serca. Trwoga przed masową zagładą ze strony nieobliczalnych U S spędzała sen z oczu geniuszom z Norbant oraz członkom rządów federacyjnych. W Pałacu Wiedzy pracowano gorączkowo dniem i nocą, aby rozszyfrować tajemnicę tej nowej broni. Doktor Zibellus przywrócił do życia kilkanaście osób, które zginęły w magnetycznym polu śmierci.

Po ustaleniu planu akcji postanowiono wysłać parlamentariuszy do Marka Fantoma mimo ostrych protestów opozycji. Zażądano, aby wycofał dla dobra pokoju powszechnego swoje ultimatum i uspokoił swoich U S. Jeśli usłucha wezwania, miał być przywrócony do praw i zaszczytów, jeśli nie — postanowiono siłą zająć stacje magnetyczne na Biegunach.

Wystosowano apel do ludzi U S, aby zaniechali wrogich wystąpień przeciwko U N, obiecując im w zamian podjęcie energicznych badań naukowych w celu znalezienia skutecznego środka do zwalczania histeriozy powrotnej. Na apel ten U S odpowiedzieli zajęciem nowych terenów i ośrodków produkcji, między innymi opanowali kilkanaście miast podziemnych w Pierwszej Strefie Klimatycznej oraz na terenie Europy Zachodniej. Zdobywanie miast podziemnych było dla U S zadaniem szczególnie łatwym, ponieważ stanowili w nich zdecydowaną większość. Poza tym mimo wyraźnego zakazu Fantoma nie cofali się przed użyciem wyrzutni elektrycznych ładunków „P 47”, terroryzując nową bronią ludzi U N, gdyż jak dotąd byli oni ciągle jeszcze bezbronni, a próby wydostania tajemnicy tej broni od U S spełzły na niczym, ponieważ sami nie znali szczegółów budowy elektrycznych wyrzutni. Szpiegostwa i przekupstwa nie znano już, gdyż złoto, jak wiadomo, straciło swoją wartość, a pieniądza obiegowego nie było.

Naturalnie urodzeni obywatele Globu czekali więc, spychani przez U S na coraz mniej-

sze tereny, na wyzwolenie spod terroru. Ministrowie Obrony Pokoju przy Rządzie Federacji Światowej w Norbant zapewniali ich, że w obecnej chwili produkuje się masowo broń, która zabezpieczy przed atakami U S i przyniesie wyzwolenie tym, którzy padli ofiarą ich agresji.

Pistolety „Ultraton” miały być dostarczone ludziom U N za pomocą torpedostratusów. Pociski ultradźwiękowe, eksplodujące bezgłośnie dla ucha, miały jednak tę niezaprzeczoną wadę, że stosowane być mogły tylko w tych wypadkach, gdy wśród przeciwników nie znajdowali się ludzie U N. Dlatego też ewentualne użycie tej broni budziło już z góry poważne zastrzeżenia i obiekcje, bo ustępowała ona pod każdym względem pociskom elektrycznym, które raziły tylko przeciwnika, nie czyniąc szkody swoim. Praktyczna jej wartość mogła polegać jedynie na działaniu psychicznym, dla podtrzymania na duchu ludzi U N.

Sztab Ochotniczej Armii Pokoju, obawiając się depresji wśród U N, chciał ich przygotować moralnie do walki na śmierć i życie, szukając nowych doskonalszych i skutecznych środków dla zniszczenia przeciwnika. Zdawano sobie bowiem sprawę, że U S mogą się łatwo zabezpieczyć przed atakiem U N, otaczając zajęte tereny magnetycznym „ polem śmierci”, przez które żaden żywy człowiek, naturalnie urodzony, nie będzie w stanie się przedrzeć ani na lądzie, ani z powietrza czy nawet spod ziemi, gdyż fale elektromagnetyczne przenikają wszędzie.

Ale i Marek Fantom nie próżnował. Po opanowaniu przez U S Pierwszej Strefy Klimatycznej w Polsce ukonstytuował tam swój sztab, koncentrując na tym terenie ludzi U S z innych stref. Natomiast U N pozostawali nadal w niewielkich skupiskach, mając do wyboru pobyt pod ścisłą kontrolą U S lub wyjazd do stref nie zagrożonych. Większość wolała wyjechać, czemu nie sprzeciwiano się wcale.

Po zorganizowaniu dowództwa na obszar Europy Marek Fantom udał się natychmiast z kilku oddanymi sobie ludźmi na Antarktydę, aby kierować osobiście akcją „S”. Tam też zastali go parlamentariusze z Norbant. Oczywiście odjechali z niczym, gdyż Fantom nie myślał skapitulować, będąc pewnym zwycięstwa.

Upłynęła już pełna doba od zapowiedzianego przez wodza U S trzydniowego ultimatum. Ponieważ Ministerstwo Obrony Pokoju nie zgłosiło żadnych nowych propozycji do sztabu U S, Marek Fantom wygłosił nowy apel przez wszystkie centrale radiotelewizyjne, będące w zasięgu jego władzy, aby wszyscy U S prowadzili w dalszym ciągu akcję oczyszczającą, która polegała na usuwaniu ludzi U N z ośrodków opanowanych przy użyciu siły. Jednakże w dalszym ciągu nakazywał zachowanie umiaru, mówiąc:

— Bądźcie wspaniałomyślni wobec nieprzyjaciela, gdy uzna się za pokonanego, ale nieustępliwi i zdecydowani w walce, a nade wszystko unikajcie niepotrzebnych ofiar. Nie zapominajcie, że dzisiejszy nieprzyjaciel może stać się jutro waszym sojusznikiem w walce z siłami natury o postęp i lepszą przyszłość całej ludzkości. Nie nadużywajcie pocisków „P 47”, pamiętajcie, że każda broń, która godzi w serce innego człowieka i rani lub zabija, wraca do naszej świadomości straszliwym rykoszetem, niszcząc jak burza poczucie dobra i piękna, ładu i słuszności, okrywając zwycięstwo hańbą morderstwa. A my musimy zwyciężyć bez hańby lub zginąć z honorem.

Obóz przeciwników przyjmował oświadczenia Fantoma lawiną drwin, komunikatach centralnych stacji, które pozostały jeszcze w rękach U N, nazywano go upiorem świata, zarzucano mu hipokryzję i cynizm oraz wskazywano na przepaść, jaka istnieje między tym, co wygłaszał, a tym, co ludzie U S czynili w jego imieniu. Imputowano mu chorobliwą ambicję dyktatorów minionych epok. Mówiono, że chce wskrzesić barbarzyńskie tradycje rządów terroru i grozy Najwyższa Rada Geniuszy skreśliła go z listy swoich członków, pozbawiając wszelkich tytułów i godności, a Rząd Federacji Światowej odebrał mu powierzone stanowisko generalnego dyrektora i pełnomocnika do realizacji planu „S”. Ministerstwo Obrony Pokoju wydało oficjalny komunikat, że stacje magnetyczne zostaną zniszczone, jeśli Marek Fantom wraz ze swoim sztabem rebeliantów nie podda się legalnej władzy w ciągu najbli-

ższych dwudziestu czterech godzin.

Sztab generalny w Norbant pracował dzień i noc, szukając wyjścia z trudnej sytuacji. Sekcja elektrobiochemików pod przewodnictwem genialnego rewitologa, doktora Zibellusa, odkryła już tajemnicę działania ładunków elektrycznych z wyrzutni „P 47”. Szukano teraz środków obronnych przeciwko tej podstępnej i skrytobójczej broni. Wyprodukowano kilka milionów pistoletów „Ultraton” i rozrzuciono je za pomocą torpedostratusów ludziom U N na zagrożone tereny. Jednakże zdawano sobie sprawę, że broń ta nie będzie miała większego wpływu na poprawę ogólnej, prawie beznadziejnej sytuacji i nie stanowi ona prawie żadnej obrony przed atakiem.

Postanowiono zbudować olbrzymie pociski atomowe, które byłyby w stanie zniszczyć urządzenia podziemnych stacji magnetycznych na Biegunach, aby uratować ludzkość przed zagładą, jaką skłonny był zgotować „genialny szaleniec”, Marek Fantom. Zdawano sobie sprawę, że zniszczenie stacji nie będzie zadaniem łatwym. Po pierwsze, dostarczenie potężnych bomb będzie możliwe jedynie za pomocą torpedostratusów, kierowanych falami radiowymi, gdyż żaden człowiek U N nie dotrze do celu, aby zrzucić ładunki atomowe, ponieważ magnetyczne „pole śmierci” działa w promieniu trzystu kilometrów.

Nawet w wypadku osiągnięcia celu niełatwo będzie przebić półkilometrową warstwę skorupy ziemskiej, by zniszczyć generatory uranowe. Ale jak dotrzeć do celu? Fantom z pewnością każe zamaskować teren i telewizory, umieszczone na torpedostratusach, które wyruszą z ładunkami bomb atomowych, nie na wiele się przydadzą, gdyż przekażą fałszywy obraz położenia, a urządzenia magnetyczne nie są tak doskonałe, aby same wynalazły cel tu, przed Biegunem Magnetycznym. Zresztą mając do czynienia z tak genialnym fizykiem, należy się spodziewać, że wywoła on zakłócenia magnetyczne na Biegunach, aby stworzyć fałszywy obraz sytuacji w terenie. Nic więc dziwnego, że nastroje w oficjalnych kołach Norbant były więcej niż pesymistyczne. Większość uczonych oraz członków Rządu i Parlamentu Świata wyrażało przekonanie, że sytuacja jest wręcz tragiczna i. jak dotychczas, beznadziejna.

Opozycja lansowała projekt przyjęcia warunków przywódcy U S, Fantoma, jednakże większość parlamentarna odrzuciła zdecydowanie tak niehonorową kapitulację wobec szantażysty, a zdanie to podzielała również większość członków Najwyższej Rady Geniuszy.

Ponieważ chodziło tutaj o być albo nie być wszystkich wolnych obywateli świata, Konstytucja Światowej Federacji nakazywała w takich wypadkach przeprowadzenie powszechnego referendum, aby każdy obywatel mógł się wypowiedzieć w tej kwestii bezpośrednio, jednakże krótki termin ultimatum Fantoma przekreślał z góry praktyczną możliwość przeprowadzenia takiej akcji. Cóż więc było robić? Pozostała ostatnia szansa w skonstruowaniu jakiejś rewelacyjnej broni, która by umożliwiła uśmiercanie ludzi U S z wielkiej odległości, ewentualnie znalezienie sposobu neutralizowania zabójczych ładunków „P 47”.

Mimo że wojna trwała dopiero kilkadziesiąt godzin, ludzie U N byli nerwowo wyczerpani, nie przywykli do tak ciężkiej sytuacji, zdani na łaskę i niełaskę U S. Niepewni życia, skazani na udręki moralne, nie mieli innego wyboru, jak biernie wyczekiwać dalszego losu, gdyż każda próba walki, wobec groźby użycia wyrzutni „P 47”, była beznadziejna. Obawiano się, że U S zaatakują Norbant, gdy tylko upłynie termin ultimatum.

Ale w drugim dniu „elektrycznej wojny” stała się rzecz nieoczekiwana. Oto doktor Zibellus dokonał niezwykłego odkrycia. Obliczył on mianowicie, że napięcie elektryczne, jakie zostaje wytworzone podczas pracy serca człowieka U S, i powstałe stąd pole magnetyczne niewiele różni się od takiegoż pola magnetycznego, powstającego na skutek tych samych impulsów prądów czynnościowych serca człowieka, urodzonego naturalnie. Tym samym odkryto tajemnicę działania elektrycznych ładunków „P 47”.

Sztab uczonych elektrobiochemików przystąpił natychmiast do pracy i pod koniec tego samego dnia skonstruowano pierwszy aparat do wytwarzania śmiertelnych ładunków elektrycznych, ale o takiej długości fali, aby paraliżować akcję serca ludzi U S, nie szkodząc

U N. Nową broń nazwano pociskami „Z 48” i z zachowaniem największej tajemnicy przystąpiono do seryjnej produkcji wyrzutni tych ładunków. Zaczęto budować aparaty o silniejszej mocy niż pomysłu Fantoma, aby z bezpiecznej odległości razić U S, nie będąc narażonym na działanie „P 47”.

Norbant zapanowało radosne podniecenie. Obawiano się tylko, czy podziemne fabryki zdążą wyprodukować na czas tyle wyrzutni „Z 48”, aby odebrać z rąk U S magnetyczne stacje na Biegunach, zanim Fantom wykona swój szatański plan. Czasu zostało bardzo niewiele, bo zaledwie jedna doba, a na Biegun Południowy trzeba lecieć całe osiem godzin torpedostratusem międzykontynentalnym, zaś około dwóch godzin — międzyplanetarnym. Wybrano z góry ten drugi środek lokomocji, gdyż obliczono, że pierwszych dwadzieścia wyrzutni „Z 48” nie da się zmontować przed upływem osiemnastu godzin. Jednocześnie czyniono przygotowania do opuszczenia Ziemi, gdyby nie zdążono na czas sparaliżować akcji „S”. Ucieczka na Marsa lub Wenus za pomocą torpedostratusów międzyplanetarnych — to jedyna, ale i bardzo problematyczna szansa ratunku przed zbliżającą się katastrofą kosmiczną.

Na planetach tych bawiły już od dłuższego czasu ekipy uczonych specjalistów i techników do eksploatacji znajdujących się tam surowców, jak również pierwszych osadników-pionierów, przygotowujących warunki dla osiedlenia się tam na stałe mieszkańców Globu. Utrzymywano z nimi stałą łączność za pomocą specjalnych stacji superradarowych i radiowych. Ale torpedostratusów, przystosowanych do lotów międzyplanetarnych, było zaledwie około tysiąca, w tym większa część znajdowała się już pod kontrolą U S. Ponieważ jeden torpedostratus tego typu mógł zabrać na pokład zaledwie około pięćdziesięciu pasażerów, opuścić Ziemię mogło w najlepszym razie kilkanaście tysięcy obywateli U N. Reszta mogła próbować na zwykłych torpedostratusach międzykontynentalnych, nie mając jednak żadnej gwarancji dotarcia do którejkolwiek z wymienionych planet.

Postanowiono w wielkiej tajemnicy, że w razie nieuniknionej katastrofy w pierwszym rządzie opuszczą Ziemię członkowie Rządu Światowej Federacji i Najwyższej Rady Geniuszy oraz ich rodziny, a potem członkowie poszczególnych rządów federacyjnych Europy, Azji i Ameryki.

Tymczasem w sztabie U S nie wiedziano jeszcze o doniosłym odkryciu Zibellusa i budowie wyrzutni „Z 48”. Czekano więc cierpliwie na wygaśnięcie trzydniowego terminu ultimatum, by przystąpić do ostatecznej rozgrywki. Marek Fantom znajdował się w tej chwili na Biegunie Południowym, gdzie przygotowywał się do spełnienia swej groźby. Wierzył w możliwość ataku ze strony U N i spodziewał się go, ale nie wierzył w jego skuteczność.

Oddzielony trzystukilometrowym „polem śmierci” od cywilizacji ludzi z Norbant, nie obawiał się ich uderzenia. „Żywi tu nie dotrą — mówił do otoczenia — a umarli nie będą nam przeszkadzać”. Z obawy przed pociskami, wywołującymi chmury atomowe, które przypuszczalnie mogłyby być wyrzucane za pomocą torpedostratusów, kierowanych falami radiowymi na odległość, zarządzono zamaskowanie terenu w pobliżu Bieguna Magnetycznego przez ustawienie setek składanych budynków w znacznej odległości od stacji oraz stosowanie sztucznej mgły. Zastosowano również zakłócenia magnetyczne na wielką skalę, by zdezorientować atakujące torpedostratusy.

Fantom zdawał sobie sprawę, że gdyby udało się atakującym wywołać potężne chmury atomowe bezpośrednio nad terenem podziemnego miasta-elektrowni, mogłyby to spowodować rozładowanie zapasów materiałów rozszczepialnych, służących jako paliwo atomowe do generatorów, i wówczas w tym miejscu powstałby olbrzymi lej, podobny do wylotu potężnych kraterów na Księżycu. Fantom zostałby pokonany, a wraz z nim jego idea, i ludzie z Norbant triumfowałiby, produkując nadal w swoich instytutach elektrobiologii stosowanej przyszyłych samobójców.

Nie! Na to nie może pozwolić. Zabezpieczy zapasy U 235 przed możliwością zniszczenia. Otoczy dziś jeszcze, zaraz, potrójnym pancierzem mediterrum cały zapas cennego suro-

wca. Mediterrum — to specjalny stop najcięższych metali, nie przepuszczający żadnych cząstek rozpadu jądrowego, absorbujący je. Nawet promieniowanie kosmiczne nie przenika go. I musi zwyciężyć. Musi!

Fantom wydał natychmiast potrzebne zarządzenie. Profesor Aksimow nie odstępował go teraz ani na krok. Obawiał się zamachu na jego życie. Aksimow nie pragnął zagłady świata. Ale nie miałyby siły protestować, gdyby Fantom powziął taką decyzję. Jeśliby czego żałował, to wyhodowanych przez siebie kwiatów i rzadkich roślin oraz wspaniałych urządzeń hydrotermicznych i stacji ciepłych wiatrów, dzięki którym w tym surowym klimacie zakwitło życie.

Marek Fantom zezwolił wszystkim U N, przebywającym na terenie Stacji Magnetycznej „A”, na opuszczenie terenów Antarktydy, używając im na ten cel potrzebnej ilości torpedostratusów. Wszyscy odjechali do Europy z wyjątkiem jednego. Był nim inżynier Jerzy Relski. Gdy go Aksimow zapytał, dlaczego pozostał, odpowiedział apatycznie: — Czy to nie wszystko jedno, gdzie zginąć?

Cały czas spędzał obecnie w swoim pokoju. Fantoma unikał i jedynie Aksimow wstępował doń jak dawniej. Nie było już Krynieckiego i zaciętych dyskusji. Aksimow w rozmowie z nim unikał drażliwych tematów, szczególnie gdy w grę wchodziła osoba wodza U S. Relski spochmurniał i przygasł, nie ukrywając swego oburzenia na Fantoma, że wybrał tak bezkompromisową formę walki, która może doprowadzić do powszechnej zagłady. Nie przypuszczał nigdy, że taki będzie koniec wspaniałej cywilizacji Ery Atomowej. Że jeden człowiek będzie w stanie zniszczyć dzieło miliona genialnych mózgów.

Jednakże ludzie U S nie przejmowali się tym zbytnio. Potrafili nawet śmiać się tym swoim dziwnym, ponurym śmiechem. Tego nie mógł w żaden sposób zrozumieć. Czyżby nie zdawali sobie sprawy, że znajdują się na dymiącym wulkanie? Dla nich zbliżająca się śmierć zbiorowa była jakby aktem tajemniczych zaślubin. Gdy rozmawiali o tym między sobą, oczy ich nabierały dziwnego blasku, a twarze płonęły żarem. Nie było w nich trwogi, ale jakieś tajemne przeświadczenie o potrzebie ofiary zbiorowej, ostatecznej.

Jerzy w żaden sposób nie mógł pojąć biologicznego mechanizmu ich życia, który był zaprzeczeniem instynktu samozachowawczego, tego niezawodnego barometru każdej żyjącej istoty. Wśród tych dziwnych istot profesor Aksimow wykazywał najczęściej równowagi.

Wypadki toczyły się teraz błyskawicznie. Komunikaty sztabu U S, umiarkowane i spokojne w tonie, wywoływały napastliwą reakcję Rządu w Norbant. Przeciwnik przemawiał nerwowo, groził i obrzucał obelgami przywódcę U S i jego sztab. Walka, jak dotąd, była bardzo nierówna. Pistolety „Ultraton” stały się przedmiotem kpin i złośliwych anegdot wśród U S. W publicznych rozmowach nazywano je bronią nieboszczyków. Mimo to wszyscy czekali i napięciem, co przyniosą następne godziny i minuty.

W takich chwilach wpadał niespodziewanie do pokoju Relskiego profesor Aksimow. Wejście jego zdradzał zawsze nerwowy, arytmiczny tupot nóg w długim przedpokoju.

— Panie Jerzy!... Wszyscy zjeżdżają do podziemi. Za kilka godzin upływa termin ultimatum. Ludzie z Norbant będą nas atakować!...

— A niech atakują. Co mnie to obchodzi?

— Jak to? Chce pan zginąć, nie doczekawszy końca?

Relski odpowiedział z ironicznym grymasem:

— Koniec już wiadomy, a rozkład jazdy znamy. Wszak jedziemy na Słońce.

— No, jeszcze nie. Może tamci ustąpią..

— A jak nie ustąpią, to co?

— To trudno. Na upór nie ma środków.

— Profesorze!... Jak pan lubi upraszczać sytuacje.

— Panie Relski! Nie rozumiem, dlaczego mam je komplikować?

— Ja też nie rozumiem... tej pańskiej filozofii.

— Ale, ale — zaczął innym tonem Aksimow: — Byłbym zapomniał. Jacyś ludzie przyjeżdżają do nas z Pierwszej Strefy Klimatycznej, z Polski. Dwie kobiety i jeden mężczyzna.

— Któż to taki?

— Nie wiem. Zapytaj pan Fantoma.

Jerzy zamyślił się. Po co, w jakim celu przyjeżdżają tutaj ci ludzie i czego chcą? Aksimow spoglądał na niego przez chwilę spod obrzękłych powiek swoich ruchliwych, ptasich oczu. Twarz drgnęła mu nieznacznie, gdy odezwał się tonem łagodnej perswazji:

— Panie Jerzy. Nie czas teraz na sentymentalne kontemplacje. Niech pan lepiej spakuje swoje rzeczy. Gdy syreny zagrają trzy razy unisono, trzeba zjechać pod ziemię. Ludzie U N będą chcieli zniszczyć naszą fabrykę energii i pogrzebać plany „S”. A wtedy nie dadzą nam umrzeć... a my nie będziemy umieli żyć.

— Inni chcą i potrafią żyć, to im nie pozwalacie...

Aksimow udał, że nie dosłyszał jego cierpkiej repliki, i powiedział jakby do siebie:

— Tak... znaleźliśmy się w sytuacji niezwykle poważnej.

— I to z powodu tej waszej pandemii, zwanej histeriozą powrotną, albo inaczej: aberacją linii życia, czyli samobójstwem z przeznaczenia — wyrecytował jednym tchem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Było krótkie, stanowcze, prawie że rozkazujące.

Aksimow i Jerzy zamienili z sobą pytające spojrzenia.

— Proszę!

Relski postąpił krok w kierunku drzwi. Na progu ukazała się sylwetka Marka Fantoma.

— Przepraszam — powiedział wyniośle, uczyniwszy nieznaczny skłon głowy w stronę Jerzego — przepraszam, że ośmieliłem się przeszkadzać panom w interesującej konwersacji, ale profesor Aksimow jest mi bardzo potrzebny...

Aksimow w jednej chwili znalazł się przy wodzu.

— Panie Relski — zwrócił się Fantom do Jerzego — czy pan w dalszym ciągu obstaje przy tym, aby zostać tutaj?

— Tak, panie, zdecydowałem się pozostać tu, na Biegunie, gdzie rozstrzygają się losy świata. To jest bardzo interesujące, przyzna pan...

— Owszem. Lecz to może narazić go na pewne przykrości. Będę zmuszony izolować pana, abyś nie raczył nam przeszkadzać.

— Więc zostanę uwięziony?

— Mniej więcej.

— Cha! cha! cha! — Jerzy wybuchnął gardłowym, ochryłym śmiechem i spojrzał wyzywająco na profesora Aksimowa. Ten spuścił głowę i milczał. W oczach Fantoma dostrzegł błysk nienawiści.

— Mimo to zostanę tutaj — powtórzył twardo, nieustępliwie.

— Jak pan woli — odpowiedział obojętnie wódz U S i wyszedł pośpiesznie z profesorem, zostawiając otwarte drzwi.

Jerzy podszedł do radioteleriksu i włączył muzykę, aby nie słuchać nudnych do obrzydzenia komunikatów, powtarzających w kółko to samo w niezliczonych wariantach i mutacjach. Któż słucha tych bredni? — pomyślał. Teraz, kiedy został przypadkowym obserwatorem tej wielkiej rozgrywki, zrozumiał dopiero, do czego może doprowadzić nie znająca hamulców nienawiść jednych do drugich. Otepiając zmysły, potrafi uczynić z człowieka o tak niepospolitym intelekcie, jak Fantom, okrutnego tyrana, uzurpującego sobie władzę nad światem. Wszyscy oni ślepi. Wszyscy, nie wyłączając mędrców z Norbant. Nawet doktor Zibellus, władający światłem życia, nie potrafi zdobyć się na jeden okrzyk protestu, na jedno wielkie, silniejsze od nienawiści słowo: opamiętajcie się, bowiem nienawiść czyni z was ślepców i obłąkanych.

Myśląc o tym, czuł zamęt w głowie. Męczyła go ponura świadomość, że oto nienawiść może zniszczyć świat, niezgłębiony w swoim pięknie i uroku życia. Dlaczego „oni” tego nie

czują, ci mocarze, chylący dumnie głowy pod ciężarem własnej mądrości? Czyżby nienawiść stoczyła już ich serca jak czerw, że nie zostało nic, prócz wyschniętej, strupieszalej powłoki?

Wytężył słuch, bo zdawało mu się, że słyszy odgłosy czyichś kroków. Czyżby profesor Aksimow wracał? Nie. To nie były kroki Aksimowa z ich charakterystycznym, ciężkim szurgotem. Te miały w sobie płynność i były lekkie, jakby nie dotykały ziemi.

Chwila wahania, a potem krótkie pukanie.

— Proszę!

Drzwi otworzyły się cicho i na progu ukazała się... Marietta. Jerzy stał w miejscu, nie mogąc postąpić kroku. Wreszcie wybełkotał:

— Marietto!... Ty... tutaj?

— Przyjechałam tu, aby cię ratować! — wyrzuciła z siebie jednym tchem i utkwiała w nim pełne lęku spojrzenie.

— Mnie?... — spytał wyraźnie zdetonowany. — Jak mam to rozumieć?

Podeszła bliżej i stanęła naprzeciw niego. Była w luźnym, rozpiętym płaszczu podróżnym, zapinanym pod szyję. Pierś jej falowała szybko, a policzki płonęły świeżym, ciepłym jeszcze rumieńcem.

— Tak, ciebie. Przyjechałam, aby cię ostrzec. Uciekaj stąd! Tu czeka cię śmierć.

— Ha! Też mi nowina. Czyżbyś po to tylko tutaj przyjechała, aby mi o tym zakomunikować? — Przywołał na twarz beztroski uśmiech, jakby zapomniał na chwilę o groźącym niebezpieczeństwie dla świata.

Marietta odrzekła z powagą i smutkiem:

— Myślałam, że sprawy wezmą inny obrót. Teraz już widzę, że nie ma ratunku. Irena i Paweł Devenieur też tu są. Chcą błagać Marka, aby zmienił decyzję. Złączyła ich wielka miłość i chcą żyć. Żyć za wszelką cenę.

— Irena, mówisz?

— Tak, znasz ją przecież. Przywiozła cię z Norbant po ożywieniu.

Jerzy przymknął oczy, jakby sobie coś gwałtownie przypomniał. Imię to jak błyskawica rozświetliło na moment mroki jego świadomości, przynosząc z sobą echo dalekich, niejasnych wspomnień.

— I cóż Fantom? — zapytał niby obojętnie, choć głos mu drżał.

— Jest zimny i nieustępliwy jak zawsze. Na wszystkie ich prośby i zakłęcia odpowiada niezmiennie: — Dla was dwojga nie zatrzymam koła historii. Tu chodzi o człowieka przyszłości, który ujarzmi Ziemię, a wróci radość życia wszystkim ludziom. Idźcie przekonać mędrców z Norbant.

— Więc niech lecą do Norbant... — Jerzemu myśl ta wydała się zbawienna. Marietta potrząsnęła głową.

— Gdzież tam. Irena ani Piotr nie mają zamiaru lecieć do stolicy świata, by przekonywać geniuszy, że prawo do życia jest silniejsze od prawa do nienawiści. Zresztą na to już nie ma czasu. Za kilka godzin może tu być pustynia...

— Więc co mam robić! — Jerzy opuścił bezradnie ręce.

— Wyjechać stąd. Natychmiast!

— Ale dokąd?

— Choćby na Marsa, razem z nimi. Marek daje im największy torpedostratus międzyplanetarny, M 125. Musisz jechać z nimi! — powiedziała to stanowczym, prawie rozkazującym tonem.

— Marietto, czyś oszalała?

— To ty jesteś szalony! Chcesz zginać, mając przed sobą jedyną perspektywę ocalenia z tego piekła? Fantom daje wam dwóch najlepszych astropilotów, którzy utrzymywali stałą komunikację z ekipami na Marsie i znają teren. Gdy unikniemy katastrofy, możecie powrócić na Ziemię...



— A ty zostajesz tutaj?  
— Tak, zostaję. Moje przeznaczenie tu, na Ziemi... — A potem dodała ciszej: — Przysięgłam kiedyś Markowi, że umrę wraz z nim, gdy tego zażąda. Mam doskonałą okazję, aby dotrzymać przyrzeczenia...

— Czy żąda, abyś została?

— Nie... dał mi swobodną decyzję. Postanowiłam zostać, aby ratować ciebie.

— Nie rozumiem. Skoro zezwala ci na wyjazd?

— Tak, zezwala. Ale ja muszę zostać. Muszę!

Powiedziała to z jakimś nienaturalnym akcentem w głosie. Jerzy zadrżał.

— Skoro tak, to i ja zostaję.

Marietta złożyła ręce jak do modlitwy.

— Jerzy! Błagam cię, nie czyn tego. Wysłuchaj mnie: Za godzinę M 125 odlatuje w przestrzeń kosmiczną, gdzie nie rządzą już prawa naszej nieszczęsnej planety. Tam można się czuć bezpiecznie i pewnie, unikając straszliwego losu, jaki gotują Ziemi ci, którzy zapragnęli władzy nad światem...

— Czy Fantom nie cofnie swojej potwornej groźby?

— Nie, Jerzy. Nie cofnie. Dał słowo...

— Komu?

— Wszystkim U S. Nowa fala histeriozy powrotnej ogarnęła ich niby furia i nie cofną się przed masowym samobójstwem. Gotowi zamordować Marka, gdyby chciał zmienić swoją decyzję. Ta niewytłumaczona pandemia udzieliła się nawet wielu naturalnie urodzonym, którzy idą z nami. Ale Marek czeka jeszcze na odpowiedź tamtych, U N. Wydaje mi się, że chce wszystkich oszukać, aby zdobyć władzę nad światem dla siebie.

— Łotr i tyran!

— Nie mów tak, Jerzy... — Obejrzała się trwożnie. — On jest szalony, a ty jesteś uparty... Ja chcę, abyś żył. Kochany, mój... — Przywarła do niego, kusząc zapachem swoich bujnych loków. Jerzy dotknął lekko jej ramion. Skuliła się i spojrzała mu błagalnie w oczy. Wydała mu się bezradna i nieszczęśliwa. Teraz dopiero zauważył, że miała wpięty we włosy żółty kwiat. Polaris Imperator...

— Skąd masz ten kwiat? — zapytał, rozbrojony współczuciem.

— Od profesora Aksimowa. Dał mi go, gdy wysiadałam z torpedostratusa. Powiedział mi, że jest twoim przyjacielem.

— Biedny kwiat — wyszeptał prawie bezmyślnie. Ale już w następnej sekundzie miał ochotę chwycić go i rzucić z furiacką pasją na ziemię. Marietta patrzyła na niego z rosnącym zaniepokojeniem. Po chwili powiedziała z łagodnym wyrzutem:

— Rozczulasz się nad kwiatem zamiast myśleć o sobie.

Odsunął ją delikatnym, ale stanowczym ruchem.

— Właśnie że myślę i dlatego zostaję tu, na Biegunie...

— Jesteś okrutny jak Marek.

To porównanie zabolowało go. Wyprostował się i powtórzył jakby na przekór:

— Tak, zostaję. Niech sobie tych dwoje zakochanych jedzie na Marsa czy na Wenus i niech się kochają. Nie będą osamotnieni, zaludniając daleką planetę. Może ich miłość ocali rodzaj ludzki przed ostateczną zagładą.

Marietta spuściła nisko głowę. Dławiły ją łzy, które chciała ukryć. Mąciły jej spojrzenie. Słuchała jego głosu i pochłaniała każde słowo, płynące z jego ust, starając się zatrzymać głęboko, na samym dnie serca ich wydzźwięk, bolesny i drogi... Stała jeszcze czas jakiś, nie mając już siły przekonywać go ani błagać. Potem odwróciła się wolno i bez słowa. Jerzy nie zatrzymał jej. Gdy była za drzwiami, głuchy jęk wyrwał się z jej piersi. Rozpłakała się, dając upust goryczy, której nie mogła pomieścić w sobie.

Pochłonięty własnymi myślami, nie zauważył, kiedy wyszła. To wszystko wydawało

mu się niesamowite i pozbawione sensu.

Usłyszał ciche pukanie i szmer otwieranych drzwi. To agrobiolog wszedł do jego pokoju. Spojrzał na splecione wokół głowy ręce Jerzego i wykrzyknął:

— Panie Relski, co panu jest? Czy pan może chory?

Jerzy rozwarł szeroko powieki.

— Nic mi nie jest, profesorze... Ja tylko tak ze zmęczenia.

— W takim razie niech pan idzie ze mną. Zobaczysz pan coś bardzo ciekawego. Torpedostratus M 125 wystartuje za chwilę na Marsa.

Relski ociągał się jeszcze, ale agrobiolog, potrząsając go za ramię, dodał zachęcająco:

— Czy widział pan kiedy młodą parę, wyjeżdżającą w podróż poślubną na inną planetę?

I nie czekając na odpowiedź, pociągnął go za rękaw. Relski nie opierał się, poddając się biernie woli Aksimowa. Wyszli na obszerny plac. W niewielkiej odległości ujrzeli grupę ludzi, a tuż nad horyzontem podłużny kontur międzyplanetarnego kolosa.

— Chodźmy szybciej — ponaglał profesor Aksimow — M 125 gotuje się do lotu. Młodzi już się żegnają O... widzi pan? Za chwilę znikną w kulistej windzie, która kołysze się wolno na fali ciepłego wiatru.

Przyśpieszył kroku, zachęcając wymownym gestem Jerzego. Ale nogi Aksimowa nie mogły nadażyć za jego młodzieńczym zapałem. Zakreślały dziwaczne parabole z nieodpartą inklinacją do spotykania się tuż nad ziemią. Jerzy ruszył instynktownie za nim, gdy agrobiolog nagle runął jak długi, zaplątawszy się w sieć własnych niesfornych kończyn. Jerzy nie mógł powstrzymać się od śmiechu, ujrawszy profesora, chwytającego rękami powietrze. Na szczęście, gleba była miękka i pulchna, przygotowana pod zasiew trawy i Aksimow nie poniósł żadnego szwanku na ciele, upadając. Drżały mu tylko nerwowo powieki, gdy Relski pomagał mu powstać. Chwycił się kurczowo podanej dłoni i nie puścił jej, dopóki nie stanął znowu pewnie na nogach. Potem poszli wolno, nie patrząc na siebie, w kierunku wiszącego na niebie aerostatu. Zauważono ich już i spojrzenia skierowały się na przybyszów.

Gdy dołączyli się do grupy stojących w cieniu torpedostratusa, Irena żegnała się właśnie z Mariettą, objawszy ją czule, a Fantom podawał dłoń Pawłowi, obojętnie, wyniośle, jakby nie zamierzał jej wcale dotknąć. Paweł Devenieur odczuł aż nadto widoczną niechęć wodza U S i odwrócił głowę, napotkawszy wzrok Jerzego. Ale Jerzy nie widział go, chłonąc postać Ireny, która w jasnej sukni i diademie we włosach wyglądała jak odchodząca bogini ginącego świata. Ale nie bogini zemsty, bo kwitnąca uśmiechem, promieniowała radością i urodą.

Nie mógł oderwać od niej oczu. Był olśniony. Aksimow patrzył na niego, nic nie rozumiejąc. Irena dojrzała go również i jakby cień smutku zgasił na chwilę radość jej spojrzenia. Odwrócił się i chciał odejść, gdy nagle poczuł, że ktoś chwycił go za rękę. Zatrzymał się i spojrzał w tę stronę. Przed nim stał Fantom.

— Panie Relski, myślę, że i pan poleci z młodą parą na Marsa?

Jerzy starał się przybrać wyraz nienawistnej pogardy.

— Ja?... Dlaczego ja? — wykrztusił przez zaciśnięte zęby. Zamilkł ze zdenerwowania, a potem dodał spokojnie: — Nie jestem zakochany, a poza tym... jestem pańskim więźniem.

Fantom zaśmiał się z nieukrywaną nonszalancją.

— Ale ja jestem wspaniałomyślny, zwalniam pana — powiedział, czyniąc patetyczny gest ręką.

— Dziękuję. Wybieram więzienie.

— Wedle życzenia.

Jerzy oddalił się szybko. Biegł prawie, znacząc głębokie ślady stóp na miękkiej, wilgotnej ziemi. Gdy zwolnił kroku, posłyszał za sobą szybki oddech i szelest sukni. Chciał znowu biec, ale usłyszał swoje imię, wypowiedziane ledwo dosłyszalnym szeptem:

— Jerzy...

Mariettą zrównała się z nim i szła obok, nie śmiać przemówić słowa. Jerzy milczał

również. Od strony torpedostratusa dochodził łagodny szum, jaki wydają gęste konary drzew, gdy zawieje silniejszy podmuch. Mariettą zatrzymała się i ujęła jego dłoń.

— Jerzy... wybacz mi, nie wiedziałam, że ją jeszcze kochasz — mówiła wolno, z wysiłkiem, zaciskając palce wokół jego ręki.

Spojrzał na nią i ogarnęła go tklivość. Zrobiło mu się żal Marietty. Torpedostratus z groźnym szumem przeleciał nad nimi i utonął w przestrzeni.

— Szczęśliwi... — powiedziała cicho, śledząc wzrokiem znikający aerostatek. Była wzruszona i usta jej drżały.

— Marietto... pozwól mi odejść.

Spojrzała mu błagalnie w oczy.

— Irena mówiła mi dziś o tobie. Wspomniała, że ją kiedyś kochałeś.

— Tak... ale ja już zapomniałem o tym, Marietto. To było bardzo dawno. Musiałem zapomnieć. Dopiero teraz, gdy ujrzałem ją znowu, wróciła tamta miłość — mówił głosem złamanym, w którym tyle było gorczy, co rezygnacji.

Nie pytała go o nic więcej.

Wróciła do domu sama i czekała na sygnał alarmowy, by zjechać do miasta generatorów. Aksimow przepadł gdzieś i nie pokazywał się. Pewno poszedł z Fantomem na teren Stacji Magnetycznej.

Wypadki nie dały na siebie długo czekać. Sztab Armii Pokoju postanowił dokonać próbnego lotu bojowego na teren Bieguna Południowego, gdyż za kilka godzin upływał termin ultimatum. Ponieważ wyrzutnie ładunków elektrycznych „Z 48” nie były jeszcze gotowe, zdecydowano się dokonać ataku za pomocą torpedostratusów, kierowanych z Norbant falami radiowymi, przy użyciu telewizji, dla kontroli tras lotu i odszukania właściwego celu. W pierwszym ataku miano zniszczyć wszystkie urządzenia hydrotermiczne, stacje ciepłych wiatrów oraz budynki mieszkalne. Przy następnym miałyby ulec zniszczeniu, przy użyciu bomb wirowych o wielkiej sile, stacje generatorów uranowych w mieście podziemnym. Atak na Biegun Północny nie wchodził w rachubę, a to z powodu panującej tam nocy arktycznej i z tego jeszcze względu, że zniszczenie jednej stacji paraliżowało automatycznie skuteczność działania drugiej, jeśli chodzi o zmianę orbity ziemskiej. Poza tym na Biegunie Południowym znajdowała się centrala dyspozycyjna U S i ich wódz, Marek Fantom.

O oznaczonej godzinie wyruszyła eskadra, składająca się z dziesięciu torpedostratusów, zaopatrzonych w seryjne bomby uranowe, które zamierzono rozrzucić w najbliższej okolicy stacji magnetycznej. Miały one eksplodować w różnych odstępach czasu, by zniszczyć urządzenia klimatyczne, a tym samym zamienić cały teren w pustynię lodową.

Ale Fantom nie dał się zaskoczyć. Stacje sygnalizacyjne, działające automatycznie na trasie lotu Norbant—Antarktyda, odkryły napastnika u wybrzeży Afryki Wschodniej, podając kierunek i szybkość lotu. Można więc było co do minuty wyliczyć, kiedy zjawią się na Biegunie. Zarządzono natychmiast alarm i wszyscy zjechali do podziemia.

Jerzy znalazł się z Aksimowem w jednej sali, obok której mieściły się kabiny telepilotów-operatorów, kierujących obroną stacji. Na spotkanie nieprzyjacielskiej eskadry przygotowano podwójną ilość torpedostratusów, które miały wystartować w odpowiednim czasie. Przygotowano do akcji wyrzutnie elektrycznych pocisków „P 47”, nie wiedząc, że wysłane z Norbant maszyny pozbawione są załogi. Cały teren stacji magnetycznej trzymano w elektrycznym „polu śmierci”, aby zawczasu unicestwić załogi torpedostratusów, by nie zdołały dotrzeć do celu. Fantom w głównej kabine telewizyjnej miał obserwować przebieg ataku i wydać rozkaz walki swojej eskadrze, gdyby nieprzyjacielskie maszyny przedarły się na teren stacji. Eskadra ta posiadała między innymi pociski termiczne, które przebijały najgrubszy metal, powodując eksplozję komór wysokoprężnych gazów napędowych.

Relski, pozostający pod baczną obserwacją profesora Aksimowa, wdał się w rozmowę z

siedzącym w kabinie pilotem-operatorem, który miał kierować akcją bojową torpedostratusa, oznaczonego numerem M 35, a wchodzącego w skład eskadry S 1, to jest tej, która czekała na atakujące maszyny nieprzyjacielskie. Dyskutował z nim na temat mającej się rozegrać bitwy, nie notowanej w historii wojen lotniczych. Zapominając o całej grozie sytuacji oraz o zbliżającym się kataklizmie utrzymywał, że torpedostratusy ludzi U N, posiadając załogę, będą miały niewątpliwą przewagę nad maszynami U S, kierowanymi na odległość.

— Niech pan będzie o to spokojny — odpowiedział, odwracając się, pilot-operator. — Proszę popatrzeć na te ekrany... — Tu wskazał ręką szereg okrągłych tarcz, ustawionych wokoło, jedna za drugą, w zamkniętej kabinie, która łudząco przypominała wnętrze kabiny pilota w torpedostratusie.

— Za pomocą tych ekranów, które są oczami torpedostratusa — objaśniał — widzimy lepiej i dokładniej niż żywi obserwatorzy na latającej maszynie, patrząc przez wzierniki i lunety, gdyż „oczy” telewizyjne umieszczone są ze wszystkich stron powietrznego olbrzyma i mamy w każdej sekundzie najdokładniejszy obraz sytuacji, jak również możliwość wyboru najodpowiedniejszego momentu do przeprowadzenia ataku. Torpedostratusy, kierowane przez załogę, posługują się również tą niezawodną instalacją, która znajduje się wewnątrz, w kabinie pilota-operatora. Cóż więc za różnica? — pytał, rozkładając szerokim gestem ręce — jedynie większa bezpośredniość działania, nic więcej.

— Tak, kolega Romil ma rację — zaopiniował z tajemniczą miną profesor Aksimow. — Co prawda wolałbym, aby ludzie z Norbant wysłali maszyny bez załóg. Byłaby to prawdziwa bitwa maszyn, bez udziału żywych istot, jako najbardziej odpowiednia forma walki w naszej Erze Atomowej.

Mówiąc to profesor Aksimow nie wiedział jeszcze, że życzeniom jego stanie się zadość.

Jerzy rozejrzył się, czy nie zobaczy gdzie Marietty. Ale nie. Nigdzie jej nie było, a profesora nie śmiał pytać, gdzie się może obecnie znajdować. Obserwując w dalszym ciągu mechanizmy, służące do kierowania torpedostratusem na odległość, zauważył bez trudu, że właściwie rola telepilota, kierującego latającą machiną, nie była znowu tak bardzo różna od tej, jaką spełniał zwykły pilot-obszwarator na torpedostratusie. Tu i tam posługiwał się przecież telewizorami i urządzeniami automatycznymi. Różnica polegała na tym jedynie, że mechanizmy sterujące i napędowe na torpedostratusie przy użyciu załogi były włączane i wyłączane ręką człowieka bezpośrednio, natomiast przy telepilotażu robiły to samo mechanizmy elektromagnetyczne, uruchamiane za pomocą fal o różnej długości z odległej nieraz o dziesiątki tysięcy kilometrów centrali. Oczywiście kierowanie na odległość latającą maszyną wymagało doskonałości i precyzji w opanowaniu tych wielce skomplikowanych urządzeń, gdyż każdy niewłaściwy ruch mógł spowodować poważne zakłócenia w locie lub nawet katastrofę.

Jednego wszakże nie mógł zrozumieć Jerzy. Na czym polegała rola dowódcy eskadry, którym był w tym wypadku Marek Fantom, siedzący przed jednym, ale daleko większym ekranem radarowo-telewizyjnym w przyległej sali?

Pilot-operator Romil i w tym wypadku okazał się niezawodnym informatorem.

— Dowódca eskadry, pyta pan? Robi to samo, co w dwudziestym wieku jego poprzednik w latających maszynach: obserwuje akcję i wydaje rozkazy. Nasz dowódca ma na „zbiorowym” ekranie cały obraz sytuacji i położenie każdej maszyny osobno. Widzi tak samo jak z torpedostratusa, który jest w akcji, i może dowolnie przełączać się na którykolwiek bądź i nawet pilotować nim, a prócz tego na „mapie radarowej” dostrzega ruchy maszyn nieprzyjacielskich. Posiada również automatyczne połączenia z wszystkimi kabinami telepilotów i jeśli zauważy jakieś błędy, natychmiast go wyłącza i sam nim kieruje, a pilot-operator jest bezsilny wobec jego woli. Wszystkie połączenia biegną do jego kabiny centralnej i zbiegają się tam jak ośrodki nerwowe w mózgu.

Profesor Aksimow z prawdziwym zadowoleniem słuchał tych relacji i uśmiechał się

nieznacznie kącikiem swoich cienkich warg. Potem nie bez pewnej dumy dodał:

— A jak celowo i praktycznie rozstawione są „oczy” telewizyjne. Proszę tylko popatrzyć: na samym przedzie, w środku, jest ekran, na którym widać wszystko, co dzieje się w kierunku lotu; nad nim, u góry, rozciąga się pole widzenia z tyłu aerostatku; poniżej na dolnym ekranie widać to, co jest pod nami. Na pierwszym lewym ekranie — widok, jaki się roztacza z prawej i lewej strony torpedostratusa. Pod spodem, niemal na kolanach — mapa radarowa, ta współczesna busola, bez której nie ma lotu w tych rejonach stratosfery. Mając tak świetnie rozwiązany problem wizualny, pilot może być jednocześnie obserwatorem bez szkody dla pilotażu. Czy to nie wspaniała strategia, panie Relski — zwrócił się do Jerzego — gdy dowódca eskadry rzuca się w wir walki, by naprawić błąd swego podkomendnego?

— Nie wiem, czy to można nazwać walką — wyraził powątpiewanie i stracił nagle ochotę do dalszej rozmowy.

W tej samej chwili donośny głos Marka Fantoma, płynący z radiotelewizora, zelektryzował obecnych.

— Uwaga! Telepiloci z eskadry S 1. Torpedostratusy nieprzyjacielskie znajdują się w odległości dwóch tysięcy pięciuset kilometrów od Bieguna Magnetycznego. Przygotować się do lotu obserwacyjnego. Za dwie minuty startujemy. Uwaga! Wszyscy na stanowiska!

Pilot-operator Romil przerwał dyskusję i zaczął manipulować w aparaturze, wpatrując się z uwagą na ekran, zgasiwszy uprzednio fluoryzujące światło w kabinie. Aksimow wykorzystał chwilowy półmrok i wysunął się cicho jak kot. Jerzy nie wątpił, że udał się do kabiny Fantoma. Za chwilę znowu rozległ się ten sam głos:

— Uwaga! Uwaga! Startujemy M 35!

Poszły w ruch manetki i dźwignie. Pilot-operator Romil manipulował z niezwykłą zręcznością wśród połyskujących w blasku telewizyjnych ekranów gałek i oscylujących własnym światłem różnorodnych przyrządów, drgających nerwowo wskazówek, rurek wypełnionych kolorowym płynem czy gazem i tym podobnych. Jerzy przyglądał mu się apatycznie.

Po kilku sekundach na przednim środkowym ekranie ujrzał kabinę pilota, jaką widział na torpedostratusie M 51. Potem usłyszał krótki trzask i rytmiczne dudnienie.

— Torpedostratus M 35 wystartował — oznajmił stereotypowo pilot-operator. Na mapie radarowo-telewizyjnej widoczny był ruchomy punkt, przedstawiający kontur maszyny w locie. Jednocześnie umieszczona z boku skala podawała wysokość, na jakiej znajdowała się maszyna oraz jej odległość w prostej linii od miejsca startu. Słychać było teraz jednostajny szum elektrycznych motorów i echa krótkich eksplozji odrzutników gazowych. Relski chciał o coś zapytać telepilota, gdy znowu usłyszał rozkazujący, ostry jak bicz głos Fantoma:

— Teraz startuje M 39! Uwaga! Uwaga!...

Obok w kabinie zgasło światło i w następnej sekundzie wystartowała druga maszyna do lotu. Na radarowo-telewizyjnej mapie Romila ukazała się druga świecąca plama, która szybko zdążyła za pierwszą. Przyrządy pomiarowe wskazywały wysokość i szybkość lotu torpedostratusa, wznoszącego się wysoko nad ziemią, a automatyczne urządzenia radarowe czuwały, aby w porę usunąć niebezpieczeństwo zderzenia z inną maszyną. Chyba że ręka telepilota wyłączy automaty bezpieczeństwa lotu i skieruje torpedostratus na określony cel, którym może być maszyna nieprzyjacielska.

Cóż to za wspaniała technika lotu! — zastanawiał się Jerzy. — Jakie doskonałe maszyny zbudował człowiek Atomowej Ery, które mu są posłuszne i uległe jego woli, jakby posiadały żywy mózg. I to wszystko ma lec w gruzy, ta cała cywilizacja i te maszyny, które „myśla” za człowieka, aby mógł wygodnie i beztrudnie żyć. I to wszystko dlatego, że przekleństwo nienawiści zawisło nad ludzkością jak apokaliptyczna bestia, której niczym przebłagać nie można...

Wspomniał o Irenie. Miłość do niej wróciła nieoczekiwanie w całej swej gwałtowności i sile. Profesor Magin popełnił niewybaczalny błąd, oszukał go, usypiając to uczucie, zamiast

je wyrwać z korzeniami z jego świadomości. Myśli jego biegły teraz tam, w bezkresną dal kosmiczną, gdzie z szybkością pięćdziesięciu tysięcy kilometrów na godzinę pędził międzyplanetarny pocisk. I chociaż dzieliła go obecnie astronomiczna przestrzeń od ukochanej i niewdzięcznej kobiety, myśl jego była przy niej, pełna tęsknoty, spotęgowanej czasową rozłąką i zapomnieniem. Ta myśl była szybsza od potężnej rakiety, która unosiła na inną planetę dwoje kochanków, by uratować od zagłady miłość.

Szczęśliwi — powiedziała Marietta, gdy Irena i Paweł wystartowali na Marsa. Tak... i on zazdrościł im tego szczęścia. Myślą wyprzedził ich lot i będzie pierwszy tam, na dalekiej planecie. I będzie czekał za wyłomem ostrej skały lub w cieniu marsjańskiego drzewa o długich, mechatycznych liściach, zwisających do samej ziemi, by ujrzeć ją jeszcze po raz ostatni oczyma wyobraźni, jak z uśmiechem szczęścia i żarem miłosnego uniesienia na twarzy dotknie stopami marsjańskiego lądu, którego on nigdy nie zobaczy...

Z Marsa przywołał go na Ziemię rozkazujący głos Marka Fantoma:

— Uwaga! Uwaga! Startuje M 42!

Relski był wzburzony i nie mógł opanować nerwowego podniecenia. Chciał już wyjść i odszukać wodza U S, aby mu powiedzieć wręcz, że jest tyranem, kanalią i tchórzem, gdy w drzwiach natknął się na profesora Aksimowa.

— O... panie Relski, chodź pan!

— Dokąd?

— Pokażę panu kabinę dowódcy eskadry i wodza.

Jerzy chciał mu odpowiedzieć, że jego wódz to komediant, a on sam jest głupi jak Ajaks, lecz zacisnął zęby i pozwolił posłusznie poprowadzić się do obszernej sali, gdzie stał globus magnetyczny. Obok, w głębokiej wnęce, znajdowała się kabina dowódcy eskadry. Przed wejściem do kabiny stało dwóch ludzi o twarzach surowych i nieufnym spojrzeniu. Aksimow szepnął coś jednemu z nich i ci natychmiast rozstąpili się. Fantoma ujrzał Jerzy w migotliwym półcieniu, przecinanym ostrymi zygzakami kolorowych znaków na ekranie. Wejście Aksimowa i Relskiego nie zmąciło skupienia na jego marmurowej twarzy. Jerzy przypatrywał się zmęczonemu wzrokiem ruchomym strzałkom na tablicy radarowej, znajdującej się poniżej ekranu telewizyjnego.

— To nasze torpedostratusy pędzą na spotkanie nieprzyjacielskich maszyn, wysłanych z Norbant — wyjaśnił Aksimow. A wskazując w kierunku świecących punkcików, mówił: — Licz pan... raz, dwa, trzy, jedenaście, osiemnaście, dwadzieścia. Wszystkie...

Szept profesora stawał się coraz głośniejszy, coraz śmielszy i doszedł widocznie do uszu Fantoma, gdyż ten obejrzał się niecierpliwie, a spostrzegłszy przybyłych, odwrócił się do swojej karuzeli i przywołał wzrokiem Aksimowa. Agrobiolog, odsunawszy szerokim ruchem ręki o pół kroku do tyłu Jerzego, znalazł się jednym susem przy wodzu. Fantom objaśniał mu coś z ożywieniem, dotykając palcem prawej ręki drgających, świetlistych punkcików na ekranie radarowym. Profesor Aksimow skinął w odpowiedzi głową i oddalił się pośpiesznie, pociągając za rękaw Jerzego.

— Torpedostratusy nieprzyjacielskie są już blisko. Nasze zawracają, aby przygotować się do obrony. Już tylko półtora tysiąca kilometrów dzieli je od Stacji Magnetycznej „A”. Trzeba uruchomić wyrzutnię elektrycznych pocisków „P 47”.

— Więc mają wszyscy zginać jak muchy? — rzucił Jerzy w stronę Aksimowa.

— Kto? — zapytał agrobiolog, robiąc kwaśną minę.

— Piloci na torpedostratusach z Norbant...

— No tak... Inaczej zbombardują stację i miasto maszyn, aby nie dopuścić do akcji „S”.

— I nie pozwolą zniszczyć Ziemi — dodał pośpiesznie Relski.

Aksimow nie śpieszył z repliką. Odwrócił się, po czym zniemacka zapytał:

— Boi się pan śmierci?

Stanął w miejscu i przez zwężone powiekami źrenice patrzył mu uparcie prosto w

twarz. Oczy te, jak zimne ostrza grotów, wpijały się Relskiemu aż do mózgu. Było w nich jakieś naigrzanie się, lekceważenie i, być może, pogarda. Jerzy wzdrygnął się i poczuł dreszcz na całym ciele. Otrząsnął się jednak szybko z przykrego wrażenia i odburknął:

— Nie chodzi o mnie, ale o tych wszystkich — zakreślił ręką szeroki łuk. — O ludzkość... Dlaczego mają ginąć ci, co chcą żyć?

Schodzili szerokim tarasem, obok połyskującej białości ścian Centrali Ruchu. Następnie skręcili w ulicę Generatorów Uranowych. Fluoryzujące, przenikliwe światło wdzierало się z wielką siłą w każde zagłębienie, w każdą szczelinę między rozgałęzienia grubych rur i połyskliwych bloków atomowych komór, między wiązania stropów i szeregi posagowych kolumn. Aksimow milczał, pochyliwszy się nieco, z rękami splecionymi do tyłu. Jerzy zapytał nagle:

— A gdzie Marietta, profesorze Aksimow?

Agrobiolog zatrzepotał powiekami.

— Marietta? Hm, zdaje się, że obok, w kamerze podziemnej stacji telewizyjnej. Utrzymuje stałe połączenie z Europą, przyjmuje meldunki, wysyła rozkazy.

— Adiutant w spódnicy — zaśmiał się Jerzy z nieukrywaną złośliwością.

— Tak. Fantom powierzył jej to stanowisko. Ma do niej zaufanie.

— Będzie mu wiernie służyć. Kocha się w nim... — dodał ciszej.

— Mówi przez pana zazdrość, panie Relski. Uczucie niegodne człowieka naszych czasów.

— O, nie. Ale zawsze lepsze to niż nienawiść i potworna wojna — wykrztusił.

— Wojna maszyn i wyzwolonej energii, wojna sprawiedliwa — dokończył Aksimow.

Relski przystanął i wsparł się łokciem o kolumnę, podtrzymującą ciężar gładkiego jak lustro sklepienia, i patrzył ponuro, niemal z nienawiścią na białą węzownicę rur i odbijające światło glazurowe płyty generatorów uranowych. Koło nich przechodzili w pośpiechu ludzie U S i ginęli szybko w labiryncie długich, wąskich kruzganków i załamaniach podziemnych ulic.

— Dokąd oni tak pędzą? — rzucił pytanie. Ale Aksimow nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej samej chwili zagrały wszystkie syreny swoje crescendo, aż zadrżały stropy podziemnego miasta i las kolumn o szerokich, rozłożystych kapitelach. Gdy ostatnie akordy dźwięków powracały jeszcze urywanym echem, gdzieś z głębi podziemnych labiryntów głos tembrofonu oznajmił:

— Uwaga! Nieprzyjacielskie maszyny atakują stację magnetyczną. Uwaga! Wszyscy na stanowiska!...

Gdy Jerzy obejrzał się, Aksimowa już przy nim nie było. Miast niego zjawił się za chwilę młody, krępy człowiek w białym kombinezonie i skłoniwszy się, powiedział bez żadnego wstępu:

— Polecono mi odprowadzić pana w bezpieczne miejsce. Alarm!

— W bezpieczne miejsce? — zdziwił się Relski.

— Tak, do sal rekreacyjnych, z tamtej strony generatorów. Tam będą wszyscy nie objęci żadną funkcją w mieście podziemnym.

— Więc chcecie mnie uwięzić gdzieś na dnie tego białego piekła?

— Jakiego piekła? Zresztą nie ma czasu na jałowe dyskusje. Spełniam polecenie wodza. Proszę ze mną!

— Nie pójdę!

— W takim razie... — Obejrzał się z zakłopotaniem. Za chwilę nadbiegło jeszcze dwóch ludzi podobnie ubranych. Relski uczył nagle, że stracił punkt oparcia, a mocne, zwarte dłonie zaciskają się wokół jego tułowia, rąk i nóg... Chciał się wyrwać, ale bezskutecznie. Całą siłą mięśni przyciągnął do siebie kolana i odepchnął się raptownie, aby uwolnić się od napastników, ale miało to jedynie ten skutek, że cały pochód zakołysał się, zachwiał na moment jak łódź od uderzenia fali, a potem krzepkie, twarde ręce jeszcze silniej uchwyciły i

oplotły jego ciało.

Fantom nie przypuszczał, że niebezpieczeństwo było aż tak bliskie. Torpedostratusy z Norbant przeszły już „strefę śmierci” i za kilka minut miały się zjawić nad miastem maszyn. Wyrzutnie elektrycznych ładunków, mimo że działały bez zarzutu, nie zdołały zatrzymać atakujących. Teraz było jasne, że torpedostratusy nieprzyjacielskie nie posiadały załóg na swoich pokładach. Zagładę nosły im same maszyny, kierowane przez stację centralną, odległą o blisko dwadzieścia tysięcy kilometrów.

Marek Fantom po raz pierwszy od rozpoczęcia akcji „S” stracił zimną krew.

— Przyjacielu — mówił pośpiesznie do Aksimowa, nie odrywając oczu od połyskującego jak żywe srebro ekranu telewizyjnego — podaj natychmiast szyfrowany rozkaz do Etkinsa. Niech uruchomi Stację „A”. Natychmiast! Trzeba działać błyskawicznie. Zawiadomić sztab w Pierwszej Strefie. Niech będą w pogotowiu. Nie będziemy czekać, aż spadną nam na głowy bomby wirowe mędrców z Norbant i zaduszą nas lub zaleją wodą oceanu. To my będziemy sternikami naszej planety do ostatniej chwili i jeśli oni nie skapitulują, zginą razem z nami!

Mówił w wielkim podnieceniu, manipulując jednocześnie prawą ręką wśród mnóstwa gałek i dźwigni. Aksimow oddalił się pośpiesznie i zniknął za przyległymi drzwiami.

Marek Fantom patrzył z przerażeniem, jak na ekranie radarowo-telewizyjnym ukazały się groźne sylwetki torpedostratusów nieprzyjacielskich. Pędziły wprost na teren stacji. Eskadra własnych maszyn krążyła w pobliżu, czekając na wroga.

— M 35 i M 39, atakować! — krzyknął do tembrefonu. A gdy obie maszyny wykonały rozkaz i zachodziły nieprzyjaciela od tyłu, zakomenderował po raz drugi:

— Ognia!...

Rozległ się głuchy trzask i przeciągłe wycie. Nagle na ekranie ukazała się smuga jasnego dymu.

— Trafiony! N 315 trafiony! — usłyszał zwycięski głos, płynący z aparatu. Był to meldunek pilota M 35. Na ekranie widać było zupełnie wyraźnie, jak torpedostratus N 315 przewrócił się raptownie w powietrzu i z błyskawiczną szybkością runął w dół.

Torpedostratus M 35 ukazał się znowu w polu widzenia i za chwilę pomknął z wielką szybkością za drugą nieprzyjacielską maszyną, a dopędziwszy ją, poczęstował serią świetlnych pocisków, z których kilka utknęło w kadłubie. Nie upłynęło więcej niż pięć sekund, a z ugodzonego torpedostratusa trysnęły płomienie, a potem spirala gęstego, czerwonego dymu.

— Uwaga! N 325 trafiony! — meldował znowu ten sam głos, należący do telepilota-operatora Romila.

Jednostajny szum, przerywany ostrym wyciem, gwizdem i grzmotem wybuchów w różnym nasileniu, wstrząsnął niewielką salą i wszystko drżało i kotłowało się, jakby się Ziemia rozpadała.

Walka rozgorzała na dobre. Na ekranach radarowych wirowały bez przerwy świetliste punkty, podobne do maleńkich meteorów, zabłąkanych wśród oceanu kosmicznej głębi.

Fantom był niezmordowany. Dwoił się i troił, aby nie dopuścić do zrzucenia niszczących ładunków atomowych. Teraz, kiedy przekonał się, że torpedostratusy Armii Pokoju pozbawione są załogi i na nic zdały się wyrzutnie elektrycznych pocisków, był zaniepokojony do najwyższego stopnia. Za pomocą centrali automatów falowych włączał się w obwód magnetyczny coraz to innej maszyny z własnej eskadry i obserwował pole walki z ekranów telewizyjnych poszczególnych maszyn, biorąc w ten sposób jakby bezpośredni udział w walce.

Mimo że akcja ta przebiegała pomyślny obrót dla U S, gdyż nieprzyjaciel stracił już dwie maszyny, nie zdążywszy zrzucić ładunku na teren stacji, Fantom wiedział, że jeszcze ostatnia z nich może spowodować spustoszenie na znacznym obszarze. Gratulując sukcesów Romilowi, zachęcał swoich ludzi, aby tak manewrowali, ażeby maszyny nieprzyjacielskie



odciągnąć jak najdalej od terenu stacji magnetycznej.

Ale teleoperatorzy z Norbant poznali się na chytrłości przeciwnika i przy każdej okazji przebijali się w kierunku podziemnego miasta, by zrzucić w to miejsce śmiertcionośne ładunki. Czy posiadali na swych pokładach bomby wirowe, trudno było przewidzieć. Jedno wszakże nie ulegało wątpliwości, że nie przylecieli tutaj z Norbant, aby urządzić rewię.

Marek Fantom sam teraz prowadził do ataku jeden torpedostratus, wyłączwszy teleoperatora. Wybrał N 43. Pałając nienawiścią do U N, porwany szałem walki, postanowił osobiście niszczyć maszyny wroga. Wpadł z niezwykłą szybkością między dwa uwikłane w walkę torpedostratusy nieprzyjacielskie i serią celnych strzałów przebił na wylot jeden z nich.

Chmura gęstego jak fontanna dymu wystrzeliła z trafionego kadłuba. Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Fantoma. Usłyszał je profesor Aksimow i uśmiechnął się. Wysłał szyfrowane rozkazy i czekał na dalsze zlecenie wodza. Fantom, zaaferowany walką, nie zauważył jego obecności.

— Uwaga! Torpedostratus N 375 trafiony! — meldował ktoś z jego eskadry. Był to już czwarty w ciągu pierwszych dziesięciu minut walki.

Piąty będzie należał do mnie — pomyślał wódz, włączając się znowu do walki po krótkiej przerwie, którą wykorzystał na rozpatrzenie sytuacji ogólnej w kabinie dowódcy.

Ale tym razem szczęście nie dopisało mu. Po kilku sekundach stracił maszynę, zasypaną gradem pocisków termicznych. Słyszał przez telewizor ich zwycięski krótki świst, gdy przebijały grube, stalowe ściany na wylot, jakby były zrobione z wosku. Wyłączył się z palącej maszyny i przełączył do następnej, która krążyła nad terenem walki. Musi pomścić porażkę. Nie daruje im tej straty i urażonej własnej ambicji.

Jak to jednak dobrze — pomyślał — że można tak, z odległości, walczyć nie narażając się na ryzyko utraty życia. Można walczyć i walczyć, aż zabraknie maszyn, albo...

— Uwaga! Torpedostratus N 391 trafiony! — zameldował swoim podkomendnym, ugodziwszy przeciwnika z góry krótką serią. Nie wiedział, że była to maszyna, kierowana z Norbant przez samego Partena. Członkowie Najwyższej Rady Geniuszy także walczyli osobiście przeciwko niemu, swemu niedawnemu koledze, a teraz śmiertelnemu wrogowi.

U N mieli jeszcze pięć torpedostratusów i nie rezygnowali z walki. Należało jak najprędzej zniszczyć resztę. Fantom miał w swojej eskadrze jeszcze dziewiętnaście, gdyż stracił był sam jedną maszynę. Ale w tej samej chwili U S utracili drugą.

Fantom jeszcze raz zaatakował maszynę przeciwnika, która próbowała przedrzeć się przez podwójny kordon własnych torpedostratusów i zestrzelił ją w pierwszej sekundzie. Ale inny torpedostratus nieprzyjacielski wykonał zręczny wiraż i wystrzeliwszy pionowo w górę ostrzem swego kadłuba, przedarł się błyskawicznie w kierunku stacji magnetycznej. Pognało za nim kilka maszyn z eskadry Fantoma i w tym momencie, gdy dosięgły go termiczne pociski ścigających, oślepiająca błyskawica zakryła wszystko. Na ekranie telewizyjnym dowódcy eskadry rozległa się fala migotliwego światła niezwyklej mocy i jak oślepiający reflektor rzuciła cały swój blask na przeciwną ścianę.

— Łotry!... — wykrztusił przez zaciśnięte zęby — poczęstowali nas chmurą atomową. — I natychmiast rzucił rozkaz:

— Wycofać maszyny ze strefy ognia! Uwaga! Ściagać nieprzyjacielskie maszyny aż do Norbant. Uwaga!...

Profesor Aksimow stał obok nieruchomo. Jego niepokazna sylwetka tonęła w cieniu, a tylko głowa, objęta blaskiem telewizora, wydawała się olbrzymią jak głowa karła. Patrzył z niepokojem w twarz swego przyjaciela i wodza. Ale Fantom nie dostrzegał go, przejęty powagą chwili. Nasłuchiwał meldunków od swoich telepilotów. Pierwszy zgłosił się Tilmore, który walczył na swoim M 51.

— Mistrzu! Nasza maszyna ocalała! Jestem w akcji! Szukam nieprzyjaciela, chociaż oślepiłem od blasku telewizorów! Ta przeklęta chmura uranowa przeszkadza nam!...

Z dalszych meldunków okazało się, że ocalały tylko cztery maszyny z eskadry Fantoma. Reszta spłonęła w chmurze atomowej, której nagły wybuch zaskoczył wszystkich, nie wyłączając dowódcy. Nieprzyjacielskie maszyny zginęły wszystkie, ale wypełniły zadanie, gdyż udało się jednej z nich spowodować eksplozję atomową, która rozpoczęła teraz swoje niszczycielskie działanie. Z telewizorów wydobywały się przeciągłe grzmoty i głuchoe detonacje. Ogromu zniszczenia nie można było w tej chwili przewidzieć. Fantom przygryzł wargi, wpatrzony z bolesną rezygnacją w jasny krąg światła na ekranach. Rozejrzał się bezradnie dokoła, a dostrzegłszy Aksimowa, próbował się uśmiechnąć.

— A... jesteś, przyjacielu. To dobrze.

Agrobiolog przysunął się do niego i spojrzał w zaniepokojoną twarz wodza. Potem zapytał nieśmiało:

— Marku, czy nikt nie zginął z naszych?

— A któż miał zginąć? Przecież torpedostratusy sterowane były na odległość.

— A tam, na górze?

— Wszyscy nasi ludzie, prócz startowych z punktu B 16 są w mieście podziemnym. Zaś ci, z obserwacji, przebywają w schronie i nie osiągną ich zdradliwe promienie. Gorzej ze stacją ciepłych wiatrów i Stożkami Sarotta. Wszystko diabli wezmą i twoje polarusy zamienią się w kulki lodu.

Aksimow skulił się w sobie i nie odezwał się słowem, westchnął głęboko.

— Nie martw się, stary — pocieszał go Fantom — może nie będzie tak źle. Gdy nastąpi całkowite rozładowanie chmury, sprawdzimy wszystko dokładnie, co da się jeszcze uratować. Zresztą po co o tym myśleć, skoro przystępujemy serio do akcji „S”. Ponieważ ludzie z Norbant nie chcą z nami rozmawiać, niech więc giną razem z nami!

Wręczył profesorowi taśmę z szyfrowanym tekstem.

— Daj to Marietce, niech zaraz przekaże. Podaj również wiadomość o ataku — dodał.

Aksimow skłonił się i zniknął za drzwiami kabiny radiotelewizyjnej.

Marietta siedziała na zwykłym miejscu przed aparaturą nadawczo-odbiorczą. Podał jej tekst radiogramu Fantoma i powtórzył zlecenie. Wzięła obojętnym ruchem i włączyła do nadajnika. Aksimow usiadł obok i czekał na odpowiedź Etkinsa. Fantom tymczasem zadzwonił na dyżurnego teleoperatora, aby go zastąpił. Trzeba było czuwać przed ekranem radarowym, aby nieprzyjaciel nie zaskoczył nowym atakiem. Zrozumiał, że walka nie będzie łatwa. Ludzie z Norbant znali prawie wszystkie jego wynalazki, gdyż nie ukrywał niczego przed komisją techniczną Najwyższej Rady Geniuszy. Jedyne wyrzutnie „P 47” skonstruował w tajemnicy. Nie żałował tego. Ale kto wie, czy już nie odkryto konstrukcji tej jedynej i groźnej broni? Doktor Zibellus idzie z nimi, a on łatwo zrozumie tajemnicę działania pocisków elektromagnetycznych. I co wtedy? Cały plan spali na panewce.

Tok jego ponurych myśli przerwało wejście teleoperatora, który się stawił na dyżur. Fantom objaśnił go w kilku zdaniach, na co ma szczególną zwracać uwagę, a sam postanowił wyjechać na górę, aby zobaczyć, jakie skutki pociągnęła za sobą eksplozja atomowa. Włożył na siebie skafander ze specjalnej masy, chroniący przed zabójczym działaniem promieni. Zabrał z sobą jednego z inżynierów ze stacji hydrotermicznej. Dwie minuty jazdy wygodną windą i znaleźli się na powierzchni ziemi. Poczuli silny zapach zjonizowanego powietrza, który spowodował ostry, kłujący ból tchawicy. Na wypłowiałym niebie dogasał już płomienny blask. Tylko dalekie łuny świadczyły, że gorzał tu niedawno wielki ogień.

Przeszli kilkanaście kroków w stronę alei, wysypanej drobnym żwirem przywiezionym tu z południowego wybrzeża Australii. Fantom szedł w kierunku, w którym według jego obliczeń spadł ładunek Plutonium, dając początek chmurze atomowej.

Gdy uszli kilkadziesiąt kroków, nogi ich w ciężkich, obszernych butach zaczęły grzęznąć w gorącym, sypkim piasku, który nagle się skończył, a pod stopami poczuli twardą, szklaną masę.

— O, widzi pan? — mówił, podnosząc zaciśniętą dłoń w stronę polarnego Słońca — tam było jądro atomowej chmury. Patrz pan, jak ziemia obniża się w tamtym kierunku i kończy wklęsłością niby dno jeziora. Akurat w tym miejscu, gdzie znajduje się miasto generatorów uranowych. Tutaj zapalili swoją atomową pochodnię zemsty geniusze ze stolicy świata, aby nas zniszczyć, spalić ogniem po stokroć gorętszym od słońca. Gruba, półkilometrowa warstwa ziemi uchroniła nas przed katastrofą.

Szklivo połykiwało w słońcu na znacznej przestrzeni. Stopiona warstwa ziemi zastygła nagle, gdy powiał lodowaty wiatr z tamtej strony Bieguna. Stacje ciepłych wiatrów spłonęły w jednej sekundzie jak fajerwerk. Fantom powiedział w zamyśleniu:

— Jeśli atak się powtórzy, chluba naszej cywilizacji atomowej, sztuczne klimaty, będą tylko wspomnieniem.

— Mistrzu! Czy będziemy czekać na nowy atak latających maszyn Armii Pokoju?

— Nie. Wyślemy zaraz eskadry do Norbant i zrównamy szczyty Alp z Doliną Wiosny, a potem podyktujemy warunki światu. Jeśli nie uczynimy tego, następny atak zamieni cały ten zdobyty dla cywilizacji obszar Antarktydy w pustynię lodową. Proszę nie zapomnieć, że za osiem dni zapadnie noc podbiegunowa, a wówczas...

— Hm, to straszne, mistrzu. Ale przecież pozostaje nam akcja „S”, która może usunąć groźbę powtórnego zlodowacenia terenu.

— O ile bomby wirowe tych chytrych lisów nie przewiercą naszego sklepienia.

Spod grubej warstwy szkliva ziemia parowała jeszcze rozkoszną falą ciepła. To osobliwe ciepło łagodziło ostry podmuch wichru.

— Wracajmy, inżynierze. Trzeba działać. Nie czas na bezpłodną kontemplację w takiej chwili, gdy ważą się losy świata. Brrr! Ziemia pali stopy, a wicher kłuje lodem. Co za kontrast.

Zeszli szybko do windy i zjechali do podziemia. Fantom śpieszył się. Był ciekaw świeżych wieści. Przy wejściu do centralnej kabiny natknął się na Aksimowa.

— Jak Etkins?

— W porządku. Czekają tylko na sygnał rozpoczęcia akcji. Również wszystkie podstacje są w naszych rękach. Sztab Pierwszej Strefy Klimatycznej oczekuje rozkazów...

— Doskonale. Trzeba zniszczyć Norbant, siedlisko wroga.

— A potem?... — zapytał nieśmiało Aksimow.

— Potem? — Spojrzał wyniośle na chuderlawą postać agrobiologa i powiedział, wyprężony dumnie: — Ogłoszę się panem i władcą świata. Poruszę Ziemię, zaprowadzę ład i porządek, jakiego nie zaznała jeszcze nasza planeta.

Oczy Aksimowa zastygły w dziwnym blasku, a powieki przestały się poruszać. Ale za chwilę spochmurniał.

— Ludzie z Norbant nie poddadzą się łatwo. Będą nas atakować.

— Otóż to, przyjacielu. Kto atakuje, jest o krok od zwycięstwa. Poślę do Norbant jeszcze jedno ultimatum. Albo natychmiast przyjmą nasze warunki, albo...

— Albo... — zastanowił się Aksimow. Po chwili zaś dodał: — Czy nie lepiej od razu, bez uprzedzenia atakować? Tak będą mieli czas na przygotowanie się do obrony...

— Bądź spokojny. Nie zdążą. Wyślę trzy torpedostratusy międzyplanetarne i najlepszych pilotów-operatorów. Spadną na nich jak sępy za niecałą godzinę i z Norbant zostanie kupa popiołu, jeśli odrzucą ostatnie ultimatum. — Cień chłodnej ironii błąkał się przez krótką chwilę na jego spokojnej, opanowanej twarzy.

Podszedł do radiotelewizora i wypowiedział treść ultimatum głosem mocnym i pewnym:

— Do Rządu Światowej Federacji i Najwyższej Rady Geniuszy w Norbant. Przyjąć warunki lub śmierć. Odpowiedzieć natychmiast. Fantom.

Wyjął nagraną taśmę i wręczył profesorowi.

— Trzeba natychmiast przekazać do Norbant. Czekam na odpowiedź piętnaście minut, nie dłużej. Idź!...

Odszedł do swojej kabiny, aby zwolnić dyżurnego teleoperatora. Aksimow udał się do Marietty. Ożywiła się, gdy ukazał się w drzwiach. Odebrała drżącą ręką taśmę i wsunęła z nerwowym pośpiechem do kasetki telewizora, włączając aparaturę nadawczą. Po kilku minutach treść ultimatum Fantoma znana była wszystkim członkom Rządu Federacji Światowej i delegatom Kolegium Genialnych. Aksimow czekał na odpowiedź, wsparty o czarną skrzynkę modulatora głosu. Był zmęczony ciągłym czuwaniem i zadowolony zarazem, że może trochę odpocząć. Marietta spojrzała na niego spod przymkniętych powiek.

Szybkim ruchem przełączyła stację na automatyczny odbiór z kilku najważniejszych stacji Globu, znajdujących się jeszcze w rękach U N, i wymknęła się bocznym wyjściem na ulicę Generatorów Uranowych, przebiegła nie zauważona bocznym korytarzem, aby nie natknąć się na Marka.

Dowiedziała się już przedtem od jednego z U S, że Jerzy Relski jest izolowany. Postanowiła go odszukać. Minęła szybko ostatnią ulicę Generatorów i znalazła się w dzielnicy magazynów i składów. Były tam również pomieszczenia mieszkalne, przewidziane na wypadek jakiegoś kataklizmu na górze. Tam musieli go ukryć — pomyślała. Intuicja nie zawiodła jej. Przed jednym z takich pomieszczeń zauważyła człowieka w szarym kombinezonie, stojącego na straży przy drzwiach. Zatrzymała się i nacisnęła guzik. Człowiek w szarym kombinezonie i oczach bez wyrazu stanął w wąskiej framudze, tarasując wejście do wnętrza pokoju. Próbowwała go odepchnąć, ale okazał się nieustępliwy i wyglądał groźnie. Poczerwieniła z oburzenia, a złość wykrzywiła jej twarz.

— Mam ważne polecenie wodza — powiedziała bez zająknięcia, siłąc się na spokój. To podziałało natychmiast. Drzwi usunęły się do góry i Marietta znalazła się w środku niedużej, okrągłej izby o wklęsłym i gładkim jak zwierciadło suficie, z którego sączyło się skape światło, tworząc łagodny, żółtawy półmrok. Dopiero po dobrej chwili dostrzegła w głębi opartego o ścianę Jerzego. Gdy podeszła bliżej, rzucił się ku niej i wygrażając pięściami krzyczał:

— Gdzie ten tyran, któremu zaprzedałaś się w niewolę?! — Nie dał jej przyjść do słowa. Poczekala, aż nieco ochłonie, po czym rzekła z udanym spokojem:

— Szykuje zagładę świata, a ja mu w tym pomagam...

Patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma, dysząc ciężko, z rękami wzniesionymi do góry. Potem chwycił ją za ramiona i potrząsając, wykrzykiwał:

— Ty!... ty!... współniczką tego mordercy? Marietto?!

— Jerzy, uspokój się — zaczęła perswadować. — Nie jestem temu winna.

— Więc kto?! Mów! Może Aksimow?

— To Fantom boi się, abys nie spletał mu figła. Jest bardzo podenerwowany.

— Łotr! Szubrawiec! Pomyłony geniusz! Dlaczego znęca się nade mną?

Marietta odpowiedziała z nie tajonym żalem:

— Trzeba było uciekać stąd. Uciekać! Prosiłam przecież...

— Tak, prosiłaś — przyznał skwapliwie.

Ujął jej dłonie i zaczął całować.

— Chodźmy stąd, Marietto. Mam pewien plan. Może uda się uratować świat od zagłady. Słuchaj...

Obejrzał się w kierunku drzwi, pociągając za sobą Mariettę.

— Słuchaj... — mówił nerwowym, stłumionym szeptem — trzeba uszkodzić skutecznie centralę teleoperatorów i stację radiotelewizyjną!

— To niemożliwe. — Uśmiechnęła się melancholijnie. — Nie znasz jeszcze Marka. Wszędzie ma swoich oddanych ludzi, którzy pilnują i śledzą każdego, kto nie cieszy się jego pełnym zaufaniem. Mnie śledzi profesor Aksimow...

— Ten nędznik?

— Chodzi za mną jak cień. Dlatego jestem ostrożna. Wierz mi, uczynię wszystko, aby zapobiec katastrofie. Muszę już odejść. Aksimow jest w mojej kabinie. Zasnął, więc wybiegłam na chwilę, aby się z tobą zobaczyć. Jerzy...

Objęła go za szyję i ucałowała w usta. Fala błogiej radości zalała mu serce.

— Marietto, uczynisz to? — zapytał z blaskiem nadziei w oczach.

— Tak! Nienawidzę Marka. Nienawidzę, jak nigdy dotąd. Nienawiść ta pomieszała mi rozum. Sama nie wiem, co czynię.

Objął ją i chciał przyciągnąć do siebie. Wysunęła się zręcznie z jego ramion.

— Żegnaj... muszę już odejść. Mogą zauważyć moją nieobecność. Aksimow...

Zapukała do drzwi. Uniosły się do góry bezszelestnie. Odwróciła się i pożegnała Jerzego smutnym uśmiechem. A potem znikła w podziemnym korytarzu. Jerzy chciał wybiec za nią, ale drzwi opadły błyskawicznie i zagroziły mu drogę. Zaczął walić w nie pięściami z całych sił, ale nie wydawały żadnego dźwięku. Były z miękkiej, elastycznej masy. W bezsilnej wściekłości rzucił się na nie całym ciałem, lecz został odbity jak gumowa piłka i z jękiem osunął się na podłogę.

— Łotry! — wykrzyknął ze ściśniętego gardła.

Gdy Marietta wróciła do kamery radiotelewizyjnej, Aksimow drzemał jeszcze w tej samej pozycji, w jakiej go zostawiła. Dzięki wszechstronnej automatyzacji odbioru sygnały były utrwalane na taśmie magnetowizyjnej z podaniem dokładnego czasu przyjęcia. Sprawdziła pośpiesznie, czy nadeszła odpowiedź z Norbant na ultimatum Fantoma. Tak. Włączyła reproduktor i sprawdziła treść. Radiogram głosił:

„Wysyłamy kuriera. Proponujemy rozejm. Zaprzestać akcji niszczycielskiej. Rząd Światowej Federacji”.

Wiadomość ta zelektryzowała ją. Chciała jeszcze raz włączyć taśmę, ale usłyszała za sobą ochrypły, senny głos profesora:

— Uroczą Pytio, czy już nadeszła odpowiedź?

— Nie ma odpowiedzi, Norbant milczy...

— Milczy? Ha, to trudno! Idę zakomunikować Markowi.

Poszedł. Wtedy Marietta nadała jeszcze jedną depezę do Centrali w Norbant, następującej treści:

— „Strzeżcie się. Torpedostratusy międzyplanetarne gotują wam zagładę. Relski”.

Wyłączyła kontakt i odetchnęła z ulgą. Serce biło jej gwałtownie jak oszalałe. Próbowała się uśmiechać, by odzyskać spokój. Dlaczego to zrobiła? — zadała sobie pytanie. Ale nie umiała zebrać myśli.

Aksimow tymczasem raportował:

— Nie ma żadnej odpowiedzi, mistrzu!...

— Nie ma odpowiedzi? — zdziwił się. Zagryzł wargi i rzucił gniewnie:

— Dobrze! Oto szyfrowany rozkaz do Etkinsa i wszystkich podstacji magnetycznych. Najpierw zawiadomić sztab Pierwszej Strefy Klimatycznej. Niech wzmocnią obronę wszystkich obiektów. Już nie ma odwrotu.

Aksimow pochylił głowę i wyszedł pośpiesznie. Był blady ze wzruszenia, gdy wręczał Marietce nowy meldunek. Sprawdził, czy dobrze założyła taśmę i włączyła aparaturę fal kierunkowych. Patrzył na jej podnieconą twarzyczkę i kwieciste wypieki na policzkach. Ręce jej drżały przy każdym ruchu kontaktów i były blade, jakby odpłynęła z nich wszystka krew.

Tymczasem Marek Fantom stanął przed ekranem radiotelewizyjnym w swojej kabinie i wydawał rozkazy:

— Uwaga! Piąta eskadra! Operacja „N”. Astronaucci NP 24, LW 18, TR 5 zająć miejsca w maszynach! Czekać na sygnał! Rozkaz podyktuję szyfrem. Uwaga!...

Podyktował tajny rozkaz do kamery reprodukcyjnej, aby nagrać szyfrowaną taśmę. Potem przerzucił ją na wewnętrzny nadajnik i przekazał na punkt startowy B 25.

Rozkaz zawierał następującą treść:

„Uwaga! Startować w odstępach co dziesięć sekund. Kierunek — Norbant. Zabrać ładunki najcięższego kalibru. Zamienić w popiół stolicę świata. Koniec cywilizacji U N!”

Torpedostratusy międzyplanetarne natychmiast wystartowały w kierunku na Norbant. Jednocześnie ze stolicy świata wyleciał inny torpedostratus, wiozący na swoim pokładzie kuriera Rządu Światowej Federacji do rozpoczęcia pertraktacji o zawieszenie działań niszczycielskich.

Fantom włączył się kolejno w obwody telewizyjne wysłanych do ataku maszyn, aby obserwować prawidłowość ich lotu. Po upływie niewielu minut znajdowały się już na wysokości górnej jonosfery i poszybowały w kierunku Europy. Ładunki H 150 miały być wyrzucone na spadochronach, aby wybuchnąć na wysokości pięciuset metrów nad miastem. Fantom obliczył, że będą w stanie stopić sąsiadujące z miastem granitowe zbocza Alp. Gdy akcja się uda, zniszczy swoich przeciwników i wówczas nie dojdzie do katastrofy kosmicznej, gdyż okaże się ona zbędna, ponieważ nie będzie opozycji. Wtedy zmieni orbitę Ziemi i obejmie władzę nad światem. Obejmie? Nie. U N oddadzą mu ją sami, będą go o to prosić! A co na to ludzie U S? Jak się zbuntują przeciwko niemu i zażądają masowej śmierci samobójczej? Co im wówczas powie? Przecież to szaleńcy...

Postanowił, że nie będzie się z nimi liczył. Skoro nie można ich uleczyć z tej obłąkającej pandemii, będzie ich musiał po prostu uśmiercić jakąś masową bronią...

Refleksje Fantoma przerwało wejście Aksimowa. Agrobiolog zawołał od drzwi wzburzonym głosem:

— Wodzu... Relski uciekł z izolatorium. Przedarł się do strefy generatorów uranowych i zaczął rozbijać metalowym drągiem automaty sterownicze stacji wysokich napięć.

— Dlaczego pozwolono mu uciec? — zapytał, nie odwracając oczu od ekranów.

— Użył podstępu, aby otworzono mu drzwi. Potem uderzeniem pięścią między oczy obezwładnił wartownika...

— Ach, niedołągi! Z jednym głupcem nie możecie dać sobie rady. Gdzież on jest teraz? — Odwrócił się na chwilę i spoglądał badawczo w twarz profesora.

— Ujęto go i odprowadzono z powrotem do pomieszczenia 356. Po drodze wymyślał nam i groził.

— Dajcie mu coś na uspokojenie...

W tym czasie w Norbant zawrzało. Depesza Marietty z podpisem Relskiego postawiła wszystkich na nogi. Sztab Armii Pokoju zarządził ewakuację stolicy świata. Miano przenieść się do podziemnego Norbant, gdzie mieściły się archiwa i magazyny. Domyślano się, że w obozie U S zaszły jakieś nieporozumienia lub też dopuszczono się zdrady. Doktor Zibellus przypomniał sobie o człowieku, któremu przywrócił kiedyś życie. Bez trudu też odkryto torpedostratusy Fantoma, mające przynieść zagładę miastu wiosny. Po ewakuacji wszystkich mieszkańców zorganizowano obronę stolicy. Na zboczach gór ustawiono wyrzutnie „Z 48”, a na spotkanie nieprzyjaciela wystartowały uzbrojone torpedostratusy.

W tej gorączce samoobrony zapomniano o wysłanym na Antarktydę kurierze. Delegat Ministerstwa Obrony Pokoju i Cywilizacji został wyposażony w pełnomocnictwo do rozpoczęcia rokowań. Teraz był jakby zawieszony w powietrzu. Od stacji magnetycznej na Antarktydzie dzieliło go jeszcze pięć godzin lotu.

Fantom, będąc przewidującym, polecił zaopatrzyć aerostatki w automatyczną teleaparaturę, aby w razie śmierci załogi można było kierować maszyną na odległość i wyrzucić ładunki H 150 na miasto. Dzięki tym urządzeniom mógł się włączać każdej chwili w telewizyjny obwód pędzących maszyn. Najlepsi teleoperatorzy czuwali obok, w kabinach, aby gdy zajdzie potrzeba, móc zastąpić pilotów. Fantom spojrział na strzałki odległościomierza. Jeszcze tylko tysiąc kilometrów do stolicy świata. Połączył się z torpedostratusem TR 6.

— Halo! Jak się czujesz, Tilmore?...

— Doskonale, wodzu! Dochodzimy do celu. Spójrz pan na magnetyczną mapę!

Fantom włączył obwód telewizyjny maszyny Tilmore'a. Ujrzał smukłą sylwetkę swego pilota, pochyloną nad mapą.

— Jeszcze trzysta kilometrów na zachód, potem dwieście w dół i wyrzucamy ładunek bomb. Uwaga!...

— Stop! — zawtórował mu głos Fantoma w tembrafonii. — Pamiętajcie o wysokości pięćset metrów. Niech stopi się ziemia pod Norbant!...

Astropiloci włączyli do pracy przednie dysze, by wytracić szybkość. Tilmore otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz w tej samej sekundzie upadł bezwładnie na podłogę kabiny. Pozostali dwaj członkowie załogi zawisli nieruchomo na przyrządach nawigacyjnych. Fantom usłyszał alarmowy sygnał i natychmiast zorientował się w sytuacji. Włączył teleaparaturę, aby sterować na odległość torpedostratusem TR 6. Ten sam los spotkał załogi pozostałych dwóch maszyn. Dyżurni telepiloci czuwali i zdążyli w porę włączyć się do obwodu falowego, aby uchronić maszyny od katastrofy.

Załogi zginęły od zdradliwych pocisków elektrycznych „Z 48”, znalazłszy się w „polu śmierci” niedaleko Norbant.

Ale Fantom już wydawał rozkazy swoim teleoperatorom, aby przygotowali się do zrzutu.

— Torpedostratusy nieprzyjacielskie nad nami — usłyszał nagle głos telepilota, który kierował maszyną NP 24. Fantom spojrział na ekran radarowo-telewizyjny. Płomieniste strzałki zbliżały się ze wszystkich stron.

Jesteśmy osaczeni — przemknęło mu przez myśl. Lecz na refleksje było już za późno. Rozległy się groźne trzaski, a na ekranach telewizyjnych ukazało się niepokojące, fioletowe światło.

— Zrzucić ładunki H 150! — krzyknął do tembrafonu, przesuwając jednocześnie dźwignię do wyzwolenia śmiercionośnych bomb. Ale aparatura na TR 6 już nie działała, gdyż torpedostratus, ugodzony celnym pociskiem termicznym, spadał w górski wąwóz u podnóża Alp. Marek Fantom, śmiertelnie blady, z zacisniętymi kurczowo dłońmi na teleaparaturze, spoglądał obłądnym wzrokiem na białą plamę ekranu telewizyjnego. Po raz pierwszy w życiu odczuł boleśnie gorzyc niepowodzenia, a może ostatecznej klęski.

Również torpedostratusy NP 24 i LW 18 zostały trafione pociskami i rozbiły się, grzebiąc pod własnymi zgłiszczami swoje martwe załogi. Żaden z nich nie zdążył wyrzucić swego ładunku na miasto wiosny

Do kabiny wpadł, zataczając się, profesor Aksimow.

— Marku! Przyjacielu!... stało się nieszczęście! oh! straszne nieszczęście — zawodził żałośnie, wymachując w powietrzu rękami, jakby miał za chwilę upaść.

Fantom odwrócił niechętnie głowę i spojrział niemal gniewnie na profesora.

— Co tam znowu? — warknął.

— Marietta nie żyje!... zabiła się! Zażył tenoinę w moich oczach i wiesz, co powiedziała? Ach, to okropne!

Wódz U S obrzucił go drwiącym spojrzeniem. Aksimow nic nie odpowiedział, objawszy dłońmi głowę. Wewnętrzny spazm targnął jego ciałem.

— Wstydz się, Aksimow! Jak można tak histeryzować? Ty, wielki uczony, sławny astrobiolog, twórca nowych form życia, ronisz łzy nad jedną kobietą, która zabiła się, ponieważ zły los pozbawił ją wyobraźni...

— Marku! to nie brak wyobraźni pchnął ją do samobójstwa, ale rozpacz — wykrztusił drżącymi wargami.

— Kto rozpacza, ten niegodny jest łaski życia — rzucił mu drwiąco.

Aksimow zamilkł zdetonowany, przybity, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Fantom wstał szybko i odsunawszy za ramię profesora, wbiegł pędem do kabiny radiotelewizyjnej.

W kabinie było pusto. Nieżywą Mariettę zabrał dyżurny lekarz do ambulatorium. Próbował ją ożywić, ale trucizna poraziła już mózg, powodując w jego ośrodkach nieodwracalne zmiany.

Fantom zaczął manipulować przy aparaturze i wydobyl kolejno wszystkie radiogramy, sprawdzając ich treść. Jeden z nich mówił o wysłaniu kuriera z Norbant. Przeczytał jednym tchem.

— Marietta zdradziła nas!... — wyrzucił z siebie, dławiąc wściekłość.

Cisnął o ziemię zwiniętą taśmę i szukał dalej.

Nadszedł Aksimow, ponury jak cień.

— I cóż, stary, ładnie nas urządziła, co? — zacharczał hamując gniew.

Podniósł zdeptaną rolkę taśmy i rozwinawszy, przesunął ją przed zdumionym wzrokiem profesora.

— Nieszczęsna depesza! Ale dlaczego ukryła jej treść? — wyjąkał agrobiolog, dysząc ciężko.

— Miała w tym swój cel. Chciała nas zgubić, aby ratować człowieka, którego kochała. Bałwan ze mnie, że o tym nie pomyślałem...

— Więc to Relski? — Aksimow ożywił się.

— Tak, Relski. Kochała go, a kobiety zakochane są bardziej niebezpieczne od naszych wrogów — zdefiniował chłodno, sprawdzając dokładnie wnętrze kamery nadajnika. Wydobyl jeszcze jedną taśmę i założył na walec reproduktora. Usłyszał treść depeszy:

„Strzeżcie się. Torpedostratusy międzyplanetarne gotują wam zagładę. Relski”.

Błady z gniewu, spojrzal na Aksimowa.

— Słyszałeś, stary?

Agrobiolog potwierdził skinieniem głowy.

— Żmija! Zgubiła nas!

Aksimow z przerażeniem w oczach zapytał:

— I co teraz będzie, Marku?

— Ludzie U N posiadli już tajemnicę pocisków elektrycznych „P 47” i zbudowali wyrzutnie, które zabijają U S. To Zibellus im pomógł. Dlatego zginęły załogi na torpedostratusach międzyplanetarnych wysłanych do Norbant. Ale my nie będziemy czekać, aż bomby wirowe rozwiercą nam pułap.

— A kurier! Gdzie kurier? — zapiał piskliwym falsetem Aksimow.

Fantom zachnął się zniecierpliwiony i nastawił odbiór Centralnej Stacji w Norbant. Na ekranie telewizyjnym ujrzał dobrze mu znaną, krępa i przysadzistą sylwetkę premiera Galmonta o imponującej głowie lwa. Mistrz retoryki, dobierający wielkich słów i mocnych akcentów, teraz w słowach prostych i niewyszukanych, głosem niższym i niepewnym, przechodzącym chwilami w charkotliwy bełkot, obwieszczał:

— Obywatele wolnego świata. Ludzie U N i wy, złamani cierpieniem U S, którzy daliście wiarę kłamliwym obietnicom waszego przywódcy, Marka Fantoma. Nie wiercie mu, że pragnie sprawić wam masową i bezbolesną śmierć, aby uwolnić was od cierpienia, które odbiera wam zdolność odczuwania radości życia i zmaci zmysły wasze. Wasz wódz okłamuje was, aby przy waszej pomocy zniszczyć Norbant, unicestwić Rząd Światowej Federacji i objąć władzę nad światem, władzę tyrańską i satrapy według dawnych wzorów... Nie chcemy zniszczenia świata, bo wiemy, że uda się znaleźć remedium na wasze cierpienie. Doktor Zibellus, który ożywia zmarłych, jest już bliski syntezy białka, które uleczy was z histeriozy powrotnej, przynosząc radość i zdrowie. Wiedząc o tym, wysłaliśmy kuriera na Antarktydę, aby oznajmił o tym waszemu wodzowi. Ale w tym czasie wódz wasz wysłał torpedostratusy, aby nas zniszczyć. Na szczęście czuwaliśmy i jego zamiary zostały unicestwione. Nie chcemy



waszej zguby. Chcemy was uleczyć i uczynić szczęśliwymi, abyście wspólnie z nami mogli cieszyć się i radować blaskiem Nowego Słońca, które wódz wasz uczynić chciał narzędziem szantażu i walki w imię wiedzy. Dlatego apelujemy do was, nie słuchajcie zdrajcy, a ocalicie świat od zagłady...

Fantom gwałtownym ruchem wyłączył aparat.

— Dość tego! A to kanalie! Słyszałeś, Aksimow? Próbują dywersji psychicznej, obiecują... Ale Galmont jest kiepskim psychologiem, a jeszcze głupszym premierem. Zobaczymy.

Aksimow spojrział z niepokojem na wodza, w którego oczach malowała się zawziętość i twardy upór.

Do kabiny weszła młoda dziewczyna niewielkiego wzrostu, o jasnych jak len włosach, spadających jej w długich pierścieniach aż na odsłonięte, pulchne ramiona.

— Jestem Lenora, radiooperatorka...

Fantom wskazał jej miejsce przy aparaturze. Usiadła bez słowa i odwróciła małą twarzyczkę w stronę wodza. Jej ogromne oczy o zielonkawym zabarwieniu znieruchomiały w oczekiwaniu.

— Niech pani połączy się z naszą centralą w Europie.

Kilka ledwie dostrzegalnych, wiewiórczych ruchów długich, drobnych paluszków płowej blondynki i ekran zapalił się iskrami fluoryzującego światła.

— Gotowe — powiedziała niskim tembrem, sucho i bez akcentu, jakby na przekór swej delikatnej postaci. Aksimow, szczególnie wrażliwy na wszelkie fizyczne mistyfikacje, skrzywił się, jakby go ukąsiła pszczoła.

Fantom, obojętny i wyniosły, stanął przed ekranem z rozjaśnioną twarzą, rozpoczynając przemówienie:

— Tu Stacja Magnetyczna Południe. Słuchajcie mnie, ludzie U S i wy, obywatele z Norbant. Rząd Światowej Federacji chce zmusić nas do niehonorowej kapitulacji i uczynić z nas, wolnych obywateli świata, posłusznych niewolników. Nie boimy się waszych pogroźek i wybieramy śmierć zamiast niewoli. Za chwilę puścimy w ruch maszyny, by stało się zadość przeznaczeniu. Ziemia przyspieszy swój bieg i poszybuje do Słońca, aby uwolnić się od was, jak od dokuczliwego robactwa. Nie okazaliście serca cierpiącym, więc nie warci jesteście litości. Stworzyliście nas, abyśmy byli waszymi sędziami. I staliśmy się nimi. Bracia U S! Nasza godzina wybiła! Wszyscy do czynu! Cześć wam!

Dał znak, by wyłączyć telewizor. Spojrział triumfująco na Aksimowa. W oczach profesora zapalił się dziwny blask.

— Nareszcie... — powiedział z ulgą.

— Stanie się, jeśli zdołamy na czas uzyskać potrzebne napięcie magnetyczne. Prześlij natychmiast szyfrowany rozkaz do Etkinsa.

Aksimow drżącymi rękami otworzył skrytkę z tajnym szyfrem i podał Lenorze rolkę złożonej taśmy.

— Szybko! — ponaglił, nie dając jej przyjść do słowa. — Włączyć Stację Magnetyczną „Północ” i wszystkie przekątnikowe. Ostatni rozkaz... Tempo!

Marek Fantom wyszedł do sali kabin teleoperatorów, by sprawdzić, czy dyżurni czuwają. Zbliżył się do swego zastępcy, dyżurującego w kabinie dowódcy.

— Nic nie widać?

— Nie, mistrzu.

— To dobrze. Za dwie minuty alarm.

Za dwadzieścia sekund zagrały potężne syreny w podziemnym mieście maszyn. Aksimow wbiegł zdyszany do wielkiej sali, gdzie stał globus magnetyczny.

— Wodzu! rozkazy odebrane! Etkins puszcza w ruch Stację „A”. Podstacje gotowe do akcji. Ludzi U S ogarnął zbiorowy szal radości!

— Ciesz się, powiadasz?

— Tak, mistrzu.

— To idź i czuwaj przy ekranach telewizyjnych, aby nas wróg nie zaskoczył — powiedział drżącym głosem. Po czym dorzucił z akcentem rezygnacji:

— Za minutę włączymy generatory. Niech zadrży Ziemia!...

Agrobiolog oddalił się, a Fantom zajął miejsce przed ogromną, czarną tablicą w Centrali Ruchu. Za chwilę dał sygnał do uruchomienia generatorów uranowych. Ludzie w białych kombinezonach zjawili się na odgłos syren alarmowych i zajęli miejsca w szklanych komorach. Na powtórny, krótki sygnał włączono reakcje łańcuchowe i tajemniczy izotop uranu przemieniał się w potężny strumień elektrycznego napięcia. Pod grubą warstwą podbiegunowego ładu zadrgało życie...

Jerzy Relski, przebywający nadal w zamknięciu, czuł instynktownie, że dzieje się rzecz niezwykła... Niczego jednak nie mógł się dowiedzieć od milczącego i głuchego na wszystkie zakłęcia wartownika. Marietta także nie pokazała się więcej. Zaczął niepokoić się o nią. Przez grube, szczelne drzwi słyszał echa dalekich, przyspieszonych kroków, nerwowej biegania, fragmenty gorączkowo prowadzonych rozmów i głośne wybuchy histerycznego śmiechu. Śmiech ten wzbudzał w nim dreszcz i doprowadzał do rozpacz. Stracił rachubę czasu, gdyż pozbawiono go jedynego łącznika ze światem — radioteleriksu. Zdawało mu się chwilami, że przebywa już tam rok albo dwa, choć był więźniem Fantoma dopiero od kilkunastu godzin.

Nie ma chyba bardziej okrutnej kary dla człowieka — myślał — niż pozbawienie go wolności i swobody ruchu. I to wszystko dzieje się w dobie Atomowej Ery, epoce niebywałego rozkwitu cywilizacji i ułatwionego życia, gdzie dawne więzienia zastąpiono sanatoriami dla psychopatów lub usypiano na czas odbywania kary.

— O podłości! O nędzo ludzka! — wyrzucał przez ściśnięte bólem gardło i przygryzał wargi do krwi. Wzburzone nerwy odmawiały posłuszeństwa i chwilami padał omdlały, nie wiedząc, co się z nim dzieje.

Nikt jednak nie słyszał skarg i narzekań samotnego więźnia podziemnego miasta.

Fantom zapomniał o jego istnieniu w ogóle, wpatrzony w liczne języki wskazówek skomplikowanych aparatów kontrolnych. Cały sztab asystentów był przy nim, a Aksimow nie wychodził z sali teleoperatorów.

Lenora odbierała coraz to nowe meldunki, napływające ze Stacji „Północ” i z punktów obserwacyjnych, i przekazywała je wodzowi. Wszystkie głosiły zgodnie, że akcja „S” ma przebieg pomyślny, według planu.

— Gdy napięcie osiągnie sto milionów volt — powiedział Fantom — włączymy katody, a wówczas rzeka elektronów popłynie od Bieguna do Bieguna, wzniecając potężne prądy magnetyczne, które przyspieszą obroty Ziemi.

Olbrzymi globus, nad którym Relski tyle się napracował, był już włączony w obwód magnetyczny i służył jako model doświadczalny, sprawdzający ruchy Ziemi.

— Wszystko jest zgodne z moimi obliczeniami, panowie — mówił z wielką pewnością w głosie, wskazując ręką w kierunku świecącej płomykiem cyfr olbrzymiej tarczy, na której wskazówka dochodziła do cyfry 100.

— Sto milionów volt! — rzucił gromkim głosem. — Patrzcie, panowie!

Zaczął manipulować przy dźwigni.

— A teraz włączam katodę... — powiedział z namaszczeniem odwracając głowę. — Moi panowie — mówił w uniesieniu — za chwilę Ziemia zacznie szybciej krążyć i podąży w kierunku Słońca. Akcja „S” rozpoczęła się. Zwyciężyliśmy...

W głównej dlii Centrali Ruchu zapanowała uroczysta cisza.

W Norbant liczono się z możliwością uruchomienia przez Fantoma stacji magnetycznej na Biegunach. Ustawione w różnych punktach Globu czułe aparaty pomiarowe miały natych-

miast sygnalizować wzrost szybkości obrotowej Ziemi. Toteż gdy po kilku godzinach od ogłoszenia ostatniego przemówienia Fantoma precyzyjne instrumenty Instytutu Wiedzy zanotowały nieznaczne przyspieszenie szybkości, w stolicy świata powstała panika. Zaalarmowane tym dowództwo Armii Pokoju skoncentrowało większą ilość torpedostratusów międzyplanetarnych, które natychmiast skierowano na Biegun Południowy. Torpedostratusy te zaopatrzone w bomby wirowe najcięższego typu, zdolne przebić skorupę ziemską na głębokość kilkuset metrów. Rozkaz był krótki: zniszczyć urządzenia Stacji Magnetycznej „A”, a przede wszystkim elektrownię uranową, aby zapobiec katastrofie kosmicznej. Skoro Fantom spełnił swą groźbę, nie było innego wyboru.

Najpierw wystartowała eskadra, złożona z dwudziestu pięciu torpedostratusów, sterowanych na odległość, ponieważ załogi mogłyby zginąć od pocisków „P 47”, nie wykonawszy zadania.

W ślad za pierwszą wyruszyła druga eskadra, pilotowana przez najlepszych astronautów, która miała zatrzymać się w stratosferze na granicy „pola śmierci” i oczekiwać na wyniki bombardowania teleoperatorów. Jej zadaniem miało być dopełnienie zniszczenia oraz posłanie do sztabu U N meldunków o wyniku akcji. Potem dopiero miały wyruszyć eskadry ratownicze, aby udzielić pierwszej pomocy rannym, a także pogotowie techniczne, aby zabezpieczyć ocalałe urządzenia techniczne stacji i zapasy uranu.

Jednakże znaleźli się i tacy, którzy nie wierzyli w skuteczność ataku i obawiali się, że dojdzie do katastrofy. Pod wpływem tych pesymistycznych przepowiedni wielu członków Rządu i innych wybitnych osobistości postanowiło wystartować w przestrzeń kosmiczną na torpedostratusach międzyplanetarnych. Z tego powodu Centrala Komunikacji Międzyplanetarnej w Norbant była stale oblężona przez stałych mieszkańców stolicy świata, a także przybyłych tu obywateli z innych stref klimatycznych Europy, pragnących jak najprędzej opuścić Ziemię, jako planetę zagrożoną. Straż porządkowa oraz członkowie Armii Pokoju z trudem utrzymywali porządek.

Zdarzały się też nadużycia. Oto ostatniej nocy zniknęło w nie wyjaśnionych bliżej okolicznościach kilkanaście międzyplanetarnych olbrzymów, a także kilkuset najznakomitszych obywateli Norbant. Nikt nie wątpił, że udali się na Marsa. Inni czekali z trwogą lub tępą rezygnacją na dalszy rozwój wypadków.

Gdy maszyny wystartowały na Antarktydę z bombami wirowymi na pokładzie, wielu mieszkańców odetchnęło z ulgą. Premier Galmont przemówił do członków załogi drugiej eskadry, jak również do teleoperatorów, kierujących maszynami na odległość. Liczono się powszechnie z tym, że nalot ten zakończy się zwycięstwem.

W tym czasie Marek Fantom przebywał w kabinie kontrolnej, zajęty wypatrywaniem nieprzyjacielskich torpedostratusów na ekranach radarowo-telewizyjnych. W Głównej Centrali Ruchu zastępował go pierwszy inżynier. Fantom niecierpliwił się. Już upłynęły trzy godziny, jak uruchomiono generatory uranowe na Biegunach, a przyspieszenie obrotów Ziemi wzrosło zaledwie o kilka metrów na minutę.

W drzwiach kabiny ukazał się Aksimow.

— Mistrzu! meldunek z Algieru: Wielka eskadra torpedostratusów wystartowała z Norbant. Za godzinę będą już tutaj.

— Spodziewałem się tego, przyjacielu. Geniusze nie próżnują, popędzani przez premiera Galmonta. Ale i my jesteśmy przygotowani na atak

— Wyrzutnie „P 47” są włączone i czekają na przyjęcie wroga.

— Wyrzutnie elektrycznych ładunków niewiele tu pomogą. U N zaatakują bez załogi. Wydałem rozkaz zniszczenia nieprzyjacielskiej eskadry już na trasie lotu.

— E... to wątpliwe. Przecież oni lecą w jonosferze — ośmielił się zauważyć Aksimow. Fantom wykrzywił usta.

— Niemożliwe, powiadasz? Zobaczymy...

Ktoś wszedł na salę. Łącznik z kabiny radiotelewizyjnej. Meldunek z Madagaskaru. Szybkość obrotowa Ziemi zwiększyła się na równiku o dwanaście metrów na minutę. Obecnie wynosi 27 790 metrów...

— Wspaniale! — wykrzyknął z zadowoleniem Fantom. A zwracając się do agrobiologa, zapytał z triumfującym uśmiechem: — A cóż na to ludzie z Norbant?

Aksimow odpowiedział bez namysłu:

— Niepokoją się, a mniej odważni uciekają na Marsa.

— Szczęśliwej drogi! — zaśmiał się zgryźliwie i spochmurniał patrząc na zapalające się małe ogniki na radarowym ekranie.

— Patrz, stary... już je mam, widzisz? — mówił wodząc palcem naokoło świecących punkcików. Włączył sygnał alarmowy, a następnie dał rozkaz eskadrze, aby zaatakowała nieprzyjacielskie torpedostratusy międzyplanetarne. — Ani jedna maszyna U N nie może dotrzeć tutaj. Inaczej wszystko na nic.

Aksimow wybałuszył na niego swoje rybie oczy.

— A jak nie dotrą, to co? Czy zatrzymasz generatory? — zapytał naiwnie.

Fantom zdawał się być zaskoczony pytaniem agrobiologa. Po chwili wahania odpowiedział z akcentem zniecierpliwienia:

— Zwariowałeś? Teraz zatrzymać generatory, to znaczy paść na kolana przed Galmontem. Nie! Poślę do Norbant jeszcze jedną eskadrę torpedostratusów. Będę przeżywał swój największy triumf, choćby się Ziemia rozpaść miała!

Ale Aksimowa nie zadowoliła widocznie odpowiedź wodza, gdyż kręcił się niespokojnie w miejscu i kilka razy otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć. Fantom, pochylony nad mapą radarową, przyglądał się w skupieniu ruchom nieprzyjacielskich maszyn. Pędziły z wielką szybkością na wysokości dwustu kilometrów nad Ziemią.

Aksimow stuknął go palcem w ramię.

— Co chciałeś jeszcze!... mów... — przynaglił Fantom nerwowym szeptem.

— Chciałem się dowiedzieć, co z tym Relskim?

— Daj mi spokój! — zachnął się Fantom. — Czy nie masz innych trosk? Za kilka godzin Ziemia zmieni orbitę, a ty roztkliwiasz się nad człowiekiem, który uknuł spisek przeciwko nam...

Stanął przed Aksimowem wyprostowany, dumny, a jego zimne, stalowe oczy rzucały gorączkowe błyski.

— Dziś stanie się to, czego nie dokonał żaden człowiek dotąd — przemówił uroczystym głosem. — Powiadam ci, Aksimow, nie ma takich przeciwności, których człowiek nie potrafiłby pokonać, o ile wierzy w swoje siły.

Agrobiolog patrzył na niego z uznaniem. Fantom usiadł znowu w swojej kabinie, obstawionej ekranami. Połączył się z eskadrą i odbierał meldunki. Profesor tymczasem oddalił się do sali teleoperatorów, aby sprawdzić, czy wszyscy czuwają. Potem udał się do Głównej Centrali Ruchu upewnić się, czy rzeczywiście napięcia magnetyczne Globu wzrastają, jak to utrzymywał Fantom. Ale precyzyjne instrumenty kontrolne potwierdzały słowa wodza, jak również meldunki Etkinsa, które wręczyła mu Lenora w kabinie radiotelewizyjnej.

Najnowsze meldunki mówiły, że eskadra, wysłana na spotkanie nieprzyjaciela, stara się nawiązać z nim kontakt bojowy. Ale po paru minutach łączność radiotelewizyjna urwała się nagle. Fantom na próżno próbował włączyć się kolejno na każdą z poszczególnych maszyn. Teraz nie miał już wątpliwości, że wszystkie zginęły, zanim zetknęły się z nieprzyjacielem.

Ogarnął go lęk, lęk przed nieuchronną klęską, jeśli nie zdoła unieszkodliwić wszystkich atakujących maszyn. Wystarczy jednak jedna bomba wirowa, aby zniszczyć urządzenie Stacji Magnetycznej. Zaalarmował kilka eskadr, pilotowanych na odległość, aby wyruszyły do walki. Tym razem sam wystartował za pomocą teleaparatury na największym torpedostratusie, aby dowodzić w decydującej i rozpaczliwej walce.

Od tego momentu wypadki rozegrały się w błyskawicznym tempie. Torpedostratusy nieprzyjacielskie niechętnie przyjmowały walkę, starając się przedrzeć przez kordon maszyn obrońców. Fantom szybko zorientował się, że torpedostratusy U N nie posiadają załogi, ponieważ wyrzutnie „P 47” nie czyniły im żadnej krzywdy. Rozkazał więc rzucać się na nieprzyjacielskie maszyny, gdyż pociski termiczne nie zawsze trafiały do celu. Sam stracił w ten sposób cztery torpedostratusy w ciągu kilku minut. Zdążył jednak zauważyć, że niektóre z jego maszyn, wbrew rozkazom, wystartowały z załogami, co wprawiło go we wściekłość, gdyż momentalnie ginęły od zabójczych ładunków elektrycznych. Przełączył się znowu na radarowy ekran swojej kabiny kontrolnej, aby zorientować się w położeniu nieprzyjacielskich torpedostratusów. Wtedy ujrzał na jego ciemnym tle świetliste kuleczki, które jak krople żywego srebra opadały szybko w dół.

— Bomby wirowe!... Rzucili bomby wirowe na miasto generatorów... — zdołał wyszeptać zbiegającymi z przerażenia wargami. Radar nie kłamał. W tym momencie ogłuszający świst rozdarł powietrze, a urządzenia radarowo-telewizyjne przeniosły ten złowróżbny dźwięk do sali teleoperatorów. Nastąpiła długa, niepokojąca cisza. Fantom zakrył rękami twarz i czekał. Upływały sekundy, które wydłużały się w nieskończoność. Jeszcze chwila, a potworne bomby, jak upiorne krety, przewiercą półkilometrową warstwę ziemskiej skorupy i wówczas miasto stu milionów wolt zaleje morze ognia...

Spojrzał jeszcze raz na ekran, na którym bomby znaczyły nieuchronnie swój ognisty ślad, ryjąc w ziemi. Było ich mnóstwo... Nagle oślepiający żar zgasił za chwilę jasność fluoryzujących lamp i szarosrebrzysty blask ekranów. Wszystko zawirowało i straszliwy huk zagłuszył krzyki ginących mieszkańców miasta generatorów atomowych.

## Epilog

— A co, nie mówiłem, że żyje? Patrz pan, doktorze Zibellusie, puls jeszcze bardzo słaby, ale uderzenia serca rytmiczne i płuca zaczynają pracować.

Doktor Zibellus nachylił się nad rannym, aby osobiście sprawdzić pracę serca.

— Dobrze, zupełnie dobrze, drogi kolego. Ten zastrzyk z leukocyny okazał się zbawienny. Jednak promienie gamma wyrządziły najwięcej szkody. Trzeba ratować krew, tylko krew...

Genialny lekarz wpatrywał się przez chwilę z wielką uwagą w znieruchomiłą twarz rannego, którego wraz z kilkudziesięciu innymi wydobyto z nie zawałonej części podziemnego miasta generatorów. Nagle odwrócił się do asystujących mu lekarzy i pielęgniarek z błyskiem radości w oczach.

— Ależ panowie!... Spójrzcie tylko na tego człowieka!

Kilka głów nachyliło się nad rannym.

— Nie poznajecie?... to przecież inżynier Relski, były pacjent naszego Instytutu Ożywiania Zmarłych!

— A... rzeczywiście, twarz poznaje! Byłem świadkiem przywrócenia go do życia — stwierdził jeden z najbliższych stojących asystentów.

— To przecież Jerzy Relski, zaginiony wśród lodów Antarktydy — przyznał ktoś inny.

Doktor Zibellus powiedział z powagą:

— To nasz zbawca. Wszak to on wysłał znaną depeszę ostrzegawczą do Norbant w ów tragiczny dzień.

Między lekarzami nastąpiło poruszenie i słychać było ożywione szepty.

— Trzeba go natychmiast skierować do najbliższej kliniki rewitologicznej; najlepiej do Pierwszej Strefy Klimatycznej, do Polski. Ten człowiek nie może umrzeć — zaopiniował Zibellus z przejęciem.

Relski otworzył ołowiane powieki i spojrzał nieprzytomnie wokoło. Nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest i co się z nim dzieje. Dopiero po pewnej chwili uświadomił sobie, że musiało stać się coś niezwykłego. Obecność tak wielu ludzi onieśmiała go, gdyż wszyscy spoglądali w jego stronę. Przymknął znowu oczy, a gdy je otworzył po raz drugi, ujrzał pogodną, uśmiechniętą twarz doktora Zibellusa.

Gdzie ja widziałem tego człowieka? — zastanowił się. Przypomnił sobie coś, ale nie mógł z tego mglistego obrazu wyłowić żadnych szczegółów.

Gdzieś z głębi sali wyływał czysty, melodyjny głos o jasnym, radosnym brzmieniu:

— Uwaga! Tu Centrala w Norbant! Nadajemy specjalny komunikat numer pięć sztabu Armii Pokoju. W dniu dzisiejszym o godzinie piętnastej minut dwadzieścia trzy średniego czasu ziemskiego została zniszczona Stacja Magnetyczna „A” na Biegunie Południowym. Bomby wirowe torpedostratusów międzyplanetarnych eskadry C 22 zniszczyły generatory uranowe w mieście podziemnym. Cała obsługa stacji zginęła, jak również sztab techniczny wraz z Markiem Fantomem. Zginął także znany astrobotanik profesor Aksimow. Ocalili tylko nieliczni, przebywający podczas eksplozji w bocznych kondygnacjach podziemnego miasta, nie biorący udziału w tak zwanej akcji „S”. Znajdują się oni pod troskliwą opieką naszych lekarzy-rewitologów, którzy udali się już torpedostratusami na miejsce tragicznych zająć. Tym samym został zakończony krwawy konflikt między U N i U S, który trwał sto pięćdziesiąt osiem godzin i osiemnaście minut...

Jerzy wyteżył słuch, aby nie uronić żadnego słowa.

— ...Nasze obawy, że Ziemia zostanie wytrącona ze starej orbity, nie potwierdziły się, gdyż nieznaczne przyspieszenie obrotów Globu, spowodowane wzrostem magnetycznej siły obydwu stacji na Biegunach, nie naruszyło równowagi powszechnego ciężenia.

— Obywatele! — mówiła dalej spikerka — nie ma już różnicy między nami. Zarówno my, ludzie U N, jak i wy, ludzie U S, posiadamy jednakowe prawo do szczęścia. Genialny doktor Zibellus, który regeneruje życie, dokonał wiekopomnego odkrycia. Dotąd nie zbadana, a trapiąca was straszna choroba, znana pod nazwą histeriozy powrotnej, jest już uleczalna. Jeden zastrzyk syntetycznego białka „Silenium” zgasi cierpienia i przywróci pełną radość życia naszym nieszczęśliwym braciom i siostram U S...

Relski wysłuchał głosu nie znanej spikerki i pojął okrutną tragedię ostatnich dni.

To straszne! Tyle cierpienia i wszystko niepotrzebne... — Uczuł nieznośne klucie w skroniach. Doktor Zibellus, który stał obok i nie spuszczał z niego wzroku, podszedł doń i położył mu rękę na czole. Jerzy wyszeptał z ulgą:

— To pan, doktorze... Jakże się cieszę, że widzę pana znowu.

— Jak to dobrze, że spotkaliśmy się jeszcze, nieprawdaż, panie Relski? — odpowiedział ciepłym, serdecznym tonem.

— O tak. Myślałem nieraz o panu w te okropne, beznadziejne dni, podobne raczej do upiornej nocy.

Zibellus spoglądał na niego głębią swoich mądrych, współczujących oczu.

— Doktorze, czy to wszystko już poza nami?

— Wszystko złe już poza nami. Wkraczamy teraz w nową epokę. Zbudujemy lepszy świat, szczęśliwszy i wspanialszy od tego, jaki dała nam Era Atomowa Marka Fantoma, w której zatriumfował lęk i strach przed groźbą zniszczenia cywilizacji, a nawet całego świata.

Jerzy chciał jeszcze o coś zapytać, ale głos spikerki rozległ się znowu:

— Tu centrala telewizyjna w Norbant. Nadajemy komunikat specjalny Uwaga! Dzielimy się radosną nowiną, że Jerzy Relski żyje, ocalały cudem w mieście podziemnym na Biegunie Południowym. Jest to ten sam Relski, który przed niespełna rokiem został przywieziony

do Norbant w bryle lodu i ożywiony przez doktora Zibellusa. On to właśnie ostrzegł Rząd Światowej Federacji przed atakiem U S. Depesza ta ocaliła stolicę świata, miasto wszystkim nam drogie, a może i Glob cały od nieuniknionej zagłady...

Relski poruszył się niespokojnie na miękkiej pościeli i wlepił w Zibellusa pytające spojrzenie:

— Nie rozumiem, doktorze... Ja?...

— No tak. Pan przecież wysłał w pamiętnym dniu ów radiogram do Norbant?

Jerzy zamyślił się. Przetarł oczy, jakby chciał przypomnieć sobie tak niedawną, a pełną grozy przeszłość. Twarz jego złagodniała, zmiękła. Wyobraźnia podsunęła mu drobną postać Marietty, pełną tajonych, złych przeczuć, gdy przyszła do niego po jego uwięzieniu w mieście maszyn. Pamiętał, jak powiedziała wtedy: „Wierz mi, uczynię wszystko, aby zapobiec tragedii świata. Nienawidzę Marka, odkąd uwięził ciebie...”

— Marietta... Doktorze, gdzie Marietta?...

— Nie żyje...

Otworzył z trudem powieki, a z oczu wytoczyły mu się dwie wielkie łzy

*Łódź, wrzesień 1947 — kwiecień 1948*

## „Nowy wspaniały świat” po polsku

Traktowana przez wiele lat po macoszemu przez krytykę fantastyka naukowa zdobywać sobie powoli zaczyna należne jej miejsce w summie artystycznego i filozoficznego dorobku literatury. Wraz ze zmianą nastawienia badaczy coraz częściej spotkać się można z twierdzeniami o ważkiej roli kreowanych przez jej twórców wizji, coraz częściej też zdarzają się próby ponownego, głębszego i dokładniejszego odczytania dzieł niegdyś całkowitym pomijanych milczeniem, bądź — po pobieżnej lekturze — zaklasyfikowanych do grona niegodnych baczniejszej uwagi. Wśród książek, które na znalezienie właściwego sobie miejsca czekać musiały wiele lat, z pewnością umieścić można również powieść Romana Gajdy *Ludzie ery atomowej*.

Powstała ona w latach, w których polska fantastyka naukowa z trudem znajdowała dla siebie miejsce na łamach gazet, w których Stanisław Lem szukał dopiero sposobów zainteresowania wydawców swoimi pierwocinami, w których krytyka dokonywała karkołomnych wyczynów ekwilibrystycznych, by udowodnić, iż zmęczone wojną społeczeństwo nie chce przyszłościowej literatury technicyzycznej, w których dyskusja nad nowym kształtem naszej rzeczywistości z konieczności zamykać się musiała w kręgu rozrachunków z przeszłością. Nikomu prawie nie przyszłoby wówczas do głowy, by do dyskusji o poszukiwanym i pożądanym modelu przyszłości włączyć daleko w czasie wybiegające, pełne obaw i wątpliwości wizje zrodzone z analizy innych niż tylko polityczne i gospodarcze tendencji. Tym bardziej że pożądanym model przyszłości mógł być tylko jeden...

A przecież w pracowniach twórców, w koncepcjach ludzi próbujących spojrzeć dalej niż w perspektywę jednego pokolenia, powstawały modele i szukały prawa wyartykułowania analizy, które wychodząc z rzeczywistości zastanej, próbowały poruszyć problemy, przed jakimi uciec się nie da. Tyle, że w owym czasie potrzeby i problemy doraźne były znacznie ważniejsze.

Ale czas i prawa rozwoju są nieubłagane. Więc i problemy, jeśli rodzą się nie z jałowej spekulacji, lecz z gruntownych przemyśleń, przypominają o sobie, a tym samym potwierdzają rolę i znaczenie tych, którzy z mniejszym lub większym powodzeniem próbowali je antycypować.

Książka, która „nie trafiła w swój czas” to zjawisko w literaturze dość częste. Ale też — jeśli jest książką rzeczywiście wartościową — ma znacznie większe, niż fetowane doraźnie szansę trwałego wpisania się w dzieje gatunku, literatury, lub w najbardziej szczęśliwym przypadku — kultury.

Pisana na przełomie lat 1947/1948 — obok *Schronu na placu Zamkowym* Andrzeja Ziemięckiego, *Zaziemskich światów* Władysława Umińskiego oraz sensacyjnych utworów Lema — powieść Romana Gajdy jest jedną z pierwszych powojennych propozycji polskiej literatury science-fiction. Wydana w owym czasie mogłaby odegrać istotną rolę w kształtowaniu oblicza gatunku. Niestety. Śmiałość swych wizji i niekonwencjonalność przekazu przyplącała przymusowym „odłożeniem na półce” Opublikowana dopiero „na fali odnowy” w 1957 roku, ukazała się w niewielkim nakładzie 8 000 egzemplarzy.

Dziewięć lat, które upłynęły od chwili napisania utworu do czasu jego wydania, niski nakład, odmienna sytuacja na naszym rynku wydawniczym, monopolizowanym powoli przez Stanisława Lema, jak również powszechna prawie nieznajomość wzorca, którego była rozwinięciem i z którym podejmowała dyskusję, sprawiły, iż nie doczekała się należnego jej miejsca w historii polskiej fantastyki naukowej. A szkoda. Gdyby pozwolono jej funkcjonować w obiegu społecznym, tak jak w przypadku wczesnych utworów Lema, inaczej być może ocenialibyśmy dorobek gatunku w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, inaczej też potoczyłyby się losy wielu innych, wtórnie „odkrywanych” książek.

Polska fantastyka naukowa, powstająca przed rokiem 1948, bliższa była koncepcjom Verne'a aniżeli utworom utrzymanym w stylu socjologizującej i antyutopijnej beletrystyki Wellsowskiej. *Ludzie ery atomowej* nawiązują w swej formie i treści do tego drugiego nurtu science-fiction i to w jego wzbogaconej wersji, pogłębionej przez twórczość Aldousa Huxleya. Co więcej, w obrazie nauki jutra sięgają do filozofii głoszonej przez stryja Aldousa — Juliana, wyznawcy eugeniki. Autor nie kryje się z tym, wręcz wprowadzając do wypowiedzi swych bohaterów echa wystąpień brytyjskiego naukowca.



„W czasach biologicznie młodych jedna z linii naczelnych wytworzyła ludzki typ organizmu. Skutkiem tego człowiek stał się ostatnim panującym gatunkiem w procesie ewolucji /.../ rozmnożył się, dokonał cudów na polu kultury, doprowadził do cofnięcia się lub zniknięcia wielu innych gatunków, gruntownie przeobraził ekologię i cały proces ewolucyjny na naszej planecie. A jednak jest istotą bardzo niedoskonałą. Wlecze ze sobą ciężki balast genetycznych braków i nieudolności. Jako organizm psychologiczny prawie wcale się nie ulepszył. Tak więc człowiek przedstawia typ nie ukończony, który uwspółcześnił zaledwie część swych ludzkich możliwości /.../ Jeżeli ślepa, oportunistyczna i automatyczna selekcja naturalna zdołała w ciągu kilku miliardów lat z wirusa uczynić człowieka, to co potrafią stworzyć w ciągu kilku milionów lat świadome i celowe wysiłki ludzi?” — zapytuje jeden z bohaterów powieści, dyrektor Paryskiej Kliniki Chirurgii Psychiczej, profesor Amon Lenois.

I właśnie owo pytanie staje się kanwą i kluczem całej powieści. Powieści, w której łódzki nauczyciel nie ogranicza się do przedstawienia jedynie materialnego dorobku ludzkiej cywilizacji w warunkach szybkiego i nieskrępowanego rozwoju, nie idzie śladem tych, którzy twierdzą, iż sam rozwój usunie wszelkie przeszkody, a postęp rozwiąże problemy i przemieni zwykłych zjadaczy chleba w anioły miłosierdzia i braterstwa. Powieści, w której próbuje uchwycić prawidła i obiektywny obraz współzależności pomiędzy rozwojem materialnym i psychicznym.

W pobieżnej lekturze *Ludzie ery atomowej* to obraz zwycięskiego społeczeństwa socjalistycznego XXI wieku żyjącego w doskonałym, konsumpcyjnym raju, rządzonego przez najbardziej godnych zaufania obywateli, wolnego od codziennych trosk i zmartwień — widzianego oczyma człowieka XX wieku.

Dzięki niezwykłemu osiągnięciu medycyny XXI wieku, jakim jest rewitologia, ów przybysz z przeszłości — zamrożony niegdyś w lodach Antarktydy inżynier Jerzy Relski — zostaje przywrócony do życia, zaś dzięki troskliwej opiece przydzielonych mu opiekunów włączony do społeczeństwa. Ponieważ w zbiorowości XXI wieku nie ma już miejsca na podziały klasowe, Relski jest traktowany od początku jako pełnoprawny obywatel, korzystając z wszelkich dóbr i przywilejów Ziemiannina nowej epoki.

Poznaje więc zasady mądrych i obiektywnych rządów sprawowanych przez Parlament Światowy i jego Prezydium — Najwyższą Radę Geniuszy Bardziej dla przyjemności i rozwoju własnej osobowości niż z konieczności wykonuje pewną pracę, która jest równomiernie rozłożona na wszystkich obywateli zgodnie z zasadą: „od każdego wedle jego możliwości, każdemu według jego potrzeb”. Dostrzega i wykorzystuje zalety nieograniczonego dostępu do informacji i równie nieograniczonego wyboru rozrywki. Przeżywa pierwszą po odmrożeniu miłość i pierwszy zawód spowodowany niezajomością zasad moralnych i form współżycia pomiędzy obiema płciami. Jest zachwycony geniuszem swoich nowych współbraci, którzy nie tylko opanowali siły przyrody i nauczyli się je wykorzystywać, lecz także uczynili wszystko, by życie poszczególnych jednostek stało się pasmem przynoszącej satysfakcję twórczej pracy, rozrywek i przyjemności. Co więcej, dzięki osiągnięciom elektrobiologii i chemii zwyciężyli śmierć i wydarli Stwórcy umiejętność stwarzania życia.

Wszelkie światowa łączność każdego z każdym, możliwość swobodnego wyboru miejsca zamieszkania, domki wśród drzew i kwiatów, torpedostratusy mknące trzykrotnie szybciej od prędkości dźwięku i przenoszące ludzi bez wiz i pozwoleń w każdy dowolnie wybrany punkt globu; optymalne, sztucznie stworzone i sterowane warunki klimatyczne — to tylko niektóre z osiągnięć XXI wieku, jakie jawią się oczom Relskiego. Możliwość swobodnego rozwoju intelektualnego, likwidacja strachu przed śmiercią i kalectwem, uwolnienie spod bezwzględnej władzy pieniądza i nędzy, ciągły nadzór medyczny, wyzwolenie z seksualnego tabu, możliwość swobodnego współuczestniczenia w decydowaniu o losach swojego świata — wydają się prawdziwymi dobrodziejstwami tej wspaniałej Utopii.

Powoli jednak zza owego parawanu szczęścia, dobrobytu, swobody i równości poczyna się wyłaniać świat znacznie mniej doskonały, pozbawiony radości i euforii zwycięstwa nad przyrodą. Jego mieszkańcami są przede wszystkim ludzie U S, urodzeni sztucznie w naukowych laboratoriach. Są ich miliony. „Produkcja” tych istot, uznana przez naukę za szczytowe osiągnięcia ludzkiego geniuszu i zaaprobowana przez opinię publiczną, nie może być zahamowana. To nic, że ludzie ci są bezpłodni i oderwani od poczucia gatunkowej ciągłości, że nie mają nazwisk ani ojczyzny, popadają w neurozę i pozostają debilami pomimo osiągnięcia dojrzałości fizycznej, to nic, że szerzy się wśród nich „histerioza powrotna” — choroba psychiczna powodująca masowe samobójstwa. Ponieważ są równi wobec prawa i wobec urodzonych naturalnie, mogą być pełnowartościowymi obywatelami świata. Tyle tylko, że urodzeni naturalnie nie zawsze traktują urodzonych sztucznie jak partnerów. Huxley-

owskie humunculusy zamieszkujące Ziemię rządzoną przez ludzi ery atomowej wcale nie są szczęśliwe. Mają poczucie niższości, cechuje je wieczna melancholia, są pozbawione instynktu samozachowawczego, a wobec określonych uwarunkowań biologicznych nie znają pojęcia rodziny.

Czasem zdarzają się wśród nich jednostki wyjątkowe. Uosobieniem takiego ideału jest genialny fizyk, odkrywca wielu praw i propagator ich praktycznego zastosowania, członek Najwyższej Rady Geniuszy — Marek Fantom. I to on właśnie decyduje się wystąpić przeciwko urodzonym naturalnie w imię praw swoich współbraci. Korzystając z uzyskania kontroli nad urządzeniami mającymi wprowadzić Ziemię na nową wokółsłoneczną orbitę postuluje — pod groźbą całkowitego unicestwienia ludzkości — zaprzestanie masowej produkcji nieszczęśliwych, naznaczonych symptomem defektu istot. Rada Geniuszy wniosek ten odrzuca. Do uspokojenia sumień uczonych wystarczy fakt, iż wciąż dąży się do udoskonalenia ludzi U S.

Nie znajdując zrozumienia i poparcia wśród członków Rady, Fantom decyduje się na walkę. I oto okazuje się, że cudowny świat XXI wieku jest nie tylko oazą szczęśliwego postępu. Ludzie U S dysponują „wspaniałą” bronią — generatorami promieniowania powodującymi wygaszanie biologicznych fal serca. Ludzie U N nie pozostają im dłużni — obok broni atomowej mają na podorędziu całą masę gotowych w każdym momencie do użycia innych środków niszczących: od pistoletów ultradźwiękowych, rozrywających przeciwnika działaniem fal, po bomby wirowe, zdolne zniszczyć każdą zaporę ochronną. Okazuje się, że zdalnie sterowane torpedostratusy są równie dobrymi środkami komunikacji, jak i maszynami bojowymi, sprawnymi i poręcznymi nosicielami broni masowej zagłady. Rozpoczyna się walka na śmierć i życie. Jej wynik jest zrazu niewiadomy, ale demokratyczny rząd w Norbant, nie czekając na rozwój wypadków, podejmuje decyzję o przygotowaniu Ziemi U N do ewentualnego opuszczenia Błękitnej Planety. Przy okazji wychodzi na jaw jeszcze jedna cecha tego pozornie egalitarnego systemu społecznego:

„Ale torpedostratusów przystosowanych do lotów międzyplanetarnych, było zaledwie około tysiąca, w tym większa część znajdowała się już pod kontrolą ludzi U S. Ponieważ torpedostratus tego typu mógł zabrać na pokład zaledwie około pięćdziesięciu pasażerów, opuścić Ziemię mogło w najlepszym razie kilkanaście tysięcy obywateli U N... Postanowiono w wielkiej tajemnicy, że w razie nieuniknionej katastrofy w pierwszym rządzie opuszczą Ziemię członkowie Rządu Światowej Federacji i Najwyższej Rady Geniuszy oraz ich rodziny, a potem członkowie poszczególnych rządów federacyjnej Europy, Azji i Ameryki”.

Co najmniej osobliwie wygląda ta decyzja wobec dwóch dokumentów, z jakimi zapoznał się Relski w czasie swojego pobytu w erze atomowej. Pierwszy z nich to Konstytucja Sfederowanych Państw Europy, paragraf pierwszy: „Wszyscy wolni obywatele Zjednoczonej Europy są równi wobec prawa”. Drugi — to fragment książki mówiącej o nowym, socjalistycznym społeczeństwie, który dowodził, że w wieku XXI „nie było pomiędzy ludźmi różnic stanowych czy klasowych. Walka klasowa, będąca motorem niezliczonych krwawych rewolucji przez całe tysiąclecia, zatraciła swój pierwotny sens, gdyż ogień tej walki wypalił się. Zabrakło wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych. Społeczność ówczesna była bezklasowa w świetle terminologii dawnych socjologów. Jedynie na tle różnic intelektualnych i zawodowych tworzyły się grupy społeczne. Grupy — nie zamknięte klasy i koterie.”

W chwili konfrontacji, w momencie bezpośredniego zagrożenia powszechnie głoszone i obowiązujące prawdy okazują się pustymi frazesami, a rzekoma jedność społeczeństwa XXI wieku czystą fikcją, być może do ostatniej chwili niedostrzegalną dla wychowanych, żyjących w jej cieniu przedstawicieli świata konsumpcyjnego dobrobytu.

Całkiem innego znaczenia nabiera teraz stwierdzenie, iż przydzielony każdemu obywatelowi radioteleriks, będący dobrodziejstwem w kontaktach interpersonalnych, jest wizytówką każdego człowieka. Jest również doskonałym instrumentem potencjalnego nadzoru.

„A gdyby nawet zniszczył aparat i radiotelewizor kieszonkowy, to i tak nic nie pomoże, bo zgaśnie wówczas lampka kontrolna nad jego numerem w centrali i automatyczny sygnał alarmowy sprowadzi do mieszkania w ciągu kilku minut Pogotowie Ochrony Życia”.

Co za cudowny, wspaniały świat, w którym człowiek poddawany jest bezustannej opiece w trosce o jego dobro. Stąd krok tylko do pamiętnej teleścianki w Roku 1984, służącej wyrzykowej kontroli zachowania i poglądów obywateli. Zresztą i wspaniały świat ludzi ery atomowej ma już swoją teleściankę. Jest nią wynalazek Marka Fantoma — elektryczna luneta pozwalająca nie tylko penetrować wnętrze Ziemi w celu wydarcia kryjących się pod jej powierzchnią tajemnic, ale i „podglądać na odległość”.

W ostatecznym rozrachunku Fantom swoją walkę przegrywa. Przegrywa, ponieważ daje się zaślepić nienawiści i przekonaniu o własnej doskonałości, a te ustąpić muszą w konfrontacji z miłością. Jego rebelia wydaje się zresztą niepotrzebna, gdyż uczeni z Norbant w obliczu bezpośredniego zagrożenia życia wynajdują specyfik powodujący doprowadzenie organizmów ludzi U S do stanu równowagi. Gdyby jednak nie było buntu U S, gdyby nie niosące śmierć i zniszczenie torpedostratusy skierowane na Norbant, prace nad „Silenium” — owym cudownym środkiem — potrwałyby jeszcze długo. Bezpośredni bunt poddanych zdopingował władców świata działających „dla szczęścia i dobrobytu wszystkich obywateli”, do odsunięcia na drugi plan spraw wagi ogólnoludzkiej i zajęcia się problemami najbardziej pokrzywdzonych.

W tej warstwie przesłania *Ludzie ery atomowej* są interesującym studium społeczeństwa, władzy i ludzkiej moralności, zmieniających się wraz z wzrostem poziomu egzystencji, przeobrażeń obyczajowości i norm etycznych. Relski przez cały czas jest obcym ciałem w żywej tkance ery atomowej. Wprawdzie sprawia wrażenie dobrze przystosowanego, jednak swym zachowaniem, światopoglądem, żywiołowymi odruchami odbiega od przeciętnego mieszkańca XXI wieku. W świecie podzielonym na supermanów i submanów człowiek epoki minionej bliższy jest tym drugim. Jednocześnie cała narracja powieści sprawia, iż czytelnik większą sympatią darzy „biologiczne roboty”, jak nazywa się w świecie równych ludzi U S, aniżeli naszych bezpośrednich potomków — ludzie U N. Tym, co odczłowiecza U N, jest ich bezkrytyczny stosunek do osiągnięć epoki oraz całkowita fetyszycacja nauki pozostającej na usługach Parlamentu Świata. Gdy staje się ona obiektem kultu, abstraktem, narzędziem władzy — z „dobrej wróżki” zmienia się w pożerającego wszystkich i wszystko demona.

Miejsca i funkcja nauki w życiu całych narodów, rola naukowca w organizacji nowego systemu społecznego — to w warstwie intelektualnej utworu elementy równie ważne jak ocena nowej, zjednoczonej Utopii Dobrobytu. Podejmując tę kwestię wyprzedził Gajda zainteresowania polskiej fantastyki o wiele lat. Te same problemy, rozważane na podobnych bądź identycznych przykładach przez Lema, Borunia czy Peteckiego, zapewniły ich książkom trwałe miejsce w historii polskiej science-fiction. Lemowi i Boruniowi pozwoliły nawet wyrzeć wpływ na literaturę innych krajów.

I choć w powieści Gajdy — w przeciwieństwie do wielu następców — nauka wygrywa swój pojedynek ze zwolennikami „rozwoju za wszelką cenę”, jest to jednak zwycięstwo pyrrusowe. Postęp jest konieczny, a rozpędzoną maszynę doskonalenia technicznego zatrzymać może jedynie kataklizm na skalę całego globu. Chodzi jednak o to, by w ślad za techniką nadążała etyka, by śmiała myśl eksperymentatora, przewidując czysto naukowy wynik eksperymentu, prognozowała również jego społeczne i psychologiczne konsekwencje.

Z Wellsowsko-Huxleyowskiego rodowodu fantastyki naukowej wywodzi się także zasada oparcia struktury utworu na podwójnym widzeniu prezentowanego świata, a tym samym konieczności jego dwoistej interpretacji: z pozycji stałego — nazwijmy to umownie — „właściwego” mieszkańca oraz z pozycji „przybysza z zewnątrz” dysponującego odrębnym zestawem pojęć, norm i wartości. Pierwszy z wymienionych opisów jest w przypadku utworu Gajdy znów rozbity na dwa: z pozycji typowego człowieka U N i człowieka U S. Ale i na tym nie kończy się dychotomizacja punktów widzenia. Świat widziany z perspektywy U S to, z jednej strony, świat przeżywany i relacjonowany przez „przeciętną” Mariettę, z drugiej, przez wyrastającego ponad przeciętność Fantoma. W każdym z tych przypadków świat niejednorodny, niejednoznaczny i posiadający co najmniej kilka oblicz.

Mało jest podobnych książek w całej powojennej fantastyce polskiej. W większości utworów fabuła zostaje zrelacjonowana z perspektywy zewnętrznego obserwatora wszechwiedzącego bądź narratora utożsamionego z głównym bohaterem i dociera do czytelnika za pośrednictwem jego medium. Jeśli przekazów o owym świecie jest więcej, schemat sprowadza się do jaskrawego dysonansu pomiędzy mieszkańcem „właściwym” (indywidualnym lub zbiorowym) a przybyszem, jak to się dzieje w powstałym w tym samym czasie *Schronie na placu Zamkowym* Andrzeja Ziemięckiego, później w *Powrocie z gwiazd* Stanisława Lema czy w *Ósmym kręgu piekieł* Krzysztofa Borunia.

Wielkość fantastyki Verne'a, Wellsa, Huxleya zwykło się mierzyć nieraz ilością przewidzianych przez nich, zasygnalizowanych i opisanych wynalazków. Miarę tę stosują do dziś zarówno czytelnicy, jak i krytycy tego typu historii, którzy nowatorstwem środków instrumentalnych postawionych do dyspozycji bohaterów uzasadniają śmiałość, oryginalność przedstawianych wizji. I pod tym względem powieść Romana Gajdy wybiega daleko w przyszłość. Z najważniejszych instrumentariów służących bohaterom utworu należy wymienić: reflektory słoneczne (odpowiednik dzisiejszych elektrowni i baterii słonecznych), hamulec wiatrów (dziś zrealizowany w postaci powietrznych zapór),

otrzymywanie pierwiastków z wody morskiej na skalę przemysłową, mikroskop ultraantyprotonowy, przeszczepy serca, hodowlę naturalnych „sztucznych” organów ludzkiego organizmu, neurochirurgię, psychiczną kopię mózgu i zawartej w nim świadomości, eksperymenty profesora Magina polegające na częściowej „amputacji” pamięci, promienie P 47 i Z 48 (broń działająca przez wygaszanie prądów biologicznych), pistolety ultradźwiękowe, bomby wirowe, pociski zdalnie sterowane itp.

Tych pomysłów starczyłoby nie na jedną, a na wiele książek. Powrócą one zresztą w postaci jednostkowych opracowań stanowiąc kanwę wielu głośnych i poczytanych utworów science-fiction. I tak na przykład profesor Magin to protoplasta profesora Alla z *Fabryki szczęścia* Krzysztofa Borunia, a jego wynalazek: „kopia duszy” przejdzie do opowiadań Stanisława Lema, stanie się osią kompozycyjną *Operacji wieczności* Bohdana Peteckiego i wielu innych książek. Przykłady można by mnożyć. Każdy z nich funkcjonuje w kontekście moralnej odpowiedzialności twórcy za jego dzieło i tego dzieła społeczną przyswajalność.

Powieść Romana Gajdy wydaje się pozornie książką bałwochwalczą wobec nieograniczonych możliwości nauki i idealnego modelu przyszłego społeczeństwa. W rzeczywistości jest jednak pełną zadumy i gorzkiej refleksji nad zastosowaniem i zasięgiem poszczególnych odkryć, nad dojrzałością moralną, społeczną i intelektualną człowieka, jego nadażaniem za własnymi dziełami. Podejmuje tym samym większość wątków i tematów właściwych najnowszej fantastyce naukowej. Rozważa kwestie socjologiczne, psychologiczne, historiozoficzne, naukowe. Próbuje przedstawić wpływy uczonych na losy ludzkości, na przemiany obyczaju, etyki, filozofii, psychiki. Mimo istotnych braków literackich jest jedną z wartościowszych książek w swoim gatunku.

*Andrzej Wójcik*

## Spis treści

Ludzie ery atomowej	002
„Nowy wspianały świat” po polsku (napisał Andrzej Wójcik)	168